

CHILD Lincoln

Głębia

Z angielskiego przełożył PIOTR AMSTERDAMSKI
WARSZAWA 2008

Dla Luchie

Podziękowania

Chciałbym serdecznie podziękować redaktorowi Jasonowi Kaufmanowi z wydawnictwa Doubleday za przyjaźń i nieustającą pomoc w niezliczonych sprawach. Dziękuję również Billowi Thomasowi i Adrienne Sparks za niezawodny entuzjazm od samego początku pracy. Jestem wdzięczny Jenny Choi i wszystkim pozostałym za ich oddanie, ciężką pracę i wsparcie. Erie Simonoff z Janklow & Nesbit i Matthew Snyder z Creative Artists Agency byli jak zawsze nie do zastąpienia.

Jestem bardzo wdzięczny mojej żonie Luchie i córce Veronice, bez których nie mógłbym napisać tej książki.

Doug Preston - mój partner i „brat z innej matki” - stał przy moim boku podczas pisania tej powieści i wzbogacił ją wieloma pomysłami, drobnymi i ważnymi. Nie mógłbym przesadnie ocenić jego znaczenia dla jej powstania.

Jestem bardzo zobowiązany wielu innym, bez których pomocy *Głębia* nie byłby taką książką jaką jest - Claudii Rulke, doktorom medycyny Voelkerowi Knapperzowi i Lee Sucknowi oraz Edowi Buchwaldowi.

Nie muszę chyba zapewniać, że *Głębia* to fikcja literacka. Wszystkie osoby, miejsca, zdarzenia, korporacje, instytucje rządowe są albo fikcyjne, albo wykorzystane w fikcyjny sposób.

PROLOG

PLATFORMA NAFTOWA *KRÓL SZTORMU*

Niedaleko wybrzeża Grenlandii

Kevin Lindengood pomyślał, że praca na platformie to zajęcie dla szczególnych ludzi. Mających wyjątkowo popieprzone w głowie.

Kevin siedział z ponurą miną przy konsoli w sterowni wiertnicy. Na zewnątrz, za wzmocnionymi szybami, Morze Północne przypominało białą-czarną zamieć. Słona mgła i bryzgi wody pienily się nad gniewnym, kotłującym się morzem.

No, ale Morze Północne zawsze wydawało się rozgniewane. Nie miało znaczenia, że platforma naftowa wznosiła się na wysokość trzystu metrów ponad falami: w porównaniu z ogromem oceanu sprawiała wrażenie dziecinną zabawki, która w każdej chwili mogła zostać zmieciona z powierzchni wody.

- Status świni? - spytał John Wherry, kierownik instalacji na morzu.

- Pięć na pięć - odpowiedział Lindengood, spoglądając na konsolę. - Minus siedemdziesiąt jeden, rośnie.

- Status rury?

- Wszystkie wskazania normalne. Wszystko wygląda dobrze.

Lindengood znowu spojrzał na ciemne, mokre okna. *Król Sztormu* była najdalej wysuniętą na północ platformą na polu naftowym Brent. Gdzieś tam, czterdzieści parę mil na północ, znajdował się ląd, a w każdym razie coś, co tu uchodziło za ziemię: Angmagssalik na Grenlandii. W takie dni jak ten trudno było jednak uwierzyć, że na całej planecie jest jakiś suchy skrawek, którego nie zalał ocean.

Tak, na platformach pracowali zdrowo popieprzeni faceci (niestety, to byli tylko mężczyźni - jedyne kobiety, jakie pojawiały się na platformie, to specjalistki od stosunków międzyludzkich i morale pracowników, które przylatywały helikopterami, sprawdzały, czy wszyscy są dobrze dostosowani do otoczenia, po czym jak najszybciej odlatywały). Każdy pracownik przyjeżdżał tu z bagażem nierozwiązanych problemów, obsesji i czule pielęgnowanych neuroz. Cóż bowiem mogło skłonić kogoś do pracy w metalowym pudle, zawieszonym nad lodowatym morzem na kilku stalowych wykałaczkach? Kto mógł zgadnąć, kiedy nadciągnie monstrualny sztorm, zniszczy platformę i ciśnie go w przepaść zapomnienia? Wszyscy twierdzili, że skłoniła ich do tego wysoka pensja, ale w rzeczywistości nie brakowało stanowisk na stałym lądzie, na których można było zarobić prawie tyle samo. Nie, w rzeczywistości wszyscy na platformie albo uciekali przed kimś, albo - co jeszcze bardziej niepokojące - do czegoś.

Terminal cicho zapiszczał.

- Świnia oczyściła dwójkę.

- Zrozumiałem - odpowiedział Wherry.

Siedzący przy sąsiednim terminalu Fred Hicks trzasnął palcami, po czym chwycił drążek sterowniczy wbudowany w konsolę.

- Ustawiam świnie nad szybem numer trzy. Lindengood spojrział na niego. Dyżurny inżynier Hicks to był doskonały przykład człowieka z platformy. Miał iPoda pierwszej generacji, na którym zapisał wyłącznie trzydzieści dwie sonaty fortepianowe Beethovena. Słuchał ich nieustannie, bez żadnej przerwy, w dzień i w nocy, podczas pracy i w czasie wolnym, w kółko. Równocześnie cicho je nucił, nosowym tonem, z otwartymi ustami. Słuchając go, Lindengood nie tylko zdążył wysłuchać wszystkich sonat, ale również nauczył się ich na pamięć, podobnie jak wszyscy członkowie załogi platformy *Król Sztormu*.

Lindengood pomyślał, że nie jest to najlepszy sposób na wpojenie komuś upodobania do muzyki klasycznej.

- Świnia nad szybem numer trzy - powiedział Hicks. Poprawił słuchawki i znowu zanucił Sonatę Waldsteinowską.

- Obniżaj - polecił Wherry.

- Zrozumiałem. - Lindengood skupił się na terminalu. W centrum sterowania byli tylko trzej. Tego ranka cała potężna platforma przypominała miasto duchów. Pompy wyłączono, a pracownicy wylegiwali się w kabinach, oglądali telewizję satelitarną w mesie, grali w ping-ponga lub na flipperze. Był to ostatni dzień miesiąca, co oznaczało, że praca ustała, a do szybów opuszczono elektromagnetyczne „świnie” służące do czyszczenia rur.

Czyszczono wszystkie dziesięć szybów.

Minęło dziesięć minut, potem dwadzieścia. Hicks nucił teraz w innym tempie, z nosowym naciskiem. Niewątpliwie skończyła się Sonata Waldsteinowską i zaczął Hammerklavier.

Patrząc na ekran, Lindengood wykonał w myślach proste rachunki. Do dna oceanu było prawie trzy kilometry. Jeszcze trzysta metrów lub więcej do złoża ropy. Trzydzieści trzy kilometry rur do oczyszczenia. Do niego, jako inżyniera nadzorującego produkcję, należało sterowanie świniami w górę i w dół, pod czujnym okiem szefa.

Wspaniałe życie.

- Dwa tysiące sześćset metrów, opada. - Gdy świnia dotrze do końca najgłębszego szybu numer trzy, zatrzyma się i zacznie pełznąć do góry, powoli, żmudnie czyszcząc i sprawdzając stan rur.

Lindengood zerknął na Wherry'ego. Szef był doskonałą ilustracją szczególnego doboru ludzi pracujących na platformie. Z pewnością za wiele razy oberwał na placu zabaw, ponieważ miał bzika na punkcie władzy. Szefowie platform byli zwykle ludźmi spokojnymi i zrelaksowanymi. Zdawali sobie sprawę, że życie na platformie nie jest wspaniałą zabawą i starali się łagodnie traktować swoich ludzi. Natomiast Wherry był nowym wcieleniem

kapitana Bligha - nigdy nie był zadowolony z czyjejs pracy, wyszczeniwał rozkazy i przy kaźdej okazji udzielał wszystkim nagan. Brakowało mu tylko kija, Źeby zaczął...

Nagle konsola Hicksa zaczęła gwałtownie pisać. Lindengood spojrział obojętnie na terminal kolegi. Hicks pochylił się i uważnie odczytywał wskazania przyrządów.

- Mam problem ze świnia - powiedział, zrywając słuchawki z uszu. - Zwarcie.

- Co takiego? - Wherry podszedł, Źeby spojrzeć na monitor. - Rozładowanie pod wysokim ciśnieniem?

- Nie. Dane są zupełnie pomieszane, nigdy jeszcze czegoś takiego nie widziałem.

- Zresetuj - polecił szef.

- Jak sobie Źyczysz. - Hicks nacisnął kilka guzików na konsoli. - To samo. Znowu zwarcie.

- Znowu? Tak szybko? Cholera. - Wherry zwrócił się do Lindengooda. - Wyłącz zasilanie elektromagnesu i sprawdź stan systemu.

Lindengood ciężko westchnął i wykonał polecenie. Mieli do oczyszczenia jeszcze siedem szybów, a jeśli świnia wysiadzie, Wherry będzie miał atak...

Nagle Lindengood zamarł. To niemożliwe. Wykluczone. Nie odrywając oczu od monitora, pociągnął szefa za rękaw.

- John.

- Co się stało?

- Spójrz na czujniki.

Szef podszedł i rzucił okiem na wskaźniki.

- Do diabła, przecież ci powiedziałem, Źebyś wyłączył zasilanie elektromagnesu.

- Zrobiłem to. Jest wyłączzone.

- Co takiego?

- Sprawdź sam - rzucił Lindengood. Zaszło mu w ustach, a w brzuchu czuł coś dziwnego.

Szef uważniej popatrzył na tablicę ze wskaźnikami.

- Jeśli tak, to skąd...

Nagle urwał. Po chwili bardzo powoli się wyprostował. W niebieskiej poświacie monitora jego twarz wydawała się trupio blada.

- Och, mój Boże...

DWADZIEŚCIA MIESIĘCY PÓŹNIEJ

1

Platforma - pomyślał Peter Crane - jest podobna do bociana: wielkiego, białego bociana stojącego w wodzie na śmiesznych, cienkich nogach. Gdy jednak helikopter zbliżył się do platformy i lepiej widać było jej strukturę odcinającą się od horyzontu, to podobieństwo znikło. Nogi przestały wydawać się takie cienkie - to były potężne, okrągłe pylony ze stali i sprężonego betonu. Tułów stanowiła wielopiętrowa konstrukcja z licznymi kominami, turbinami, dźwigarami i bomami. Cienką szyję stanowiła w rzeczywistości stumetrowa wieża wiertnicza.

Pilot wskazał platformę i podniósł dwa palce. Crane pokiwał na znak, że zrozumiał.

Dzień był piękny, bezchmurny. Crane zmrugał oczy, bo oślepiało go światło odbite od rozciągającego się we wszystkie strony oceanu. Był zmęczony i dezorientowany podróżą: najpierw liniowym samolotem pasażerskim z Miami do Nowego Jorku, później wycarterowanym prywatnym gulfstreamem G150 do Reykjavíku i na koniec helikopterem. Znużenie nie przytępiło jednak jego narastającej ciekawości.

Nie dziwiło go szczególnie, że korporacja Amalgamated Shale potrzebowała kogoś z jego umiejętnościami: potrafił to zrozumieć. Zaskoczył go natomiast ogromny pośpiech - chcieli, aby natychmiast rzucił wszystko, czym się zajmował, i poleciał na platformę *Król Sztormu*. Dość dziwne było również to, że w wysuniętej bazie AmShale w Islandii kręcili się głównie inżynierowie i technicy, nie zaś nafcjarze i specjaliści od wiercenia.

Jeszcze jedno wydało mu się znaczące. Pilot helikoptera nie był cywilnym pracownikiem AmShale. Miał na sobie mundur marynarki i nosił broń.

Gdy helikopter ostro zakreślił w kierunku lądowiska, Crane po raz pierwszy zdał sobie sprawę z wielkości platformy. Sama nadbudówka miała osiem pięter, a jej górny pokład stanowił oszalałający labirynt modularnych struktur. W porównaniu z otaczającą ich maszyną robotnicy w jaskrawo-żółtych ubraniach obsługujący pompy wydawali się karzełkami. Dużo, dużo niżej między filarami platformy kotłowały się spienione fale. Potężne słupy ginęły w wodzie, sięgając tysiące metrów do dna oceanu.

Helikopter zwolnił, obrócił się i usiadł na sześciokątnym lądowisku. Gdy Crane sięgał za siebie po bagaże, zauważył stojącą na skraju lądowiska wysoką, szczupłą kobietę w sztormiaku. Podziękował pilotowi, otworzył drzwiczki dla pasażerów i wyskoczył na mróz. Instynktownie pochylił się, bo nad jego głową kręciły się łopaty wirnika.

- Doktor Crane? - Kobieta podała mu rękę.

- Tak - potwierdził. Wymienili uścisk dłoni.

- Tędy, proszę. - Kobieta się nie przedstawiła, tylko obróciła się i poprowadziła go. Zeszli z lądowiska krótkimi schodami na metalową galerię. Podeszli do wjazdu jak na okręcie podwodnym.

Obok wjazdu stał marynarz w mundurze, z karabinem automatycznym. Kiwnął głową na ich widok, pochylił się i otworzył wjazd. Gdy weszli, zatrzasnął i zabezpieczył pokrywę.

Znaleźli się w przestronnym, dobrze oświetlonym korytarzu, z licznymi otwartymi drzwiami po obu stronach. Tu nie było słycać gorączkowego szmeru turbin i niskiego, pulsującego dźwięku wiercenia. Zapach ropy, choć wyczuwalny, był bardzo słaby, tak jakby ktoś postarał się go usunąć.

Crane szedł za przewodniczką, z torbami zarzuconymi na ramiona. Z ciekawością zaglądał do mijanych pokoi. Były to różne laboratoria, z tablicami, komputerami i sprzętem łącznościowym. Na górze było stosunkowo spokojnie, natomiast tutaj wszyscy wydawali się bardzo zajęci. Crane zaryzykował pytanie.

- Czy nurkowie przebywają w komorze hiperbarycznej? Czy mogę ich teraz zobaczyć?

- Tędy, proszę - powtórzyła kobieta.

Skręcili i zeszli po schodach. Korytarz na dole był jeszcze szerszy i dłuższy niż piętro wyżej. Mijali większe pomieszczenia: warsztaty, magazyny ze skomplikowanym, zaawansowanym technicznie sprzętem, którego Crane nie rozpoznał. Zmarszczył brwi. Wprawdzie *Król Sztormu* z zewnątrz wyglądał jak typowa platforma naftowa, niewątpliwie wydobywanie ropy nie było jego głównym zadaniem.

Do diabła, co się tu dzieje?

- Czy ściągnięto z Islandii jakiegoś pulmonologa lub specjalistę od chorób naczyń?

Kobieta nic nie odpowiedziała. Crane wzruszył ramionami. Czekał na wyjaśnienie już tak długo, że mógł wytrzymać jeszcze kilka minut.

Zatrzymali się przed szarymi, metalowymi drzwiami.

- Pan Lassiter oczekuje pana - powiedziała przewodniczka.

Lassiter? - zdziwił się Crane. Nie przypominał sobie tego nazwiska. Człowiek, który do niego zadzwonił, żeby przedstawić problem na platformie, nazywał się Simon. Na drzwiach wisiała wizytówka z białym napisem na czarnym tle *E. Lassiter, kontakty zewnętrzne*.

Crane zwrócił się w kierunku kobiety w sztormiaku, ale ona już odeszła. Poprawił torby i zapukał.

- Proszę - dobiegło z pomieszczenia.

E. Lassiter był wysokim, szczupłym mężczyzną z krótko ostrzyżonymi, jasnymi włosami. Wstał, wyszedł zza biurka i podał Crane'owi rękę. Był ubrany po cywilnemu, ale z tą fryzurą i zdecydowanymi, oszczędnymi ruchami sprawiał wrażenie wojskowego. Pokój był niewielki i wydawał się równie funkcjonalny jak jego gospodarz. Biurko ktoś chyba specjalnie posprzątał, bo leżała na nim tylko zapieczętowana koperta i stał cyfrowy magnetofon.

- Może pan tam położyć swoje rzeczy - Lassiter wskazał mu kąt pokoju. - Proszę, niech pan siada.

- Dziękuję. - Crane usiadł na krześle. - Chciałbym jak najszybciej dowiedzieć się, na czym polega alarmowa sytuacja. Moja przewodniczka nie miała wiele do powiedzenia na ten temat.

- Ja też nie. - Lassiter uśmiechał się przez chwilę. - O tym później. Muszę zadać panu kilka pytań.

- Słucham - zgodził się Crane po krótkim namyśle. Lassiter nacisnął guzik magnetofonu.

- Nagrywana rozmowa odbywa się drugiego czerwca w stacji zaopatrzenia i wsparcia logistycznego. Obecni sąja - Edward Lassiter - i doktor Peter Crane. - Lassiter uniósł wzrok znad biurka. - Doktorze Crane, czy zdaje pan sobie sprawę, że nie można z góry ustalić, jak długo będzie pan tu pracował?

- Tak.

- Czy rozumie pan, że nie wolno panu ujawnić niczego, co pan zobaczy, oraz opowiadać komukolwiek o tym, czym będzie się pan tu zajmował?

- Tak.

- Czy jest pan gotowy podpisać stosowne zobowiązanie?

- Tak.

- Doktorze Crane, czy był pan kiedykolwiek aresztowany?

- Nie.

- Czy jest pan od urodzenia obywatelem Stanów Zjednoczonych, czy też jest pan imigrantem?

- Urodziłem się w Nowym Jorku.

- Czy cierpi pan na jakieś choroby i zażywa w związku z tym lekarstwa?

- Nie.

- Czy regularnie nadużywa pan alkoholu lub bierze narkotyki?

- Nie, chyba że uzna pan za nadużywanie wypicie sześciu piw w ciągu weekendu, raz na parę tygodni. - Crane odpowiadał na pytania z coraz większym zdziwieniem.

Lassiter nie uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Czy cierpi pan na klaustrofobię?

- Nie.

Lassiter zatrzymał magnetofon. Otworzył palcem kopertę, wyjął pięć kartek i rozłożył je na stole.

- Czy mógłby pan przeczytać te dokumenty i wszystkie podpisać? - poprosił. Wyciągnął z kieszeni pióro i położył na stole.

Crane zaczął czytać dokumenty. Jego zdziwienie stopniowo zmieniało się w niedowierzanie. To były trzy różne zobowiązania do zachowania tajemnicy, oświadczenie zgodne z ustawą o tajemnicach państwowych i coś, co określono jako zobowiązanie do współpracy. Wszystkie dokumenty były opatrzone pieczęcią rządową i wymagały podpisu. Wszystkie też zawierały zapowiedź ponurych konsekwencji, jakie spotkają każdego, kto złamie którykolwiek z punktów zobowiązania.

Crane położył dokumenty na stole. Czuł na sobie wzrok Lassitera. To było trochę za wiele. Może powinien uprzejmie podziękować Lassiterowi, przeprosić i wrócić na Florydę?

Jak jednak miał to zrobić? AmShale wydała sporo pieniędzy, żeby go tutaj ściągnąć. Helikopter już odleciał. Mówiąc eufemistycznie, miał teraz czas wolny między kolejnymi projektami badawczymi. Poza tym nie był człowiekiem skłonny do odrzucania wyzwań, zwłaszcza takich tajemniczych.

Chwycił pióro i nie dając sobie więcej czasu do namysłu, podpisał wszystkie dokumenty.

- Dziękuję - powiedział Lassiter. Włączył magnetofon. - Doktor Crane podpisał wszystkie wymagane dokumenty - oświadczył, tak aby zapis uwzględnił tę informację. - Szybko wyłączył magnetofon i wstał. - Proszę za mną, doktorze, a za chwilę otrzyma pan odpowiedzi na swoje pytania.

Wyszli z pokoju. Lassiter poprowadził go korytarzem przez labirynt pomieszczeń administracyjnych. Wjechali windą kilka pięter w górę do dobrze zaopatrzonej biblioteki, wyposażonej w kilka stacji roboczych. Lassiter wskazał mu stół w głębi pokoju, na którym stał monitor.

- Wróć po pana - powiedział, po czym wyszedł z biblioteki.

Crane usiadł na wskazanym miejscu. Lassiter zamknął za sobą drzwi. Oprócz niego w bibliotece nie było nikogo. Crane zaczął się już zastanawiać, co będzie dalej, gdy nagle na

ekranie pojawiała się mocno opalona twarz siwowłosego mężczyzny, prawdopodobnie dobiegającego siedemdziesiątki. Jakies wideo z wstępnymi informacjami, pomyślał Crane, ale gdy nieznajomy uśmiechnął się do niego, zorientował się, że to nie ekran monitora, lecz telewizji kablowej, z niewielką kamerą wmontowaną w obudowę.

- Halo, doktorze Crane - powitał go człowiek na ekranie. Uśmiechnął się. Miał sympatyczną, mocno pomarszczoną twarz. - Nazywam się Howard Asher.

- Bardzo mi przyjemnie - powiedział Crane do ekranu. - Jestem głównym uczonym w Krajowej Służbie Oceanicznej. Czy słyszał pan o tej instytucji?

- To dział oceaniczny Krajowego Biura Oceanicznego i Atmosferycznego, tak?

- Zgadza się.

- Trochę tego nie rozumiem, doktorze Asher, jest pan doktorem, prawda?

- Tak, ale proszę mi mówić Howard.

- Dobrze. Howard. Co Krajowa Służba Oceaniczna ma wspólnego z platformą naftową? Gdzie jest pan Simon, który skontaktował się ze mną telefonicznie? To on organizował mój przyjazd tutaj. Zapowiedział, że będzie tu na mnie czekał.

- W rzeczywistości, doktorze Crane, nie istnieje żaden pan Simon. Ja natomiast jestem na miejscu i bardzo chętnie wyjaśnię wszystko, co tylko mogę.

- Powiedziano mi, że chodzi o problemy zdrowotne nurków konserwujących urządzenia podwodne. - Crane zmarszczył brwi. - Czy to również było oszustwo?

- Tylko częściowo. Rzeczywiście, uciekliśmy się do wielu wybiegów, za co bardzo przepraszam. Było to jednak konieczne. Musieliśmy mieć pewność. W tej sprawie zachowanie tajemnicy ma absolutnie podstawowe znaczenie. Mamy do czynienia, Peter - czy mogę tak się do pana zwracać? - z naukowym i historycznym odkryciem stulecia.

- Stulecia? - powtórzył Crane. W jego głosie słychać było skrywane niedowierzanie.

- Masz prawo w to wątpić, ale to nie jest żadne oszustwo, Peter. Jestem jak najdalszy od kłamania w tej sprawie. Mimo to określenie „odkrycie stulecia” może być nie całkiem właściwe.

- Nie sądziłem, żeby tak było - odpowiedział Crane.

- Powinienem raczej nazwać to największym odkryciem wszech czasów.

2

Crane wpatrywał się w ekran. Doktor Asher uśmiechał się do niego przyjaźnie, niemal po ojcowsku, ale wyraz jego twarzy bynajmniej nie sugerował, że żartuje.

- Nie mogłem powiedzieć ci prawdy, Peter, dopóki nie przyjechałeś tutaj i nie zostałeś całkowicie prześwietlony. Wykorzystaliśmy na to czas, jakiego potrzebowałeś, żeby się tu dostać. Jednak nawet teraz nie mogę cię poinformować o wielu rzeczach.

Crane spojrzął za siebie. W bibliotece nie było nikogo poza nim.

- Dlaczego? Czy ta linia nie jest zabezpieczona?

- Och, tak, połączenie jest bezpieczne, ale musimy najpierw przekonać się, że chcesz się całkowicie zaangażować w ten projekt.

Crane nic nie odpowiedział. Czekał.

- Te nieliczne informacje, jakie wolno mi teraz ci przekazać, są ściśle tajne. Nawet jeśli odrzucisz naszą propozycję, będziesz musiał postępować zgodnie z podpisanymi zobowiązaniami do zachowania tajemnicy.

- Rozumiem - odpowiedział Crane.

- Bardzo dobrze. - Asher chwilę się wahał. - Peter, platforma, na której teraz jesteś, wznosi się nad czymś znacznie ważniejszym niż pole naftowe. Bez porównania ważniejszym.

- Co to takiego? - automatycznie spytał Crane. Asher uśmiechnął się tajemniczo.

- Wystarczy, jeśli ci powiem, że dwa lata temu podczas wiercenia szybu nafciarze coś odkryli. Coś tak fantastycznego, że z dnia na dzień platforma przestała służyć do wydobywania ropy i zaczęła pełnić nową, tajną funkcję.

- Niech zgadnę. Nie wolno panu powiedzieć, co to takiego.

- Jeszcze nie. - Asher zaśmiał się. - Jest to jednak tak ważne odkrycie, że rząd gotów jest na nieograniczone wydatki, żeby odzyskać ten obiekt.

- Odzyskać?

- Obiekt jest pogrzebany na dnie pod platformą. Pamiętasz, powiedziałem, że to największe odkrycie wszech czasów? W istocie prowadzimy tu wykopaliska archeologiczne, tyle że zupełnie inne niż wszystkie. Bez najmniejszej przesady, to co robimy, ma historyczne znaczenie.

- Po co zatem ta cała tajemnica?

- Jeśli rozejdzie się plotka, co tu znaleźliśmy, natychmiast trafi to na pierwsze strony wszystkich gazet na świecie. Już po kilku godzinach nastąpi katastrofa. Pół tuzina rządów zadeklaruje, że mają suwerenne prawa do tego terenu, przyjadą dziennikarze, ciekawscy. To odkrycie ma zbyt duże znaczenie, żeby coś takiego ryzykować.

Crane odchylił się do tyłu na fotelu. Zastanawiał się nad słowami Ashera. Ta podróż zaczęła nabierać coraz bardziej surrealistycznego charakteru. Pośpieszny lot, platforma

naftowa, która wcale nie jest platformą, tajemnica... a teraz jeszcze ta twarz na ekranie i zapewnienia o niewyobrażalnie ważnym odkryciu.

- Może uznasz, że to staromodny zwyczaj, ale czułbym się znacznie lepiej, gdybyśmy mogli porozmawiać twarzą w twarz - powiedział.

- Niestety, Peter, to nie takie łatwe. Jeśli jednak zobowiązesz się do udziału w tym projekcie, to spotkamy się już wkrótce.

- Nie rozumiem. Dlaczego właściwie jest to takie trudne?

- Ponieważ w tej chwili jestem kilka tysięcy metrów pod tobą. - Asher zaśmiał się.

- Chcesz powiedzieć... - Crane wbił wzrok w ekran.

- Tak. Platforma *Król Sztormu* to tylko struktura pomocnicza, stacja zaopatrzeniowa. Wszystko, co istotne, dzieje się znacznie niżej. Dlatego rozmawiam z tobą przez telewizję.

Crane przez chwilę przetrawiał tę informację.

- Co tam jest na dnie? - spytał spokojnie.

- Wyobraź sobie ogromną, dziesięciopiętrową stację badawczą, wyposażoną we wszelkie absolutnie najnowsze urządzenia techniczne, umieszczoną na dnie oceanu. To właśnie SBO - najważniejszy element najbardziej niezwykłych wykopalisk archeologicznych wszech czasów.

- SBO?

- Stacja Badań i Odzyskiwania. W skrócie mówimy po prostu stacja. Wojsko - wiesz, jak oni lubią kryptonimy - nazwało ją *Głęboki Sztorm*.

- Zauważyłem marynarzy. Po co tu wojsko?

- Mógłbym ci odpowiedzieć, że to dlatego, że stacja należy do rządu, gdyż Krajowa Służba Oceaniczna jest agendą rządową. To zresztą prawda, ale w rzeczywistości wojsko jest tutaj, ponieważ stosowane tu liczne urządzenia i technologie są tajne.

- A po co ci ludzie, których widziałem na górze, obsługujący platformę?

- To w przeważającej mierze tylko kamuflaż. Musimy przecież sprawiać wrażenie normalnie działającej platformy naftowej.

- A AmShale?

- Korporacja dostała wysoką zapłatę za wydzierżawienie platformy, firmowanie naszej działalności i niezadawanie żadnych pytań.

- Wspomniał pan o stacji. - Crane zmienił pozycję na fotelu. - Czy tam będzie moja kwatery?

- Tak. Tam pracują i mieszkają wszyscy oceanografowie, historycy i inżynierowie. Wiem, ile czasu spędziłeś pod wodą, Peter. Moim zdaniem będziesz przyjemnie zdziwiony, a

raczej zdumiony i zachwycony. Musisz zobaczyć stację, żeby w to uwierzyć - to prawdziwy cud podwodnej techniki.

- Dlaczego jednak jest to konieczne? Chodzi mi o utrzymywanie stacji na dnie. Dlaczego nie prowadzicie całej operacji z powierzchni?

- Te zabytki są zagrzebane zbyt głęboko, żeby można było użyć łodzi podwodnych. Poza tym ich wydajność jest absolutnie beznadziejna. Zaufaj mi - gdy wreszcie poznasz szczegóły, wszystko wyda ci się sensowne.

Crane pokiwał głową.

- Zostało już chyba tylko jedno pytanie. Dlaczego wybraliście mnie?

- Proszę, doktorze Crane. Jest pan zbyt skromny. Ma pan za sobą wojsko, służył pan na okrętach podwodnych i lotniskowcach. Wie pan, jak wygląda życie w ciasnocie, pod wielkim ciśnieniem, zarówno w przenośni, jak i dosłownie.

Postarał się o informacje, pomyślał Crane.

- Skończyłeś studia w Mayo Medical School na drugim miejscu na roku. Dzięki służbie na okrętach podwodnych jesteś znakomicie przygotowany do leczenia tej choroby...

- Zatem naprawdę macie problemy medyczne.

- Oczywiście. Stacja została ukończona dwa miesiące temu, a prace wykopaliskowe toczą się pełną parą. W ostatnich dniach u kilku mieszkańców *Głębokiego Sztormu* pojawiły się dziwne objawy.

- Choroba kesonowa? Narkoza azotowa?

- Raczej to pierwsze niż drugie. Ograniczmy się jednak do stwierdzenia, że jako lekarz i były oficer marynarki wojennej jesteś wyjątkowo dobrze przygotowany do leczenia tej choroby.

- Jak długo miałbym tu pracować?

- Tak długo, aż zdiagnozujesz i rozwiążesz problem. Przypuszczam, że to potrwa jakieś dwa, trzy tygodnie. Gdybyś nawet jednak natychmiast znalazł magiczne lekarstwo, pozostaniesz na stacji co najmniej sześć dni. Nie chcę teraz wchodzić w szczegóły, ale z uwagi na ogromne ciśnienie na takiej głębokości opracowaliśmy szczególny proces aklimatyzacji. Jego zaletą jest to, że w porównaniu z wcześniej stosowanymi metodami ogromnie ułatwia pracę na dużej głębokości, ale ma też istotną wadę: procedura zejścia na stację i powrotu na powierzchnię trwa dość długo. Jak łatwo możesz sobie wyobrazić, nie należy się z tym śpieszyć.

- Rzeczywiście, mogę to sobie wyobrazić. - Crane widział w życiu wiele zgonów z powodu choroby dekompresyjnej.

- To na razie już chyba wszystko. Oczywiście, chciałbym tylko jeszcze raz przypomnieć, że niezależnie od tego, jaką podejmiesz decyzję, nie wolno ci nikomu mówić o tej wizycie i treści naszej rozmowy.

Crane pokiwał głową. Wiedział, że Asher nie może mu więcej powiedzieć, ale ten brak informacji go irytował. Miał poświęcić kilka tygodni życia na wykonanie zlecenia, o którym prawie nic nie wiedział.

Nie wiązało go jednak z ziemią nic, co mogłoby uniemożliwić mu spędzenie kilku tygodni na stacji. Niedawno się rozwiódł, nie miał dzieci i jeszcze nie podjął decyzji, którą ofertę pracy przyjmie. Niewątpliwie Asher również to wszystko wiedział.

Niewyobrażalnie ważne odkrycie. Wykopaliska archeologiczne zupełnie inne niż wszystkie. Mimo tajemnicy - a może z tego właśnie powodu - Crane czuł, jak jego serce przyspiesza na samą myśl o takiej przygodzie. Zdał sobie sprawę, że nieświadomie już podjął decyzję.

- Dobrze zatem. - Asher uśmiechnął się. - Skoro nie masz więcej pytań, przerwę połączenie i dam ci trochę czasu do namysłu.

- To nie jest konieczne - odrzekł Crane. - Nie muszę się namyślać, czy wziąć udział w tworzeniu historii. Proszę wskazać mi drogę.

- Prosto w dół. - Asher uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Prosto w dół, Peter.

W batysferze czuć było zapach oleju, wilgoci i potu. Crane natychmiast przypomniał sobie lata spędzone na drażnieniu delfinów.

Usiadł, położył torby na sąsiednim fotelu i przyjrzał się iluminatorowi. Okno otaczał metalowy pierścień z licznymi stalowymi śrubami na obwodzie. Zmarszczył brwi. Miał głęboko zaszczepiony szacunek do grubego kadłuba ze stali lub tytanu, a ten iluminator wydawał mu się całkowicie zbędnym luksusem.

Oficer widocznie zauważył jego spojrzenie, bo uśmiechnął się szeroko.

- Niech się pan nie martwi - uspokoił go. - To specjalny materiał kompozytowy, wbudowany w konstrukcję kadłuba. Przeszliśmy długą drogę od czasów kwarcowych okien z *Trieste*.

- Nie sądziłem, że to tak dobrze po mnie widać. - Crane zaśmiał się.

- W ten sposób odróżniam wojskowych od cywilów. Pan pływał na okrętach podwodnych, tak?

Crane spojrzał na niego.

- Nazywam się Richardson - przedstawił się młody oficer.

Crane kiwnął głową. Richardson miał naszywki bosmanmata pierwszej klasy, a odznaka powyżej wskazywała, że służył na stanowisku specjalisty do spraw operacji.

- Dwa lata służyłem na podwodnym okręcie raketowym - powiedział. - Potem jeszcze dwa na kutrze torpedowym.

- Rozumiem.

Usłyszeli nad głowami zgrzyt metalu. Crane domyślił się, że usunięto trap. Gdzieś spomiędzy instrumentów rozległ się głos radia.

- Echo Tango Fokstrot, możesz schodzić. Richardson chwycił mikrofon.

- Constant Jeden, tu Echo Tango Fokstrot. Tak jest.

3

Peter Crane spędził prawie cztery lata na okrętach podwodnych, ale nigdy jeszcze nie miał miejsca przy oknie.

Kilka godzin zeszło mu na platformie. Najpierw przeszedł długie badania medyczne i psychologiczne, a potem czekał beczynnie w bibliotece, aż zapadną ciemności utrudniające niepowołanym obserwacje. W końcu zaprowadzono go na pomost pod platformą, gdzie czekał zacumowany batyskaf marynarki wojennej. Fale były o betonowe nabrzeże, a trap prowadzący do wjazdu był wyposażony w dodatkowe poręcze linowe. Crane przeszedł do niewielkiego kiosku batyskafu, a stamtąd zszedł po śliskiej, mokrej metalowej drabinie do środka. W końcu przecisnął się przez właz ciśnieniowy do niewielkiej batysfery. Przy tablicy ze wskaźnikami i urządzeniami sterowniczymi stał już bardzo młody oficer.

- Proszę, niech pan siada, doktorze Crane - powiedział.

Nad głową usłyszał trzask zamykanego wjazdu. Potem jeszcze jeden. W całym batyskafie rozległo się głucho echo.

Crane rozejrzał się po kabinie. Poza pustymi fotelami - trzema rzędami po dwa - wszędzie widać było zegary kontrolne, rury i instrumenty pomiarowe. Wyjątek stanowił wąski, ale bardzo mocny właz na przeciwległej ścianie.

Zasyczało powietrze. Śruba batyskafu zaczęła mieć wodę. Przez chwilę łódź podwodna kiwała się na falach. Już po chwili syk powietrza ustał, a zamiast tego słychać było, jak woda wlewa się do zbiorników balastowych. Batyskaf natychmiast się ustabilizował. Richardson pochylił się nad tablicą rozdzielczą i włączył zewnętrzne światła. Za oknem zamiast ciemności widać było teraz burzę białych bąbli.

- Constant Jeden, tu Echo Tango Fokstrot. Rozpocząłem zanurzenie.

- Na jakiej głębokości znajduje się stacja? - spytał Crane.

- Nieco ponad trzy tysiące siedemset metrów.

Na zewnątrz burza bąbli już się kończyła. Crane wpatrywał się w zieloną wodę, usiłując dostrzec ryby, ale zauważył tylko jakieś niewyraźne, srebrne kształty przesuwane się tuż za kręgiem światła.

Teraz, gdy już zobowiązał się do udziału w tym przedsięwzięciu, coraz bardziej dręczyła go ciekawość. Chciał przestać o tym myśleć, dlatego zaczął rozmowę z Richardsonem.

- Jak często odbywa pan taką podróż?

- Początkowo, podczas budowy i rozruchu stacji, schodziliśmy na dno pięć, sześć razy dziennie. Za każdym razem kabina była pełna. Teraz, gdy wszystko już działa normalnie, bywa, że między kolejnymi zanurzeniami mija kilka tygodni.

- No, ale przecież musi pan zanurzać się po ludzi, którzy wracają na powierzchnię?

- Nikt jeszcze nie wrócił.

- Nikt? - Crane był bardzo zdziwiony.

- Nikt, proszę pana.

Crane znowu wyjrzał przez okno. Batyskaf szybko się zanurzał i zielonkawa woda stawała się coraz ciemniejsza.

- Jak wygląda stacja w środku? - spytał.

- W środku? - powtórzył Richardson.

- Tak, wewnątrz.

- Nigdy tam nie byłem. Crane znowu spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Ja jestem tylko taksówkarzem. Proces aklimatyzacji trwa zbyt długo, żebym mógł zwiedzać stację. Podobno przystosowanie się do pobytu na głębokości trwa dzień, a przygotowania do powrotu trzy dni.

Crane pokiwał głową i obrócił się w stronę okna. Woda ściemniała jeszcze bardziej, widać było tylko pasma jakiejś drobnoziarnistej materii. Zanurzali się z coraz większą szybkością. Crane ziewnął, żeby wyrównać ciśnienie w uszach. Miał za sobą więcej alarmowych zanurzeń, niż powinno na niego przypaść, a każdy taki incydent był raczej denerwujący: oficerowie i członkowie stali nieruchomo z ponurymi twarzami, wsłuchując się w skrzypienie kadłuba. Natomiast batyskaf zanurzał się niemal w idealnej ciszy - słychać było tylko cichy syk powietrza i szmer wentylatorów w urządzeniach elektrycznych.

Teraz za iluminatorem było już zupełnie czarno. Crane spojrzał w dół, w atramentową głębinę poniżej batysfery. Gdzieś w dole znajdowała się ultranowoczesna stacja podwodna i jeszcze coś innego, nieznanego, czekającego na niego pod warstwą piasku na dnie oceanu.

Jak na sygnał, Richardson sięgnął po coś, co leżało obok jego fotela. Podał mu niebieską kopertę.

- Doktor Asher polecił, żeby to panu przekazał. Powiedział, że dzięki temu będzie pan miał o czym myśleć podczas zanurzania.

Koperta była starannie zabezpieczona i opatrzona licznymi stemplami: POUFNE. DO RĄK WŁASNYCH. MATERIAŁ ZASTRZEŻONY I ŚCIŚLE TAJNY. W jednym rogu znajdowała się pieczęć państwowa i wydrukowane małymi literami ponure ostrzeżenia dla wszystkich, którzy odważyliby się naruszyć reguły tajności.

Crane obrócił w rękach kopertę. Teraz, gdy nadeszła długo wyczekiwana chwila, czuł perwersyjną niechęć do otwarcia koperty. Wahał się kilka sekund, wreszcie przełamał pieczęcie i otworzył kopertę.

Na kolana wypadły mu laminowana kartka i niewielka broszura - schematyczny plan dużej instalacji wojskowej, być może okrętu, z legendą *POZIOM 10 - POMIESZCZENIA ZAŁOGI (NIŻSZE)*. Crane przez chwilę przyglądał się temu planowi, po czym odłożył i skupił się na broszurze.

Na okładce wydrukowano tytuł *Kodeks tajnego postępowania w operacjach morskich*. Crane przeczcił kilka stron, pośpiesznie przeglądając różne paragrafy i artykuły oraz wyliczone w punktach przestępstwa. Po chwili zatrzasnął broszurę. Czy według Ashera to miał być żart? Zajrzał do koperty, zamierzając odłożyć ją na bok, ale zauważył, że w środku jest jeszcze jedna kartka. Wyciągnął ją, rozłożył i zaczął czytać. Od razu poczuł w końcach palców dziwne mrowienie, które w miarę jak czytał, rozchodziło się wzdłuż kończyn, ogarniając całe ciało:

FRAGMENTY

Ref No. SBO-10230a

Streszczenie: Atlantyda

I. Pierwszy znany opis II. Zdarzenia, które spowodowały pochłonięcie przez morze (hipoteza) III.

Data pochłonięcia: 9500 r. p.n.e.

Źródło: Platon, *Timajos*

Księgi opowiadają, jak wasze miasto zniszczyło kiedyś wielką armię, która do pewnego czasu najeżdżała nie tylko Europę, lecz także Azję, wyruszając od Oceanu Atlantyckiego. W owym czasie bowiem można było żeglować po tym morzu. Potęga owa posiadała wyspę przed cieśniną, która się nazywała u was Kolumnami Heraklesa. Wyspa ta była większa od Libii i Azji razem wziętych. Podróżni owych czasów mogli się dostać z tej

wyspy na wyspy inne, a z nich na cały kontynent przeciwległy, który się rozciągał dokoła tego prawdziwego morza...

W następnym okresie pojawiły się trzęsienia ziemi oraz powodzie; w ciągu jednego dnia i jednej strasznej nocy cała wasza armia w jednym momencie zapadła się naraz pod ziemię. Podobnie znikła także wyspa Atlantyda, pochłonięta przez morze*.* Platon, *Timajos*, 25 a-c.
przekład P. Siwek.

KONIEC FRAGMENTU

Na kartce był tylko ten krótki cytat z Platona. Wystarczył.

Crane powoli położył dokument na kolanach. Gapił się w iluminator, ale nic nie widział. Był to powitalny sygnał Ashera - telegraficzna informacja, co właściwie znaleziono cztery kilometry pod powierzchnią oceanu.

Atlantyda.

Niewiarygodne, ale wszystkie fragmenty układanki dobrze do siebie pasowały: tajemnica, technika, nawet wydatki. Była to największa tajemnica w historii świata: kwitnąca cywilizacja Atlantydy została zniszczona w wyniku gigantycznego kataklizmu. Miasto na dnie morza. Kim byli jego mieszkańcy? Jakie mieli tajemnice? Jaka katastrofa mogła spowodować taką zagładę?

Crane siedział bez ruchu na fotelu, czekając, aż minie pierwsza fala podniecenia, ale nie mógł się uspokoić. A może to tylko sen - pomyślał. Za kilka minut zabrzęczy budzik, a on obudzi się i rozpocznie się kolejny duszny, upalny dzień w North Miami. Wszystko wyparuje, a on powróci do męczących starań o jakieś stanowisko naukowe. Z pewnością jest to właściwe wyjaśnienie tego, co przeżywał. Przecież to niemożliwe, żeby naprawdę zmierzał do starożytnego, zaginionego miasta i miał wziąć udział w najważniejszych wykopaliskach archeologicznych wszech czasów.

- Doktorze?

Głos Richardsona wyrwał go z zadumy.

- Zbliżamy się do stacji.

- Tak szybko?

- Tak, proszę pana. Crane wyjrzał przez iluminator. Na głębokości prawie czterech kilometrów panowały gęste ciemności, których nie mogły przebić zewnętrzne reflektory batyskafu. Crane dostrzegł jednak słabą poświatę, docierającą - wbrew logice z dołu, nie zaś z góry. Przynurzył się bliżej iluminatora i spojrzął w dół, wstrzymując oddech.

Trzydzieści metrów poniżej dostrzegł zarys wielkiej metalowej kopuły, osadzonej na dnie. Mniej więcej w połowie wysokości widać było okrągły otwór tunelu o średnicy dwóch

metrów, podobnego do leja. Poza tym powierzchnia kopuły była zupełnie gładka. Crane nie dostrzegł żadnych znaków. Kopuła wznosiła się nad piaszczystym dnem jak gigantyczna korona z marmuru. Po przeciwnej stronie kopuły, obok wyjścia ewakuacyjnego, unosił się zacumowany batyskaf, podobny do tego, którym Crane przybył do stacji. Na szczycie widać było niewielki zagajnik detektorów i urządzeń łącznościowych otaczających pękaty obiekt podobny do odwróconej filiżanki. Na całej powierzchni kopuły można było zauważyć tysiące maleńkich świateł, migających w zmiennych prądach niczym drogocenne klejnoty.

Pod kopułą kryła się stacja *Głęboki Sztorm* - miasteczko będące cudem najnowszej techniki. A gdzieś pod nim leżała nieznana i pełna obietnic Atlantyda.

Crane uświadomił sobie, że gapi się i uśmiecha jak idiota. Spojrzał na Richardsona. Bosmanmat przyglądał mu się z uśmiechem.

- Witamy na pokładzie, proszę pana - powiedział.

4

Kevin Lindengood opracował cały plan z pedantyczną starannością. Zdawał sobie sprawę, że ta gra może okazać się niebezpieczna - nawet bardzo - ale kluczem do sukcesu były odpowiednie przygotowania i zachowanie kontroli nad jej przebiegiem. Dobrze się przygotował i w pełni panował nad sytuacją. Nie miał o co się martwić.

Lindengood pochylił się nad maską swego starego taurusa. Obserwował samochody pędzące Biscayne Boulevard. Zaparkował na stacji benzynowej przy jednej z najbardziej ruchliwych tras w Miami. Trudno byłoby znaleźć bardziej publiczne miejsce, a dopóki tu przebywał, był bezpieczny.

Lindengood stał koło kompresora. Trzymał w ręku wąż i udawał, że sprawdza ciśnienie w kołach. Było gorąco, ze trzydzieści parę stopni, ale jemu to nie przeszkadzało. Na platformie naftowej *Król Sztormu* było tyle śniegu i lodu, że starczyło mu tego na całe życie. Hicks i jego przekłety iPod, pyszałkowaty Wherry... Lindengood za żadne skarby nie wróciłby do takiego życia. Jeśli dziś dobrze rozegra swoje karty, nie będzie musiał.

Gdy wyprostował się po sprawdzeniu powietrza w prawym przednim kole, na stację wjechał czarny porsche. Kierowca zaparkował kilka metrów od niego, obok sklepu. Lindengood czuł jednocześnie podniecenie i strach. Przyglądał się, jak jego kontakt wysiada z samochodu. Mężczyzna miał na sobie bezrękawnik i kąpielówki, tak jak tego zażądał Lindengood. Nie miał żadnej możliwości ukrycia broni.

Spojrzał na zegarek: była siódma. Kontakt przybył dokładnie o wyznaczonej godzinie. Przygotowania i kontrola.

Teraz kierowca porsche podszedł do niego. Podczas poprzednich spotkań przedstawił się jako Wallace, ale nie podał nazwiska. Lindengood przypuszczał, że to imię również było pseudonimem. Wallace był szczupły, ale dobrze umięśniony, jak pływak. Nosił okulary w rogowej oprawie i lekko kulał, tak jakby miał jedną nogę krótszą. Lindengood nigdy wcześniej nie widział go w bezrękawniku. Był zaskoczony bladością jego skóry. Niewątpliwie był to facet, który spędzał większość czasu przy komputerze lub telefonie.

- Dostał pan wiadomość ode mnie - powiedział, gdy Wallace zbliżył się do niego.

- Tak. O co chodzi?

- Wygodniej nam będzie rozmawiać w samochodzie - zaproponował Lindengood.

Wallace przez chwilę się zastanawiał, ale potem wzruszył ramionami i usiadł na miejscu dla pasażera.

Lindengood obszedł samochód i usiadł za kierownicą. Zostawił drzwi szeroko otwarte. Wciąż trzymał w ręku wąż pompy, tak jakby się nim bawił. Nie przypuszczał, żeby Wallace spróbował wyciąć jakiś numer - nie tutaj, w miejscu publicznym. Nie wyglądał zresztą na człowieka skłonnego do używania siły, ale Lindengood wolał nie ryzykować. W razie czego mógł użyć węża jak pałki. Raz jeszcze powtórzył sobie w myślach, że to nie będzie konieczne. Załatwi interes i zniknie. Wallace nie wiedział, gdzie on mieszkał, a Lindengood oczywiście nie zamierzał mu powiedzieć.

- Zapłacono panu i to dobrze - powiedział spokojnie Wallace. - Pana rola w tej sprawie jest już zakończona.

- Wiem - odpowiedział Lindengood. Starał się mówić zdecydowanie i z pewnością siebie. - Jednak teraz, gdy wiem już nieco więcej o waszej, hm, operacji, sądzę, że dostałem za mało.

- Nic pan nie wie o żadnej operacji.

- Wiem, że to, co robicie, nie jest całkiem koszerne. Pamięta pan, że to ja pana znalazłem?

Wallace nie odpowiedział. Patrzył na niego z obojętną, niemal pogodną miną. Na zewnątrz automatycznie włączył się kompresor, żeby wyrównać ciśnienie w zbiorniku.

- Byłem jednym z ostatnich członków załogi, którzy opuścili *Króla Sztormu* - ciągnął Lindengood. - To było tydzień po tym, jak dobiliśmy targu i przekazałem panu ostatnie dane. Na platformie zaroilo się od ludzi z agencji rządowych, uczonych. Skłoniło mnie to do myślenia. Działo się coś naprawdę poważnego. Znacznie poważniejszego, niż wcześniej myślałem. Zatem fakt, że zainteresował się pan tym, co miałem do sprzedania, oznaczał, że reprezentuje pan ludzi mających wielkie zasoby. No i grube portfele.

- Do czego pan zmierza? Lindengood oblizwał wargi.

- Chcę powiedzieć, że pewni przedstawiciele władz bardzo chcieliby dowiedzieć się o pańskim zainteresowaniu *Królem Sztormu*.

- Grozi nam pan? - spytał Wallace. Jego spokojny głos zabrzmiał dziwnie jedwabście.

- Nie chcę używać tego słowa. Powiedzmy, że chcę dopłaty do rachunku. Niewątpliwie pierwotna kwota nie była wystarczająca. Przecież to ja pierwszy zaobserwowałem anomalie i zameldowałem o niej. Czy to się nie liczy? Przekazałem panu informacje: wszystkie wyniki pomiarów, dane z triangulacji, telemetrię z sond głębinowych. Wszystko. Jestem jedyną osobą, która mogła to zrobić - tylko ja widziałem dane i nawiązałem kontakt. Nikt o tym nie wie.

- Nikt nie wie - powtórzył Wallace.

- Gdyby nie ja, nawet nie wiedzielibyście o tym projekcie. Nie mielibyście swoich - jak to nazwać? - aktywów na miejscu.

Wallace zdjął okulary i zaczął je wycierać bezrękawnikiem.

- O jakiej kwocie pan myśli?

- Myślałem o pięćdziesięciu tysiącach.

- Weźmie pan pieniądze i zniknie na zawsze, tak? Lindengood pokiwał głową.

- Nigdy już o mnie nie usłyszycie.

Wallace przez chwilę rozważał jego propozycję. Nadal wycierał okulary.

- Potrzebuję jednego lub dwóch dni, żeby zebrać taką sumę. Będziemy musieli spotkać się jeszcze raz.

- Proszę bardzo, za dwa dni - zgodził się Lindengood. - Możemy umówić się tutaj, o tej samej...

Nie skończył zdania. Prawa pięść Wallace'a, z wyciągniętymi dwoma palcami - środkowym i wskazującym - wystrzeliła do przodu z szybkością atakującego węża. Wallace trafił go w splot słoneczny. Lindengood poczuł w środku potworny ból. Otworzył usta, ale nie wydał żadnego dźwięku. Przycisnął dłonie do żeber, pochylił się do przodu i usiłował odetchnąć. Teraz Wallace chwycił go za włosy i pociągnął w bok, brutalnie zmuszając do położenia się w poprzek fotela z wykręconą głową. Lindengood patrzył szeroko otwartymi z bólu oczami, jak Wallace rozgląda się, czy nikt ich nie obserwuje. Nie miał już okularów. Wciąż trzymając go za włosy, przymknął drzwiczki kierowcy. Gdy ponownie usiadł, Lindengood zauważył, że w drugim ręku trzyma wąż kompresora.

- Przyjacielu, stałeś się zbyt ciężkim balastem - powiedział Wallace.

Lindengood odzyskał już głos, ale nim zdążył krzyknąć, Wallace wepchnął mu do gardła dyszę pompy.

Lindengood prawie zwymiotował, ale mimo to gwałtownie się szarpnął. Nie bacząc na ból wrywanych włosów, wyprostował się na fotelu. Wallace znowu chwycił go za włosy i ściągnął w dół, po czym szybkim, brutalnym ruchem wepchnął mu dyszę do tchawicy.

Lindengood czuł, jak krew zalewa mu gardło i usta. Zacharczał. W tym momencie Wallace nacisnął dźwignię pompy i z dyszy wystrzeliło skompresowane powietrze. Lindengood poczuł jak w jego piersiach eksploduje niewyobrażalny ból.

5

Głos wydobywający się z głośnika był piskliwy, tak jakby osoba po drugiej stronie nałykała się helu.

- Jeszcze pięć minut, doktorze Crane i będzie pan mógł przejść przez służę powietrzną C.

- Dzięki Bogu. - Peter Crane spuścił nogi z metalowej ławki, na której drzemał. Przeciągnął się i spojrzął na zegarek. Była czwarta rano, ale podejrzewał, że jeśli stacja przypomina okręt podwodny, to pojęcia dnia i nocy mają tu niewielkie znaczenie.

Minęło sześć godzin, od kiedy opuścił batyskaf, ostrożnie przekroczył podwójną ścianę kopuły i znalazł się w labiryncie śluz powietrznych, tworzących kompleks dekompresyjny. Od tej pory niecierpliwie czekał na zakończenie niezwyklej procedury aklimatyzacji. Technika ta bardzo go zainteresowała jako lekarza: nie miał pojęcia, jaką zastosowano tu metodę. Asher powiedział mu tylko, że nowy system bardzo ułatwia pracę na dużej głębokości. Może zatem zmienili skład atmosfery: zmniejszyli stężenie azotu i dodali jakiegoś egzotycznego gazu. Niewątpliwie był to ważny wynalazek, z pewnością znajdujący się na liście tajnych rozwiązań, przez które całe to przedsięwzięcie realizowano w głębokiej tajemnicy.

Co dwie godziny ten sam piskliwy głos polecał mu przejść przez służę do następnego pomieszczenia. Wszystkie były takie same: duży, sześcienny pokój podobny do sauny, z pryzami przy ścianach. Różniły się tylko kolorem. Pierwsza była szara, druga bladoniebieska, trzecia - co dość niespodziewane - czerwona. Po przeczytaniu krótkiego opracowania na temat Atlantydy, czekającego na niego w pierwszej komorze, Crane spędził resztę czasu, drzemiąc, kartkując grubą antologię poezji, którą wziął ze sobą, i rozmyślając. Długo leżał na prycy, wpatrując się w metalowy sufit - z prawie czterokilometrową warstwą wody nad głową.

Crane zastanawiał się, jaki kataklizm mógł spowodować, że miasto Atlantyda pograżyło się w oceanie. Kim byli twórcy tej cywilizacji? Nie mogli to być Grecy, Fenicjanie lub Minojczycy, ani inne ludy, o których wspominali historycy. Z opracowania jasno wynikało, że nikt nic nie wiedział o cywilizacji Atlantydy. Wprawdzie Crane był zaskoczony tym, że miasto leżało tak daleko na północy, ale autor opracowania twierdził, że nawet w oryginalnych źródłach jego położenie jest bardzo niejasno określone. Sam Platon praktycznie nic nie wiedział o Atlantydzie i jej mieszkańcach. Być może - pomyślał Crane - z tego powodu tak długo pozostawała w ukryciu.

Mijały godziny, ale Crane nie mógł się pozbyć uczucia, że zdarzyło mu się coś niewiarygodnego. To był jakiś cud. Nie dziwiło go, że wszystko działo się tak szybko, że projekt był tak niezwykle ważny - ale dlaczego wybrali jego?! Nie podkreślał tego w rozmowie z Asherem, ale wciąż nie rozumiał, dlaczego potrzebowali akurat jego usług. Przecież nie był specjalistą w dziedzinie hematologii lub chorób układu krążenia. Dzięki służbie na okrętach podwodnych jesteś znakomicie przygotowany do leczenia tej choroby. To prawda, dobrze się znał na chorobach nękających ludzi pracujących pod wodą, ale takich lekarzy było wielu.

Przeciągnął się jeszcze raz i wzruszył ramionami. Wkrótce się dowie, co o tym zadecydowało. Poza tym nie miało to w istocie znaczenia. Po prostu sprzyjał mu los, dzięki czemu tu się znalazł. Ciekawe - pomyślał - jakie dziwne i wspaniałe artefakty już wydobyto, jakie poznano tajemnice.

Rozległ się głośny, metaliczny dźwięk - to otworzył się właz w przeciwległej ścianie.

- Proszę przejść przez służę do korytarza - poinstruował go głos.

Crane wykonał polecenie. Znalazł się teraz w słabo oświetlonym, cylindrycznym przejściu długości mniej więcej siedmiu metrów. Na końcu widać było drugi właz. Zatrzymał się, czekając, aż właz się otworzy. Zamiast tego z głośnym dzwonieniem zatrzasnęła się śluza za nim. Crane usłyszał syk powietrza i ciśnienie w cylindrze gwałtownie opadło. Zabolały go uszy. Wreszcie otworzył się przedni właz i do cylindra wpadło żółte światło. We włazie stał jakiś człowiek otoczony świetlnym halo. Wyciągnął do niego rękę w powitalnym geście. Crane przeszedł z cylindra do następnego pomieszczenia. Teraz rozpoznał opaloną i uśmiechniętą twarz Howarda Ashera.

- Doktor Crane! - powitał go Asher i podał mu rękę. - Witam na stacji!

- Dziękuję - odpowiedział Crane. - Mam jednak wrażenie, że przybyłem tu już dość dawno.

Asher zachichotał.

- Mieliśmy zamiar zainstalować odtwarzacze DVD w komorach dekompresyjnych, żeby uprzyjemnić ludziom aklimatyzację - powiedział. - Teraz jednak, gdy cały personel jest już na stacji, wydaje się bez to sensu. Nie przewidywaliśmy żadnych wizyt. Czy zainteresowała cię lektura?- To niewiarygodne. Czy naprawdę odkryliście... Asher przerwał mu, podnosząc do ust palec i mrugając porozumiewawczo.

- Owszem, znaleźliśmy. Rzeczywistość jest bardziej niewiarygodna, niż można to sobie wyobrazić. Jednak po kolei. Najpierw pokażę ci twoją kwaterę. Masz za sobą długą podróż i nie wątpię, że chciałbyś się odświeżyć.

Crane pozwolił Asherowi wziąć jedną torbę.

- Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o procesie aklimatyzacji.

- Tak, oczywiście, oczywiście. Tędy, Peter. Czy już ci pytałem, czy mogę ci mówić po imieniu? - Asher znowu się uśmiechnął i prowadził go dalej.

Crane rozglądał się z zaciekawieniem dokoła. Byli w kwadratowym, niskim westybulu, z przyciemnionymi szybami w przeciwległych ścianach. Za jednym oknem siedzieli dwaj: technicy przy pulpitych sterowniczych. Gapili się na niego. Jeden z nich zasalutował.

Od końca westybulu odchodził biały korytarz prowadzący na górny poziom stacji. Asher już szedł korytarzem z torbą Petera na ramieniu. Crane pośpieszył za nim. Korytarz był wąski - oczywiście - ale bynajmniej nie tak ciasny, jak tego oczekiwał. Również światło było dla niego niespodzianką: ciepłe, takie jakie dają zwykle żarówki, nie zaś ostre i białe, jak na okrętach podwodnych oświetlanych jarzeniówkami. Kolejnym zaskoczeniem była atmosfera - ciepła i przyjemnie wilgotna. W powietrzu unosił się jakiś zapach, którego Crane nie rozpoznał: jakiś metaliczny, miedziany. Zastanawiał się, czy miało to jakiś związek z zastosowaną tu techniką regulacji składu atmosfery.

Po drodze minęli kilka zamkniętych drzwi, tak samo białych jak ściany korytarza. Na niektórych wisiały tabliczki z nazwiskami, na innych skrótowe nazwy, na przykład ELEK ROC i SUBSTAT II. Gdy przechodzili, jakiś pracownik - młody chłopak w jednoczęściowym kombinezonie - otworzył akurat drzwi. Kiwnął głową Asherowi, spojrzął z zaciekawieniem na Crane'a, po czym wyminął ich, kierując się do westybulu. Crane zerknął do pokoju. Zobaczył metalowe rusztowanie zastawione serwerami i niezliczone kable łączące poszczególne urządzenia.

Drzwi zatrzasnęły się automatycznie. Crane zdał sobie sprawę, że wcale nie są białe. Drzwi i ściany wykonano z jakiegoś niezwyklego kompozytu, który przyjmował kolor

otoczenia - w tym wypadku światła w korytarzu. Dostrzegł swoje widmowe odbicie w drzwiach o metalicznym odcieniu platyny.

- Co to za materiał? - spytał.

- Nowy stop. Lekki, obojętny chemicznie i niezwykle wytrzymały.

Doszli do skrzyżowania. Asher skręcił w lewo. Podczas rozmowy przez telewizję kablową, Crane założył, że główny uczonej Krajowej Służby Oceanicznej ma prawie siedemdziesiąt lat, ale niewątpliwie Asher był dobre dziesięć lat młodszy. Zmarszczki, które Crane uznał za oznakę starości, były skutkiem wielu lat pracy na morzu. Asher szedł szybko i niósł ciężką torbę Crane'a tak, jakby nic nie ważyła. Choć wydawał się zupełnie zdrowy, lewą rękę trzymał przyciśniętą do boku.

- Górne poziomy stacji to prawdziwy labirynt biur i sypialni - powiedział. - Początkowo łatwo tu zabłądzić. Jeśli będziesz miał kłopoty, na każdym większym skrzyżowaniu wisi plan.

Crane chciał jak najszybciej dowiedzieć się czegoś o problemach medycznych i samych wykopaliskach, ale pozostawił Asherowi ustalenie kolejności.

- Opowiedz mi o stacji - poprosił.

- Ma dwanaście pięter, a długość boku u podstawy wynosi dokładnie sto osiemdziesiąt metrów. Fundamenty są osadzone w dnie oceanu. Stacja jest nakryta kopułą z tytanu.

- Widziałem kopułę podczas zanurzenia. To prawdziwy cud techniki.

- Zgadza się z tobą. Stacja siedzi pod kopułą jak ziarnko fasoli w strączku. Przestrzeń między stacją a kopułą jest całkowicie hermetyczna. Licząc kopułę i kadłub stacji, między nami a oceanem są dwie ściany z metalu. I to nie byle jakiego: zewnętrzne ściany są wykonane z HY dwieście pięćdziesiąt, nowej stali używanej w konstrukcjach lotniczych, o odporności na pęknięcie trzech tysięcy metrów razy kilogram i granicy plastyczności rzędu trzystu KSI.

- Zauważyłem, że powierzchnię kopuły przebija rura - powiedział Crane. - Do czego służy?

- Masz pewnie na myśli szprychy ciśnieniowe. Są dwie, po obu stronach kopuły. Z uwagi na ciśnienie na tak dużej głębokości, najkorzystniej byłoby, gdyby kopuła miała kształt idealnej kuli. W rzeczywistości kopuła ma kształt półkuli, a te dwie rury - z otwartymi końcami - pomagają zrównoważyć ciśnienie oraz łączą stację z kopułą. Niewątpliwie geniusze od techniki z poziomu siódmego mogliby ci podać więcej szczegółów.

Drugi korytarz był bardzo podobny do pierwszego: pod sufitem ciągnęły się liczne kable i rury, a na drzwiach wisiały tabliczki z tajemniczymi skrótami.

- Zauważyłem również zamocowany na szczycie kopuły dziwny obiekt w kształcie filizanki, średnicy około dziesięciu metrów - powiedział Crane.

- Och, tak. To kapsuła ewakuacyjna. Na wypadek gdyby ktoś nagle wyciągnął bezpiecznik - odpowiedział ze śmiechem Asher. Miał zaraźliwy śmiech.

- Przepraszam, ale muszę o to spytać. Ta kopuła wokół nas nie jest mikroskopijnym obiektem. Z pewnością inne państwa zainteresowały się już tym, co tu robimy?

- Naturalnie. Prowadzimy kampanię dezinfonnującą, jakoby zatoneła tu tajna podwodna łódź badawcza. Wszyscy myślą, że próbujemy ją wydobyć. Rzecz jasna, mimo to od czasu do czasu przepływają w pobliżu rosyjskie i chińskie okręty podwodne, co bardzo denerwuje naszych wojskowych.

Minęli drzwi wyposażone w skaner siatkówki. Wejścia strzegli dwaj żołnierze piechoty morskiej z karabinami automatycznymi. Asher nie wyjaśnił, co jest w środku, a Crane wolał nie pytać.

- Jesteśmy teraz na dwunastym poziomie - kontynuował Asher. - Tu działają głównie służby pomocnicze, pracujące na rzecz całej stacji. Poziomy jedenasty i dwunasty to kwatery załogi, jest tu również kompleks sportowy. Nawiasem mówiąc, masz pokój na dziesiątym poziomie. Dzielisz łazienkę z Rogerem Corbettem, specjalistą od zdrowia psychicznego. Prawie wszyscy mieszkają w pokojach ze wspólnymi łazienkami. Jak możesz sobie wyobrazić, miejsce jest tu bardzo cenne. Mamy już pełną załogę; ty stanowisz nieprzewidziane uzupełnienie.

Asher zatrzymał się przed windą i nacisnął guzik.

- Na dziewiątym poziomie znajdują się różne urządzenia socjalne. Również klinika, gdzie będziesz pracował. Na ósmym poziomie są biura administracji i pracownie uczonych.

Rozległ się cichy dzwonek i otworzyły się drzwi windy. Asher zaprosił Crane'a gestem, po czym również wszedł do kabiny.

Winda była zbudowana z tego samego dziwnego materiału co korytarz. Na panelu znajdowało się sześć nieoznaczonych guzików. Asher nacisnął trzeci od góry i winda ruszyła w dół.

- O czym mówiłem? Aha, na poziomie siódmym są najróżniejsze laboratoria badawcze i ośrodek komputerowy.

- Trudno w to wszystko uwierzyć. - Crane pokręcił głową.

Asher rozpromienił się, zupełnie jakby stacja była jego; własnością, nie rządu.

- Pomiąłem setki rzeczy, które odkryjesz sam. Są trzy mesy, mamy kucharzy wyspecjalizowanych w *haute cuisirim*. Kilka pokoi wypoczynkowych, kwatery dla ponad

trzystu: osób. W zasadzie, Peter, stacja stanowi niewielkie miasteczko ukryte na głębokości czterech kilometrów przed oczami ciekawskich.

- „W nieprzejrzonej głębi oceanu” - zacytował Crane. Asher spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- To Andrew Marvell, zgadłem?

- *Bermudy* - potwierdził Crane.

- Nie mów mi, że czytujesz poezję.

- Od czasu do czasu. Nabrałem tego zwyczaju podczas wolnego czasu na okrętach podwodnych. To moja ukryta słabość.

- Peter, już cię lubię - zapewnił go Asher z szerokim uśmiechem na opalonej twarzy.

Winda znowu zadzwoniła i otworzyły się drzwi. Mieli przed sobą korytarz, znacznie szerszy i bardziej zatłoczony niż poprzedni. Crane był zaskoczony luksusowym wystrojem pomieszczeń załogi. Na podłodze leżała elegancka wykładzina, a na ścianach pokrytych tapetą wisiały oprawione obrazy olejne. Całość przypominała hol drogiego hotelu. Na korytarzu było sporo osób w mundurach i fartuchach laboratoryjnych. Wszyscy nosili identyfikatory przypięte do kieszeni koszuli lub kołnierza. Pracownicy z ożywieniem rozmawiali.

- Tak, stacja to prawdziwy cud techniki - zauważył Asher. - Mamy szczęście, że możemy z niej korzystać. W każdym razie jesteśmy na dziesiątym poziomie. Masz jakieś pytania, nim zaprowadzę cię do twojego pokoju?

- Tylko jedno. Wcześniej powiedziałaś, że stacja liczy dwanaście poziomów, ale opisałaś tylko sześć. W windzie też jest tylko sześć guzików - Crane wskazał panel. - Co z pozostałymi poziomami?

- Ach! - Asher się zawahał. - Dolne sześć poziomów to tajna strefa.

- Tajna?

Asher kiwnął głową.

- Ale dlaczego? Co się tam dzieje?

- Przykro mi, Peter. Chciałbym ci powiedzieć, ale nie mogę.

- Nie rozumiem. Dlaczego nie?

Asher nie odpowiedział, tylko jeszcze raz przebiegle się uśmiechnął, po części z ubolewaniem, po części jak konspirator.

Jeśli pomieszczenia mieszkalne na stacji przypominały Crane'owi luksusowy hotel, to dziewiąty poziom kojarzył się raczej ze statkiem wycieczkowym.

Asher dał mu godzinę na wzięcie prysznic i rozpakowanie rzeczy, po czym pojawił się, żeby zaprowadzić go do kliniki.

- Pora już, żebyś poznał współwięźniów - zażartował. Po drodze oprowadził go po poziomie dziewiątym, zwanymi oficjalnie „poziomem socjalnym”.

Określenie to niezbyt jednak pasowało do tego, co Crane; tam zobaczył. Po drodze minęli salę kinowo-teatralną liczącą sto miejsc i dobrze zaopatrzoną bibliotekę. Chwilę później doszli do ruchliwego skrzyżowania. Słychać było muzykę dochodzącą z niewielkiej kawiarni z kilkoma stolikami na; chodniku. Na przeciwległym rogu Crane zauważył pizzerię.: Obok znajdowała się oaza roślin otoczona parkowymi ławkami. Wszystko było oczywiście zminiaturyzowane, dostosowane do ograniczonej przestrzeni na stacji, ale urządzone tak zręcznie, że nie wywoływało poczucia klaustrofobii i ciasnoty.

- Poziom dziewiąty ma wyjątkowy rozkład - powiedział Asher. - Jest zbudowany na planie krzyża, utworzonego przez dwa główne korytarze. Załoga nazywa skrzyżowanie Times Square.

Crane gwizdnął.

- Wspaniale - powiedział.

- Tam dalej jest centrum multimedialne, pralnia i konsumy. - Asher wskazał wystawę sklepu, który przypominał bardziej wytworny dom towarowy niż sklep przyzakładowy.

Crane przypatrywał się niewielkim grupkom pracowników: gawędzili, pili kawę przy stolikach, czytali książki, pisali na laptopach. Zauważył kilku w mundurach, ale większość miała na sobie cywilne ubrania lub fartuchy laboratoryjne. Pokręcił głową. Trudno było uwierzyć, że mają nad głowami cztery kilometry oceanu.

- Nie mogę uwierzyć, że wojsko zbudowało coś takiego - powiedział.

- Bardzo wątpię, czy projektanci pierwotnie myśleli o takiej właśnie stacji - przyznał Asher z uśmiechem. - Musisz jednak pamiętać, że realizacja tego przedsięwzięcia potrwa wiele miesięcy, może nawet lat. Opuszczenie stacji jest wykluczone, poza wyjątkowymi sytuacjami. W przeciwieństwie do ciebie większość członków załogi nie ma doświadczenia w życiu pod wodą. Nasi uczeni nie są przyzwyczajeni do życia w stalowym pudle bez drzwi i okien. Robimy zatem wszystko, co tylko możliwe, żeby życie na stacji było znośne.

Crane poczuł dochodzący z kawiarni zapach świeżo zmielonej kawy i pomyślał, że chyba jakoś tu wytrzyma.

Na ścianie obok parku wisiał wielki, płaski ekran plazmowy rozmiarów trzy metry na dwa. Przed nim ustawiono kilka ławek. Crane przyjrzał mu się uważniej. W rzeczywistości był to układ kilku ekranów, na którym wyświetlano jeden obraz z ciemnej głębi oceanu. Co chwila na ekranie pokazywały się niesamowite stworzenia: dziwnie ubarwione węgorze, ogromne meduzy, ryba w kształcie balonu ze światełkiem na jednej macce nad głową. Crane rozpoznał kilka gatunków, choćby topornika ciernistego czy żmijowca zwyczajnego.

- Czy to obraz z zewnątrz? - spytał.

- Tak, z kamery na zewnątrz kopuły. - Asher machnął ręką, wskazując niewielki plac.

- Wielu pracowników tutaj spędza wolny czas. Czytają w bibliotece, oglądają filmy interaktywne w centrum multimedialnym. Dużą popularnością cieszy się również klub sportowy na dziesiątym poziomie. Przypomnij mi, żebyś mi go pokazał. Teraz musimy cię zakolczykować.

- Zakolczykować?

- Oznaczyć cię za pomocą etykiety RFID.

- Identyfikacja radiowa? Czy to konieczne?

- Niestety, tak. Na stacji obowiązują bardzo ścisłe reguły bezpieczeństwa.

- Czy to będzie bolało? - spytał Crane, tylko częściowo żartując. Asher się zaśmiał.

- Etykieta ma wielkość ziarenka ryżu - wyjaśnił. - Wszczepia się ją pod skórę. Chodźmy do kliniki. Michelle i Roger już czekają. Tędy, na końcu korytarza. - Asher wskazał prawą ręką szeroki korytarz. Na samym końcu, za kawiarnią, sklepem i innymi lokalami, Crane dostrzegł dwuskrzydłowe drzwi z mlecznego szkła z namalowanym czerwonym krzyżem.

Crane znowu zwrócił uwagę, że Asher trzyma lewą rękę sztywno przyciśniętą do boku.

- Masz jakieś problemy z ręką? - spytał, gdy szli korytarzem.

- Niedokrwienie kończyny górnej - pogodnie odpowiedział Asher.

- Bardzo boli? - Crane zmarszczył brwi.

- Nie, nie. Po prostu muszę trochę uważać.

- Tak przypuszczam. Jak długo już chorujesz?

- Nieco ponad rok. Doktor Bishop zapisała mi warfarynę - Regularnie ćwiczę. Mamy tu kort do squasha. - Asher szedł szybko w kierunku kliniki. Najwyraźniej chciał zmienić temat. Crane pomyślał, że gdyby Asher nie był głównym uczonym, z powodu takiej choroby zostałby na lądzie.

Klinika była urządzona podobnie jak inne pomieszczenia na stacji: projektant postarał się maksymalnie wykorzystać przestrzeń, tak jednak żeby wnętrza nie wydawały się ciasne. W odróżnieniu od większości szpitali oświetlenie było pośrednie i łagodne, a z trudnych do zlokalizowania głośników dobiegała muzyka klasyczna. Asher poprowadził go przez poczekalnię. Po drodze ukłonił się recepcjonistce.

- Podobnie jak cała stacja klinika jest wyposażona we wszystkie najnowocześniejsze urządzenia - powiedział. Poprowadził Crane'a przez kartotekę. Szli korytarzem wyłożonym wykładziną dywanową. - Oprócz lekarza, mamy cztery pielęgniarki, trzech stażystów, diagnostę, dietetyka i dwóch laborantów. Nowoczesny oddział ratowniczy, aparaturę do wszelkich możliwych badań, od prostego rentgena do tomografii komputerowej całego ciała. Plus laboratorium na siódmym poziomie.

- Ile łóżek?

- Czterdzieści osiem, z możliwością podwojenia w razie konieczności. Miejmy nadzieję, że nigdy do tego nie dojdzie, bo inaczej niczego nie zrobimy. - Asher zatrzymał się przed drzwiami z tabliczką SALA KONFERENCYJNA B. - Jesteśmy na miejscu.

Sala konferencyjna była niewielka i jeszcze słabiej oświetlona niż poczekalnia. Na jednej ścianie wisiał duży ekran do wideokonferencji, na pozostałych typowe akwarele - pejzaże ziemskie i morskie. Najwięcej miejsca w pokoju zajmował duży, okrągły stół, przy którym, daleko od drzwi, siedziały teraz dwie osoby - mężczyzna i kobieta. Pod białymi fartuchami oboje mieli cywilne ubranie.

Gdy Crane wszedł, mężczyzna wstał z krzesła.

- Roger Corbett - przedstawił się. Pochylił się nad stołem, żeby podać mu rękę. Był niski, miał rzadziejące włosy mysiego koloru i wodniste, niebieskie oczy. Nosił niewielką bródkę, modną wśród psychiatrów.

- To pan zajmuję się zdrowiem psychicznym załogi, tak? - powiedział Crane, ściskając jego dłoń. - Jestem pana sąsiadem.

- Tak słyszałem. - Jak na tak niewysokiego człowieka Corbett miał zaskakująco niski głos. Mówił powoli i z rozwagą, jakby ważył każde słowo. Nosił okrągłe okulary w cienkiej srebrnej oprawce.

- Przykro mi, że zaburzam panu domowy spokój.

- Nie ma problemu. Mam nadzieję, że pan nie chrapie.

- Nie mogę tego zagwarantować. Proszę lepiej zamykać drzwi.

Corbett się zaśmiał.

- To doktor Michele Bishop - powiedział Asher, wskazując kobietę, która nadal siedziała przy stole. - Doktor,; Bishop, doktor Peter Crane.

- Miło mi pana poznać - powiedziała doktor Bishop.

- Mnie również.

Młoda lekarka, w przeciwieństwie do Corbetta, była wysoka i szczupła. Miała ciemnoblonde włosy i intensywny wyraz oczu. Wydawała się przystojna, choć nie była filmową pięknoscią. Crane założył, że to ona była naczelnym lekarzem na stacji. Interesujące - pomyślał - że nie uznała za stosowne ani wstać, ani podać mi ręki.

- Proszę, doktorze Crane, niech pan siada - zaprosił go Corbett.

- Proszę mi mówić Peter.

Asher uśmiechnął się do nich jak dumny ojciec.

- Peter, zostawię cię teraz pod troskliwą opieką tych dwojga - Wprowadzą cię w sytuację. Michele, Roger, wpadnę do was później. - Asher mrugnął do nich, kiwnął głową i wyszedł na korytarz, zamykając za sobą drzwi.

- Napijesz się czegoś, Peter? - spytał Corbett.

- Nie, dziękuję.

- Może coś przekąsisz?

- Nie, naprawdę nie jestem głodny. Im szybciej zajmiemy się tym problemem medycznym, tym lepiej. Corbett i Bishop wymienili spojrzenia.

- W istocie, doktorze Crane, to nie jest problem - powiedziała Bishop. - To raczej problemy.

- Naprawdę? No cóż, chyba nie jestem zdziwiony. Jeśli mamy do czynienia z jakąś odmianą choroby kesonowej, to musimy pamiętać, że często przejawia się w różny sposób.

Chorobę tę nazwano tak, ponieważ po raz pierwszy zaobserwowano ją w połowie XIX wieku wśród robotników pracujących w atmosferze o podwyższonym ciśnieniu w kesonach podczas budowy filarów mostu Brooklyńskiego nad nowojorską East River. Gdy robotnicy zbyt szybko wychodzili z kesonu, gdzie panowało wysokie ciśnienie, w ich układzie krwionośnym powstawały pęcherzyki azotu. Powodowało to między innymi bardzo silny ból kończyn. Aby uśmierzyć ból, chorzy wyginaли się w pół. Nazywano to greckim wygięciem, a chorobę „krzywikiem”. Z uwagi na głębokość i charakter prac wykopaliskowych, Crane był przekonany, że chodzi właśnie o jakąś odmianę choroby kesonowej.

- Zakładam, że macie tu hiperbaryczną komorę tlenową lub inne urządzenie dekompresyjne i wykorzystaliście je w terapii, czy tak? - spytał. - Gdy skończymy rozmowę, chciałbym porozmawiać z pacjentami, jeśli nie macie nic przeciwko.

- Doktorze, wydaje mi się, że posuniemy się naprzód znacznie szybciej, jeśli pozwoli mi pan przedstawić objawy, zamiast wdawać się w spekulacje - rzekła Bishop ostrym tonem.

Jej cierpka wypowiedź zaskoczyła Crane'a. Spojrzał na nią zdziwiony i niepewny, dlaczego tak gwałtownie zareagowała

- Przepraszam, jeśli zachowałem się zbyt gorliwie lub arogancko. Mam za sobą długą podróż i jestem bardzo zaciekawiony tym problemem. Proszę, niech pani mówi.

- Zauważyliśmy pierwsze oznaki chorobowe dwa tygo dni temu. Początkowo wyglądało to na problem natury psychicznej, nie fizjologicznej. Roger, jako miejscowy psycho log, zwrócił uwagę na wyraźny wzrost liczby wizyt.

- Na co skarżyli się pacjenci? - spytał Crane, patrząc na Corbetta.

- Niektórzy narzekali na bezsenność - odezwał się psycholog. - Inni mówili o depresji, kłopotach z jedzeniem. Najwięcej osób skarżyło się na trudności z koncentracją.

- Kilka dni później pojawiły się objawy fizjologiczne - dodała Bishop. - Zaparcia, mdłości, objawy wegetatywne.

- Przypuszczam, że ludzie pracują tu w nadgodzinach - powiedział Crane. - Nie jestem zdziwiony, że czują się zmęczeni.

- Inni narzekali na tiki mięśniowe i skurcze.

- Tylko tiki? - spytał Crane. - Nie towarzyszył im ból. Bishop rzuciła mu karcące spojrzenie, jakby chciała powiedzieć: Gdyby czuli ból, to chyba bym o tym wspomniała nieprawdaż?

- To nie wygląda na chorobę kesonową - powiedział Crane. - W każdym razie ja nie spotkałem się jeszcze z takimi objawami. Nie widzę jednak powodu do szczególnego niepokoju. Problemy z koncentracją, zaparcia, mdłości... to nie są specyficzne objawy. Może są związane ze stresem spowodowanym przepracowaniem. Przecież ci ludzie pracują w niezwykle warunkach i wykonują niezwykle zadanie.

- Jeszcze nie skończyłam - rzekła Bishop. - W ciągu ostatniego tygodnia pojawiły się poważniejsze problemy. Trzy przypadki zaburzeń rytmu u pacjentów, którzy nigdy nie mieli problemów z sercem. Kobieta z obustronnym osłabieniem mięśni rąk i twarzy. Dwaj pacjenci z czymś, co wygląda na przemijające ataki niedokrwienne.

- TIA? - zdziwił się Crane. - Jak rozległe?

- Częściowe porażenia, mowa zamazana. W obu przypadkach zaburzenia trwały poniżej dwóch godzin.

- W jakim wieku byli chorzy?

- Jeden przed trzydziestką, drugi tuż po.

- Naprawdę? - Crane zmarszczył brwi. - Udar w tak młodym wieku? I to dwa przypadki. Zrobiliście badania neurologiczne?

- Doktorze Crane, proszę o odrobinę profesjonalnego szacunku. Oczywiście, wykonaliśmy wszystkie badania neurologiczne. Tomografię mózgu bez kontrastu, EKG dla wykluczenia ewentualnej przyczyny zatorowości, co pan chce. Nie mamy na stacji EEG, ale jak pan z pewnością wie, encefalografie wykonuje się głównie w przypadkach drgawek i śpiączki. W każdym razie tu była zbyteczna. Wszystkie wyniki nie odbiegały od normy.

W jej głosie znowu słychać było ostry ton. Terytorialna jednostka - pomyślał Crane. - To jej teren i nie podoba się jej, że na niego wchodzę.

- Nawet jeśli tak - powiedział - to i tak jest to pierwszy objaw choroby dekompresyjnej, o jakim dzisiaj usłyszałem.

- Choroba dekompresyjna? - spytał Corbett, mrugając.

- Choroba kesonowa. Bishop ciężko westchnęła.

- Moim zdaniem choroba kesonowa to jedna z możliwości, którą możemy spokojnie wykluczyć - oznajmiła.

- Dlaczego? Zakładałem... - Crane nie skończył zdania. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że w istocie Asher wcale mu jasno nie powiedział, na czym polega problem. To on, z uwagi na charakter stacji *Głęboki Sztorm*, sam założył, że chodzi o chorobę kesonową. Najwyraźniej zbyt szybko przyjął takie założenie.

- Przepraszam - powiedział wolniej. - Chyba nie rozumiem, dlaczego właściwie mnie tu wezwaliście.

- To Howard Asher chciał pana wezwać - odparła Bishop. Po raz pierwszy się uśmiechnęła.

W sali konferencyjnej przez chwilę panowała cisza.

- Czy udało się wam wyróżnić jakieś wspólne cechy wszystkich przypadków? - spytał wreszcie Crane. - Czy wszyscy chorzy pracują na tym samym poziomie lub w tym samym dziale?

- Mamy pacjentów ze wszystkich poziomów i wszystkich działów. - Bishop pokręciła głową.

- Zatem nie ma ani wspólnego wektora, ani wspólnego objawu. To wygląda na zbieg okoliczności. Ilu w sumie mieliście pacjentów?

- Roger i ja policzyliśmy to, gdy czekaliśmy na pana. Bishop wyciągnęła z fartucha kartkę. - Stacja działa już od prawie pięciu miesięcy. Licząc razem pacjentów z dolegliwościami somatycznymi i psychicznymi, mieliśmy średnio dwunastu, piętnastu

pacjentów tygodniowo. W przeszłości nie zdarzyło się nic poważniejszego niż paciorkowce. Natomiast od kiedy zaczęły się te problemy, przyjęliśmy sto trzy osoby.

- Stu trzech pacjentów? - Crane był zszokowany. - Boże, to...

- Ponad jedna czwarta populacji, doktorze Crane. O wiele za dużo, żeby mógł to być zbieg okoliczności.

Bishop schowała kartkę do kieszeni. Wyglądała niemal tak jakby to był jej triumf.

7

Crane stał w swoim cichym pokoju na poziomie dziesiątym i z namysłem pocierał brodę. Pokój był niewielki i jak wszystkie pomieszczenia na stacji delikatnie oświetlony. Miał wąskie łóżko, dwa krzesła, garderobę i biurko z terminalem podłączonym do sieci stacji. Obok biurka był zamontowany w ścianie telefon - mógł stąd zadzwonić do kliniki, zarezerwować miejsce w kręgielni, a nawet zamówić pizzę z Times Square. Na jasnoniebieskich ścianach wisiał tylko duży, płaski ekran telewizyjny; nie było żadnych obrazów lub innych ozdób.

W pokoju było dwoje drzwi, zrobionych z tego samego dziwnego materiału o odcieniu platyny, jaki widział gdzie indziej, ale tutaj ujęto je w gustowne ramy z jasnego drewna. Jedne prowadziły na korytarz, a drugie do łazienki, którą dzielił z Rogerem Corbettem. Psycholog zaprosił go na lunch do mesy na poziomie jedenastym, nazwanej prozaicznie Szczytem. Crane umówił się z nim w mesie. Najpierw chciał być kilka minut sam.

Na biurku leżała duża, zaklejona koperta z jego nazwiskiem oraz kodem kreskowym. Crane przeciął paznokciem taśmę kojącą i wysypał zawartość koperty na biurko. W środku był spory identyfikator z jego nazwiskiem, paskiem magnetyce, nym i spinaczem do przyczepiania do kieszeni, pendrive na smyczy, jeszcze jeden egzemplarz *Kodeksu tajnego postępowania w operacjach morskich*, dwustronicowa bibliografia na temat Atlantydy - książki mógł przeczytać w bibliotece lub ściągnąć przez sieć, oraz koperta z tymczasowymi hasłami dostępu do sieci komputerowych, ogólnej i medycznej.

Crane zawiesił smycz na szyi, przyczepił identyfikator, po czym usiadł przy biurku i przez chwilę wpatrywał się w pusty ekran. W końcu ciężko westchnął, włączył terminal i wpisał tymczasowe hasło. Na moment przerwał, żeby rozmasować miejsce na ramieniu, gdzie wszczepiono mu radiową etykietę. Otworzył edytor i zaczął pisać.

Niespecyficzne objawy:

Fizjologiczne & neurologiczne? - deficyty

Psychologiczne - apatia/dysocjacja

Sprawdzić objawy kliniczne

Możliwe główne przyczyny?

Czynniki atmosferyczne/środowiskowe?

Zatrucie: układowe lub ogólne?

Wcześniejsze schorzenia?

Crane odsunął się od biurka i spojrzał na ekran. „Choroba kesonowa? Narkoza azotowa?” - spytał Ashera, gdy jeszcze był na górze. „Raczej to pierwsze niż drugie”, odparł Asher. Dopiero teraz Crane w pełni sobie uświadomił, jak wymijające to były odpowiedzi. W istocie doktor Asher - choć wydawał się taki serdeczny i otwarty - do tej pory praktycznie nie udzielił mu niemal żadnych informacji.

Było to irytujące, a nawet dość niepokojące. Pod jednym względem nie miało jednak znaczenia. Teraz wreszcie Crane zaczął rozumieć, dlaczego Asher chciał wezwać właśnie jego-

Czy to wszystko staje się już jasne? - usłyszał za sobą czyjś głos.

Zaskoczony Crane niemal podskoczył na krześle. Jego serce wyraźnie przyśpieszyło. Gdy się obrócił, zobaczył przed sobą zaskakującą postać. W pokoju stał starszy mężczyzna w wyblakłym kombinezonie. Miał przenikliwe, niebieskie oczy i długie, siwe włosy, zaczesane do góry - wyglądał jak Einstein. Był bardzo niski - miał nie więcej niż metr pięćdziesiąt - i chudy. Crane pomyślał, że może przyszedł coś naprawić. Drzwi do łazienki były zamknięte. Nikt nie zapukał, nie słychać było, jak wchodził. Zupełnie tak, jakby nagle się zmaterializował w jego pokoju.

- Przepraszam?

Mężczyzna spojrzał na ekran ponad jego ramieniem.

- No, no. Tak mało słów, tak wiele znaków zapytania. Crane jednym dotknięciem klawisza wyłączył ekran.

- Nie sądzę, bym miał przyjemność pana poznać - powiedział oschle.

Mężczyzna się zaśmiał. Miał piskliwy, wysoki śmiech, jak szczebiot ptaka.

- Wiem. Przyszedłem, żeby pana poznać. Słyszałem, że na pokładzie pojawił się doktor Crane i to mnie zaintrygowało. - Wyciągnął rękę. - Nazywam się Flyte.

- Miło mi pana poznać.

Zapadła niezręczna cisza. Crane zastanawiał się nad jakimś uprzejmym, neutralnym pytaniem.

- Czym się pan tutaj zajmuje, doktorze Flyte?

- Autonomicznymi systemami mechanicznymi.

- Co to takiego?

- Pytanie godne nowego przybysza. Stacja przypomina miasto na Dzikim Zachodzie. Gdyby był pan entuzjastą westernów tak jak ja, wiedziałby pan, że w takim mieście nie zadaje się dwóch pytań: skąd pochodzisz? i co tu robisz? - Flyte na chwilę zamilkł. - Wystarczy, jeśli powiem, że jestem tu niezbędny. To, czym się zajmuję, jest ściśle tajne.

- To chyba przyjemna sytuacja - wyjąkał Crane. Nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Tak pan sądzi? Niestety, nie. To wcale nie jest przyjemne zajęcie, tutaj tak głęboko pod VDUŁ eoc ócdpco.

- Przepraszam? - Crane zamrugął.

- Boże, jeszcze jeden! - Flyte uniósł oczy do nieba. - Czy już nikt nie zna ojczystego języka? Kiedyś wszyscy cywilizowani ludzie znali starożytną grekę. - Pogroził mu palcem. „Okeanos, chociaż od niego pochodzą, jakie są: rzeki i morze”*. To Homer, mój krajan. Nie zaszkodzi panu, jeśli go pan przeczyta. * Homer. *Iliada*, pieśń XXI, przekład K. Jeżewska.

Crane powstrzymał się od spojrzenia na zegarek. Roger Corbett czekał na niego w mesie.

- Cieszę się, że miałem okazję pana poznać...

- A ja pana - przerwał mu Flyte. - Darzę wielkim podziwem wszystkich mistrzów tej szlachetnej sztuki.

Crane zaczął czuć irytację. Zastanawiał się, jak taki człowiek zdołał przejść przez system selekcji pracowników stacji. Miał nadzieję, że nie stanie się on problemem. Najlepiej będzie zerwać od razu wszystkie próby nawiązania bliższych stosunków.

- Doktorze Flyte, jestem pewny, że jest pan bardzo zajęty, podobnie jak ja...

- Wcale nie! Mam mnóstwo czasu! Przynajmniej teraz. Dopiero gdy znowu zaczną wiercić, mogą potrzebować mnie i mojej sztuki. - Flyte podniósł małe dłonie i udał, że gra na fortepianie jak wirtuoz.

Flyte rozejrzał się po pokoju. Spojrzenie jego niebieskich oczu padło ponownie na otwartą torbę.

Co my tu mamy? - powiedział i wyciągnął kilka książek. Pierwsza z brzegu była *Antologia poezji XX wieku*. L - Co to ma być? - spytał niemal klótliwymi tonem.

- A na co to wygląda? - zniecierpliwił się Crane. - To zbiór wierszy.

- Nie mam czasu na czytanie nowoczesnej poezji. Pan również nie powinien marnować na to czasu. Jak powiedziałem, lepiej niech pan przeczyta Homera. - Flyte wrzucił antologię do torby i spojrzał na następną książkę: *Pi: historia i tajemnica*. - Aha! A to co?

- Książka o liczbach niewymiernych.

Flyte znowu roześmiał się piskliwie. Pokiwał głową.

- Doprawdy! Jak to świetnie pasuje!

- Pasuje do czego?

Flyte spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Liczby niewymierne! Nie rozumie pan?

- Nie. Nie rozumiem.

- To oczywiste. Co niewymierne, to nieracjonalne, a pośród nas jest spora liczba nieracjonalnych ludzi. Jeśli jeszcze tak nie jest, to obawiam się, że już wkrótce tak będzie. - Podniósł palec wskazujący i postukał Crane'a w pierś. - To dlatego pan tu jest. Bo to jest skazane na zniszczenie.

- Co jest skazane na zniszczenie? - spytał Crane.

- Wszystko - powtórzył Flyte nagłym szeptem. - Już niedługo zostanie zniszczone.

- Panie Flyte, jeśli pan pozwoli... - Crane zmarszczył brwi.

Flyte uniósł dłoń. Teraz już nie sprawiał wrażenia, że coś go nagli. Znowu popukał Crane'a w pierś palcem wskazującym.

- Jeszcze pan tego nie zauważył, ale coś nas łączy - powiedział i zrobił znaczącą pauzę.

Crane przełknął ślinę. Nie zamierzał spytać, co to takiego, ale Flyte nie potrzebował żadnej zachęty. Pochylił się ku niemu, jakby chciał przekazać tajemnicę.

- Nasze nazwiska. Crane. Flyte*. Rozumie pan? Crane westchnął. * Nieprzetłumaczalna gra słów. Crane - żuraw. Flyte wymawia się jak *flight*, czyli lot.

- Nie chcę pana obrazić, ale muszę poprosić, żeby pan wyszedł. Jestem umówiony na lunch i już się spóźniłem.

Drobny, stary człowieczek przechylił głowę na bok i uściskał dłoń Crane'a.

- Jestem zachwycony, że mogłem pana poznać, doktorze. Jak powiedziałem, mamy coś wspólnego, pan i ja. Musimy trzymać się razem.

Mrugnął porozumiewawczo na pożegnanie i wyszedł, nie zamykając za sobą drzwi. Chwilę później, gdy Crane podszedł, żeby je zamknąć i przy okazji rozejrzał się po korytarzu, nie zobaczył już nikogo. Korytarz był pusty, a dziwny starszy pan zniknął, zupełnie jakby nigdy go tu nie było.

8

Howard Asher siedział za biurkiem w swoim ciasnym gabinecie na ósmym poziomie, wpatrując się intensywnie w ekran komputera. W kolorowym świetle monitora LCD jego siwe włosy wydawały się niebieskie.

Na metalowej biblioteczce pod ścianą stały liczne opracowania techniczne, monografie z dziedziny oceanografii i biologii morskiej oraz kilka sfatygowanych tomów poezji. Nad biblioteczką wisiały oprawione reprodukcje studiów Piranesiego z *Vedute di Roma*. W przeszklonej gablocie leżały różne morskie osobliwości: skamieniała ryba trzonopłetwa, sfatygowany drąg kabestanowy z klipra, ząb rzadkiego rekina z Niebieskiej Groty. Ani skromne rozmiary gabinetu, ani eklektyczna kolekcja nie zdradzały, że był to pokój głównego uczonego Krajowej Służby Oceanicznej.

Mimo zamkniętych drzwi, Asher usłyszał dobiegające z korytarza odgłosy kroków. W szybie w drzwiach pojawiła się piegowata twarz i ruda czupryna Paula Eastona, jednego z kilku geologów biorących udział w tym przedsięwzięciu.

Asher obrócił się na fotelu, wyciągnął rękę i otworzył drzwi.

- Paul! Cieszę się, że cię widzę.

Easton wszedł do gabinetu i zamknął za sobą drzwi.

- Mam nadzieję, że nie przychodzę w nieodpowiedniej chwili, proszę pana.

- Ile razy mam ci powtarzać, Paul, że mam na imię Howard? Tutaj, na stacji, mówimy sobie po imieniu. Nie powtarzaj tylko admirałowi Spartanowi, że coś takiego powiedziałem. - Asher zachichotał ze swego żartu.

Easton się nie uśmiechnął.

Asher przyjrzał mu się uważnie. Normalnie Easton był wesołym kompanem, entuzjastą praktycznych kawałów i bardzo pikantnych limeryków. Teraz jednak marszczył brwi, a na jego młodzieńczej twarzy malowała się nie tylko powaga, lecz także wyraźny niepokój.

Asher wskazał mu ręką wolne krzesło.

- Siadaj, Paul, i mów, co cię gnębi.

Easton usiadł, ale zamiast coś powiedzieć, podniósł rękę i zaczął masować sobie kark.

- Czy coś się stało, synu? - spytał Asher.

- Nie wiem - odparł Easton. - Być może.

Wciąż masował się po karku. Wszyscy, którzy pracowali w tajnej części stacji mieli wszczepione etykiety RFID. Rozmieszczone w całej stacji skanery śledziły ich ruchy i przekazywały dane do centralnego komputera. Asher wiedział, że wszczepienie etykiety spowodowało u kilku osób drobne podrażnienie skóry.

- To sprawa wulkanizmu - rzekł nagle Easton.

- Tak?

- W miejscu zdarzenia. Analizowałem próbki bazaltu z dna, żeby ustalić jego datę.

Asher pokiwał zachęcająco głową.

- Wiesz, jak to jest. - Easton wydawał się zdenerwowany, tak jakby chciał się bronić. - Podwodne prądy w tym rejonie są tak silne, że warstwy osadowe na dnie są zupełnie pomieszane.

- Czy to jest określenie naukowe? - zażartował Asher, starając się rozluźnić atmosferę, ale Easton nie zwrócił na to uwagi.

- Nie ma wyraźnych warstw, uporządkowanej stratyfikacji. Próbkami z odwiertów są właściwie bezużyteczne. Wizualna analiza również nie pozwala na jasne określenie wieku. Nie ma tu takiej erozji atmosferycznej jak na lądzie. Staralem się ustalić datę powstania skał bazaltowych, porównując je ze znanymi próbkami w geologicznej bazie danych, ale nie udało mi się uzyskać dobrej zgodności. Wobec tego postanowiłem spróbować ustalić wiek na podstawie rozpadów promieniotwórczych izotopów w skale.

- Mów dalej.

- No... - Easton wydawał się coraz bardziej zdenerwowany. - Wiesz, jak zawsze w przybliżeniu szacowaliśmy datę zdarzenia... - Przerwał, ale po chwili kontynuował. - W moich testach przyjąłem to samo założenie. Nie sprawdziłem zmiany biegunowości pola magnetycznego.

Teraz Asher zrozumiał, dlaczego Easton tak się denerwował. Zrobił błąd, jakiego żaden uczony nie powinien popełnić: przyjął pewne założenie i z tego powodu pominął podstawowy test, jaki powinien był wykonać. Asher poczuł pewną ulgę. To nieprzyjemny, ambarasujący błąd, ale raczej nie miał krytycznego znaczenia.

Pora zagrać zmartwionego *pater familias*, pomyślał.

- Cieszę się, że mi o tym powiedziałaś, Paul. Zawsze trudno jest się przyznać do postępowania niezgodnego z metodą naukową. Im głupszy błąd, tym bardziej człowiekowi jest głupio. Dobrze natomiast, że ten błąd nie miał poważnych konsekwencji w innych badaniach. Co mogę ci poradzić. Wyciągnij z tego morał, ale nie czuj się załamany.

To bynajmniej nie uspokoiło Eastona.

- Nie, doktorze Asher, pan nie rozumie. Widzi pan, dzisiaj wykonałem ten test. Zmierzyłem namagnesowanie próbek. Nie ma żadnych śladów świadczących o zmianie biegunowości pola magnetycznego.

Asher nagle się wyprostował na fotelu. Po chwili znowu się oparł. Starał się, żeby wyraz jego twarzy nie zdradzał zdumienia.

- Co powiedziałeś?

- Nie ma żadnych dowodów zmiany biegunowości pola magnetycznego w badanych próbkach.

Asher oblizał wargi.

- Jesteś pewny, że próbki były właściwie ustawione?

- Absolutnie.

- Sprawdziłeś, czy to nie jest jakaś anomalia? Może wzięłeś złą próbkę.

- Zmierzyłem namagnesowanie wszystkich próbek. Wyniki są takie same dla wszystkich.

- Przecież to niemożliwe. Pomiar zmiany biegunowości pola magnetycznego jest niezawodną metodą ustalania wieku skał. - Asher powoli wypuścił powietrze z płuc. - To oznacza, że zdarzenie nastąpiło znacznie wcześniej, niż dotychczas myśleliśmy. Nastąpiła dwukrotna zmiana kierunku pola magnetycznego. Z północnego na południowy i z południowego na północny. Jestem pewny, że potwierdzą to pomiary zawartości izotopów promieniotwórczych.

- Nie, proszę pana.

- Co to znaczy, nie? - Asher rzucił mu ostre spojrzenie.

- Już wykonałem pomiary. Zmiany zawartości izotopów wskutek rozpadów są minimalne, prawie niemierzalne.

- To niemożliwe.

- Spędziłem ostatnie cztery godziny w laboratorium radiograficznym. Powtórzyłem pomiary trzy razy. Tutaj są wyniki. - Easton wyciągnął z kieszeni fartucha płytę DVD i położył na biurku Ashera.

Główny uczony popatrzył na płytkę, ale nie wziął jej do ręki.

- Zatem wszystkie nasze wnioski są błędne. Zdarzenie nastąpiło znacznie później, niż przypuszczaliśmy. Czy wyznaczyłeś nową datę na podstawie tych pomiarów?

- Tylko w przybliżeniu, proszę pana.

- I co dostałeś?

- Do zdarzenia doszło w przybliżeniu sześćset lat temu. Asher bardzo wolno odchylił się do tyłu.

- Sześćset lat temu - powtórzył. W gabinecie zapadła cisza.

- Musisz użyć jednego z pojazdów automatycznych - powiedział wreszcie Asher. - Zainstaluj na nim magnetometr. Niech przejedzie kilka razy przez miejsce katastrofy. Zajmiesz się tym?

- Tak, doktorze Asher.

- Bardzo dobrze.

Asher przyglądał się, jak młody geolog wstaje i zmierza do drzwi.

- Jeszcze jedno, Paul - rzekł spokojnie. Easton zatrzymał się i obrócił.

- Zrób to natychmiast, bardzo cię proszę. I nikomu ani słowa. Nikomu.

9

Crane oderwał wzrok od cyfrowego notatnika, w którym pisał plastikowym rysikiem.

- To wszystko? - spytał pacjenta. - Tylko ból w nogach?

Mężczyzna leżący na szpitalnym łóżku kiwnął głową. Choć przykrywało go prześcieradło, widać było, że jest wysoki i dobrze zbudowany. Miał zdrową karnację i czyste oczy.

- W skali od jednego do dziesięciu, jak oceniłby pan ten ból?

Pacjent zastanawiał się przez chwilę.

- To zależy. Jakieś sześć. Czasami więcej.

„Bóle mięśni bez podwyższonej temperatury ciała”, zanotował Crane. Wydawało się niemożliwe - nie, to było niemożliwe - żeby ten człowiek dwa dni wcześniej miał niewielki udar. Był zbyt młody, a poza tym tej diagnozy nie potwierdził żaden test. Zaobserwowano tylko pierwsze objawy: częściowe porażenie, zaburzenia mowy.

- Dziękuję - powiedział Crane, zamykając notatnik. - Dam panu znać, jeśli będziemy mieli jeszcze jakieś pytania.

Klinika na *Głębokim Sztormie* była tak wyposażona, że wiele szpitali mogłoby jej pozazdrościć. Oprócz sali przypadków nagłych była jeszcze sala operacyjna, dwadzieścia parę pokoi dla pacjentów, różne specjalistyczne gabinety - od radiologicznego po kardiologiczny. W oddzielnym kompleksie umiejscowiono pokoje lekarzy i salę konferencyjną. Tutaj znajdował się gabinet przydzielony Crane'owi. Miał również do dyspozycji niewielkie laboratorium.

Ze wszystkich chorych, których opisała doktor Bishop, tylko trzech wymagali hospitalizacji. Crane już przeprowadził wywiady z dwoma - czterdziestodwuletnim mężczyzną mającym mdłości i biegunkę oraz z tym podejrzanym o udar. W istocie, żaden z nich nie musiał przebywać w szpitalu. Niewątpliwie doktor Bishop po prostu wzięła ich na obserwację.

Crane obrócił się do Bishop, która trzymała się wyraźnie z tyłu. Kiwnął głową w kierunku drzwi.

- Nie ma żadnych dowodów, że to TI A - powiedział, gdy wyszli na korytarz.

- Poza początkowymi objawami.
- Zaobserwowała je pani osobiście, tak?
- Tak. Chory niewątpliwie miał przemijający atak niedokrwienny.

Crane zawahał się. Bishop prawie się nie odzywała podczas badania dwóch pacjentów i nietrudno było wyczuć jej wrogie nastawienie. Z pewnością nie byłaby zadowolona z krytyki jej diagnozy. Chciał się zachować możliwie taktownie.

- Te same objawy mogą być spowodowane różnymi przyczynami - zaczął dyplomatycznie.

- Odbyłam staż na oddziale naczyniowym. Widziałam wielu pacjentów mających udar. Potrafię to rozpoznać.

Crane westchnął. Jej nastawienie zaczęło go męczyć. Niewątpliwie nikt nie lubi, gdy ktoś się wtrąca w jego robotę, a z jej punktu widzenia tak właśnie było. W istocie jednak lokalny zespół lekarski przeprowadził tylko powierzchowne badania i traktował każdy przypadek oddzielnie. Crane nabrał przekonania, że dokładniejsze i głębsze badania doprowadzą do wykrycia wspólnych czynników. Wbrew temu, co twierdziła Bishop, wciąż stawiał na chorobę kesonową jako podstawową przyczynę.

- Nie odpowiedziała mi pani wcześniej na pytanie - powiedział. - Czy jest tu komora hiperbaryczna?

Bishop kiwnęła głową.

- Chciałbym, żeby umieścić tego chorego w komorze. Chciałbym sprawdzić, czy pod wysokim ciśnieniem, w atmosferze czystego tlenu, zniknie ból w kończynach.

- Ale...

- Pani doktor, Asher powiedział mi, że na stacji została zastosowana jakaś tajna metoda kontroli składu atmosfery, niesprawdzona w praktyce. Skłania to do przypuszczenia, że choroba kesonowa jest najbardziej prawdopodobną przyczyną.

Bishop nic nie odpowiedziała. Zmarszczyła brwi i odwróciła wzrok.

Crane się zniecierpliwił.

- Jeśli pani się to nie podoba, proszę się nie krępować i porozmawiać z doktorem Asherem - rzekł stanowczo. - On jednak sprowadził mnie tutaj na konsultacje. Teraz proszę umieścić tego pacjenta w komorze hiperbarycznej. - Przerwał, żeby to do niej dotarło. - Czy odwiedzimy trzeciego pacjenta?

Crane zachował na koniec najbardziej interesujący przypadek kobiety z drętwieniem i osłabieniem mięśni rąk i twarzy. Gdy weszli do jej pokoju, nie spała. Łóżko było otoczone najnowocześniejszą aparaturą monitorującą, z której wydobywały się ciche piski. Crane

natychmiast wyczuł różnicę. W żółtawych oczach kobiety dostrzegł niepokój, a jej ciało wydawało się sztywne. Nawet bez żadnych badań wiedział, że to poważny przypadek.

Otworzył elektroniczny notatnik. Na ekranie ciekłokrystalicznym automatycznie pojawiła się historia choroby. Widocznie jest sprzężony z czujnikiem położenia, pomyślał Crane. Spojrzał nad podstawowe dane:

Nazwisko: Philips, Mary E.

Płeć: K

Wiek: 36

Objawy: Dwustronne osłabienie i drętwienie mięśni rąk i twarzy.

Gdy Crane podniósł wzrok, zauważył, że do pokoju wszedł jakiś oficer marynarki. Był wysoki, szczupły i miał niezwykle, wręcz dziwnie blisko osadzone oczy oraz wyraźnego zęza rozbieżnego. Na rękawach widniały naszywki komandora porucznika, a na lewej patce kołnierza złota odznaka Służby Wywiadu. Oparł się o futrynę, z rękami na biodrach i nie odezwał się ani do Bishop, ani do Crane'a.

Crane skupił się na pacjentce, starając się zignorować obecność oficera.

- Mary Philips? - spytał. Automatycznie przybrał neutralny ton głosu, jakiego już od dawna używał w rozmowach z chorymi.

Kobieta kiwnęła głową.

- Nie zabiorę pani dużo czasu - powiedział z uśmiechem. - Jesteśmy tutaj po to, żeby jak najszybciej postawić panią na nogi.

Philips uśmiechnęła się do niego - lekkie skrzywienie ust znikło tak szybko, jak się pojawiło.

- Czy wciąż dolega pani drętwienie rąk i twarzy? Kobieta przytaknęła. Zamrugła i wytarła oczy chusteczką higieniczną. Crane zauważył, że gdy mrugnęła, powieki nie zamknęły się całkowicie.

- Kiedy pani po raz pierwszy zauważyła, że coś jest nie w porządku? - Mniej więcej dziesięć dni temu. - Mówiła z akcentem ze Środkowego Zachodu. - Nie, to raczej dwa tygodnie. Początkowo objawy były tak subtelne, że prawie ich nie zauważałam.

- Czy gdy po raz pierwszy zauważyła pani drętwienie, pracowała pani, czy miała czas wolny?

- Pracowałam.

Crane znowu spojrzął na elektroniczny notatnik.

- Nie ma tu informacji, na jakim stanowisku pani pracuje.

- Dlatego że nie ma to znaczenia, doktorze - wtrącił oficer stojący w drzwiach.

Crane obrócił się w jego stronę.

- Kim pan jest? - spytał.

- Komandor porucznik Korolis - przedstawił się oficer. Mówił cichym, miękkim, niemal lepkim tonem.

- Moim zdaniem, komandorze, informacja o stanowisku jest bardzo istotna.

- Dlaczego? - spytał Korolis.

Crane spojrział na pacjentkę. Philips patrzyła na niego wyraźnie zaniepokojona. Nie miał zamiaru dodatkowo jej; denerwować. Wskazał komandorowi Korolisowi korytarz.

- Staramy się zdiagnozować chorobę - powiedział, gdy chora nie mogła ich już słyszeć. - Gdy postępujemy zgodnie z metodą indukcyjną, szukając cech wspólnych i różnic między poszczególnymi przypadkami, każdy fakt jest istotny. Jest całkiem prawdopodobne, że istotną rolę odgrywa tu środowisko, w jakim pracuje.

- Środowisko nie ma znaczenia. - Korolis pokręcił głową.

- Skąd pan wie?

- Musi mi pan uwierzyć na słowo.

- Przykro mi, ale to nie wystarcza. - Crane chciał wrócić do pokoju chorej.

- Doktorze Crane - powiedział cicho Korolis - Mary philips pracuje w tajnej części stacji, zajmuje się utajnionym aspektem projektu. Nie wolno panu zadawać pytań dotyczących jej pracy.

Crane gwałtownie odwrócił się ku niemu.

- Nie może pan... - zaczął, ale przerwał, z trudem opanowując gniew. Niezależnie od tego, kim był ten facet, niewątpliwie miał tu władzę, a w każdym razie tak uważał. Po co ta tajność - pomyślał - jeśli prowadzili tu badania naukowe?

Crane powstrzymał się od zrobienia awantury. Ostatecznie był tu przecież kimś nowym, nie znał obowiązujących reguł, ani jawnych, ani tajnych. Najprawdopodobniej nie zdołałby wygrać tej bitwy. Postanowił jednak, że porozmawia o tym z Asherem. Tymczasem pozostało mu tylko zbadać pacjentkę i spróbować postawić diagnozę.

Odwrócił się bez słowa i wrócił do pokoju chorej. Doktor Bishop siedziała nadal przy łóżku z wystudiowane neutralnym wyrazem twarzy.

- Przepraszam za przerwę, proszę pani - powiedział. - Wróćmy do badania.

Dokładne badanie internistyczne i neurologiczne zajęło mu piętnaście minut. Stopniowo zapomniawszy o obecności Korolisa i skupił się bez reszty na stanie chorej.

To był intrygujący przypadek. Obustronne osłabienie górnej i dolnej grupy mięśni twarzy było bardzo wyraźne. Podczas badania czucia stwierdził jego znaczące pogorszenie w

obszarze unerwionym przez nerw trójdzielny. Ruchomość szyi była zachowana, ale Crane zauważył osłabienie czucia temperatury skóry karku i górnej części tułowia. Dostrzegł też zaskakująco zaawansowany zanik mięśni rąk. Gdy sprawdził odruchy ścięgnowe, a potem odruchy podeszwowe, zaczął coś podejrzewać. Każdy lekarz marzy o trafieniu na szczególnie rzadką i interesującą chorobę, o jakiej zwykle tylko czyta się w literaturze medycznej. Jak dotychczas wszystkie objawy Mary Philips wskazywały właśnie na coś takiego. Crane, który często do późnej nocy przeglądał pisma medyczne, pomyślał, że być może - tylko być może - ma do czynienia z taką chorobą. Może to właśnie dlatego tu jestem.

Pod wpływem intuicji zbadał migdałki - były wyraźnie powiększone, żółte, płatowate. Bardzo interesujące.

Podziękował chorej za cierpliwość, odsunął się od łóżka, sięgnął po cyfrowy notatnik i spojrzał na wyniki analizy krwi:

Leukocytoza (na mm ³)	3100
Hematokryt (%)	34,6
Liczba płytek (na mm ³)	104 000
Glukoza (mg/dl)	79
Triglicerydy (mg/dl)	119
OB (mm/h)	48,21

Crane wyszedł na korytarz, żeby porozmawiać z doktor Bishop.

- Co pani o tym myśli? - spytał.

- Miałam nadzieję, że to pan mi powie - odpowiedziała. - To pan jest ekspertem.

- Nie jestem ekspertem. Jestem pani kolegą, lekarzem oczekującym pewnej współpracy.

Bishop nic nie odpowiedziała. Crane poczuł, że znowu ogarnia go gniew: gniew z powodu tej niezrozumiałej tajemniczości, gniew na wtrącającego się w nie swoje sprawy komandora Korolisa, gniew na tę nieskorą do pomocy, pełną niechęci doktor Bishop. Utrze jej jeszcze nosa, pokaże, ile naprawdę wie.

Crane zatrzaskał notatnik.

Czy pomyślała pani o wykonaniu testów na obecność przeciwciał, pani doktor?

- Wirusowe zapalenie wątroby typu A i C, immuno-globulina M. Wszystkie dały wyniki negatywne.

- Przewodnictwo ruchowe?

- Normalne po obu stronach.

- Czynniki reumatoidalne?

- Dodatni. Osiemdziesiąt osiem U na milimetr.

Crane zamilkł. W istocie sam zacząłby od przeprowadzenia tych testów.

- Nie ma żadnej historii bólów stawowych, anoreksji lub choroby Raynauda - dodała Bishop z własnej inicjatywy.

Crane spojrzał na nią ze zdziwieniem. To chyba niemożliwe, żeby ona również pomyślała o tej egzotycznej możliwości. A może jednak?

Postanowił sprawdzić jej blef.

- Rozpoczynający się zanik mięśni rąk wydaje się wskazywać na jamistość rdzenia. Potwierdza to osłabienie czucia w górnej części tułowia. Ale nie ma niedowładu spastycznego.

- Jednak nie występuje sztywnienie nóg - odpowiedziała natychmiast. - Co najwyżej minimalne zaburzenia rdzeniowe. To nie jest jamistość rdzenia.

Crane był jeszcze bardziej zaskoczony poziomem jej techniki diagnostycznej. Pora wyłożyć karty na stół, pomyślał.

- A co z zaburzeniami czucia? Neuropatia? Czy zwróciła pani uwagę na migdałki?

Bishop patrzyła na niego z kamienną twarzą.

- Owszem, zwróciłam uwagę na migdałki. Powiększone i żółte.

Zapadła cisza.

Na twarzy Bishop stopniowo pojawił się lekki uśmiech.

- Cóż, doktorze - powiedziała - chyba nie sugeruje pan choroby tangerskiej?

Crane zeszytniał. Po chwili powoli - bardzo wolno - się rozluźnił. Nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

- W istocie, to właśnie chciałem zasugerować - powiedział, jakby się usprawiedliwiając.

- Choroba tangerska. Czyżbyśmy nagle, na tej jednej stacji, mieli do czynienia ze stoma przypadkami bardzo rzadkiej choroby genetycznej? - powiedziała, ale ton jej głosu był nieoczekiwanie łagodny. Crane nie dosłyszał w nim krytyki. Nawet ten uśmiech, pomyślał, mógł być autentyczny.

W tym momencie rozległ się alarm. Ostre, szybkie dźwięki przebiły się przez muzykę klasyczną. Na korytarzu zapaliło się pomarańczowe światło.

Z twarzy Bishop znikł uśmiech.

- Pomarańczowy alarm - powiedziała.

- Co to znaczy?

- Nagły wypadek medyczny lub psychiczny. Chodźmy. - Bishop już biegła do drzwi.

10

Bishop zatrzymała się w recepcji tylko na chwilę, żeby chwycić radio.

- Wezwij Corbetta! - krzyknęła do kobiety za ladą. Wybiegła z kliniki i popędziła korytarzem w kierunku Times Square. Crane biegł za nią.

Nie zatrzymując się, Bishop nacisnęła kilka guzików radia, wprowadzając kod.

- Mówi doktor Bishop, alarm pomarańczowy, proszę podać położenie.

Po chwili usłyszeli odpowiedź.

- Alarm pomarańczowy, piąty poziom, hangar naprawy pojazdów głębinowych.

- Piąty poziom, zrozumiałam - potwierdziła Bishop. Wskoczyli do windy czekającej obok kawiarni. Bishop nacisnęła najniższy guzik - poziom siódmy. Znowu włączyła radio.

- Proszę określić charakter wypadku.

- Kod wypadku pięć-dwadzieścia dwa - odparł operator.

- Co to oznacza? - spytał Crane.

- Psychoza. - Bishop zerknęła na niego.

Drzwi windy się otworzyły. Wyszli na jasno oświetlone skrzyżowanie korytarzy rozchodzących się w trzech kierunkach. Bishop pobiegła środkowym.

- Co ze środkami medycznymi? - spytał Crane.

- Na każdym poziomie jest zestaw ratunkowy. Jeśli to będzie konieczne, skorzystamy z niego.

Crane zwrócił uwagę, że na tym poziomie wszystkie pomieszczenia wydawały się znacznie ciaśniejsze niż na górze. Korytarze były węższe i zastawione różnymi urządzeniami. Mijani ludzie mieli na sobie albo białe fartuchy laboratoryjne, albo kombinezony. Crane przypomniał sobie, że mieszczą się tu laboratoria i ośrodek obliczeniowy. Mimo wentylacji w powietrzu unosił się zapach chemikaliów, ozonu i rozgrzanej aparatury elektronicznej.

Dobiegli do kolejnego skrzyżowania i Bishop skręciła w prawo. Crane zobaczył przed sobą coś zaskakującego: korytarz wyraźnie się rozszerzył, ale drogę zagrażała im czarna, gładka ściana. W samym środku ściany widać było służę powietrzną, nad którą świecił się czerwono duży wyświetlacz diodowy. Wejścia pilnowali czterej żandarmi uzbrojeni w karabiny, a piąty siedział w nowoczesnym bunkrze obok.

- Co to takiego? - spytał Crane, automatycznie zwalniasząc.

- Bariera - odpowiedziała Bishop.

- Przepraszam?

- Przejdźcie do utajnionej części stacji. Gdy się zbliżyli, dwaj żandarmi stanęli w przejściu.

- Czy ma pani zezwolenie na wejście, proszę pani? - spytał jeden z nich.

Bishop podbiegła do bunkra. Piąty żandarm wyszedł na zewnątrz i przejechał po jej karku pokaźnym skanerem. Rozległ się głośny pisk. Żandarm spojrział na niewielki wyświetlacz na skanerze.

- Nie ma pani zezwolenia.

- Jestem Michele Bishop, główny lekarz stacji. Mam ograniczone prawo wstępu na poziomy czwarty, piąty i szósty, proszę sprawdzić jeszcze raz.

Żandarm wrócił do bunkra i wprowadził jej dane do komputera. Po chwili wyszedł.

- Bardzo proszę, może pani przejść. Po drugiej stronie będzie czekał żandarm, żeby panią eskortować.

Bishop podeszła do służy. Crane chciał iść za nią, ale drogę zagrodzili mu żandarmi. Ten ze skanerem podszedł i przyłożył czujnik do jego karku.

- Nie ma etykiety - powiedział.

- Jest lekarzem, przyjechał tutaj na tymczasowy pobyt - wyjaśniła Bishop.

- Nie może pan przejść, proszę pana - rzekł żandarm do Crane'a.

- Towarzyszę doktor Bishop.

- Przykro mi - odparł żandarm twardszym tonem. - Nie może pan przejść.

- Proszę pana, zdarzył się wypadek, potrzebna jest pomoc lekarska...

- Proszę odsunąć się od bariery. - Żandarm z bunkra wymienił szybkie spojrzenia z pozostałymi.

- Nie. Jestem lekarzem i mam obowiązek pomóc w razie wypadku, niezależnie od tego, czy to się wam podoba, czy nie. - Crane zrobił krok w kierunku przejścia.

Żandarmi pilnujący Bishop natychmiast unieśli karabiny, a ten ze skanerem wyciągnął z kabury pistolet.

- Spokojnie, Ferrara! - z ciemnego bunkra rozległ się niski głos. - Wegman, Price, pozostali, spocznij!

Żandarmi opuścili broń tak szybko, jak ją podnieśli. Cofnęli się nieco. Crane zajrzał do bunkra. W rzeczywistości było to wejście do znacznie większego pomieszczenia stanowiącego najwyraźniej sterownię bariery i systemu ochrony. Na ścianach wisiało kilkanaście ekranów, a w ciemnościach migotały niezliczone lampki. W środku ktoś się poruszył, zbliżył do drzwi i wreszcie wyszedł na oświetlony korytarz. Był to mocno

zbudowany, barczysty mężczyzna w białym admirałskim mundurze. Spojrzał na Crane'a, na Bishop i znowu na Crane'a.

- Admirał Spartan - przedstawił się.

- Admirale - zaczął Crane. - Jestem...

- Wiem, kim pan jest. Jest pan człowiekiem Howarda Ashera.

Crane nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć, więc tylko kiwnął głową.

Spartan spojrział na Bishop.

- Wypadek na piątym poziomie, tak?

- Tak, proszę pana. W hangarze pojazdów głębinowych.

- Rozumiem. - Spartan zwrócił się do Ferrary. - Wpuście go jednorazowo w związku z tym wypadkiem. Ma mu towarzyszyć uzbrojona eskorta. Niech idzie trasą, przy której nie ma nic tajnego. Dopilnujcie tego osobiście, Ferrara.

Żandarm wyprostował się na baczność i zasalutował.

- Tak jest, panie admirale.

Spartan przez chwilę przyglądał się Crane'owi, po czym kiwnął głową Bishop i znikł w sterowni.

Ferrara wszedł do bunkra i wpisał na konsoli kilka instrukcji. Rozległ się cichy szmer i wokół drzwi śluzy zapaliły się niewielkie lampki. Wyświetlacz diodowy nad śluzą zmienił kolor z czerwonego na zielony. Brzęknęły ciężkie rygle, syknęło uciekające powietrze i drzwi śluzy się otworzyły. Ferrara powiedział coś do mikrofonu na konsoli i gestem wskazał Bishop i Crane'owi, żeby weszli.

Za śluzą znajdowała się komora o powierzchni około dwóch metrów kwadratowych. W środku stali dwaj żandarmi. Na gołych ścianach w neutralnym kolorze nie było żadnych instrumentów tylko niewielki panel za jednym z żandarmów. Crane zauważył, że panel składał się z czytnika linii papilarnych i rączki pokrytej gumą.

Drzwi śluzy zaniknęły się z głośnym trzaskiem. Żandarm dotknął palcami czytnika, a drugą ręką chwycił za rączkę. Po chwili zapaliła się czerwona lampka. Żandarm przekręcił rączkę zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Crane poczuł skurcz w żołądku, ponieważ nagle zaczęli zjeżdżać. Byli w windzie.

Crane wrócił myślami do admirała Spartana. Podczas służby poznał wielu wysokich stopniem oficerów marynarki. Wszyscy czuli się swobodnie, gdy wydawali rozkazy, byli przyzwyczajeni do tego, że podwładni natychmiast i bez dyskusji wykonują polecenia. W czasie nawet tak krótkiego kontaktu wyczuł jednak, że Spartan różni się od nich. Odznaczał się opanowaniem i pewnością siebie niezwykłą jak na admirała. Crane pomyślał o jego

ostatnim spojrzeniu. W ciemnych oczach admirała kryło się coś, czego nie potrafił odczytać. Miał wrażenie, że nikt nie może przewidzieć, jakie będzie następne posunięcie Spartana.

Winda zatrzymała się bez najmniejszego wstrząsu. Crane zerknął na zegarek. Czekali, aż otworzą się drzwi śluzy. Nawet jeśli jest tu zestaw ratunkowy, niech Bóg się nad nami zlituje, gdy ktoś tu będzie miał zawał, pomyślał. Z tą całą ochroną, skanerami i biurokracją chory umrze, nim przyjdą mu z pomocą.

Znowu rozległ się cichy szmer, zadźwięczały odsuwane rygle. Ktoś otworzył drzwi od zewnątrz. Na dole czekali na nich uzbrojeni żandarmi.

- Doktor Bishop? - spytał jeden z nich. - Doktor Crane?

- To my.

- Jesteśmy tu, żeby odeskortować was do hangaru naprawczego. Proszę za mną.

Ruszyli szybko korytarzem. Dwaj żandarmi z przodu, dwaj za nimi, a na końcu Ferrara, człowiek admirała Spartana. Nonnalnie Crane byłby zirytowany taką eskortą, ale teraz niemal się z tego ucieszył. Ostra psychoza - powiedziała Bishop. Oznaczało to, że chory jest prawdopodobnie całkowicie splątany, ma urojenia, może być nawet agresywny. W takich sytuacjach należy zachować spokój, postarać się nawiązać kontakt. Jeśli jednak nad pacjentem nie można zapanować, najpilniejszym zadaniem jest zdobycie przewagi liczebnej.

Biegli przez kolejne korytarze, szybko mijając laboratoria i urządzenia badawcze. Tajna część stacji na pierwszy rzut oka niewiele różniła się od górnych poziomów. Minęli kilka grup, liczących dwie lub trzy osoby śpieszące w przeciwnym kierunku. W pewnej chwili Crane usłyszał okropny krzyk jakiegoś człowieka. Natychmiast zaschło mu w ustach; miał wrażenie, że krew ścina mu się w żyłach.

Przecisnęli się przez właz i nieoczekiwanie znaleźli się w rozległej hali. Crane zamrugał ze zdziwienia. Zdażył już odzwyczaić się od przestrzeni. Hala wyglądała na warsztat i zakład naprawczy podwodnych robotów - łazików, o których wspomniała Bishop.

Teraz krzyk był znacznie głośniejszy, ostry, bolesny, zawodzący. W pobliżu stało kilku pracowników z poszarzałymi twarzami. Żandarmi zagradzali im drogę. Dalej zobaczyli kordon utworzony przez marynarzy i żandarmów. Niektórzy rozmawiali przez radiotelefony, inni patrzyli w kierunku narzędziowni przy ścianie naprzeciwko. To stamtąd dochodził krzyk.

Bishop ruszyła w tamtym kierunku. Za nią szli Crane i czterej żandarmi. Na ich widok od kordonu odszedł jakiś oficer i wyszedł im na spotkanie.

Doktor Bishop - powiedział, starając się przekrzywić wrzaski. - Jestem porucznik Travers. Tutaj najstarszy rangą oficer.

- Proszę podać szczegóły, poruczniku - rzucił Crane. Travers zerknął na niego, po czym znowu spojrzął na Bishop, która niemal niedostrzegalnie kiwnęła głową.

- To Conrad Waite - powiedział. - Operator maszyn pierwszej klasy.

- Co się stało? - spytał Crane.

- Nikt dokładnie nie wie. Najwyraźniej od dwóch dni Waite był w ponurym nastroju, prawie się nie odzywał, zupełnie inaczej niż zwykle. Dzisiaj, gdy już kończył zmianę, nagle zaczął się wygłupiać.

- Wygłupiać - powtórzyła Bishop.

- Zaczął krzyczeć. Jakieś wariactwo.

Crane spojrzął na kordon i narzędziownię, skąd dobiegł ich krzyk.

- Czy jest wściekły? Ma urojenia?

- Urojenia, owszem. Wściekłość, raczej nie. Sprawiał raczej wrażenie człowieka zrozpaczonego, coś w tym rodzaju. Krzyczał, że chce umrzeć.

- Niech pan mówi dalej.

- Podeszło do niego kilka osób. Próbowali go uspokoić, dowiedzieć się, o co chodzi. Wtedy chwycił jedną kobietę.

Crane uniósł brwi. Cholera, to nie wygląda dobrze.

Dziewięćdziesiąt dziewięć procent kandydatów na samobójców to ludzie, którzy chcą tylko zwrócić na siebie uwagę. Ludzie tną się głównie w tym celu. Gdy jednak ktoś bierze zakładnika, sytuacja nagle się zmienia.

- To jeszcze nie wszystko - mruknął Travers. - Ma kostkę C4 i detonator.

- Co takiego?

Travers ponuro pokiwał głową.

Radio porucznika pisnęło. Uniósł je do ust.

- Tu Travers - powiedział. Słuchał przez chwilę. - Bardzo dobrze. Czekaj na mój sygnał.

- O czym pan mówił?

Travers wskazał na boczną ścianę, gdzie widać było przyciemnione okna sterowni.

- Mamy tam snajpera. Czekaj, aż będzie miał okazję do oddania czystego strzału.

- Nie! - zaprotestował Crane. Odetchnął głęboko. Nie. Chcę z nim najpierw porozmawiać.

Travers zmarszczył brwi.

- Po co nas wezwaliście, jeśli nie w celu rozładowania sytuacji? - spytał Crane.

- Od kiedy was wezwaliśmy, jego stan się pogorszył. Jest coraz bardziej wzburzony. Gdy ogłaszaliśmy alarm, nie wiedzieliśmy jeszcze, że ma C4.

- Czy ten snajper ma go na muszce?

- Z przerwami - odpowiedział Travers po chwili wahania.

- Nie ma zatem powodu, żeby uniemożliwić mi próbę.

- Proszę bardzo - zgodził się Travers po sekundzie namysłu. - Jeśli jednak zagrozi zakładniczce lub spróbuje uzbroić detonator, trzeba go będzie zdjąć.

Crane kiwnął głową w kierunku Bishop i powoli podszedł do kordonu. Spokojnie przecisnął się między żandarmami. Staął.

W odległości około siedmiu metrów, w cieniu narzędziowni, stał mężczyzna w pomarańczowym kombinezonie. Miał czerwone, załzawione oczy, na brodzie widać było ślinę, flegmę i spienioną krew, a na kombinezonie ślady wymiocin. Trucizna? - pomyślał Crane, zachowując dziwny dystans emocjonalny. Nie dostrzegał jednak żadnych oczywistych objawów bólu brzucha, niedowładów czy innych objawów układowych.

Mężczyzna trzymał przed sobą mniej więcej trzydziestoletnią, drobną kobietę z brudnymi blond włosami. Miała sobie taki sam kombinezon. Otaczał ramieniem jej szyję, zmuszając do zadarcia wysoko brody, a jednocześnie przyciskał do jej tętnicy szyjnej długi, cienki śrubokręt. Kobieta mocno zaciskała usta i szeroko otwierała oczy z przerażenia.

W drugiej ręce mężczyzna trzymał szarą kostkę C4 i nieuzbrojony detonator.

Tutaj krzyk był szokująco głośny. Ustawał tylko na chwilę, gdy Waite brał oddech. Charkotał. Crane z trudem skupił myśli.

Nawiąź rozmowę, uczyły podręczniki. Uspokój go, musi się czuć bezpieczny. Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Crane w przeszłości rozmawiał już z potencjalnym skoczkiem, stojącym na linach mostu Jerzego Waszyngtona, kilkoma osobami przyciskającymi pistolet do skroni lub żującymi lufę dubeltówki. Nigdy jeszcze nie rozmawiał z kimś trzymającym w dłoni kostkę plastiku o sile wybuchu dziesięciu granatów.

Wziął głęboki oddech, potem jeszcze jeden. Zrobił krok naprzód.

- Przecież wcale tego nie chcesz - powiedział. Mężczyzna zerknął na niego, po czym odwrócił wzrok.

Wciąż krzyczał.

- Przecież wcale tego nie chcesz - powtórzył głośniejszym głosem Crane.

Tamten spojrzał na niego i zacisnął chwyt, przyciskając śrubokręt do szyi kobiety.

Crane znieruchomiał. Widział, jak kobieta wpatruje się w niego błagalnym wzrokiem. Na jej twarzy malowało się przerażenie. Crane doskonale zdawał sobie sprawę, że stoi w

niebezpiecznym miejscu: między kordonem i krzyczącym mężczyzną, trzymającym zakładniczkę i kostkę C4. Z trudem opanował odruchową chęć wycofania się w bezpieczniejsze miejsce.

Przez chwilę stał nieruchomo, zastanawiając się, co zrobić. Potem - powoli - usiadł na metalowej podłodze. Zdjął jeden but, potem drugi i ustawił je starannie obok. Następnie ściągnął skarpetki i również ułożył je pedantycznie z boku. Odchylił się do tyłu, podpierając rękami.

Gdy to robił, zdał sobie sprawę, że w hangarze zapadła cisza. Krzyki ucichły. Waite patrzył na niego, ale nadal przyciskał śrubokręt do szyi kobiety.

- Nie chcesz tego zrobić - powiedział Crane, spokojnym, zdroworozsądkowym tonem.
- Nie ma problemu, którego nie moglibyśmy rozwiązać. Żaden problem nie jest wystarczającym powodem, żeby robić krzywdę komuś lub sobie samemu. To tylko pogorszy sprawę.

Waite nie odpowiedział. Patrzył na niego szeroko otwartymi oczami i nierówno oddychał.

- Dlaczego to robisz? - spytał Crane. - Czego chcesz? Jak możemy ci pomóc?

Waite jęknął i z trudem przełknął ślinę.

- Zrób coś, żeby to się skończyło.

- Co takiego? - dopytywał się Crane.

- Głosy.

- Jakie głosy?

- No, te - powtórzył Waite. To był częściowo szept, częściowo łkanie. - Te straszne głosy. Głosy... które nigdy nie ustają.

- Porozmawiam z tobą o tych głosach. Możemy... Waite znowu zaczął jęczeć. Jęki szybko stawały się coraz ostrzejsze i głośniejsze. Widać było, że za chwilę znów będzie krzyczał.

Crane szybko szarpnął za kołnierz koszuli. Rozległ się trzask rozdieranego materiału i grzechot guzików na podłodze. Zdjął koszulę i położył ją obok butów.

- Rozwiążemy ten problem - powiedział, wracając do rozmowy. - Skończymy z tymi głosami.

Waite go słuchał. Rozplakał się.

- Mam prośbę: bardzo mnie denerwujesz tym detonatorem.

Waite zapłakał jeszcze głośniej.

- Puść tę kobietę. Musimy walczyć z dźwiękami, nie z nią. Waite głośno zawodził, a z jego oczu lały się strumienie łez. Crane czekał, starannie rozważając, kiedy odezwać się do niego po imieniu. Uznał, że pora.

- Puść ją, Conrad. Puść ją i rzuć materiał wybuchowy. Znajdziemy rozwiązanie. Postaramy się, żeby głosy ustały. Obiecuję ci.

Nagle Waite jakby się załamał. Powoli opuścił śrubokręt. Wypuścił z ręki kostkę C4, która z trzaskiem upadła na podłogę. Kobieta rzuciła się gwałtownie w kierunku kordonu. Jeden z żandarmów szybko jak błyskawica podbiegł do Waite'a, chwycił kostkę i cofnął się do kolegów.

Crane wziął głęboki oddech. Powoli wstał.

- Dziękuję ci, Conrad - powiedział. - Teraz możemy ci pomóc. Teraz możemy pokonać te głosy.

Crane zrobił krok naprzód. Waite od razu się cofnął. Gorączkowo rozglądał się dokoła.

- Nie! - krzyknął. - Nie może pan pokonać tych głosów! Nie rozumie pan? Nikt nie może ich stłumić! - wyrzucił z siebie, po czym z nieoczekiwaną szybkością podniósł rękę ze śrubokrętem.

- Nie rób tego! - krzyknął Crane, skacząc do niego. Już w biegu zauważył z przerażeniem, jak czubek śrubokręta znika w miękkiej szyi Waite'a.

11

Gdy Howard Asher wszedł do sali konferencyjnej na ósmym poziomie, admirał Spartan już tam był. Siedział przy stole, opierając ręce o blat z palisandru. Czekał w milczeniu, aż Asher zamknie za sobą drzwi i usiądzie naprzeciwko.

- Przychodzę prosto z kliniki - powiedział Asher. Spartan kiwnął głową.

- Waite ma głęboką ranę kłutą szyi. Stracił dużo krwi, ale jego stan jest stabilny. Wylize się.

- Chyba nie wezwał mnie pan na nagłą konferencję tylko po to, żeby mi to powiedzieć - odrzekł Spartan.

- Nic. Ale sprawa Waite'a to jedna z przyczyn, które skłoniły mnie do zainicjowania tej rozmowy.

Spartan nic nie odpowiedział, tylko popatrzył na niego swymi ciemnymi, niezgłębionymi oczami. Na chwilę zapadła cisza. Asher czuł, że znowu ogarnia go fala niechęci do admirała, którą tak długo udawało mu się opanować.

Uczeni i wojskowi to dziwni partnerzy. *Głęboki Sztorm* był w najlepszym razie małżeństwem z rozsądkiem, z czego Asher zdawał sobie sprawę. On i jego zespół potrzebowali tej stacji oraz nieograniczonych środków rządowych, żeby w ogóle móc przeprowadzić wykopaliska. Spartan potrzebował uczonych i inżynierów, żeby zaplanować wykopaliska, przeprowadzić je i przeanalizować znaleziska. Ostatnie wydarzenia spowodowały wzrost napięcia w ich i tak już trudnych stosunkach.

Ktoś otworzył drzwi, wszedł i znowu je zamknął. Asher obejrzał się za siebie i ujrzał komandora porucznika Korolisa, który skinął głową i bez słowa usiadł przy stole.

Asher poczuł jeszcze silniejszą niechęć. Jego zdaniem Korolis symbolizował wszystko, co było niewłaściwe w tym przedsięwzięciu: tajemność, dezinformację, propagandę. Waite widocznie zasnął już pod wpływem potężnej dawki środków uspokajających, bo inaczej Korolis siedziałby przy nim i pilnował, żeby ani słowo na temat zdarzeń z poziomu siódmego nie dotarło do niepowołanych uszu.

- Słucham, doktorze Asher - powiedział Spartan. Asher odkaszlnął.

- Waite to ostatni i najpoważniejszy z całej serii problemów medycznych i psychicznych. W ciągu ostatnich dwóch tygodni na stacji nastąpił alarmujący wzrost liczby zachorowań wśród wszystkich pracowników.

- Właśnie z tego powodu sprowadził pan tu Crane'a.

- Prosiłem o ściągnięcie kilku specjalistów - odpowiedział Asher. - Diagnostę...

- Jeden to już dostatecznie duże ryzyko - rzekł Spartan spokojnie.

Asher wziął głęboki oddech.

- Gdy stan Waite'a się ustabilizuje, musimy odesłać go na powierzchnię.

- Wykluczone.

- Właściwie dlaczego? - Teraz Asher czuł nie tylko niechęć, lecz także irytację.

- Zna pan powody równie dobrze jak ja. To tajna stacja prowadząca utajnione badania.

- Tajne! - wykrzyknął Asher. - Poufne! Czy pan nie rozumie? Mamy całą serię poważnych problemów medycznych. Nie może pan tego ignorować, udawać, że nic się nie dzieje!

- Doktorze Asher, bardzo proszę! - Po raz pierwszy ton admirała stwardniał. - Zbyt silnie pan reaguje. Mamy tutaj doskonale wyposażoną klinikę i wysoko wykwalifikowany personel medyczny. Wbrew własnemu zdaniu zgodziłem się na pańskie żądanie, żeby sprowadzić jeszcze jednego specjalistę, i to mimo, powiedzmy, niejednoznacznej przeszłości doktora Crane'a.

Na tę prowokację Asher nie zareagował.

- Nie widzę powodów do paniki - kontynuował Spartan. - Czy pan lub szanowny doktor Crane zidentyfikowali ognisko choroby?

- Wie pan, że nie.

- Zachowajmy zatem rozsądek. Pańscy uczeni nie są przyzwyczajeni do pracy w takich warunkach, jakie mamy na stacji. Zamknięta przestrzeń, ciasne kwatery, stresujące otoczenie... - Spartan machnął mięsistą dłonią. - Należało oczekiwać takich objawów, jak bezsenność, brak apetytu, skłonność do irytacji.

- Chorują nie tylko uczeni - poprawił go Asher. - Dotyczy to również personelu wojskowego. A co z niewielkimi udarami? Arytmią? Przypadkiem Waite'a?

- Mówi pan o bardzo niewielkiej grupie z całej populacji - wtrącił Korolis. Odezwał się po raz pierwszy. - Jeśli zgromadzi pan w jednym miejscu wielu ludzi, coś musi się zdarzyć.

- Fakty wyglądają następująco - dodał Spartan. - Nie wykryto żadnych wspólnych objawów. Ludzie skarżą się na rozmaite dolegliwości. Tak już jest. Nie ma żadnego ogniska choroby - pacjenci pochodzą ze wszystkich poziomów i oddziałów. Poza Waite'em nie ma żadnego poważnego przypadku. Przykro mi, doktorze Asher, ale taka jest prawda. Nie ma żadnej epidemii i kropka.

- Ale... - zaczął Asher i przerwał, gdy zobaczył wyraz twarzy admirała. W wojskowych operacjach nie ma miejsca dla uczonych - tak najwyraźniej myślał Spartan. - To mazgajstwo jest najlepszym dowodem.

Asher postanowił zmienić temat.

- Jest jeszcze jedna sprawa. Spartan uniósł pytająco brwi.

- Rozmawiałem dziś z Paulem Eastonem, geologiem morskim. Okazuje się, że dotychczasowe datowanie było błędne.

- Datowanie czego? - spytał Spartan.

- Zdarzenia.

Przez chwilę wszyscy milczeli.

- Jak poważny jest błąd? - spytał wreszcie admirał, poprawiając się na krześle.

- Bardzo duży.

Korolis wypuścił powietrze z płuc. Asher miał wrażenie, że słyszy syk węża.

- Proszę o konkrety - powiedział Spartan.

- Zawsze zakładaliśmy, na podstawie wizualnego badania skał i innych czynników, że do zdarzenia doszło dziesięć tysięcy lat temu, może nawet wcześniej. Easton potraktował to

założenie nieco za poważnie i nie pofatygował się, żeby określić datę na podstawie pomiarów magnetyzmu.

- Czyli jak? - spytał Korolis.

- To metoda datowania skał wulkanicznych - wyjaśnił Asher. - Nie wchodząc w naukowe szczegóły - dodał, zerkając na komandora - chodzi o to, że co jakiś czas następuje zmiana biegunów ziemskiego pola magnetycznego. Biegun północny przemieszcza się na południe, południowy na północ. Zgodnie z naszym założeniem, zdarzenie powinno było nastąpić przed ostatnią taką zmianą. Wygląda na to, że się pomyliliśmy.

- Skąd możecie to wiedzieć? - zainteresował się admirał.

- Gdy skały skorupy ziemskiej stają się ciekłe, cząsteczki żelaza ustawiają się zgodnie z liniami sił pola magnetycznego. Następnie skały zastygają i cząsteczki zostają uwięzione w określonym położeniu. To przypomina słoje drzew: można datować wydarzenia geologiczne na podstawie pomiarów namagnesowania skał.

- No, może zatem do zdarzenia doszło jeszcze dawniej - zasugerował Korolis. - Dwie epoki magnetyczne temu. Wtedy biegun północny był tam, gdzie obecnie i wszystko się zgadza.

- Rozumowanie jest poprawne, ale zdarzenie nie nastąpiło tak dawno temu.

- Zatem pana zdaniem do zdarzenia nie doszło tak dawno, jak sądziliśmy - powiedział Spartan.

Asher pokiwał głową.

- Zakładam, skoro już tu jesteśmy, że udało się panu określić datę nieco dokładniej.

- Kazałem Eastonowi wysłać podwodny łazik wyposażony w bardzo czuły magnetometr. Dokładnie zmierzy pole magnetyczne. Rozpoczęliśmy od zbadania próbek z miejsca zdarzenia.

Spartan zmarszczył brwi i znowu zmienił pozycję na krześle.

- No i co?

- Zdarzenie nie nastąpiło ani dziesięć, ani pięćdziesiąt tysięcy lat temu, tylko sześćset.

W sali konferencyjnej zapadła głucha cisza. Pierwszy odezwał się Spartan.

- Czy to... to przeoczenie w istotny sposób zmienia nasze szanse powodzenia?

- Nie.

Asher miał wrażenie, że po twarzy admirała przemknął grymas ulgi, ale już po ułamku sekundy znów przypominała maskę.

- O co więc chodzi?

- Czy to nie oczywiste? Nie jest to wydarzenie z odległych czasów prehistorycznych. Dysponujemy licznymi źródłami dotyczącymi zdarzeń sprzed sześciu wieków.

- Co pan chce powiedzieć, doktorze? - spytał Korolis.

- Co chcę powiedzieć? Chodzi mi o to, że mogli być liczni naoczni świadkowie tego wydarzenia. Mogły się zachować pisemne relacje.

- Wobec tego powinniśmy wysłać kogoś, żeby ich poszukał - powiedział Spartan.

- Już to zrobiłem. Spartan zmarszczył czoło.

- Czy to ktoś o odpowiednich kwalifikacjach? Dyskretny?

- Z pewnością ma doskonałe kwalifikacje. To mediewista z Yale. Nie wie też, dlaczego mnie to zainteresowało.

- Dobrze. - Admirał wstał. - Jeśli to już wszystko, proponuję, żeby wrócił pan do kliniki i sprawdził, czy doktor Crane postawił cudowną diagnozę.

Asher również wstał.

- On musi zostać wprowadzony we wszystko - powiedział cicho.

- Słucham? - Spartan uniósł brwi.

- Crane musi zostać o wszystkim poinformowany. Musi mieć nieograniczony dostęp do wszystkich poziomów, również tajnych. I to bez eskorty żandarmów.

- To niemożliwe, doktorze - zaprotestował Korolis. - Nie możemy sobie pozwolić na takie ryzyko.

Asher patrzył na admirała.

- Crane musi swobodnie rozmawiać z pacjentami, musi wiedzieć, co i gdzie robią. Tylko w ten sposób może zidentyfikować wspólne czynniki i źródło zagrożenia. Jak ma to zrobić z kneblem w ustach i opaską na oczach?

- Mam wielkie zaufanie do wybranych przez pana specjalistów, doktorze - rzekł łagodnie Spartan. - Pan również powinien je wykazywać.

Asher przez chwilę ciężko oddychał, z trudem panując nad sobą.

- Otrzymaliśmy mandat, admirale - powiedział wreszcie ochrypłym głosem. - Mamy wspólnie kierować stacją. Wspólnie. Jak dotąd, starałem się tego nie podkreślać. Jeśli jednak dojdzie do konfliktu między kwestiami tajności i bezpieczeństwa stacji oraz personelu, bez wahania zapomnę o tajności. Radzę panu o tym nie zapominać.

Asher obrócił się na pięcie, otworzył drzwi i wyszedł.

Na stacji były dwa korty do squasha, ale żeby zagrać, trzeba się było zapisać trzy dni wcześniej. Asher załatwił kort na pół godziny w ciągu kilku minut, co wyraźnie świadczyło o jego pozycji.

- Nigdy nie odgadłbym, że jesteś miłośnikiem poezji - powiedział Asher, gdy spotkali się na korcie. - Co innego z grą w squasha.

- To pewnie dlatego, że jestem zbudowany jak gazela - odpowiedział Crane. - A może przeczytałeś to na mojej kurtce.

Asher zaśmiał się. Automatycznymi ruchami podrzucał piłkę.

Crane nie był zaskoczony, gdy Asher poprosił o rozmowę. Od jego przyjazdu na stację minęło już trzydzieści sześć godzin i główny uczony chciał wysłuchać raportu. Jediną niespodzianką było miejsce spotkania, ale Crane już zaczął się przyzwyczajać do jego *modus operandi*: utrzymuj swobodne, nieformalne stosunki, stwórz miłą atmosferę, ale daj jasno do zrozumienia, że oczekujesz wyników, i to szybko.

Odpowiadało mu to. Sam też chciał porozmawiać, bo miał już swój program działania.

- Kilka minut rozgrzewki? - zaproponował Asher. Podał mu piłkę. - Chcesz serwować?

- Serwuj. - Crane pokręcił głową.

Asher posłał piłkę w kierunku ściany mocnym, płynnym uderzeniem. Crane cofnął się i zagrał return z woleja w kierunku dalszego narożnika.

Grali kilka minut w milczeniu, oceniając umiejętności, doświadczenie i taktykę partnera. Crane szacował, że Asher jest od niego dwadzieścia pięć lat starszy, ale chyba więcej ćwiczył. Sam grał beznadziejnie; połowę wolejów posłał na aut.

- Czy ten kort różni się czymś od normalnego? - spytał w końcu, podnosząc piłkę i podając ją Asherowi.

Główny uczony złapał ją zręcznie w rękę, w której trzymał raketę.

- Rzeczywiście. Musieliśmy go dostosować do rozkładu pomieszczeń na stacji. Sufit jest dwadzieścia pięć centymetrów niżej, za to kort jest nieco dłuższy. Powiniennem być cię uprzedzić. Gdy się przyzwyczaisz, przekonasz się, że w istocie na takim korcie jest łatwiej grać. Jeszcze poćwiczymy?

- Nie, zagrajmy na punkty.

Crane wygrał losowanie i zaserwował. Asher odpowiedział szybkim returnem z woleja i zaczęli grać na serio.

Wymienili kilka wolejów. Crane z podziwem obserwował grę partnera. Squash to mieszanina sportu i szachów, sukces zależy od inteligencji, taktyki i wytrzymałości. Asher

znakomicie kontrolował i doskonale zagrywał wzdłuż bocznej ściany, spychając go do defensywy. Crane sądził, że sztywna lewa ręka utrudni Asherowi grę, ale on najwyraźniej nauczył się uderzać i utrzymywać równowagę, posługując się tylko prawą ręką. Nim się zorientował, stracił kilka punktów.

- Koniec - powiedział wreszcie Asher.

- Dziewięć cztery. Obawiam się, że jestem kiepskim partnerem.

- Następnym razem pójdzie ci lepiej - pocieszył go Asher. - Jak powiedziałem, musisz się przyzwyczaić do nietypowych rozmiarów kortu. Serwuj, twoja kolej.

Crane przekonał się, że Asher miał rację. W miarę jak przyzwyczajał się do niższego, głębszego kortu, coraz lepiej panował nad piłką. Robił mniej błędów, odbijał piłkę za linię serwisową, zmuszając Ashera do cofnięcia się. Teraz nie musiał starać się tylko o to, żeby jakoś odbić piłkę, mógł pomyśleć o taktyce, szukać lepszej pozycji. Partia ciągnęła się bardzo długo; tym razem wygrał dziewięć osiem.

- Nie mówiłem? - powiedział zdyszany Asher. - Szybko się uczysz. Jeszcze kilka setów i będziesz potrzebował lepszego przeciwnika.

- Twój serw. - Crane zaśmiał się i rzucił mu piłkę. Asher złapał piłkę, ale nie zaserwował.

- Co z Waite'em? - spytał.

- Śpi. Dostał koktajl z haloperidolu i lorazepamu. Anty-psychotyczny i uspokajający.

- Słyszałem, że zastosowałaś nietypową metodę nawiązania kontaktu. Bishop mówiła coś o striptizie.

- W takiej sytuacji trzeba wyrwać chorego z ciągu psychotycznego - odpowiedział Crane z lekkim uśmiechem. - Zrobiłem coś, czego się nie spodziewałem. Zyskaliśmy trochę czasu.

- Masz jakiś pomysł, co się stało?

- Corbett bada go psychiatrycznie, na ile pozwalają podane lekarstwa. Na razie nie postawiliśmy diagnozy. To coś dziwnego. Teraz Waite w zasadzie jest całkowicie przytomny, choć nieco przymulony lekarami. Wcześniej miał wyraźne zaburzenia dezintegracyjne.

- Przepraszam?

- Nie panował nad sobą. Miał halucynacje. Teraz nie pamięta tego incydentu. Nie pamięta nawet strasznych głosów, które miały być jego przyczyną. Świadkowie i przyjaciele nie dostrzegli żadnych zapowiedzi kryzysu, poza chwiejnością nastroju. W przeszłości Waite nie miał żadnych problemów psychicznych. No, ale z pewnością pan o tym wie. - Crane się zawahał. - Moim zdaniem należy go odesłać na ląd.

- Przykro mi, ale to niemożliwe. - Asher pokręcił głową.

- Jeśli nie ze względu na jego zdrowie psychiczne, to na moje. Mam zupełnie dość widoku komandora Korolisa lub jednego z jego pachołków siedzących przy łóżku Waite'a, żeby przypadkiem nie zdradził tajemnicy. Na przykład, gdzie na stacji badawczej można zdobyć kostkę plastiku.

- Niestety, to nie zależy ode mnie. Jak tylko wypiszesz Waite'a z kliniki, zostanie zamknięty w swoim pokoju. Wtedy Korolis sobie pójdzie.

Crane miał wrażenie, że w głosie Ashera usłyszał gorycz. Wcześniej nie przyszło mu do głowy, że obowiązujące reguły tajności denerwują głównego uczonego równie mocno jak jego. Nadeszła dobra okazja, żeby powiedzieć, co miał do powiedzenia. Właściwy moment, pomyślał. Wziął głęboki oddech.

- Zaczynam chyba rozumieć - powiedział.

- Rozumieć co? - spytał Asher, patrząc na trzymaną w ręku piłkę.

- Dlaczego tu jestem.

- To nigdy nie ulegało wątpliwości. Jesteś tutaj, żeby zająć się problemami medycznymi.

- Nie, chodziło mi o to, dlaczego to ja zostałem wybrany. Asher nic nie odpowiedział. Jego twarz była pozbawiona wyrazu.

- Początkowo zupełnie tego nie pojmowałem. Nie jestem pulmonologiem ani hematologiem. Jeśli pracownicy cierpieli na jakąś odmianę choroby kesonowej, dlaczego to właśnie ja miałem przyjechać z wizytą domową? Okazuje się jednak, że z pewnością nie mamy do czynienia z tą chorobą.

- Jesteś pewny?

- To jedna z niewielu rzeczy, co do których mam całkowitą pewność. - Crane na chwilę przerwał. - Tak się składa, że atmosfera na stacji jest zupełnie normalna.

Asher nadal patrzył mu w oczy, ale nic nie mówił. Przyglądając się jego kamiennej twarzy, Crane zaczął mieć wątpliwości, czy dobrze zrobił, zaczynając tę rozmowę. Teraz nie miał wyjścia, musiał powiedzieć wszystko.

- Kazałem umieścić jednego z pacjentów z przemijającym atakiem niedokrwinnym w komorze hiperbarycznej - wyjaśnił. - Wiesz, co stwierdziliśmy?

Asher nadal milczał.

- Okazało się, że to nie pomogło. Ale to nie wszystko. Instrumenty w komorze wskazały, że atmosfera wewnątrz i na zewnątrz jest całkowicie normalna. - Crane przez

chwilę się wahał, ale dokończył. - Zatem wszystkie opowieści o hermetyzacji, specjalnym składzie atmosfery to lipa?

Asher znowu wbił wzrok w piłkę.

- Tak - odparł po chwili. - Jest jednak bardzo ważne, żebyś zachował tę informację dla siebie.

- Oczywiście. Ale dlaczego?

Asher odbił piłkę od ściany, złapał w powietrzu i ścisnął.

- Potrzebne jest uzasadnienie, dlaczego nikt nie może pośpiesznie opuścić stacji. To ma chronić przed przeciekami, szpiegostwem, takimi rzeczami.

- Opowieści o szczególnym składzie atmosfery, konieczności długiej aklimatyzacji i jeszcze dłuższego dostosowywania się do normalnych warunków przy wyjściu to tylko bajki służące dezinformacji?

Asher znowu odbił piłkę, a potem rzucił ją do kąta. Nie było sensu udawać, że grają.

- Komory, w których musiałem czekać, gdy zjeżdżałem na stację, to tylko dekoracje teatralne?- Nie. Komory dekompresyjne są prawdziwe, ale są wyłączone. - Asher spojrzał na niego. - Powiedziałeś, że zrozumiałeś, dlaczego zostałeś wybrany.

- Tak. - Crane przełknął ślinę. - Gdy zobaczyłem wyniki pomiarów w komorze hiperbarycznej, wszystko stało się jasne. Ma to związek z tym, co zrobiłem podczas operacji Pustynna Burza, prawda?

- Tak, a zwłaszcza z wydarzeniami na okręcie podwodnym USS *Spectre*.

- Wiesz o tym? - zdziwił się Crane.

- Nie. To wciąż stanowi tajemnicę, ale admirał Spartan wszystko o tym wiedział. Twoje umiejętności diagnostyczne oraz radzenie sobie - jak to powiedzieć - z dziwnymi problemami medycznymi w bardzo trudnych warunkach, to wyjątkowe zalety. A ponieważ ze względu na bezpieczeństwo Spartan zgodził się sprowadzić na stację tylko jedną osobę, ty wydawałeś się najlepszym kandydatem.

- Ciągle słyszę to samo słowo: bezpieczeństwo. Tego jednego z pewnością wciąż nie rozumiem.

Asher spojrzał na niego pytająco.

- Po co ta cała tajemnica? Cóż jest tak ważnego w Atlantydzie, co uzasadniałoby takie drastyczne kroki? No i dlaczego rząd jest gotowy wydawać tyle pieniędzy na jakieś archeologiczne wykopaliska? Dlaczego zastosowano do tego najnowsze osiągnięcia techniki?

- Crane machnął ręką. - Wystarczy się rozejrzeć. Utrzymanie takiej stacji musi kosztować podatników milion dolarów dziennie.

- W rzeczywistości koszty są wyższe - spokojnie odpowiedział Asher.

- Gdy ostatni raz sprawdzałem, biurokraci w Pentagonie nie byli szczególnie zainteresowani starożytnymi cywilizacjami. Agencje takie jak NO A A muszą zebrać o okruchy z rządowego stołu. Wiesz o tym lepiej ode mnie. Tutaj jednak macie najbardziej wyrafinowaną, najbardziej tajną stację badawczą na świecie. - Crane na chwilę przerwał. - No i jeszcze jedno: stacja jest zasilana energią jądrową, prawda? Spędziłem dość czasu na raketowych okrętach podwodnych, żeby się zorientować. W moim identyfikatorze też jest radioaktywny żeton.

Asher uśmiechnął się, ale nie odpowiedział. To zabawne - pomyślał Crane - jak milczący stał się ostatnio ten człowiek.

Przez dobrą minutę siedzieli bez słowa, w napiętej atmosferze. Crane miał jeszcze jedną bombę, największą ze wszystkich. Nie było sensu dalej zwlekać.

- Dużo o tym myślałem - powiedział. - Nasuwa się tylko jedno wyjaśnienie. Nie chodzi wcale o Atlantyde, tylko o coś innego. - Spojrzał na Ashera. - Mam rację?

Asher przez chwilę przyglądał mu się z namysłem. Niemal niezauważalnie kiwnął głową.

- No więc? Co jest tam na dole? - naciskał Crane.

- Przykro mi, Peter, ale nie mogę ci powiedzieć.

- Nie? Dlaczego?

- Gdybym to zrobił, obawiam się, że admirał Spartan musiałby cię zabić.

Słyszac ten banał, Crane zaczął się śmiać, ale po chwili zerknął na Ashera i przestał. Główny uczoney - który zawsze tak łatwo się śmiał - teraz nawet się nie uśmiechnął.

13

Na najdalszych kresach Szkocji - za Skye, za Hebrydami, nawet za łańcuchem niewielkich wysp zwanym Siedem Sióstr - ciągnie się archipelag St. Kilda. To najbardziej odległe z Wysp Brytyjskich, poszarpane brązowe skały, z trudem wznoszące się nad spienionymi falami - miejsce ponure i dzikie.

Zachodni skraj Hirty, największej wyspy archipelagu, stanowi trzystumetrowy cypel omywany falami Atlantyku. Na szczycie cypla stoi zamek Grimwold, stare, rozległe opactwo otoczone murem z lokalnego kamienia, zdolne stawić opór zarówno falom, jak i katapultom. Klasztor zbudowali mnisi w XIII wieku, którzy szukali tu schronienia i ucieczki przed sekularyzacją Europy. Później dołączyli do nich kartuzi i benedyktyni poszukujący spokojnego miejsca modlitw i duchowej kontemplacji, którzy stracili siedziby po rozwiązaniu

zakonów w Anglii. Biblioteka w zamku Grimwold, wzbogacona tomami przywiezionymi przez nowych członków wspólnoty, stała się jednym z najwspanialszych księgozbiorów klasztornych w całej Europie.

U stóp murów klasztoru powstała niewielka osada rybacka, zaspokajająca nieliczne ziemskie potrzeby mnichów, o które nie mogli sami zadbać. Sława klasztoru sprawiała, że oprócz nowicjuszy przybywali tu pielgrzymi i wędrowcy. W okresie świetności z klasztornego kościoła, przez trawnik na dziedzińcu i bramę w murze prowadziła droga pielgrzymów do osady, gdzie można było znaleźć przeprawę na Hebrydy.

Obecnie po drodze pielgrzymów pozostały już tylko ledwo widoczne kopce skalne. Niewielka osada wyludniła się już wieki temu. Pozostał tylko klasztor z ponurą, atakowaną przez burze i sztormy fasadą zwróconą na zachód, w stronę zimnego Atlantyku.

W głównej bibliotece zamku Grimwold, przy długim drewnianym stole siedział pewien gość. Dłońmi w białych, bawełnianych rękawiczkach ostrożnie przewracał pergaminowe strony starego tomu *in folio* położonego dla ochrony na kawałku lnu. W powietrzu krążyły drobiny kurzu, a oświetlenie było kiepskie: gość mrużył oczy, żeby odczytać tekst. Obok na stole leżała sarta innych tomów: iluminowanych rękopisów, inkunabułów, starych traktatów oprawionych w skórę. Mniej więcej co godzinę w czytelni pojawiał się mnich, przynosił zamówione tomy i zabierał już przejrane, po czym znikał. Czytelnik od czasu do czasu coś notował, ale w miarę jak zbliżał się wieczór, zdarzało się to coraz rzadziej.

Późnym popołudniem do czytelni przyszedł inny mnich, niosąc kolejną partię książek. Podobnie jak jego bracia zakonni miał na sobie prosty habit przewiązany białym sznurem, ale był starszy i poruszał się z większą godnością.

Mnich podszedł środkową alejką do stołu, przy którym siedział jedyny czytelnik. Ostrożnie położył stare tomy na lnianym obrusie.

- *Dominus vobiscum* - powiedział z uśmiechem.

- *Et cum spiritu tuo* - odparł gość, wstając z krzesła.

- Proszę, niech pan siedzi. Oto rękopisy, które pan zamówił.

- Ojciec jest bardzo uprzejmy.

- Czynimy to z przyjemnością. W naszych czasach rzadko odwiedzają nas uczeni.

Wydaje się, że ludzie wyżej cenią wygodę niż oświecenie.

- Lub poszukiwania prawdy - zauważył gość z uśmiechem.

- Często to jedno i to samo. Dobrze powiedziane. - Zakonnik wyciągnął spod habitu kawałek miękkiej tkaniny i czule odkurzył stare księgi. - Pan Logan, nieprawdaż? Doktor Jeremy Logan, profesor historii średniowiecza z Yale?

- Tak, to ja - potwierdził gość. - Teraz jestem jednak na urlopie.

- Nie sądzę, że jestem wścibski, mój synu. Jestem ojciec Bronwyn, opat klasztoru Grimwold. - Zakonnik usiadł przy stole i ciężko westchnął. - Pod wieloma względami to ciężka praca. Ktoś mógłby sądzić, że taki stary klasztor to miejsce wolne od biurokracji i małodusznych sporów. W rzeczywistości jest dokładnie odwrotnie. Nasze zgromadzenie jest bardzo odległe od świata, nowicjusze pojawiają się niezwykle rzadko. Teraz jest nas dwa razy mniej niż pięćdziesiąt lat temu. - Opat ciężko westchnął. - Z moją pozycją związane są jednak pewne radości. Przede wszystkim do mnie należą wszystkie sprawy bibliograficzne i biblioteczne, a jak pan wie, biblioteka jest naszym najcenniejszym skarbem. Niech Bóg wybaczy mi zachłanność.

Logan lekko się uśmiechnął.

- Rzecz jasna jestem informowany o wszystkich gościach klasztoru, zwłaszcza mających tak dobre rekomendacje jak pan. Ich lektura zrobiła na mnie wrażenie.

Doktor Logan skłonił głowę.

- Przypadkiem zauważyłem, że do pańskiego podania o zgodę na skorzystanie z naszej biblioteki dołączony był plan pańskiej podróży.

- Proszę mi wybaczyć bałaganiarstwo. Pracowałem w Oksfordzie i wyjechałem stamtąd w dużym pośpiechu. Obawiam się, że w moje papiery wkradł się bałagan. Nie chciałem się chwalić.

- Oczywiście, bynajmniej nie to miałem na myśli. Byłem jednak zaskoczony, gdy przeczytałem listę miejsc, które odwiedził pan podczas tego krótkiego urlopu. Wieża St. Urwick, jeśli dobrze pamiętam. W Nowej Fundlandii, zgadza się?

- Nieco na południe od Battle Harbour, na wybrzeżu.

- Drugim miejscem, jakie pan odwiedził, było opactwo Wrath.

Doktor Logan przytaknął.

- Znam to miejsce. Kap Farvel na Grenlandii. Niemal tak odległe od świata jak nasz klasztor.

- Mają tam starą, bardzo obszerną bibliotekę, z wieloma tekstami dotyczącymi lokalnej historii.

- Nie wątpię. - Opat przysunął się do stołu. - Mam nadzieję, że wybaczy mi pan poufałość, doktorze Logan. Jak już powiedziałem, rzadko miewamy gości i muszę ze

smutkiem przyznać, że moje talenty towarzyskie zanikły. Widzi pan, najbardziej dziwi mnie w pańskich wizytach ich tempo. W tych miejscach są biblioteki, które zasługują na to, żeby poświęcić im wiele tygodni. Dotarcie do nich jest trudne, kosztowne i wymaga czasu. A jednak z planu pańskiej podróży wynika, że jest pan w drodze zaledwie trzy dni. Czego pan szuka, doktorze Logan, co skłania pana do podróży w takim tempie, choć związane to jest z dużym wysiłkiem i kosztami?

Doktor Logan przez chwilę przyglądał się opatowi. Odkasznął i wbił wzrok w blat stołu.

- Jak powiedziałem, ojciec Bronwyn, dołączyłem plan podróży do podania wyłącznie w wyniku zaniedbania.

- Tak, oczywiście. - Ojciec Bronwyn wyprostował się na krześle. - Jestem starym i ciekawskim człowiekiem, ale nie chcę być wścibski. - Zdjął okulary, przetarł je skrajem habitu i znowu założył, po czym położył dłoń na oprawionych w cielęcą skórę tomach, które przyniósł. - Oto książki, które pan zamówił. *Lay Anecdotes* Maighistira Beatona, mniej więcej z tysiąc czterysta czterdziestego ósmego roku, sto lat późniejsze *Chronicles Diuerse and Sonderie* Colquhouna i oczywiście *Poligraphia* Trithemiusa. - Wymieniając ostatni tytuł, opat lekko wzruszył ramionami.

- Dziękuję, ojciec - powiedział doktor Logan z ukłonem. Opat wstał i wyszedł z czytelnicy.

Godzinę później wrócił bibliotekarz, zabrał rękopisy i inkunabuły oraz odebrał od Logana kolejne zamówienie. Po kilku minutach przyniósł kilka tomów i ostrożnie położył je na obrusie.

Doktor Logan po kolei przeglądał teksty, przewracając strony dłońmi w białych rękawiczkach. Pierwszy był spisany w staroangielskim, drugi po łacinie, trzeci w starożytnym greckim dialekcie koine. Logan znał je na tyle dobrze, że mógł swobodnie czytać. Z biegiem czasu jego nastrój stale się pogarszał. W końcu odsunął od siebie ostatni tom, zamrugał i pogładził się po głowie. Czuł w kościach trzy dni męczącej podróży do tych zapomnianych przez Boga i ludzi miejsc, trzy dni spania w zimnych pokojach i przeciągów. Spojrzał na romańskie sklepienie biblioteki i wąskie okna z prostymi, ale pięknymi witrażami. Przez szyby wpadały popołudniowe promienie słońca, dzięki czemu czytelnię ozdabiała mozaika kolorowych plam. Mnisi, zgodnie ze zwyczajem, zaproponowali mu nocleg - w promieniu wielu kilometrów nie było żadnego innego miejsca, gdzie mógłby się przespać. Nie było też żadnej drogi. Rano zamierzał popłynąć wynajętym kutrem na stały ląd i następnie... Właśnie, co następnie? Logan zdał sobie sprawę, że nie ma pomysłu, co dalej.

Rozmyślenia przerwało mu czyjeś kasznięcie. Doktor Logan obejrzał się. Za nim stał opat. Przyglądał mu się z rękami splecionymi z tyłu. Ojciec Bronwyn uśmiechnął się do niego.

- Nie miał pan szczęścia? Logan pokręcił głową.

- Chciałbym ci pomóc, synu - powiedział opat. - Nie wiem, czego szukasz, ale to niewątpliwie ważna sprawa, przynajmniej dla ciebie. Może jestem ciekawskim starym głupcem, ale jestem księdzem, spowiadam ludzi i potrafię dochować tajemnicy. Pozwól, że ci pomogę. Powiedz mi, czego szukasz.

Logan zawahał się. Jego klient wielokrotnie podkreślał konieczność zachowania dyskrecji. Jaki jednak sens ma dyskrecja, gdy nie ma czego trzymać w tajemnicy? Odwiedził już trzy duże biblioteki i kilka mniejszych, prowadząc poszukiwania na podstawie bardzo ogólnych instrukcji. Był to naukowy odpowiednik szukania igły w stogu siana. Nic dziwnego, że niczego nie znalazł.

Spojrzał uważnie na opata.

- Szukam lokalnych relacji, najlepiej naocznych świadków, dotyczących pewnego zdarzenia.

- Rozumiem. Co to za zdarzenie?

- Sam nie wiem.

- Doprawdy? - Opat uniósł brwi. - To chyba utrudnia poszukiwania.

- Wiem tylko, że to zdarzenie było dostatecznie ważne lub niezwykle, żeby zostało zapisane w annałach lub innych historycznych tekstach. Zwłaszcza w kronikach kościelnych.

Opat powoli okrążył stół i usiadł. Ani przez chwilę nie przestawał przyglądać się Loganowi.

- Niezwykłe zdarzenie. Na przykład cud?

- Możliwe - odparł Logan z wahaniem. - Ale wydaje mi się, że ten cud - jak to powiedzieć? - nie miał korzeni w boskiej mocy.

- Inaczej mówiąc, sprawcą była jakaś demoniczna siła. Logan pokiwał głową.

Opat powoli wypuścił powietrze z płuc.

- Czy to wszystkie informacje, jakimi pan dysponuje?

- Znam jeszcze przybliżony czas i miejsce.

- Proszę, niech pan kontynuuje.

- Zdarzenie nastąpiło mniej więcej sześćset lat temu. Tam. - Logan wskazał ręką północno-zachodnią ścianę biblioteki.

- Na morzu? - wyraźnie zdziwił się opat.

- Tak. Mógł to zobaczyć na przykład jakiś rybak, który wypłynął daleko w morze. Jeśli pogoda była wyjątkowo dobra, może widział to ktoś stojący na szczycie klifu.

Opat zaczął coś mówić, ale przerwał.

- Te dwie klasztorne biblioteki, które pan odwiedził - powiedział - również są położone na wybrzeżu, nieprawdaż? Z obu rozciąga się widok na północny Atlantyk. Tak jak z naszej.

Logan niemal niezauważalnie pokiwał głową.

Opat przez dłuższą chwilę nic nie odpowiadał. Patrzył gdzieś nad głową Logana, tak jakby spoglądał gdzieś daleko lub może w odległą przeszłość. W przedniej części czytelnik jakiś mnich zebrał kilka książek i bezszelestnie wyszedł. W starej sali zapadła głucha cisza.

W końcu ojciec Bronwyn wstał.

- Proszę, niech pan poczeka - powiedział. - Zaraz wrócę. Logan posłusznie poczekał. Opat wrócił po dziesięciu minutach, niosąc przed sobą jakiś prostokątny przedmiot owinięty w czarny materiał. Położył go na stole i rozwinął materiał. W środku było ołowiane pudełko, ozdobione srebrnymi i złotymi listkami. Opat zdjął z szyi klucz i otworzył pudełko.

- Byłeś ze mną szczery, mój synu - powiedział - dlatego ja również będę szczery. - Delikatnie pogładził ręką ołowianą szkatułkę. - To, co jest w tym pudełku, stanowiło przez wieki jedną z największych tajemnic klasztoru Grimwold. Kiedyś uważano, że przechowywanie spisanej relacji z tych zdarzeń jest zbyt niebezpieczne. Później, gdy utrwaliła się legenda, relacja ta stała się zbyt cenna i kontrowersyjna, żeby ją komukolwiek pokazywać. Myślę jednak, że mogę ją panu udostępnić, doktorze Logan, choć tylko na kilka minut. - Opat powoli przesunął szkatułkę w jego stronę. - Mam nadzieję, że nie będę panu przeszkadzał, jeśli pozostanę tutaj, gdy będzie pan czytał? Nie mogę spuścić tego z oczu. Przysięgłem to, gdy obejmowałem stanowisko opata klasztoru Grimwold.

Logan zwlekał z otwarciem szkatułki. Przyglądał się wspaniałemu dziełu złotnika. Mimo wielkiego zaciekawienia wahał się, co zrobić.

- Czy może jest coś, o czym powinienem wiedzieć, nim zacznę? - spytał. - Coś, co mógłby mi ojciec powiedzieć?

- Tekst sam przemówi wystarczająco jasno - odrzekł opat. Na jego twarzy pojawił się dziwny uśmiech, może nie całkiem ponury, ale też niezbyt pogodny. - Doktorze Logan, z pewnością zna pan wyrażenie „tutaj żyją smoki”?

- Tak.

- Często widuje się je na białych plamach na starych mapach - opat dodał i urwał. Bardzo delikatnie popukał palcem w szkatułkę. - Proszę to uważnie przeczytać, doktorze. Nie

jestem skłonny do hazardu - zwykle ryzykuję tylko wtedy, gdy po raz pierwszy piję wino brata Fredericka z nowego rocznika - ale gotów byłbym się założyć, że tu znajduje się pierwotne źródło tego strasznego wyrażenia.

14

Gdy Crane wszedł do sali konferencyjnej A - mniejszej z dwóch, jakie były w klinice - zastał tam Michele Bishop. Siedziała przy stole i wpisywała coś do palmtopa metalowym rysikiem. Rzuciła się w oczy, że lśniący blat stołu jest pusty. W jego dotychczasowej praktyce naradom medycznym zawsze towarzyszyły stosy papieru: wykresów, wyników badań, historii choroby i tak dalej. Tym razem wszystkie dokumenty znajdowały się w cienkiej teczce, którą sam przyniósł. Wydruki zajmowałyby cenne miejsce, dlatego na stacji w miarę możliwości wszystkie dane przechowywano w cyfrowym królestwie.

Gdy usiadł, Bishop podniosła głowę, powitała go widmem uśmiechu, po czym wróciła spojrzeniem do palmtopa, żeby jeszcze coś wpisać.

- Jaki jest status Waite'a? - spytał.

- Moim zdaniem można go jutro wypisać.

- Naprawdę?

- Roger nie ma zastrzeżeń z psychiatrycznego punktu widzenia, a Asher zgodził się, żeby zamknąć Waite'a w jego pokoju. Nie ma powodu, żeby go tu dłużej trzymać.

W tym momencie do sali wszedł Roger Corbett z dużym kubkiem kawy latte z pobliskiego baru. Uśmiechnął się do nich szeroko, po czym usiadł przy przeciwnym końcu stołu, postawił kubek na blacie i położył przed sobą własny palmtop.

- Michele właśnie mi powiedziała, że zgodziłeś się na zwolnienie Waite'a - powiedział Crane.

- Tak. - Corbett pokiwał głową. - Zrobiłem mu pełne badania. Jest nieco znerwicowany, czego nie wykryto podczas badań przed zatrudnieniem go na stacji, a także ma nieswoiste objawy depresyjne, ale dobrze reaguje na lekarstwa. Odstawiliśmy już neuroleptyki i nie spowodowało to negatywnych skutków. Moim zdaniem mamy do czynienia z zaburzeniami nastroju i standartowa terapia powinna być skuteczna.

- To oczywiście twoja decyzja - odparł Crane, marszcząc brwi. - Jednak czterdzieści osiem godzin temu pod wpływem zaburzenia nastroju Waite wziął zakładniczkę i wbił sobie śrubokręt w szyję.

Corbett wypił łyk kawy.

- Waite oczywiście ma pewne problemy i nie wiemy od kiedy. Czasami to się przejawia jako *cri de coeur*. Ludzie są tu poddani wielkiemu stresowi. Niezależnie od tego, jak dokładnie ich sprawdzamy przed zatrudnieniem, nie umiemy przewidzieć ich zachowania. Zamierzam kontynuować codzienne sesje w jego pokoju, żeby go dokładnie obserwować.

- Bardzo dobrze - powiedział Crane. Przynajmniej Korolis i jego ludzie wyniosą się z kliniki, pomyślał.

- Są jakieś nowe przypadki lub zgłoszenia? - spytał, patrząc na Bishop.

Lekarka spojrziała na ekran swojego palmtopa.

- Jakiś technik ze skurczami jelit. Inny narzekał na palpacje. Pracownik zespołu konserwacji zgłosił się z różnymi niespecyficznymi objawami: bezsenność, niezdolność do skupienia uwagi.

- Rozumiem. Dziękuję. - Crane popatrzył na zmianę na nią i na Corbetta. - Czy zatem możemy kontynuować?

- Co mamy kontynuować? - spytała Bishop. - Nie jest dla mnie jasne, w jakiej sprawie zwołał pan to zebranie.

Crane spojrział na nią. Zastanawiał się, czy każdy krok będzie wymagał walki.

- Zwołałem to zebranie, doktor Bishop, żeby określić, z czym mamy do czynienia.

- Nie wiedziałam, że udało się nam zawęzić poszukiwania do jednego czynnika - odparła Bishop, odchylając się do tyłu na krześle.

- To z pewnością jest skutek jednego czynnika. Nie wiemy tylko jakiego.

Bishop skrzyżowała ramiona i popatrzyła na niego z uwagą.

- Jedna czwarta załogi zgłasza problemy medyczne - ciągnął Crane. - Nie jest to zbieg okoliczności. Problemy nie pojawiają się niezależnie od siebie. To prawda, początkowo założyłem, iż jest to choroba kesonowa. Popełniłem błąd, przyjmując to założenie, nim zapoznałem się z faktami. Niewątpliwie jednak coś się tutaj dzieje.

- Nie ma jednak żadnego wspólnego objawu - wtrącił Corbett. - W każdym razie nie ma nic specyficznego.

- Musi być jakiś wspólny czynnik. Jeszcze go nie zidentyfikowaliśmy. Jesteśmy zbyt zajęci gaszeniem ognisk, żeby przyjrzeć się całemu pożarowi. Musimy się cofnąć, spróbować postawić diagnozę różnicową.

- Co pan sugeruje? - spytała Bishop.

- Musimy postępować tak, jak uczyli nas na studiach. Obserwować objawy, proponować wyjaśnienia, eliminować hipotezy. Zacznijmy od sporządzenia listy. Wyciągnął

z teczki kartkę, a z kieszeni pióro. Zerknął na leżące na stole dwa palmtopy. - Przepraszam - uśmiechnął się - ale jestem przyzwyczajony do tradycyjnych metod.

Corbet też się uśmiechnął, pokiwał głową i podniósł kubek do ust. W powietrzu rozszedł się mocny zapach kawy z ekspresu.

- Wiemy, że w powietrzu na stacji nie ma żadnych niezwykłych gazów. Skład atmosfery jest zupełnie normalny - nawiasem mówiąc, mamy zachować tę informację dla siebie. Możemy zatem wyeliminować tę przyczynę. Co pozostaje? Pani doktor, wspomniała pani, że kilku pacjentów narzekało na mdłości. To sugeruje zatrucie, albo układowe w wyniku zjedzenia lub wypicia czegoś, albo uogólnione, wskutek kontaktu z jakąś substancją toksyczną na stacji.

- Przyczyną może być również wyczerpanie nerwowe - podsunęła Bishop.

- To prawda. - Crane zanotował jej sugestię. - Nie brakuje powodów, żeby sądzić, iż problem ma naturę psychologiczną. Waite jest tego najlepszym przykładem. Działamy w dziwnym i stresującym otoczeniu.

- A co z infekcją? - spytał Corbett. - Może to jakaś nieznana choroba zakaźna?

- To również możliwe. *Głęboki Sztorm* może być siedliskiem jakiejś znanej lub nieznanej choroby - wirusowej, bakteryjnej, grzybiczej lub innej. Ktoś z pacjentów, może wszyscy, może być nosicielem.

- Nie jestem pewna, czy się z tym zgadzam - rzekła Bishop. - Moim zdaniem, skoro obserwujemy tak wiele różnych objawów, mogą to być tylko efekty uboczne zażywania narkotyków.

- Celną sugestią. Przyczyną mogą też być jakieś lekarstwa. - Crane znowu zanotował jej uwagę. - Czy przed przyjazdem na stację członkowie załogi dostawali jakieś zastrzyki, może przechodzili szczepienia? Jakież witaminy? Czy pracownicy dostają jakieś środki pobudzające?

- Nic mi o tym nie wiadomo - odpowiedziała Bishop.

- Musimy to sprawdzić. Tak samo narkotyki.

- Może nadużywają amfetaminy - zasugerował Corbett.

- Albo ecstazy. Ecstasy zakłóca przekąźnictwo glutami-nergiczne i może powodować objawy, takie jak obserwowaliśmy u Waite'a.

- Inną możliwością jest dieta - zauważyła Bishop. - Marynarka opracowała specjalną wysokobiałkową dietę z niewielką ilością węglowodanów. Testują ją na stacji.

- Interesujące. Powinniśmy przeprowadzić badania krwi, żeby sprawdzić, czy pokarm ma jakieś znaczenie. - Crane popatrzył na Bishop i na Corbetta. Cieszył się, że zaangażowali

się w to ćwiczenie. - Mamy niezły zbiór możliwości. Zastanówmy się, czy możemy jakąś wyeliminować. Wiemy, że objawy nie są związane z jakimś szczególnym miejscem na stacji lub rodzajem pracy. Czy jest jakaś korelacja z płcią lub wiekiem?

- Nie - odparła Bishop, pukając palcami w palmtopa. - Pacjenci pochodzą ze wszystkich grup wiekowych, a stosunek mężczyzn do kobiet jest taki sam jak dla całej załogi.

- Bardzo dobrze. Przynajmniej coś wiemy. - Crane przyjrzał się swym notatkom. Na pierwszy rzut oka najbardziej obiecujące są hipotezy zatrucia i zażywania leków lub narkotyków. Zatrucie metalem ciężkim wyjaśniłoby wiele objawów. Trzecią, mniej prawdopodobną możliwością, jest infekcja, ale to też musimy sprawdzić. - Przerwał i spojrzał na Corbetta. - Kto jest najlepszy technicznie w klinice?

Corbett chwilę się zastanawiał.

- Jane Rand - odpowiedział w końcu.

- Posadźmy ją, żeby zebrała wszystkie dane jakie mamy o wszystkich pacjentach. Niech wprowadzi je do komputera i przeprowadzi analizę. Może znajdzie jakieś niezauważalne korelacje. Musi skorzystać ze wszystkich źródeł, z danych osobowych zebranych przy zatrudnieniu i historii medycznych.

Corbett nacisnął kilka klawiszy palmtopa, po czym uniósł głowę i kiwnął na zgodę.

- Dodaj to do tej listy. Zobaczmy, może coś się znajdzie, później trzeba porównać dane chorych z analogicznymi informacjami o pozostałych. Może jest jakaś znacząca różnica.

- Crane spojrzał na Bishop. - Może pani przejrzy powtórnie wyniki analiz krwi pod kątem obecności trucizny lub narkotyków?

- W porządku.

- Trzeba również zebrać próbki włosów od wszystkich, którzy przewinęli się przez klinikę w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Musimy też robić analizy krwi i moczu wszystkich nowych pacjentów, nawet jeśli przychodzą z drzazgą w palcu. Najlepiej będzie zrobić całą serię testów: EKG, echo, EEG, wszystko.

- Jak już panu mówiłam, nie mamy na stacji elektroencefalografu - przypomniała Bishop.

- Czy możemy sprowadzić?

- Trochę to potrwa. - Wzruszyła ramionami.

- W każdym razie złożmy zamówienie. Wolalbyśmy zbadać absolutnie wszystko. Warto chyba wrócić do pierwszych przypadków, przejrzeć dokładnie każdą informację. Jeśli to jakaś infekcja, to może uda się nam wyizolować źródło. - Crane wstał. - Ja pogadam z dietetykami,

spróbuję się czegoś dowiedzieć o tej specjalnej diecie. Spotkajmy się rano, żeby omówić wyniki.

Crane jeszcze zatrzymał się w drzwiach.

- A jeszcze jedno. Chciałem was o coś spytać. Kto to jest pan Flyte?

Bishop i Crane wymienili spojrzenia.

- Pan Flyte? - powtórzyła Bishop.

- Stary Grek, chodzi w kombinezonie. Wpadł bez zaproszenia do mojej kabiny, niedługo po moim przyjeździe.

Dziwny facet, najwyraźniej lubi zagadki. Czym on się tutaj zajmuje?

Bishop i Crane przez chwilę milczeli.

- Przykro mi, doktorze, ale nie znam takiego człowieka powiedział Corbett.

- Nie? A pani? - zwrócił się do Bishop. - Niski, szczupły, z wielką grzywą siwych włosów? Powiedział mi, że jego praca jest ściśle tajna.

- Znam wszystkich pracowników stacji - odparła Bishop. - Nie ma nikogo, kto pasowałby do tego opisu. Najstarszy ma pięćdziesiąt dwa lata.

- Co takiego? - zdziwił się Crane. - Przecież to niemożliwe. Widziałem go na własne oczy.

Bishop nacisnęła kilka klawiszy palmtopa i spojrzała na ekran. Po sekundzie podniosła głowę.

- Jest tak, jak powiedziałam, doktorze. Na stacji nie ma żadnego Flyte'a.

15

Robert Loiseau odsunął się od kuchni, zdjął z głowy *toque* i wytarł spoconą twarz ręcznikiem, który stale nosił przy pasku. Choć w kuchni było chłodno, pocił się jak prosię, a od początku zmiany minęło dopiero pół godziny. Wyglądało na to, że ma przed sobą ciężki dzień.

Spojrzał na wiszący na ścianie zegar. Pół do czwartej. Minęła już gorączkowa pora lunchu, pracownicy pozmywali garnki i w kuchni zrobiło się spokojniej. Spokój to jednak termin względny: Loiseau już dawno przekonał się, że prowadzenie kuchni na okręcie jest czymś zupełnie innym niż na lądzie. Nie było żadnych ustalonych pór posiłków, ludzie przychodzili, kiedy chcieli. Na stacji praca trwała na trzy zmiany, dlatego nie było niczym dziwnym, gdy ktoś przychodził na śniadanie o ósmej wieczorem lub na lunch o drugiej w nocy.

Loiseau znowu przetarł twarz i wsadził ręcznik za pasek. Miał wrażenie, że ostatnio stale się poci, nie tylko w kuchni. Nie był to jedyny dziwny objaw, jaki zauważył: trzęsły mu się ręce, a serce biło szybciej niż zwykle. Cały czas czuł się zmęczony, a gdy kładł się odpocząć, nie mógł zasnąć. Nie wiedział, kiedy to się zaczęło, ale nie miał wątpliwości, że czuje się coraz gorzej.

Obok przeszedł cukiernik Al Tanner, gwizdząc *Czarodziejski wieczór*. Niósł na ramieniu wałek ciasta, tak jakby to była ustrzelona dzika gęś. Na chwilę przerwał gwizdać.

- Hej, Wazu.

- Wazo - mruknął Loiseau pod nosem. Można byłoby przypuszczać, że w dobrej kuchni ludzie powinni wiedzieć, jak wymawiać francuskie nazwiska. Pewnie specjalnie go drażnili. W rzeczywistości tylko Renault, naczelny kucharz, poprawienie wymawiał jego nazwisko, ale on rzadko zniżał się do tego, by kogoś zawołać po nazwisku - zwykle ograniczał się do kiwania palcem.

Loiseau ciężko westchnął i podszedł do kuchni. Nie miał czasu na dumania: teraz musiał przygotować beszamel, i to cały gar. Mistrz Renault postanowił podać dziś tournedos w sosie Mornay i côtelettes d'agneau écossais, a do zrobienia obu dań potrzebny był beszamel. Rzecz jasna, Loiseau potrafiłby zrobić beszamel nawet we śnie, ale z praktyki dobrze wiedział, że gotowanie przypomina maraton: jeśli staniesz, gdy inni dalej biegną, to już wkrótce nie będziesz miał szans ich dogonić.

Zesklij cebulę, dodaj zasmażki... Wykonując kolejne czynności, Loiseau czuł, jak serce bije mu coraz szybciej, a oddech staje się coraz płytszy. Oczywiście nie mógł wykluczyć choroby, ale sam sądził, że zna lepsze wyjaśnienie, dlaczego pocą mu się ręce i cierpi na bezsenność: niepokój. Zupełnie inaczej czuł się, pracując na lotniskowcu, gdzie pomieszczenia przypominały hangary połączone niekończącymi się korytarzami. Tu było inaczej. W czasie długiego procesu selekcjonowania pracowników i niezliczonych wywiadów Loiseau niewiele się zastanawiał, jak będzie wyglądało życie na stacji. Pensja była fantastyczna, a na dokładkę czuł podniecenie na myśl o udziale w tajnym projekcie. Podczas pięcioletniej służby w marynarce gotował w admiralskiej kuchni: nie sądził, żeby gotowanie pod wodą mogło się szczególnie różnić od gotowania na wodzie.

W rzeczywistości żadne wcześniejsze doświadczenia nie przygotowały go do pobytu na stacji.

Chryste, ale gorąco - westchnął. Dodał powoli zasmażki do mieszaniny mleka, tymianku, liści laurowych i cebuli. Gdy pochylił się nad garnkiem, żeby energicznie wymieszać składniki, nagle zakręciło mu się w głowie. Cofnął się o krok i wziął głęboki

oddech. Ciężko dyszał, na tym polegał problem. Weź się w garść, chłopie, pomyślał. - Dopiero początek zmiany i jest jeszcze od cholery roboty.

Tanner wracał ze spiżarni, niosąc worek mąki. Gdy spojrzął na Loiseau, od razu się zatrzymał.

- Dobrze się czujesz, stary? - spytał.

- Nic mi nie jest - odpowiedział Loiseau. Gdy Tanner odszedł, szybko wytarł twarz i wrócił do mieszania sosu. Gdyby zwlekał, zgęstniałaby zasmażka i musiałby zaczynać od początku.

Nie wziął pod uwagę, jak bardzo będzie mu brakowało słońca i świeżego, słonego powietrza. No i lotniskowce przynajmniej nie stały w miejscu. Loiseau nigdy nie sądził, że doskwiera mu klaustrofobia, ale teraz, gdy żył w metalowej puszcze na dnie oceanu, z czterema kilometrami wody nad głową... po jakimś czasie zaczęło go to męczyć. Projektant *Głębokiego Sztormu* był mistrzem miniaturyzacji. Początkowo, gdy Loiseau pracował w mesie Szczyt na jedenastym poziomie, nie zwracał na to większej uwagi. Sprawa zmieniała się po przeniesieniu go do kuchni na siódmym poziomie. Tu wszystko było bardziej ściśnięte. Gdy było dużo roboty i wszyscy się śpieszyli, w kuchni trudno było się poruszać. Od kilku dni właśnie to męczyło go najbardziej. Gdy dziś się obudził, pierwszą rzeczą, o jakiej pomyślał, był tłok w kuchni w porze obiadu. Od razu się spocił, nim jeszcze wstał z łóżka...Zacisnął ręce na stalowej poręczy kuchni. Poczł w brzuchu bolesny skurcz. Znowu miał zawroty głowy. Pokręcił głową jakby chciał oprzytomnieć. Może to jednak choroba, zaniepokoił się. Może znowu złapał grypę. Postanowił, że po zakończeniu zmiany wstąpi do kliniki. Niezależnie od tego czy to grypa, czy nerwy, powinni jakoś mu pomóc.

Loiseau wrócił do pracy. Uważnie mieszał sos, żeby nie wykypiał, sprawdzał przejrzystość, kolor i zapach. Kątem oka zauważył „gońca” - jednego z pracowników Dna, czyli mesy na najniższym poziomie stacji - który pchał przed sobą wózek zastawiony gotowymi daniami. Na dole była tylko niewielka kuchnia, dlatego często podawano tam jedzenie przygotowane przez nich. Gońcy pracowali i mieszkali na tajnych poziomach stacji, dzięki czemu mogli swobodnie się poruszać.

To również drażniło Loiseau i wyprowadzało z równowagi: bezpieczeństwo i tajemnice. Tu odczuwał to znacznie wyraźniej, niż gdy pracował na Szczycie. Zawsze potrafił powiedzieć, kto pracuje w tajnej części stacji: ci trzymali się razem, siadywali przy jednym stole, daleko od pozostałych, i rozmawiali przyciszonymi głosami. Dlaczego praca naukowa była otoczona taką tajemnicą? Loiseau nie wiedział nawet, czy badania posuwają się naprzód,

czy zbliżają się do sukcesu. To z kolei oznaczało, że nie wiedział, kiedy stąd wyjdzie i wróci do domu.

Do domu...

Nagle znowu poczuł zawroty głowy, znacznie silniejsze niż wcześniej. Loiseau zatoczył się i z trudem złapał poręcz. Nie był to atak nerwowy, tylko coś innego. Coś znacznie poważniejszego. Starał się ustać na nogach, ale poczuł strach.

Gdy nadeszła kolejna fala zawrotów głowy, Loiseau poczuł, że ciemnieje mu w oczach. Dokoła wszyscy przerwali pracę, odłożyli noże i drewniane łyżki. Patrzyli na niego. Ktoś coś do niego mówił, ale on słyszał tylko niewyraźny szept i nie rozumiał ani słowa. Próbuąc utrzymać równowagę, Loiseau chwycił rączkę wielkiego garnka wypełnionego sosem, ale wyslizgnęła mu się z ręki. Nic nie czuł. Następna fala zawrotów była jeszcze silniejsza. Poczuł nieprzyjemny smród przypalonych włosów i mięsa. To chyba halucynacje - pomyślał. Koledzy biegli w jego stronę. Spojrzał na kuchenkę. Ze zdziwieniem stwierdził, że jego własna dłoń ześlizgnęła się po boku garnka na płytę kuchni. Niebieskie płomienie lizały jego palce, a on niczego nie czuł. Ogarnęły go dziwne ciemności, tak jakby ktoś zarzucił mu koc na głowę. Wydawało mu się zupełnie naturalne, że przewrócił się na podłogę i pograżył w ciemnych snach.

16

- Czy pan już kończy, doktorze?

- Już prawie skończyłem - odpowiedział Crane, zwracając się do głównego kucharza, który stał w progu ze skrzyżowanymi ramionami i grymasem wyraźnej dezaprobaty na twarzy. Wybrał jeden spośród stojących na półce stu słoików z masłem, pobrał maleńką próbkę i umieścił ją w fiolce.

Chłodnia w centralnej kuchni była prawdziwą sensacją. Crane znalazł tam nie tylko artykuły używane normalnie w restauracjach - drób, wołowinę, jajka, warzywa, mleko i tak dalej - ale również składniki, których spodziewałby się raczej w najlepszej, trzygwiazdkowej restauracji europejskiej. Czarne i białe trufle, niemal bezcenny, stary balsamiczny ocet winny w niewielkich flaszeczkach, bażanty, kuropatwy, dzikie gęsi, siewki, puszki z rosyjskim i irańskim kawiolem. Wszystko było upchane w chłodni nie większej niż trzy na sześć metrów. Wobec takiego bogactwa Crane musiał ograniczyć się do pobrania próbek z najczęściej używanych produktów, wchodzących w skład potraw spożywanych przez wszystkich członków załogi. Nawet tak ograniczając poszukiwania, wypełnił już niemal

dwieście probówek. Trwało to godzinę, nic więc dziwnego, że główny kucharz bardzo się niecierpliwił.

Crane odstawił na półkę słoik z masłem i podszedł do następnej półki, gdzie stały podstawowe składniki do zrobienia domowego winegretu: francuski ocet winny z białego wina i oliwa z oliwek.

- Hiszpańska - zauważył, podnosząc butelkę z oliwą i spoglądając na etykietę.

- Najlepsza - krótko wyjaśnił Renault.

- Zawsze myślałem, że najlepsza jest włoska... Renault wydał dziwny dźwięk, zdradzający zniecierpliwienie i pogardę.

- *C'est foul* Nie ma porównania. Te oliwki zostały ręcznie zebrane, pochodzą z sadu, gdzie jest nie więcej niż sześćdziesiąt młodych drzew na hektar, oszczędnie podlewanych, nawożonych końskim łajnem...

- Końskim łajnem... - powtórzył Crane, powoli kiwając głową.

- *Engrais*. Nawóz - powtórzył Renault, a jego twarz spochmurniała. - Zupełnie naturalny, bez żadnej chemii. - Najwyraźniej uznał akcję Crane'a za osobistą obrazę, podawanie w wątpliwość wysokiej jakości jego kuchni, tak jakby miał do czynienia z inspektorem sanitarnym, nie zaś z lekarzem usiłującym rozwiązać medyczną tajemnicę.

Crane wyciągnął korek z butelki, nalał do probówki dwie krople, po czym ją zakorkował. Odstawił oliwę na półkę i wziął do ręki następną butelkę.

- Ma pan tu bardzo dużo świeżego jedzenia. Co pan robi, żeby się nie psuło?

- Jedzenie to jedzenie. - Renault wzruszył ramionami. - Psuje się i tyle.

- Co robicie z zepsutymi produktami? - spytał Crane, napełniając probówkę.

- Część zostaje spalona. Reszta jest pakowana z innymi śmieciami ze stacji i wywożona Wanną na górę.

Crane pokiwał głową. Wiedział już, że Wanna to duży, automatyczny moduł dostawczy, regularnie kursujący między stacją i platformą zaopatrzeniową na powierzchni. Oficjalnie zwana LF2-M Głębiniowa Jednostka Transportowa, Wanna była prototypem opracowanym przez marynarkę wojenną - miała służyć do zaopatrywania uszkodzonych okrętów podwodnych. Kształtem przypominała wannę olbrzyma, czemu zawdzięczała swą powszechnie używaną nazwę.

- Wanna przywozi również świeże jedzenie?

- Oczywiście.

Crane napełnił następną probówkę octem winnym.

- Kto zamawia żywność?

- Biuro zakupu żywności, na podstawie stanu magazynu i planowanego menu.

- A kto przenosi jedzenie z Wanny do kuchni?

- Magazynier pod moim osobistym nadzorem. Już za chwilę powinna nadejść dzisiejsza dostawa. Pora już udać się do punktu przyjmowania dostaw. - Renault zmarszczył brwi. - Czy sugeruje pan, *docteur*, że...

- Niczego nie sugeruję - przerwał mu Crane z uśmiechem. Mówił prawdę. Już wcześniej rozmawiał ze specjalistami odpowiedzialnymi za wyżywienie załogi. Opracowany przez nich plan wydawał mu się rozsądny i zdrowy. Crane poświęcił sporo czasu na dokładne zbadanie kilkudziesięciu produktów ze spiżarni mesy Szczyt i raczej nie spodziewał się, że znajdzie coś szkodliwego tutaj, w kuchni centralnej. Wydawało się mało prawdopodobne, żeby ktoś dodawał coś szkodliwego do jedzenia, przypadkowo lub celowo. Crane był coraz bardziej przekonany, że przyczyną problemów jest zatrucie metalami ciężkimi.

Objawy zatrucia metalami ciężkimi są niejednoznaczne i niespecyficzne, a z taką sytuacją mieli do czynienia na stacji. Przewlekłe zmęczenie, problemy gastryczne, utrata pamięci świeżej, bóle stawów, zaburzenia psychiczne i wiele innych. Crane polecił dwóm pracownikom kliniki zbadać pomieszczenia robocze, wypoczynkowe i mieszkalne pod kątem obecności ołowiu, rtęci, kadmu i wielu innych metali ciężkich, a także arsenu. Wszyscy pacjenci, którzy mieli ostatnio problemy, zostali wezwani ponownie do kliniki na badania krwi, moczu i włosów. Ewentualne zatrucie musiałyby mieć ostry charakter, ponieważ pracownicy nie przebywali na stacji dostatecznie długo, żeby mogli się zatruć wskutek długotrwałego kontaktu ze szkodliwą substancją.

Crane zakorkował ostatnią próbkę i umieścił ją w przenośnym stojaku. Zapiął torbę ze sprzętem z poczuciem satysfakcji. Jeśli rzeczywiście przyczyną było zatrucie metalem ciężkim, na przykład rtęcią, mogliby wykorzystać silne związki chelatujące, takie jak DMPS i DMSA nie tylko do badań, ale i do leczenia. Niewątpliwie musiałyby je zamówić i poczekać na transport Wannaj w aptecce na stacji z pewnością nie było dostatecznie dużo takich substancji, żeby starczyło dla wszystkich chorych.

Gdy Crane się obrócił, w chłodni nie było już Renaulta. Podniósł torbę, wyszedł z chłodni i zatrzasnął za sobą drzwi. Renault stał w przeciwnym końcu kuchni i rozmawiał z kimś w biały fartuchu kucharza. Gdy Crane podszedł do nich, Renault obrócił się do niego.

- Skończył pan - powiedział. Nie zabrzmiało to jak pytanie.

- Tak, ale chciałbym zadać panu kilka pytań na temat kucharza, który zachorował. Roberta Loiseau.

- Jeszcze parę pytań? - zdziwił się Renault. - Przecież ta lekarka zadała mi już Bóg wie ile.

- Tylko kilka.

- Musi pan zatem iść z nami. Porozmawiamy po drodze. Już powinniśmy być w punkcie przyjmowania dostaw.

- Bardzo dobrze. - Crane nie miał nic przeciw temu. Była to dobra okazja, żeby na własne oczy zobaczyć, jak wygląda transport żywności z punktu przyjmowania dostaw do kuchni, uspokoić się, wyeliminować zaopatrzenie z listy potencjalnych miejsc skażenia. Renault przedstawił go pracownikowi w fartuchu - był to Conrad, magazynier - oraz jeszcze dwóm pracownikom niosącym duże puste skrzynki na jedzenie. Crane ruszył za niewielką grupką. Wspólnie wyszli z kuchni i skierowali się do windy. W korytarzu rozlegało się echo ich kroków.

Renault był zajęty rozmową z magazynierem na temat braku warzyw. Po drodze na dwunasty poziom Crane zdołał zadać mu tylko jedno pytanie na temat Loiseau.

- Nie - odpowiedział Renault, gdy wychodzili z windy. - Nie było żadnych sygnałów ostrzegawczych. Absolutnie żadnych.

Od przyjazdu na stację Crane nie był na dwunastym poziomie, ale pamiętał drogę do kompleksu dekompresyjnego. Renault szedł w przeciwnym kierunku, bez trudu znajdując drogę w labiryncie wąskich korytarzy.

- Loiseau nadal jest nieprzytomny. Nie mogliśmy go o nic zapytać - powiedział Crane.
- Czy jest pan pewny, że nikt nie zauważył nic dziwnego, zaskakującego?

Renault zastanawiał się przez chwilę.

- Pamiętam, że Tanner raz powiedział, że Loiseau wydaje się przemęczony.

- Tanner?

- Nasz cukiernik.

- Czy wyjaśnił, co ma na myśli?

- O to musi pan spytać monsieur Tannera - odrzekł Renault.

- Czy pana zdaniem Loiseau zażywał jakieś narkotyki?

- Z pewnością nie! - rzekł z naciskiem główny kucharz. - Nikt w mojej kuchni nie bierze narkotyków.

W końcu korytarza znajdował się owalny wąż strzeżony przez żołnierza piechoty morskiej. Nad wjazdem wisiała tabliczka: PRZEJŚCIE DO ZEWNĘTRZNEGO KADŁUBA. Żołnierz przyjrzał się im, następnie sprawdził dokument, który wręczył mu Renault, po czym wreszcie ich przepuścił.

Za włazem znajdowało się niewielkie, niczym nieozdobione stalowe przejście, oświetlone czerwonymi żarówkami w grubych oprawkach. Crane usłyszał stuk zatraskiwanego włazu i szcęknięcie rygli. Echo powoli zamarło. Gdy czekali w słabym, czerwonym świetle, Crane poczuł wilgotny chłód i lekki słony smród, który przypominał mu zapach dochodzący z zęzy okrętu podwodnego.

Po paru sekundach znowu rozległ się zgrzyt metalu, tym razem z przeciwnej strony przejścia. Kolejny właz. Po drugiej stronie znajdowało się podobne przejście. Tutaj słony smród był znacznie mocniejszy. Właz automatycznie zatrzasnął się za nimi. Crane spojrzał na przednią ścianę, gdzie znajdował się trzeci, większy właz zaopatrzonej w potężne rygle. Kilku żołnierzy piechoty morskiej pilnowało przejścia. Na ścianie wisiała tabliczka z licznymi ostrzeżeniami i przepisami regulującymi, kto ma prawo przejść.

Musieli poczekać, aż żołnierze znowu sprawdzą dokumenty Renaulta. W końcu jeden z nich nacisnął czerwony guzik na konsoli. Rozległ się ostry dzwonek. Z wyraźnym wysiłkiem żołnierze odciągnęli rygle, a następnie zakręcili ciężkim kołem pośrodku włazu. Syknęło powietrze, zadźwięczały zasuw. Crane poczuł w uszach zmianę ciśnienia. Żołnierze odciągnęli właz i gestem wskazali, że mogą przejść. Pierwsi przeszli pracownicy kuchni ze skrzynkami najedzenie, po nich Conrad i Renault. Crane szedł ostatni, gotowy do zadania następnego pytania. Gdy znalazł się we włazie, nagle znieruchomiał i zapomniał, co chciał powiedzieć.

17

Crane miał przed sobą ogromną, ciemną przepaść. Takie przynajmniej odniósł wrażenie. Gdy przywykł do kiepskiego oświetlenia, stwierdził, że stoi na wąskiej galerii przymocowanej do zewnętrznej, pionowej ściany stacji, sięgającej dwanaście pięter w dół. Dostrzegł na ścianie rząd szczebli. Nagle zakręciło mu się w głowie i musiał szybko chwycić metalową poręcz. Jeden z żołnierzy coś do niego powiedział, ale Crane z trudem rozróżnił poszczególne słowa.

- Proszę pana, proszę iść dalej. Musimy zamknąć właz.

- Przepraszam. - Crane pośpiesznie przestawił drugą nogę za próg. Dwaj żołnierze zatrzasnęli pokrywę. Crane usłyszał jeszcze zgrzyt rygli.

Wciąż trzymając się poręczy, Crane rozejrzał się dokoła. W pewnej odległości, ledwo widoczna, wznosiła się zakrzywiona, metalowa ściana zewnętrznej kopuły, którą widział podczas zanurzenia. Lampy sodowe, zainstalowane w regularnych, lecz dość dużych odstępach, nie zapewniały dobrego oświetlenia. Z tego miejsca widać było szczyt kopuły,

bezpośrednio nad środkiem stacji. Dach stacji był połączony z kopułą kilkoma rurami. Crane przypuszczał, że mieszczą się w nich śluzy zapewniające dostęp do batyskafu i kapsuły ewakuacyjnej.

Galeryjka, na której stali, nieco dalej zmieniała się w rampę łączącą stację ze ścianą kopuły. Pozostali szli już przez rampę na dużą platformę przymocowaną do ściany kopuły. Crane wziął głęboki oddech, z trudem zdobył się na puszczenie poręczy i poszedł za nimi.

Było tu znacznie zimniej niż wewnątrz stacji; czuć też było wyraźny smród, jak w zęzie. Gdy szedł, głuche echo powtarzał grzechot butów na metalowej kratce galeryjki. Crane przez chwilę pomyślał, gdzie właściwie się znajduje - na wąskim pomoście przymocowanym do dwunastopiętrowego metalowego pudła, pod kopułą na dnie oceanu. Wyparł ten obraz ze świadomości i ruszył naprzód, żeby dogonić pozostałych, którzy już dochodzili do platformy.

Magazynier Conrad szedł ostatni, za Renaultem i dwoma pomocnikami kuchennymi. Crane z trudem zrównał się z nim.

- A ja myślałem, że punkt przyjmowania dostaw to przyjemny pokój z telewizorem i tygodnikami na stolikach.

Conrad miał płomiennie rude włosy i twarz krasnała.

- Trzeba się do tego przyzwyczaić, prawda?

- Rzeczywiście. Myślałem, że przestrzeń między stacją i kopułą nie jest hermetyczna, tylko wypełniona wodą.

- Stacja pierwotnie nie była przeznaczona do pracy na tak dużej głębokości. Pod takim ciśnieniem sama nie przetrwałaby dłużej niż godzinę lub dwie. Chroni nas kopuła. Ktoś mi wyjaśniał, że ściany stacji i kopuły wspierają się wzajemnie, jak w podwójnym kadłubie okrętu podwodnego czy jakoś tak. Szczerze mówiąc, nie bardzo to rozumiem.

Crane pokiwał głową. To wyjaśnienie było bardzo sensowne. Stacja rzeczywiście przypominała okręt podwodny ze szczelnym i odpornym na ciśnienie kadłubem wewnętrznym, lżejszym kadłubem zewnętrznym i zbiornikami balastowymi pomiędzy.

- Zauważyłem stopnie na zewnętrznych ścianach stacji. Do licha, do czego mają służyć?- Jak już powiedziałem, stacja miała zostać zainstalowana na znacznie mniejszej głębokości, gdzie kopuła nie byłaby potrzebna. Sądzę, że to stopnie dla płetwonurków, na przykład gdyby konieczne były jakieś naprawy.

Crane spojrzął za siebie. Z platformy widać było dwie poziome grube rury łączące przeciwne punkty na powierzchni kopuły ze środkiem stacji - szprychy ciśnieniowe, o których wspominał Asher. Podobno miały także pomagać w zrównoważeniu ogromnego ciśnienia. Z tego punktu rzeczywiście przypominały dwie szprychy wielkiego koła, ale zdaniem Crane'a

wyglądały raczej jak szpikulec różna, na który nabito całą stację. Mimo tych wszystkich zabezpieczeń, nie podobało mu się, że woda tak blisko otacza metalowe pudełko, w którym teraz mieszkał.

Przeszli przez rampę na platformę o powierzchni w przybliżeniu dwudziestu metrów kwadratowych, umocowaną do wewnętrznej powierzchni kopuły. W ścianie znajdował się potężny wąż strzeżony przez żołnierzy. Crane nie miał wątpliwości, że to wejście do śluzy, w której dokowała Wanna.

Na platformie czekało już kilkanaście osób: technicy w fartuchach laboratoryjnych i pracownicy zajmujący się konserwacją stacji w roboczych kombinezonach. Prawie wszyscy trzymali pojemniki różnej wielkości. Największe mieli pracownicy obsługi technicznej - pchali przed sobą czarne plastikowe wózki na kółkach, które z pewnością trudno było przepchnąć przez wszystkie włazy. Crane przypuszczał, że zawierają śmieci do wywozu na powierzchnię.

Obok włazu znajdowała się konsola sterownicza obsługiwana przez wysoką, bardzo ładną kobietę w mundurze. Nacisnęła kilka guzików i spojrzała na wyświetlacz.

- Przybije za dwie minuty - rzuciła przez ramię. Kilka osób niecierpliwie westchnęło.
- Znowu spóźnienie - mruknął ktoś z irytacją.

Crane prawie już nie czuł zawrotów głowy i nie trzymał się poręczy tak kurczowo, jak kilka minut wcześniej. Oderwał wzrok od kobiety przy konsoli i przyjrzał się konstrukcji kopuły. Jej łagodnie zakrzywiona powierzchnia została tak zaprojektowana, żeby wytrzymywała możliwie duże obciążenie, ale mimo to wydawała mu się wyjątkowo ładna. Trudno było sobie wyobrazić ogromny ciężar wody przygniatającej kopułę. Jako doświadczony podwodniak Crane wiedział, że lepiej o tym nie myśleć. Nieświadomie podniósł rękę i pogłaskał ścianę. Była sucha, gładka i zimna.

Renault niecierpliwie spojrzał na zegarek. Zwrócił się do Crane'a.

- No więc, doktorze - powiedział z wyraźną satysfakcją. - Gdy Wanna przybije, moi ludzie wyładują zapasy. Conrad sprawdzi, czy przyszło wszystko, co zamawialiśmy, i nic nie zostało zapomniane. Wszystko pod moim nadzorem. Jest pan zadowolony?

- Tak - odparł Crane.

- Przybije za minutę! - krzyknęła kobieta przy konsoli.

- Ma pan jeszcze jakieś pytania? - Renault zbliżył się do niego. Znowu zerknął na zegarek, jakby chciał powiedzieć: jeśli tak, to zadaj je teraz, gdy i tak marnuję swój cenny czas.

- Tylko kilka. Czy ktoś z pańskiego personelu miał ostatnio jakieś kłopoty zdrowotne?

- Człowiek od sosów miał infekcję zatok, ale to nie przeszkadzało mu pracować.

Crane spodziewał się takiej odpowiedzi. Teraz, gdy już się przekonał, że żywność jest transportowana w bezpieczny sposób, chciał skupić się na kwestii metali ciężkich. Zaczął wodzić oczami po otoczeniu - tłumie ludzi, atrakcyjnej kobiecie przy konsoli, grodzi z elektrycznie sterowanym włącznikiem obok niej. Na pokrywie skraplała się para i krople ściekały po ścianie. Miał ochotę pożegnać się i wrócić do kliniki, ale był pewny, że bez Renaulta i jego dokumentów nie przebrnie przez wszystkie posterunki.

Z drugiej strony grodzi dobiegł ich głuchy odgłos uderzenia. Platforma lekko zadygotała. Najwyraźniej Wanna wreszcie przybiła. Ludzie zaczęli się niecierpliwie kręcić, czekając na otwarcie włącznika.

- Dokowanie zakończone - zameldowała kobieta. - Rozpoczynam dekompresję włącznika.

- A co z zachowaniem? - spytał Crane głównego kucharza. - Czy ktoś zachowywał się w nietypowy lub dziwny sposób?

- Dziwny? - Renault zmarszczył brwi. - Pod jakim względem?

Crane nie odpowiedział. Przypadkowo spojrzął na grodz. Liczba kropeł wyraźnie wzrosła. Dziwne - pomyślał. - Dlaczego wzrosła szybkość kondensacji?

Nagle rozległ się dziwny, wysoki dźwięk, podobny do syku rozłuszczonego kota. Trwał tak krótko, że Crane nie był pewny, czy mu się nie wydawało. Ułamek sekundy później z miejsca na pokrywie, gdzie gromadziły się krople, wytrysnął strumień wody, cienki jak szpilka. Przez chwilę Crane przyglądał się temu, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Syczący strumień był idealnie poziomy, jak wiązka z lasera. Prosta kreska wody sięgała niemal do ściany stacji, odległej o trzydzieści metrów, nim wreszcie pod wpływem grawitacji zaczynała się lekko zakrzywiać.

Wszyscy zamarli. Ciszę przerwały dzwonki alarmowe.

- Przeciek w kopule! - rozległ się elektroniczny głos. - Dok C! Alarm!

Ludzie na platformie zaczęli krzyczeć. Kobieta w mundurze chwyciła słuchawkę.

- Mówi Waybright z przystani Wanny. Mamy przeciek przy przewodzie kontrolnym. Powtarzam, przeciek we włączniku doku Wanny! Proszę natychmiast przysłać ekipę naprawczą!

Ktoś wrzasnął z przerażenia i wszyscy cofnęli się na skraj platformy. Parę osób zaczęło iść po rampie w stronę stacji.

- Otwór się powiększył! - ktoś krzyknął.

- Nie możemy czekać na ekipę! - powiedział głośno magazynier i instynktownie wyciągnął rękę, żeby zatkać otwór.

- Nie! - krzyknął Crane, usiłując go powstrzymać. Nie zdążył - Lewą dłoń Conrada przeciął strumień wody.

Cienki strumień amputował każdy palec na wysokości drugiego stawu równie gładko i szybko, jak zrobiłby to chirurg skalpelem.

Na platformie zapanowało pandemonium: ludzie krzyczeli, płakali, ktoś wykrzykiwał rozkazy. Conrad osunął się na podłogę. Ścisnął okaleczoną rękę i przyglądał się jej z ustami otwartymi ze zdziwienia. Na galerii zadudniły ciężkie kroki - to biegli ludzie z ekipy ratunkowej, ubrani w ciężkie kombinezony, ciągnąc za sobą sprzęt. Crane ukląkł. Uważnie unikając morderczego strumienia wody, pozbierał obcięte palce i schował do kieszeni.

18

Admirał Terrence Ulysses Spartan stał w rogu metalowej platformy. Wyprostowany jak trzcina bez słowa przyglądał się całej scenie. Gdy przyszedł tu dziesięć minut temu, na platformie panował bałagan. Wszędzie kręcili się sanitariusze, inżynierowie, członkowie ekipy ratowniczej, marynarze, żołnierze. Jakiś spanikowany naukowiec wpadł w histerię i nie chciał się ruszyć. Teraz było już znacznie spokojniej. Dwaj żołnierze stali po drugiej stronie rampy i nie wpuszczali nikogo na platformę. Kilku inżynierów i ratowników zamknęło już przeciek płytką z tytanu. Woźny klęczał na podłodze i wycierał krew z metalowej kratki.

Spartan patrzył na to ze zmarszczonymi brwiami. Gardził błędami i nie był skłonny ich tolerować. W żadnej operacji wojskowej nie ma miejsca na błędy. Dotyczyło to zwłaszcza tak złożonej instalacji jak podwodna stacja, gdzie ryzyko było ogromne, a stawka bardzo wysoka. Stacja stanowiła niezwykle skomplikowany system, fantastyczny zbiór wzajemnie powiązanych układów. Przypominała ludzki organizm. Sam fakt, że działała, i to dobrze, był cudem techniki. Wystarczyłaby jednak awaria jednego układu, żeby nastąpiła reakcja łańcuchowa i zaraz wysiadłyby następne. Organizm zmarłby. Stacja zostałaby zniszczona.

Spartan zmrzążył oczy. W rzeczywistości niewiele brakowało, a to wydarzenie uruchomiłoby taką lawinę. Co gorsza, najwyraźniej było skutkiem czegoś znacznie bardziej niepokojącego i niedopuszczalnego niż awaria - celowego działania człowieka.

Kątem oka Spartan zarejestrował jakiś ruch. Gdy spojrzał w tamtym kierunku, zobaczył szczupłą sylwetkę komandora porucznika Korolisa, który nadchodził galerijką ze stacji. Gdy zbliżył się do rampy, dwaj wartownicy natychmiast usunęli się na bok, żeby go przepuścić.

Korolis podszedł do admirała i sprężysto zasalutował. Spartan kiwnął głową w odpowiedzi. Korolis cierpiał na zeza rozbieżnego: gdy jednym okiem patrzył wprost, drugie

było skierowane nieco w bok. Stał na wprost kogoś, ale trudno się było zorientować, czy rzeczywiście patrzy na daną osobę. Często wyprowadzało to ludzi z równowagi i okazywało się bardzo przydatne podczas przesłuchań. Spartan nie aprobował jego obsesji na punkcie tajemnicy wojskowej - nie znosił żadnych obsesyjnych zachowań swych podwładnych - ale musiał przyznać, że Korolis był bardzo lojalnym oficerem.

Komandor niósł pod pachą cienką, białą teczkę. Teraz podał ją admirałowi. Spartan otworzył ją. W środku była jedna zadrukowana kartka.

Admirał zamknął teczkę, nie czytając jej zawartości, i spojrzał na Korolisa.

- Czy to zostało potwierdzone? - spytał. Korolis kiwnął głową.

- Działanie celowe?

- Tak - odpowiedział komandor cicho. - Mieliśmy szczęście, że pęknięcie nastąpiło akurat w tym miejscu.

- Dobrze. A pana ludzie?

- Będą tu za kilka minut.

- Zrozumiałem. - Admirał odprawił go skinieniem głowy.

Spartan z namysłem patrzył, jak Korolis wraca na stację. Dopiero gdy komandor zniknął za wjazdem, admirał znowu otworzył teczkę i spojrzał na kartkę. Jeśli treść wywarła na nim wrażenie, mocno zacisnął szczęki, a na szyi, nad kołnierzykiem, pojawił się rumieniec, który stopniowo ogarniał całą twarz.

Jego uwagę zwróciły podniesione głosy. To Asher krzyczał na wartowników, którzy nie pozwolili mu przejść na platformę. Asher krzyknął do Spartana, który dał żołnierzom znak, żeby go wpuścili. Natychmiast się rozstąpili. Asher wszedł na platformę, lekko dysząc z wysiłku.

- Co pan tu robi, doktorze? - spytał Spartan.

- Przyszedłem z panem porozmawiać.

- Tego już się domyśliłem.

- Nie odpowiadał pan na moje telefony i e-maile.

- Byłem zajęty. Miałem ważne sprawy.

- To, co panu posłałem, również jest ważne. To sprawozdanie naszego badacza dotyczące informacji znalezionych w bibliotece zamku Grimwold. Czy pan je przeczytał?

Spartan patrzył przez chwilę na pracowników uszczelniających przeciek, po czym wrócił do rozmowy.

- Przejrzałem je.

- Zatem powinien pan wiedzieć, o czym mówię.

- Szczerze mówiąc, doktorze, jestem nieco zdziwiony. Jak na człowieka nauki, wydaje się pan zbyt łatwowierny. Cała sprawa może być wytworem wyobraźni. Wie pan, jacy ludzie byli wówczas przesądni: trudno zliczyć relacje o demonach, czarownicach, potworach morskich i innych bzdurach. Nawet jeśli ta relacja dotyczy rzeczywistych wydarzeń, nie ma powodu sądzić, że jest związana ze zdarzeniem, które nas interesuje.

- Gdyby przeczytał pan dokumenty, które przesłałem, dostrzegłby pan podobieństwa. - Asher, normalnie spokojny i opanowany, był wyraźnie wzburzony. - Oczywiście możliwe, że nie ma związku między tymi dwoma zdarzeniami, ale jedno wynika z nich z całą pewnością. Musimy zwolnić i lepiej zbadać, co tam właściwie jest.

- Jedynym sposobem osiągnięcia tego celu są dalsze prace wykopaliskowe. Już sporo się dowiedzieliśmy, sporo znaleźliśmy. Kto jak kto, ale pan powinien sobie zdawać z tego sprawę.

- Tak, i proszę spojrzeć na wyniki. Zdrowi ludzie zaczynają chorować alarmująco często. Ludzie niemający w przeszłości żadnych problemów psychicznych, nagle wpadają w psychozę.

- Sprowadził pan kogoś na pokład, żeby się tym zajął. Co on robi?

- Pracuje ze związanymi rękami. - Asher zbliżył się do admirała. - Ponieważ pan nie dał mu prawa wstępu na dolne poziomy. Tam gdzie kryją się prawdziwe problemy.

- Już to omawialiśmy. - Spartan uśmiechnął się lodowato. - Najważniejsze jest bezpieczeństwo. Peter Crane może stanowić zagrożenie.

- On jest znacznie mniejszym zagrożeniem niż... Spartan nakazał mu gestem milczenie. Asher cofnął się o krok i spojrzał w kierunku, w którym patrzył admirał. Na platformie pojawiła się nowa osoba: muskularny, opalony mężczyzna w ciemnym mundurze bojowym, z ciemną, brezentową torbą. Miał krótko obcięte szare włosy i poruszał się, lekko utykając. Podszedł do admirała, stanął na baczność i zasalutował.

- Bosman Woburn melduje się na rozkaz.

- Gdzie są pańscy ludzie, bosmanie?

- Czekają przy kompleksie dekompresyjnym.

- Proszę do nich dołączyć. Polecę komandorowi Korolisowi zaprowadzić was na kwaterę.

- Tak jest, panie admirale. - Woburn znowu zasalutował, zrobił w tył zwrot i odmaszerował.

Spartan wrócił do rozmowy z Asherem.

- Rozważę pańskie żądanie - powiedział.

Asher milczał w obecności Woburna, ale przyjrzał się jego twarzy i insygniom na mundurze.

- Kto to był? - spytał Spartan.

- Z pewnością pan słyszał. Bosman Woburn.

- Jeszcze jacyś wojskowi? To chyba jakaś pomyłka.

- Żadna pomyłka. - Spartan pokręcił głową. - Zostali ściągnięci na prośbę komandora Korolisa i będą podlegać bezpośrednio jemu. Jego zdaniem do zapewnienia bezpieczeństwa stacji konieczni są dodatkowi ludzie.

Asher się nachmurzył.

- Sprowadzenie dodatkowego personelu wymaga naszej wspólnej decyzji, admirale. Konieczna jest zgoda nas obu. Sądząc po odznakach, ten człowiek...

- Nie bawmy się w demokrację, doktorze. Nie wtedy, gdy zagrożone jest bezpieczeństwo stacji. W tej chwili zagrożenie wydaje się bardzo poważne. - Spartan lekkim ruchem głowy wskazał grupę inżynierów w drugim końcu platformy. Asher rzucił okiem w tamtą stronę.

- Co z tym przeciekiem? - spytał.

- Jak pan widzi, został zlikwidowany. Z powierzchni została wysłana ratownicza jednostka podwodna, która położy arkusz zabezpieczający od zewnątrz. Zastosowano tymczasowe uszczelnienie od wewnątrz, dopóki nie znajdzie się trwałe rozwiązanie. To nieco potrwa. Został uszkodzony fragment długości około metra.

- Metra? - zdziwił się Asher. Zmarszczył brwi. - Przecież otwór jest wielkości szpilki.

- Tak. Załedwie szpilki. Miał być znacznie większy. Asher przez chwilę przetrwał jego słowa.

- Nie jestem pewny, czy dobrze pana zrozumiałem.

Spartan kiwnął głową w kierunku inżynierów.

- Widzi pan grodz przymocowaną do powłoki kopuły? To tam nastąpił przeciek. Prowadzi prosto do miejsca, gdzie są zamontowane układy elektryczne i magnetyczne sterujące włazem. Gdy ekipa ratunkowa uszczelniła otwór, znalazła nacięcie długości dziewięćdziesięciu centymetrów, od otworu do gniazda układów.

- Nacięcie - powtórzył powoli Asher.

- Wykonane od wewnątrz za pomocą przenośnego lasera. Potwierdzi jeszcze to dokładna analiza. Nacięcie mogło spowodować awarię całej grodzi. Grodz mogła pęknąć w każdej chwili, ale oczywiście było to bardziej prawdopodobne pod obciążeniem, na przykład podczas dokowania. Na szczęście rysa była nierówna, w niektórych miejscach głębsza, gdzie

indziej płytsza. Dlatego najpierw pojawił się pojedynczy otwór. Gdyby nacięcie spowodowało planowane skutki, otwór spowodowałby natychmiast pęknięcie grodzi wzdłuż całego nacięcia, zatopienie śluzy... - Admirał nie dokończył zdania.

- Oraz awarię wjazdu - mruknął Asher. - Doszłoby do ogromnego przecieku w kopule.

- Do katastrofalnego przecieku.

- Wspomniał pan o nacięciu. Czy chce pan powiedzieć, że to nie był wypadek, tylko rozmyślny... akt sabotażu?

Admirał Spartan przez chwilę zwlekał z odpowiedzią. W końcu, nie spuszczać wzroku z Ashera, przycisnął palec wskazujący do ust.

19

Crane oderwał oko od czarnej, gumowej osłony okularu i przetarł twarz. Rozejrzał się po laboratorium. Czekał, aż jego oczy dostosują się do normalnego patrzenia. Powoli widział coraz ostrzej: teraz dostrzegał już laboranta pracującego w drugim końcu pokoju - badał skład chemiczny próbki, wykonując miareczkowanie. Po drugiej stronie stołu siedziała Michele Bishop, podobnie jak on pochylona nad przeglądarką. Ona też podniosła głowę. Spojrzeli sobie w oczy.

- Chyba jest pan równie zmęczony jak ja - powiedziała.

Crane pokiwał głową. Był zupełnie wykończony. Pracował od dwudziestu godzin bez przerwy. Najpierw przyszył Conradowi obcięte palce, co było trudną i wyczerpującą operacją, a potem starał się znaleźć dowody potwierdzające jego przypuszczenie, iż przyczyną chorób jest zatrucie metalem ciężkim.

Znużeniu towarzyszyło rozczarowanie. Jak dotąd nie znaleźli w organizmach chorych pracowników stacji żadnych śladów metali ciężkich. Badali próbki włosów, moczu i krwi, ale wszystko na nic. Bishop i on oglądali wyniki otrzymane w spektrometrze analizy fluorescencyjnej rentgenowskiej z dyspersją energii, ale niczego nie znaleźli.

Crane ciężko westchnął. Jeszcze niedawno był przekonany, że znalazł wyjaśnienie zagadki. W miarę jak kolejne testy dawały wyniki negatywne, stawało się coraz bardziej oczywiste, że nie miał racji.

- Musi pan odpocząć - powiedziała Bishop. - Jeszcze trochę, a sam będzie pan pacjentem.

Crane znowu ciężko westchnął.

- Chyba ma pani rację. Tak było. Bolały go oczy. Jeszcze trochę, a nie zdoła poprawnie interpretować widm rentgenowskich. Wstał, pożegnał się z Bishop i pozostałymi pracownikami, po czym wyszedł z kliniki.

Wprawdzie większa część stacji wciąż stanowiła dla niego *terra incognita*, ale drogę z kliniki do swojej kabiny znał już tak dobrze, że pokonywał ją zupełnie automatycznie. Do Times Square, w lewo obok biblioteki i kina, jedno piętro w górę windą, w lewo i dwa razy w prawo. Ziewając, otworzył zamknięte na klucz drzwi kabiny. Nie umiał już jasno myśleć. Po sześciu godzinach snu zyska nowe spojrzenie na problemy i może znajdzie odpowiedź.

Wszedł do środka, znowu ziewnął i położył palmtop na biurku. Obrócił się i zamarł.

Na fotelu siedział Howard Asher, a obok stał jakiś człowiek w laboratoryjnym kitlu. Crane zmarszczył brwi.

- Co wy tu... - zaczął.

Asher uciszył go gestem, po czym dał znak mężczyźnie w fartuchu. Obcy zamknął drzwi do kabiny, po czym podszedł do łazienki i również zamknął drzwi.

Asher odkasznął. Od partii squasha Crane widział go tylko przelotnie. Główny uczoney wydawał się wyczerpany, chory, a jego oczy miały taki wyraz, jakby prześladowały go demony.

- Jak ręka? - spytał Crane.

- Od dwóch dni bardziej boli - przyznał Asher.

- Musisz uważać. Niedokrwienie może spowodować owrzodzenie, a nawet martwicę, jeśli dojdzie do uszkodzenia przewodnictwa nerwowego. Powinieneś pozwolić mi... Asher znowu przerwał mu gestem.

- Teraz nie ma na to czasu. Muszę z tobą porozmawiać. Rogera nie ma w sąsiedniej kabinie, ale może wrócić w każdej chwili.

Crane z pewnością się tego nie spodziewał. Kiwnął głową, choć nie miał pojęcia, o co chodzi.

- Może usiądziesz? - zaproponował Asher, wskazując mu krzesło przy biurku. Począł, aż Crane obróci krzesło i zajmie miejsce.

- Za chwilę przekroczysz próg, Peter - powiedział cicho. - Powiem ci coś, a gdy się tego dowiesz, nie będziesz już mógł się wycofać. Twoja sytuacja zmieni się, i to już na zawsze. Świat będzie dla ciebie zupełnie inny. Rozumiesz to?

Crane obliznął wargi i kiwnął głową. Asher spojrzał na niego, odwrócił wzrok, spojrzał znowu, tak jakby zbierał siły do tej rozmowy.

- Mam wrażenie, że chcesz przyznać, iż wtedy na korcie miałem rację - wtrącił Crane.
- Tu wcale nie chodzi o Atlantyde, prawda?

Na twarzy Ashera pojawił się słaby uśmiech.

- Prawda jest nieskończenie dziwniejsza. Crane poczuł w brzuchu zimny skurcz. Asher opuścił ręce na kolana.

- Czy słyszałeś kiedyś o nieciągłości Mohorovičića? Crane zastanawiał się chwilę.

- Brzmi znajomo, ale nie mogę sobie przypomnieć.

- Znana jest również jako nieciągłość M lub po prostu jako Moho.

- Moho. Oczywiście. Już pamiętam. Mówił o tym profesor geologii morskiej w Annapolis.

- Wiesz zatem, że jest to granica między ziemską skorupą i leżącym poniżej płaszczem. Crane kiwnął głową.

- W różnych regionach na ziemi Moho znajduje się na różnej głębokości. Na przykład, skorupa jest znacznie grubsza pod kontynentami niż oceanami. Na terenie szelfu kontynentalnego Moho może przebiegać na głębokości stu dziesięciu kilometrów, natomiast w pewnych miejscach na grzbietach śródoceanicznych znajduje się na głębokości zaledwie ośmiu kilometrów.

Asher pochylił się do przodu i jeszcze bardziej ściszył głos.

- Stacja *Głęboki Sztorm* stoi na takim grzbiecie - dokończył.

- Chcesz zatem powiedzieć, że stacja znajduje się w miejscu, gdzie Moho - granica między skorupą i płaszczem - jest bardzo płytko pod powierzchnią.

Asher pokiwał głową.

Crane przełknął ślinę. Nie miał pojęcia, do czego zmierza Asher, ale instynktownie czuł, że zaraz usłyszy jakąś sensację.

- Powiedzieliśmy ci tę samą historyjkę, jaką znają wszyscy pracownicy z górnych pięter stacji. W czasie rutynowych wierceń nafciarze z platformy *Król Sztormu* znaleźli na dnie ślady starożytnej cywilizacji. To prawda, ale tylko w pewnej mierze.

Asher wyciągnął z kieszeni chusteczkę i wytarł czoło.

- Cała prawda wygląda następująco. Nie znaleźli żadnych artefaktów, fragmentów budowli, nic takiego, natomiast zarejestrowali sygnał.

- Sygnał? Jaki sygnał, fale radiowe?

- Natura sygnału jest niejasna. Ma raczej charakter sejsmiczny, to niemal coś w rodzaju sonaru, ale nie rozumiemy jeszcze zasady jego działania. Jednego możemy być pewni: to nie jest zjawisko naturalne. Nim wyjdę z tego pokoju przedstawię ci dowody.

Crane otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale milczał. To było zdumiewające, szokujące, trudne do zaakceptowania.

Widząc wyraz jego twarzy, Asher uśmiechnął się, ale wyglądało to dość żałośnie.

- Tak, Peter. Teraz najtrudniejsza część. Widzisz, sygnał pochodzi z miejsca poniżej Moho. Spod skorupy ziemskiej.

- Spod skorupy? - mruknął Crane. Niewiarygodne. Asher kiwnął głową.

- Ale to oznaczałoby...

- Właśnie. Niezależnie od tego, jak jest zbudowany nadajnik sygnałów, to nie my go tam umieściliśmy. Zrobił to ktoś inny. Lub coś innego.

20

W kabinie zapadła cisza. Crane siedział bez ruchu, usiłując przyjąć do wiadomości słowa Ashera. Powoli do niego docierało ich prawdziwe znaczenie.

- Pomyśl o tym chwilę, Peter - powiedział łagodnie Asher. - Wiem, że trudno przełknąć coś takiego.

- Nie jestem pewny, czy ci wierzę - odparł Crane. - Jesteś pewny, że nie popełniono żadnego błędu?

- Tak, jestem pewny. Ludzkość nie dysponuje żadną techniką pozwalającą na umieszczenie jakiegos urządzenia poniżej skorupy, a zwłaszcza nadajnika złożonego sygnału. Jak zapewne wiesz, z powodu zmiany fazowej na nieciągłości Mohorovicicia urządzenia odbiorcze na powierzchni ziemi nie są dostatecznie czułe, żeby zarejestrować fale dochodzące z warstw poniżej skorupy. W tej części oceanu biegnie jednak Grzbiet Śródatlantycki, przez co Moho znajduje się bardzo płytko. To - w połączeniu z bardzo dużą głębokością odwiertów - doprowadziło do przypadkowego zarejestrowania sygnałów, które normalnie są pochłaniane.

Crane siedział przez chwilę w milczeniu. Przesunął się na krześle.

- Mów dalej.

- Oczywiście rząd natychmiast postanowił rozpocząć wykopaliska w celu dotarcia do źródła sygnału, żeby ustalić jego charakter. Przygotowanie akcji i sprzętu zajęło trochę czasu. Sprawa jest bardzo trudna ze względu na dużą głębokość. Stacja została zbudowana w innym celu i nie była dostosowana do pracy na takiej głębokości. Z tego względu konieczna była kopuła.

- Ile czasu pochłonęły przygotowania?

- Dwadzieścia miesięcy.

- Co takiego? - To był szok. - General Motors potrzebuje więcej czasu na zaprojektowanie nowego samochodu.

- To dowodzi, jak poważnie rząd traktuje to przedsięwzięcie. W każdym razie wykopaliska rozpoczęły się miesiąc temu. Pracujemy w ekspresowym tempie i sporo udało się już zrobić. Wydrążyliśmy pionowy szyb pod stacją. Niedługo dotrzemy do płaszcza i zbliżymy się do źródła.

- Jak to możliwe? Przecież na takiej głębokości skały są płynne?

- Mamy szczęście, bo na grzbiecie śródoceanicznym skorupa jest stosunkowo cienka. Efekty geotermiczne są stosunkowo niewielkie, a ciepło emitowane podczas rozpadu pierwiastków promieniotwórczych znacznie mniejsze niż w skorupie kontynentalnej. Analiza fal P i S wskazuje, że litosfera sięga na głębokość tylko czterech kilometrów. „Tylko” to oczywiście określenie względne.

- Musi być jakieś logiczne, ziemskie wyjaśnienie. - Crane pokręcił głową. - Może to Rosjanie coś tam zainstalowali. Albo Chińczycy. A może to jednak jakieś zjawisko naturalne? Z wykładów z geologii pamiętam przede wszystkim to, jak mało wiemy o budowie naszej planety poza cieniutką warstwą powierzchniową.

- Nie maczali w tym palców Rosjanie ani Chińczycy. Obawiam się również, że zbyt wiele dowodów przemawia przeciw hipotezie zjawiska naturalnego. Na przykład budowa geologiczna. Normalnie umieszczenie czegoś na dużej głębokości pod ziemią musi spowodować poważne geologiczne zmiany. Powinniśmy tu znaleźć podwodny odpowiednik krateru Meteor. Warstwy osadowe są jednak praktycznie nienaruszone. Wyobraź sobie dziecko, które kopie dół na plaży, chowa na dnie muszelkę i zasypuje dziurę piaskiem. Żadne ziemskie zjawisko nie może tego wyjaśnić.

- Musi być jakieś wyjaśnienie - odpowiedział Crane.

- Nie. Sądzę, że prawdziwe wyjaśnienie wymaga odwołania się do czynników, hm, pozaziemskich. Widzisz, znaleźliśmy pewne artefakty. - Asher skinieniem głowy dał sygnał mężczyźnie w białym kitlu. Tamten podszedł do ściany, ukląkł, otworzył duże plastikowe pudło. Wyciągnął coś i podał to Asherowi.

Crane patrzył z zaciekawieniem na sześcienny przedmiot pokryty metalową osłoną. Asher spojrzał mu w oczy.

- Pamiętaj, co ci powiedziałem, Peter. O progu.

Asher wyciągnął sześcian z osłony i podał go Crane'owi. Była to pusta w środku kostka z pleksiglasu, ze starannie zaklejonymi wszystkim krawędziami.

W kostce wisiał jakiś przedmiot. Crane wziął sześcian z rąk Ashera i przyjrzał mu się uważnie. Sekundę później wydał okrzyk zdziwienia.

W samym środku kostki lewitował przedmiot wielkości klocka domino. Emitował ciekłą wiązkę intensywnie białego światła, skierowaną w stronę sufitu. Sam nie miał określonego koloru, lecz raczej mienił się wszystkimi barwami tęczy i ich kombinacjami, których Crane nigdy nie widział, a nawet sobie nie wyobrażał. Stale zmieniające się kolory emanowały ze środka, tak jakby w tym tajemniczym przedmiocie płonął wewnętrzny ogień.

Crane obracał sześcian, przypatrując się tajemniczemu przedmiotowi. Niezależnie od pozycji sześcianu obiekt zawsze ustawiał się dokładnie w środku. Crane zbadał sześcian szukając ukrytych przewodów lub magnesów, ale było to zwykłe pudełko z przezroczystego pleksiglasu - żadne triki nie wchodziły w grę.

Potrząsnął sześcianem, najpierw łagodnie, potem coraz gwałtowniej. Pulsujący przedmiot za każdym razem chwilę się kołysał, po czym zawisał w środku kostki. Spokojnie wisiał w powietrzu, emitując wiązkę światła pionowo do góry.

Crane podniósł sześcian i przyjrzał się tajemniczemu obiektowi z bliska. Niemal otworzył usta ze zdziwienia. Z tej odległości dostrzegł, że krawędzie przedmiotu nie są dobrze określone. Klocek lekko pulsował, krawędzie na przemian wydawały się ostre i nieco zaokrąglone. Wydawało się, że jego masa i rozmiary nieustannie fluktuują.

Z trudem dotarło do niego, że ktoś coś mówi. Oderwał oczy od sześcianu. Asher stał obok. Uśmiechnął się i wyciągnął rękę. Po krótkiej chwili wahania Crane niechętnie oddał mu kostkę. Główny uczony włożył ją do metalowej osłony i podał asystentowi, który schował ją do pudła.

Crane kilka razy zamrugał. Odchylił się do tyłu na krześle.

- Do diabła, co to takiego? - spytał po chwili.

- Nie wiemy, do czego to ma służyć.

- Z czego jest zbudowane?

- Nie wiadomo.

- Czy jest niebezpieczne? Czy może być źródłem problemów medycznych na stacji?

- Oczywiście też o tym pomyślałem. Jak wszyscy. Wydaje się jednak, że jest zupełnie nieszkodliwe.

- Jesteś pewny?

- Od razu zbadaliśmy, czy emituje jakieś promieniowanie. Nie, jest całkowicie bierne.

Wszystkie późniejsze testy potwierdziły tę diagnozę. Umieściłem to w sześcianie z

pleksiglasu, ponieważ inaczej dość trudno sobie z tym poradzić - zawsze dąży do środka pomieszczenia, w którym się znajduje i tam lewituje.

- Skąd to masz?

- Zostało znalezione podczas kopania szybu. Dotychczas zebraliśmy kilkanaście sztuk.

- Asher na chwilę przerwał. - Gdy zaczynaliśmy, wydawało się, że zadanie jest proste i dobrze określone. Mieliśmy tak szybko, jak to tylko możliwe bez zbytecznego ryzyka, dokopać się do źródła sygnału. - Wskazał gestem pudło. - No, ale gdy znaleźliśmy pierwsze takie obiekty... sytuacja się skomplikowała.

Asher usiadł, pochylił się i mówił dalej konspiracyjnym szeptem.

- Te klocki są naprawdę niezwykle, nawet bardziej niż nam się wydaje. Sprawiają wrażenie niezniszczalnych. Są całkowicie odporne na wszelkie czynniki zewnętrzne, jakim je poddawaliśmy w kontrolowanych warunkach. Absorbują pewne typy promieniowania, inne odbijają. No i jeszcze jedno: działają jak kondensatory.

- Kondensatory? - powtórzył Crane. - Czyli jak baterie? Asher pokiwał głową.

- Jaką mają moc?

- Nie ustaliliśmy górnej granicy. Po włączeniu do obwodu, przekraczają zakres wszystkich naszych aparatów pomiarowych.

- Ile wynosi zmierzona moc?

- Bilion watów.

- Co takiego? W takim małym przedmiocie jest zmagazynowana taka energia?

- Gdybyś umieścił to w samochodzie, miałbyś dość energii elektrycznej, żeby przejechać dwieście tysięcy kilometrów. To jeszcze nie wszystko. - Asher sięgnął do kieszeni fartucha, wyciągnął kopertę i podał ją Crane'owi.

Crane otworzył kopertę. Zobaczył kartkę z wydrukowanym szeregiem zer i jedynek:

0000011111101010001101011001110010000101

0001001100010100011010011000010000000000

0000011111101010001101011001110010000101

0001001100010100011010011000010000000000

0000011111101010001101011001110010000101

0001001100010100011010011000010000000000

- Co to takiego? - spytał.

- Wiązka światła emituje sygnały. Nie jest ciągła, lecz pulsuje miliony razy na sekundę. Impulsy są bardzo regularne, dobrze rozdzielone. Wiązka jest włączona lub wyłączona.

- Jedyneki i zera. Cyfrowy sygnał.

- Tak sądzę. To podstawa działania wszystkich komputerów na świecie, a także neuronów w mózgu. To fundamentalna zasada natury. To niewielkie urządzenie jest niewiarygodnie wyrafinowane. Dlaczego nie miałyby wysyłać cyfrowych komunikatów? - Asher popukał palcem w kartkę. - To powtarzająca się sekwencja osiemdziesięciu znaków. Znacznie krótsza niż drugi komunikat nadawany spod Moho, ten, który został pierwszy zarejestrowany.

- Powiedziałeś drugi komunikat. Uważasz zatem, że w tych impulsach światła jest zakodowana jakaś wiadomość dla nas?

- Tak. Kryje się w nich jakiś komunikat, jeśli potrafimy go odszyfrować.

Crane podniósł kartkę.

- Mogę to zatrzymać?

- Proszę bardzo - zgodził się Asher po chwili wahania. - Ale nie pokazuj nikomu.

Crane schował kartkę do koperty i położył ją na biurku. Te klocki. Czy są rozmieszczone w osadach w jakiś regularny, logiczny sposób?

- Niczego nie zauważyliśmy. Wydaje się, że są rozrzucone zupełnie przypadkowo. Oczywiście poszukiwania ograniczają się do szybu. Na tej głębokości ciśnienie jest bardzo poważnym problemem, a z każdym metrem wzrasta.

- Powiedziałeś, że dążycie do źródła sygnału. Co dalej?

- To kolejna komplikacja. - Asher znowu na chwilę przerwał. - Gdy opuściliśmy do szybu ultrasonografy, okazało się, że coś kryje się poniżej poziomu, na którym znaleźliśmy te kostki. Jakiś duży obiekt, położony jeszcze głębiej niż źródło.

- Co to za obiekt?

- Wiemy, że ma kształt torusa. Jest bardzo duży - ma średnicę wielu kilometrów. To wszystko, co wiadomo.

- Musicie mieć jakieś teorie. - Crane pokręcił głową.

- O funkcji tego torusa? Oczywiście. - Asher trochę się rozluźnił, jak ktoś, kto wyznał bolesną prawdę. - Po wielu dyskusjach naukowcy i wojskowi doszli do wniosku, że to coś zostało tam umieszczone, żeby ludzkość to odkryła, gdy już osiągnie dostatecznie wysoki poziom rozwoju.

- Coś w rodzaju prezentu? - spytał Crane.

- Możesz tak to nazwać. Kto może stwierdzić w taki lub inny sposób, jakich odkryć ludzkość dokonała samodzielnie, a jakie dostaliśmy w prezencie? Na przykład, czy ogień nie był darem z gwiazd? Lub żelazo? Lub umiejętność budowy piramid?

- Dar z gwiazd - powtórzył Crane, sceptycznie kręcąc głową.

- Grecy wierzyli, że Prometeusz wykradł ogień bogom. W innych krajach są znane podobne mity. Kto może twierdzić, że nie ma tu pewnej regularności? Gdy już będziemy mieli środki techniczne, żeby zarejestrować sygnał spod Moho, gdy już wydobędziemy nadajnik, będziemy gotowi wykonać następny krok.

- No, a ten zakopany obiekt, który usiłujecie wydobyć zawiera użyteczne rozwiązania techniczne. Jakaś pokojowa technologia, którą odkryjemy, gdy będziemy gotowi do jej wykorzystania.

- Właśnie. Taka, na jakiej opiera się działanie tego urządzenia, które ci pokazałem. Coś, co pozwoli ludzkości na dalszy rozwój, na wykonanie kolejnego kroku, o czym już wspomniałem.

Zapadła cisza. Crane przetrawiał słowa Ashera.

- Na czym zatem polega problem?

- Początkowo było to dla mnie równie pewne jak dla wszystkich. Ostatnio nabrałem pewnych wątpliwości. Widzisz, wszyscy chcą wierzyć, że tam w dole jest coś cudownego. Moi uczeni marzą o nowych kierunkach badań. Wojskowi ślinią się na myśl o nowej technice, którą zapewne można by wykorzystać do budowy broni. Skąd jednak możemy mieć pewność, co się tam kryje? Cyfrowe sygnały są niczym okruchy chleba wskazujące drogę do spizarni. Dopóki jednak nie odszyfrujemy wiadomości, nie możemy mieć pewności, co tam zakopano.

Asher znowu wytarł pot z czoła.

- Potem zdarzyło się jeszcze coś ważnego. Zawsze zakładaliśmy, Peter, że te obiekty zostały tam umieszczone bardzo dawno temu, zapewne przed milionami lat. Kilka dni temu odkryliśmy, że przydarzyło się to stosunkowo niedawno - około tysiąc czterechsetnego roku. Wtedy zdałem sobie sprawę, że mogły się zachować pisemne relacje naocznych świadków. Posłałem mediewistę, żeby odwiedził biblioteki, klasztory i uniwersytety w tym regionie - wszystkie miejsca, gdzie mogą się znajdować takie dokumenty. Udało mu się znaleźć coś w zamku Grimwold, starym klasztorze niedaleko północnych wybrzeży Szkocji. - Twarz Ashera spochmurniała. - To niepokojąca, przerażająca lektura.

- Czy jesteś pewny? Czy ta relacja na pewno dotyczy tego zdarzenia?

- Pewności nie ma.

- Czy mogę ją przeczytać?

- Dam ci kopię. Nasuwa się prosty wniosek: jeśli założyć, że relacja dotyczy tego zdarzenia, to jest to najbardziej dobitne ostrzeżenie, jakie mogę sobie wyobrazić.

- Ostrożność to niewątpliwie rozsądna taktyka. - Crane wzruszył ramionami. - Zwłaszcza że nie odszyfrowaliście sygnałów cyfrowych.

- Owszem, ale marynarka prze całą naprzód. Admirał Spartan i ja nie zgadzamy się w tej kwestii. On najbardziej się lęka, że jakieś inne państwo dowie się o tym odkryciu. Chce jak najszybciej dotrzeć do poszukiwanego obiektu, zbadać go i wysłać próbki do Groom Lake.

- Czy ktokolwiek poza dopuszczonymi do tajemnicy wie o tym? - spytał Crane, pocierając w zamyśleniu brodę.

- Kilka osób. Plotki krążą. Większość uczonych podejrzewa, że nie chodzi tu tylko o Atlantyde. - Asher nagle wstał i zaczął krążyć po pokoju. - Są jeszcze inne powody, żeby zachować ostrożność. Wiemy, że skorupa składa się z trzech warstw: osadowej, bazaltowej i gabra. Przekopaliśmy się już przez pierwsze dwie i prawie dotarliśmy do trzeciej, najgłębszej. Poniżej znajduje się Moho, sejsmiczna nieciągłość na styku skorupy i płaszcza. W istocie nikt nie wie, jaki charakter ma ta nieciągłość i co się stanie, gdy na nią trafimy. Im silniej protestuję, tym bardziej ja i Krajowa Służba Oceaniczna jesteśmy spychani na margines. Na stację przybyli kolejni żołnierze, i to nie z normalnych formacji marynarki. To „czarni” komandosi, bardzo niebezpieczni.

- Tacy jak Korolis - wtrącił Crane.

Na twarzy głównego uczonego pojawił się gniewny grymas.

- To Korolis zażądał, żeby ich ściągnąć. Są podporządkowani bezpośrednio jemu. W każdym razie lękam się, że Spartan wkrótce przejmie pełne dowodzenie nad tą operacją a Korolis będzie pilnował wykonania jego rozkazów. Jeśli będę zbyt wiele protestował, zostanę pewnie zwolniony ze stanowiska i wyrzucony ze stacji. - Asher nagle się zatrzymał i spojrzał na Crane'a. - I tutaj zaczyna się twoja rola.

- Moja rola? - Crane spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Bardzo cię przepraszam, Peter. Nie zamierzałem zwałać na ciebie ciężaru tej wiedzy i odpowiedzialności. Miałem nadzieję, że szybko poradzisz sobie z problemami medycznymi i wrócisz na powierzchnię, nadal wierząc, że odkryliśmy Atlantyde. Wobec znalezienia relacji naocznego świadka i coraz bardziej agresywnego zachowania Spartana... nie pozostało mi nic innego, jak zwrócić się do ciebie.

- Dlaczego do mnie? Wiele ryzykujesz, opowiadając mi to wszystko.

Asher uśmiechnął się ze znużeniem.

- Odrobiłem pracę domową pamiętasz? Moi ludzie to uczeni. Za bardzo boją się takich ludzi jak Korolis, żeby mi pomóc. Ty natomiast nie tylko jesteś ekspertem w dziedzinie chorób osób pracujących pod wodą lecz także służyłeś na zwiadowczym okręcie podwodnym.

Obawiam się, że to przedsięwzięcie już wkrótce będzie miało taki charakter. Być może to jeszcze nie wszystko.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Crane zmarszczył brwi.

- Chcę powiedzieć, że z każdym dniem zbliżamy się do Moho. Nie mogę dłużej czekać. Tak czy inaczej musimy się dowiedzieć, co kryje się na dole, nim dotrą tam koparki Spartan.

- Dlaczego jesteś taki pewny, że opowiem się po twojej stronie? Służyłem w wojsku, jak sam przypominałeś. Na podstawie tego, co wiesz, łatwo dojść do wniosku, że zgodzę się z admirałem Spartanem.

Asher pokręcił głową.

- Nie. Do ciebie to nie pasuje. Teraz słuchaj - nie mów nikomu ani słowa o naszej rozmowie. - Asher zawahał się. - Może to wszystko będzie zbyteczne. Może jutro lub pojutrze kryptoanalitycy z trzeciego poziomu odszyfrują te wiadomości i wszystko, o czym mówiłem, okaże się nieistotne. - Asher wskazał głową asystenta, który stał przy pudle i przez cały czas nie odezwał się ani słowem. - To John Marris, mój kryptoanalitik. Pracuje nad tym problemem dzień i noc. Chcę, żebyś...

W tym momencie rozmowę przerwało im ostre pukanie do drzwi. Po sekundzie ktoś zapukał ponownie.

Crane spojrział na Ashera. Główny uczony znieruchomiał na krześle i wyraźnie przybladł. Gwałtownie pokręcił głową.

Ktoś znowu zapukał, głośno, z naciskiem.

- Doktorze Crane! - usłyszeli gromki głos. Crane podszedł do drzwi.

- Czekaj! - szepnął Asher.

W tym momencie drzwi się otworzyły. Na progu, oświetlony od tyłu lampami z korytarza, stał admirał Spartan, trzymając w ręce czerwoną kartę magnetyczną pozwalającą otworzyć wszystkie drzwi na stacji. Po bokach admirała stali dwaj żołnierze piechoty morskiej z karabinkami M1.

21

Spartan spoglądał na zmianę na Crane'a i Ashera. Z jego twarzy nie można było nic odczytać. Wszedł do kabiny.

- Czy coś panom przerwałem?

W pokoju zapadła niezręczna cisza. Crane spojrział na Ashera. Główny uczony przypominał jelenia, złapanego w światła reflektorów.

Gdy nikt mu nie odpowiedział, admirał obrócił się w stronę żołnierzy.

- Wyprowadźcie go na korytarz - rozkazał, wskazując Crane'a.

Jeden z żołnierzy skinął lufą karabinu, wskazując mu drzwi. Crane z trudem przełknął ślinę. Zdumienie, jakie odczuwał jeszcze przed chwilą, nagle ustąpiło miejsca niemal bolesnemu poczuciu zupełnej bezradności.

Z ciężkim sercem wyszedł na korytarz. Spartan zamknął za nim drzwi na klucz.

Crane czekał na wąskim korytarzu. Dwaj żołnierze stali w milczeniu, zagradzając mu drogę z obu stron. Zaszło mu w ustach, a serce biło w nieprzyjemnym, pośpiesznym rytmie. Czuł, jak ze skroni spływają mu krople potu. Miał wilgotne dłonie. Przez drzwi słyszał podniesione głosy, ale nie rozróżniał słów. Co się tam działo? Sam nie wiedział, czy powinien bardziej martwić się o siebie, czy o Ashera.

Minęło pięć okropnych minut. Wreszcie drzwi się otworzyły i Spartan wyszedł na korytarz. Spojrzał na Crane'a.

- Proszę ze mną, doktorze.

- Dokąd idziemy? - spytał Crane.

- Łatwiej będzie, jeśli po prostu wykona pan rozkaz - usłyszał ostrą odpowiedź.

Crane znowu zerknął na karabiny w rękach dwóch żołnierzy. Niewątpliwie nie miał wyboru, musiał się słuchać. Szedł za Spartanem, a dwaj żołnierze pilnowali go od tyłu. Kilka osób na korytarzu zatrzymało się, żeby przyjrzeć się tej dziwnej paradzie.

- Dokąd... - zaczął znowu Crane, ale nie dokończył pytania. Cokolwiek by teraz powiedział, pogorszyłoby tylko sytuację. Lepiej było nic nie mówić, w ogóle nic... dopóki nie będzie musiał.

W duszy zadawał sobie liczne pytania. Dokąd mnie zabierają? Jak dużo wie Spartan? Co Asher mu powiedział? Niewątpliwie nie sprawiali wrażenia niewiniątek: spiskowcy uczestniczący w potajemnym spotkaniu...

To była w istocie operacja wojskowa. On sam przed przyjazdem na stację wypełnił i podpisał bardzo wiele różnych druków. Bóg jeden wiedział, z jakich praw obywatelskich zrezygnował. Crane z dojmującą przykrością uświadomił sobie, że nawet jeśli Spartan nie wiedział jeszcze o wszystkim, to dysponował niezbędnymi środkami, żeby szybko się dowiedzieć - a pewnie nawet miał prawo ich użyć.

Zatrzymali się przed windą. Żołnierze stanęli po jego bokach, a admirał nacisnął guzik windy. Mieli jechać na dół. Po paru sekundach otworzyły się drzwi. Spartan wszedł i poczekał, aż żołnierze wprowadzą Crane'a, po czym nacisnął guzik z numerem 7 - najniższy dostępny dla wszystkich poziom stacji.

Co Asher powiedział mu kilka minut wcześniej? Spartan wkrótce przejmie pełne dowodzenie tą operacją, a Korolis będzie pilnował wykonania jego rozkazów. Crane z trudem uspokoił oddech i opanował nerwy.

Winda zatrzymała się bez najmniejszego szarpnięcia a drzwi otworzyły się automatycznie. Wyszli na siódmy poziom. Spartan poprowadził ich wąskim korytarzem do drzwi bez żadnej tabliczki. Otworzył je swoją czerwoną kartą magnetyczną. Dwaj żołnierze znowu zajęli pozycje przy drzwiach. Admirał bez słowa zaprosił Crane'a do pokoju. Z jego twarzy nic nie można było wyczytać.

Pokój był niemal pusty. Całe umeblowanie składało się z długiego stołu, dwóch krzeseł i dwóch dużych lamp stojących z metalowymi, parabolicznymi reflektorami. Oba światła były wycelowane w punkt na przeciwległej ścianie, mniej więcej na wysokości głowy. Crane poczuł, że na widok tych reflektorów jego serce gwałtownie przyspieszyło. Spełniały się jego najgorsze obawy.

- Proszę podejść do tamtej ściany, doktorze - polecił Spartan beznamiętnym głosem.

Crane powoli zrobił kilka kroków. Minał reflektory i stanął pod ścianą.

- Niech się pan odwróci.

Crane wykonał polecenie. Ze skroni spływały mu krople potu.

Usłyszał ostry, metaliczny trzask. Światło reflektorów niemal przyszpiliło go do ściany. Zmrużył oczy i odruchowo uniósł rękę, żeby je zasłonić.

- Proszę się nie ruszać, doktorze - dobiegł go głos Spartana, który stał ukryty za ścianą światła.

Crane gorączkowo myślał. Zachowaj spokój, powtarzał sobie. Zachowaj spokój. Nie miał powodów się lękać. Był członkiem personelu medycznego. Został tu ściągnięty całkowicie oficjalnie. Nie był szpiegiem.

Chwilę później przypomniał sobie jednak śmiertelnie poważnych wartowników przy barierze, wyraz lęku na twarzy Ashera i krzyki w jego kabinie. Jego serce przyspieszyło jeszcze bardziej.

Gdzieś po drugiej stronie zasłony ze światła rozległ się kolejny, wyraźny trzask. Przez moment nic się nie działo, a potem, jeden po drugim, zgasły reflektory.

- Niech pan usiądzie, doktorze - powiedział Spartan, znowu widoczny. Sam siedział przy stole. Na blacie leżała otwarta teczka, której Crane wcześniej nie zauważył.

Crane ostrożnie usiadł na wolnym krześle. Serce wciąż mocno biło mu o żebra. Spartan popchnął teczkę w jego stronę. Zawierała jedną kartkę z nagłówkiem Departamentu Obrony i tekstem liczącym cztery paragrafy.

- Proszę podpisać na dole - powiedział Spartan i delikatnie położył przed nim złote pióro wieczne.

- Wszystko już podpisałem na górze - zaprotestował Crane.

- Tego pan nie podpisał - pokręcił głową admirał.

- Mogę najpierw przeczytać?

- Nie radzę. Niepotrzebnie się pan przestraszy.

Crane wziął do ręki pióro i z wahaniem wyciągnął rękę po kartkę. Zastanawiał się, czy podpisuje przyznanie się do winy - i to nim jeszcze zeznał, że poznał tajne informacje. Zdał sobie sprawę, że to zapewne nie ma znaczenia. Wziął głęboki oddech, podpisał dokument i podał go admirałowi.

Spartan zamknął teczkę. W tym momencie ktoś zapukał do drzwi.

- Proszę - odezwał się Spartan.

Do pokoju wszedł oficer marynarki. Zasalutował i podał admirałowi białą kopertę. Znowu zasalutował, zrobił w tył zwrot i wyszedł.

Spartan trzymał kopertę między kciukiem i palcem wskazującym, tak że swobodnie dyndała. Podał ją Crane'owi w taki sposób, jakby się z nim drażnił.

Crane ostrożnie wziął kopertę. Wydawała się dość ciężka, a w środku wyczuł jakiś prostokątny, sztywny przedmiot - podobny do karty kredytowej, ale grubszy.

- Proszę otworzyć kopertę - polecił Spartan.

Po chwili wahania Crane rozdarł kopertę i wytrząsnął jej zawartość na dłoń. Ze środka wypadła plastikowa płytka. Po jednej stronie widać było wtopione w plastik mikroprocesory. Gdy odwrócił płytkę, zobaczył swoje zdjęcie, wykonane dwie minuty wcześniej, gdy stał w świetle reflektorów. Pod zdjęciem dostrzegł kod kreskowy i czerwony napis WSTĘP OGRANICZONY. Do płytki był dołączony mosiężny spinacz.

- To, w połączeniu ze skanami odcisków palców i siatkówki, pozwoli panu przekraczać barierę - powiedział Spartan. - Proszę zawsze mieć identyfikator przy sobie, doktorze. Za zgubienie identyfikatora lub dopuszczenie, by wpadł w niepowołane ręce przewidziane są surowe kary.

- Nie jestem pewny, czy zrozumiałem - powiedział Crane.

- Zgodziłem się przyznać panu prawo wstępu do tajnej części stacji. Nawiasem mówiąc, uczyniłem to za radą komandora Korolisa.

Crane spojrzał znowu na identyfikator. Poczul ogromną ulgę. Boże, popadam w paranoję, pomyślał.

- Rozumiem - mruknął, wciąż ogłupiały z powodu zaskoczenia. - Dziękuję.

- Dlaczego pan dziękuje? - spytał Spartan. - A co pan sobie wyobrażał, że się tu dzieje?

Crane mógłby przysiąc, że na ułamek sekundy na twarzy admirała pojawił się nieśmiały uśmiech, ale zaraz znikł. Oblicze Spartana znowu przypominało kamienną maskę.

22

Platforma naftowa *Król Sztormu* wytrwale znosiła ataki natury, zawieszona między gniewnym morzem i ołowianym niebem, sto kilometrów od brzegów Grenlandii. Przepływający w pobliżu statek - lub, co bardziej prawdopodobne, przelatujący nad stacją satelita zwiadowczy, którego orbitę odpowiednio zmienił jakiś ciekawski rząd - nie dostrzegłby niczego niezwykłego. Na platformie poruszali się robotnicy, obsługując urządzenia wiertnicze, pompy i sprawdzając stan wszystkich maszyn. W porównaniu z burzliwym otoczeniem platforma sprawiała wrażenie bardzo spokojnego miejsca, tak jakby była uśpiona.

Natomiast wewnątrz stalowego pudła platforma przypominała ruchliwy ul. LF2-M Głębinowa Jednostka Transportowa - Wanna - właśnie wróciła z codziennej podróży na stację, cztery kilometry poniżej. Teraz prawie trzydziesto pracowników czekało w doku, aż wielki żuraw wyciągnie bezzałogową Wannę z wody, podniesie ją przez otwór w najniższym pokładzie i osadzi na legarach. Dwaj pracownicy, pod czujną strażą żołnierza piechoty morskiej, otworzyli właz w dziobie Wanny i zaczęli rozładunek. Po kolei wynosili duże, czarne pojemniki ze śmieciami przesłanymi do spalarni, zapieczętowane paczki z poufną zawartością, próbki pobrane od pacjentów i przesłane do laboratorium na powierzchni w celu przeprowadzenia wyrafinowanych badań. Oczekujący odbierali przeznaczone dla nich ładunki i odchodzili. Już po kwadransie dok był pusty - pozostali tylko dwaj pracownicy doku, operator żurawia i wartownik.

Jednym z oczekujących był kurier z wydziału naukowego, który odebrał sześć zapieczętowanych kopert. Kurier przybył na platformę stosunkowo niedawno. Nosił okulary w rogowej oprawce i lekko utykał, tak jakby miał jedną nogę nieco krótszą. Przedstawiał się jako Wallace.

Po powrocie do wydziału naukowego na poziomie produkcyjnym Wallace szybko rozniósł pięć kopert do odpowiednich adresatów, natomiast zamiast od razu oddać ostatnią, poszedł do swojego pokoiku w kącie laboratorium.

Wallace starannie zamknął za sobą drzwi na klucz i otworzył kopertę. Wytrząsnął z niej na blat CD-ROM. Włożył płytę do komputera i szybko przejrzał zawartość. Zapisano na

niej jeden plik, oznaczony 108952.jpg, a zatem najprawdopodobniej była to fotografia. Nacisnął na nazwę zbioru i komputer pokazał na ekranie jego zawartość: dziwny biało-czarny obraz był niewątpliwie zdjęciem rentgenowskim.

Wallace'a nie interesował sam obraz, tylko coś, co było w nim ukryte.

Miał doskonałe rekomendacje, a badanie jego przeszłości nie ujawniło nic podejrzanego, ale mimo to jako nowy pracownik podlegał wielu rygorom związanym z bezpieczeństwem. Między innym jego komputer był w rzeczywistości terminalem podłączonym do głównego komputera platformy, bez własnego twardego dysku i bez możliwości wykonywania programów z płyt CD. Wskutek tych modyfikacji Wallace mógł korzystać tylko z programów zaaprobowanych przez administratora systemu; nie miał możliwości zainstalowania własnych.

Tak przynajmniej było w teorii.

Wallace przyciągnął do siebie klawiaturę, otworzył prymitywny edytor dołączony do systemu operacyjnego i napisał krótki program:

```
Void main (void)
{
Char keyfile = fopen ('108952.jpg');
char extract;
while(infile)
{
Extract = (asc (least_sig_bit (keyfile)/2)^6);
Stdoutput (extract);
}
}
Void least_sig_bit (int sentbit)
{
Int bit_zero;
Bitzero = « (sent_bit, 6);
Return (bit_zero);
Bit_zero = » (sentbit, 6);
}
```

Człowiek podający się za Wallace'a zatrzymał się na chwilę, żeby sprawdzić program. Szybko przeanalizował kolejne kroki i upewnił się, że ich logika jest poprawna. Mruknął z satysfakcją i znowu spojrzął na obraz rentgenowski.

Każdemu pikselowi odpowiadał jeden bajt w pliku jpg na płycie CD. Jego krótki program miał odczytać dwa ostatnie bity każdego bajtu, przetłumaczyć liczby na ich odpowiedniki ASCII i wyświetlić wynik na ekranie.

Szybko skompilował i uruchomił program. Na ekranie pojawiło się nowe okienko. Zamiast zdjęcia rentgenowskiego, zawierało krótki komunikat:

ŻĄDAM ZGODY NA ODŁOŻENIE DRUGIEJ PRÓBY WYWOŁANIA PRZECIEKU AŻ ZDOBEDĘ NOWE ŹRÓDŁO INFORMACJI W TAJNEJ CZĘŚCI STACJI

Wallace dwukrotnie przeczytał komunikat. Zaciskał mocno usta.

Dzięki komputerom tajne wiadomości można było teraz ukryć prawie wszędzie - w szumie towarzyszącym muzyce lub ziarnistym tle fotografii cyfrowych. Wallace korzystał ze starożytnej techniki szpiegowskiej - steganografii - polegającej na ukrywaniu, nie zaś szyfrowaniu tajnych wiadomości, ale dostosował ją do ery techniki cyfrowej.

Szybko wyczyścił ekran, skasował program i schował płytę do koperty. Cała operacja nie trwała nawet pięciu minut.

Sześćdziesiąt sekund później Wallace położył kopertę na biurku radiologa.

- Och, dziękuję, czekałem na ten rentgen - powiedział lekarz. - Dziękuję, Wallace.

Wallace tylko uśmiechnął się w odpowiedzi.

23

Drugie przejście przez barierę do tajnej części stacji było mniej traumatycznym zdarzeniem niż pierwsze: z nowym identyfikatorem przypiętym do przedniej kieszeni koszuli, w towarzystwie milczącego admirała Spartan, pokonanie tej przeszkody zajęło Crane'owi tylko kilka minut. Żandarmii strzegący śluzy zrobili im przejście. Crane i Spartan zjechali na szósty poziom. Admirał wyszedł pierwszy. Znaleźli się w wąskim korytarzu.

Gdy Crane był tu poprzednim razem, pędził biegiem, żeby zająć się Conradem Waite'em, dlatego nie miał czasu rozglądać się na boki. Teraz miał okazję przyjrzeć się otoczeniu, ale gdy szli korytarzem, dostrzegł tylko nieliczne dowody wskazujące, iż byli w tajnej części stacji: tabliczki z ostrzeżeniami na perłowych ścianach, wartowników i grube gumowe uszczelki w drzwiach.

Spartan zaprowadził go do drugiej windy, która już na nich czekała. Na panelu kontrolnym widać było guziki oznaczone liczbami od jeden do sześciu. Spartan nacisnął guzik numer dwa. Zaczęli zjeżdżać.

- Jeszcze mi pan nie powiedział - przerwał milczenie Crane.

- Jest wiele rzeczy, o których panu nic nie powiedziałem - odrzekł admirał. - Co ma pan na myśli?

- Co sprawiło, że zmienił pan zdanie?

Spartan sprawiał wrażenie, jakby zastanawiał się nad odpowiedzią. W końcu spojrzął na Crane'a.

- Wie pan, że znam pana dossier, prawda?

- Asher mi o tym powiedział.

- Zrobił pan wielkie wrażenie na dowódcy USS *Spectre*. Według niego, to pan uratował okręt podwodny.

- Kapitan Naseby ma skłonności do przesady.

- Muszę przyznać, doktorze, że pańska rola w tym zdarzeniu nie jest dla mnie zupełnie jasna.

- To była tajna akcja. Nie mogę o tym opowiadać, panie admirale.

- Wiem wszystko o tej akcji - odrzekł Spartan i uśmiechnął się bez krztyny prawdziwej wesołości. - Mielście zdobyć informacje na temat zakładu wzbogacania uranu budowanego na wybrzeżu Morza Żółtego. W razie konieczności mieliście zniszczyć ten zakład brudną torpedą jądrową, tak aby wyglądało to na przypadkową eksplozję.

Crane spojrzął na niego ze zdziwieniem. Po chwili zdał sobie sprawę, że jeśli Spartan kieruje tak tajną instytucją jak ta stacja, to prawdopodobnie zna wiele tajemnic państwowych.

- Nie miałem na myśli waszego zadania - dodał Spartan. - Nie jest dla mnie jasne, w jaki sposób uratował pan okręt.

Crane przez chwilę milczał, przypominając sobie te dramatyczne zdarzenia.

- Nagle zaczęli umierać członkowie załogi, i to w wyjątkowo okropny sposób. Mieli wyżarte zatoki czołowe, a ich mózgi zmieniły się w jakąś galaretę. Choroba postępowała w błyskawicznym tempie. Już pierwszego dnia zmarło dwadzieścia parę osób. Obowiązywał zakaz nawiązywania łączności, nie wolno nam było przerwać patrolu. Na pokładzie wybuchła panika, ludzie mówili o sabotażu, trującym gazie.

W nocy zmarło jeszcze dwunastu, na okręcie zapanował chaos, załamał się łańcuch dowodzenia, groził bunt. Ludzie szukali zdrajcy, chcieli go zlinczować.

- A co pan zrobił?

- Zdałem sobie sprawę, że choć wszyscy mówili o trujących gazach, w rzeczywistości może to być mukormikoza.

- Co proszę?

- Rzadko występujące, ale śmiertelnie groźne zakażenie grzybicze. Udało mi się przeprowadzić badania tkanek zmarłych członków załogi. W ich organizmach znalazłem grzyb *Rhizopus oryzae*, odpowiedzialny za tę infekcję.

- I to ta choroba była przyczyną zgonów członków załogi *Spectre*.

- Tak. Szczególnie groźny szczep grzyba, który w jakiś sposób wylał się w zęcie.

- Jak pan powstrzymał epidemię?

- Dałem wszystkim odpowiednie lekarstwa. Wprowadziłem członków załogi w stan kontrolowanej zasadowicy, której nie tolerują spory tej pleśni.

- I uratował pan okręt.

- Jak już powiedziałem, admirale, kapitan Naseby lubi przesadzać. - Crane uśmiechnął się.

- Nie wydaje mi się, żeby tym razem przesadził. Zachował pan zimną krew, znalazł pan przyczynę i następnie powstrzymał infekcję, korzystając ze środków dostępnych na pokładzie.

Drzwi windy otworzyły się z lekkim szmerem. Wyszli na korytarz.

- Co to ma wspólnego z obecną sytuacją na stacji? - spytał Crane.

- Bądźmy szczerzy, doktorze. Podobieństwa są rozliczne i z pewnością dostrzega je pan równie dobrze jak ja. - Spartan doszedł szybko do skrzyżowania korytarzy i skręcił w lewo.

Monitorowałem pańskie działania i doszedłem do wniosku że lepiej będzie panu zaufać.

- I to jest powód, który skłonił pana do przyznania mi prawa wstępu do tajnej części stacji. Ma mi to ułatwić znalezienie przyczyny tych problemów medycznych.

- Przyczyna, jak pan to określił, znajduje się za tymi drzwiami. - Spartan wskazał właz w ścianie w końcu korytarza, przy którym stali wszechobecni wartownicy z piechoty morskiej.

Na wyrażone gestem polecenie admirała jeden z żołnierzy otworzył właz. Crane ruszył naprzód, ale się zatrzymał. Po drugiej stronie panowały ciemności.

Spartan przeszedł przez właz i spojrzał za siebie.

- Idzie pan?

Crane przecisnął się przez ciemny właz. Gdy znalazł się po drugiej stronie, widok zaparł mu dech w piersi.

Stali w długiej, wąskiej galerii obserwacyjnej nad rozległym hangarem. Po obu stronach siedzieli technicy przy konsolach. Słychać było piski elektroniki, stukot klawiszy,

szmer ściszonych głosów. Za szklaną ścianą galerii w hangarze kręcili się pracownicy w białych fartuchach. Manipulowali przy urządzeniach i zapisywali coś w palmtopach. Crane nawet na nich nie spojrzał. Całą uwagę skupił na kuli zawieszanej na grubej linie tuż nad podłogą hangaru.

Była to kula z metalu - zapewne tytanu lub jeszcze cenniejszego - o średnicy około trzech metrów. Była wypolerowana jak lustro, dlatego w ograniczonej przestrzeni hangaru świeciła jak słońce. Patrząc na nią, Crane musiał zmrużyć oczy. Jediną skazą na jej idealnie okrągłej powierzchni była płatanina czujników, świateł i kabli, zwieszająca się z dolnej części niczym porosty z kadłuba okrętu. Pod ścianą na specjalnych stojakach stały jeszcze dwie takie kule.

- Co to takiego? - spytał, niemal szepcząc.

- To, doktorze Crane, jest Bila. Najważniejsza część stacji. Wszystkie urządzenia na stacji służą wsparciu Bili.

- Czy Bila służy do kopania szybu?

- Nie. Szyb to dzieło wiertnicy dostosowanej do pracy na dużej głębokości, w podwójnej osłonie tunelowej. Obecnie Bila ma za zadanie zabezpieczyć wydrążony szyb stalowymi pierścieniami. Później, gdy szyb będzie gotowy, Bila zajmie się badaniem i wydobywaniem znalezionych artefaktów.

- Czy działa samodzielnie?

- Nie. Wykonuje zbyt skomplikowane zadania, żeby mogła działać automatycznie. Ma trzyosobową załogę.

- Załogę? Nie widzę przecież żadnego wjazdu. Admirał Spartan wydał z siebie oschłe szczenięcie, które można było uznać za śmiech.

- Na głębokości, na jakiej pracujemy, wszelkie wjazdy są wykluczone. Z uwagi na ogromne ciśnienie, Bila musi być idealnie okrągła. Jakiegokolwiek odstępstwa od sferycznego kształtu są niedopuszczalne.

- Jak zatem załoga dostaje się do środka?

- Gdy załoga jest już w środku, wejście zostaje zaspawane, a szew wypolerowany jak lustro.

Crane zagwizdał.

- Tak. Dlatego każda zmiana trwa dwadzieścia cztery godziny. Wejście i wyjście zabierają tyle czasu, że krótsze zmiany byłyby bezsensowne. Na szczęście mamy jeszcze dwie Bile, zatem gdy jedna jest w szybie, inną można przygotować do opuszczenia. Dzięki temu pracujemy bez przerw.

Na chwilę obaj zamilkli. Crane nie mógł oderwać oczu od błyszczącej kuli. W życiu nie widział czegoś równie pięknego, ale z trudem wyobrażał sobie, jak może się w niej zmieścić trzyosobowa załoga.

- Jak rozumiem, nie jest pan przekonany, iż szukamy Atlantydy - powiedział oschle Spartan. - Jednak cel naszych poszukiwań nie powinien pana obchodzić. Pańską sprawą są natomiast problemy medyczne. Od tej pory nie podlega już pan Asherowi, tylko mnie. Nie muszę chyba mówić, że nie wolno panu rozmawiać o tym, co pan tu zobaczy, z pracownikami z górnych pięter stacji. Pańskie zachowanie będzie monitorowane, przynajmniej przez pewien okres, a niektóre, szczególnie ważne miejsca, będzie pan mógł odwiedzać tylko w towarzystwie eskorty. Brał pan udział w tajnych akcjach, więc zna pan związane z tym przywileje i jest pan świadomy łączącej się z tym odpowiedzialności. Jeśli nadużyje pan tych przywilejów, stanie pan w świetle reflektorów w innym celu niż zrobienie fotografii.

Crane oderwał wreszcie wzrok od Bili i spojrzał na Spartana. Admirał wcale się nie uśmiechał.

- Co właściwie się stało? - spytał Crane. Spartan wskazał ręką hangar poniżej.

- Do tej pory zespół wiertniczy nie odczuł działania czynnika, który powoduje choroby na stacji. W ciągu ostatnich dwunastu godzin zachorowały dwie osoby z zespołu.

- Jakie są objawy?

- Może ich pan spytać. Są w ambulatorium na czwartym poziomie. Proszę je wykorzystać jako tymczasową izbę chorych. Polecę, żeby obaj chorzy zgłosili się tam do pana.

- Dlaczego nie poinformowano mnie o nowych przypadkach?

- Właśnie został pan poinformowany. Obaj pracują w zespole, w którym obowiązują zaostrzone reguły bezpieczeństwa, dlatego nie wolno im przechodzić do dostępnej dla wszystkich części stacji.

- Chciałbym móc korzystać z pomocy doktor Bishop.

- Bishop ma ograniczone prawo wstępu do tajnej części stacji. Może przekraczać barierę tylko w razie nagłych wypadków i pod eskortą. Zajmiemy się tym problemem, jeśli będzie on miał krytyczne znaczenie. Chciałbym kontynuować. Oprócz tych dwóch chorych, o których wspomniałem, zauważyłem, że również inni członkowie zespołu... wykazują zmiany psychiczne.

- Czy Corbett wie o tym?

- Nie, i się nie dowie. Corbett, jeśli wolno mi tak to określić, przecieka. Jeśli może służyć jakąś radą, musi się to odbyć za pańskim pośrednictwem. - Spartan zerknął na zegarek.

- O ile mi wiadomo, nie spał pan od trzydziestu sześciu godzin. Polecę, żeby eskorta zaprowadziła pana do kabiny. Niech pan się prześpi sześć godzin. Chcę, żeby pan wrócił do pracy jutro o dziewiątej, i to wypoczęty.

- A więc to tak. - Crane pokiwał głową. - Zgodził się pan wpuścić mnie tutaj, ponieważ epidemia rozszerzyła się na tajną część stacji.

- Dostał pan nowe zadanie, doktorze. - Spartan spojrział na niego, mrużąc oczy. - Nie wystarczy, żeby pan stwierdził, co jest przyczyną chorób. Musi pan postarać się, żeby ludzie przestali chorować. - Admirał wskazał ręką Bilę i otaczających ją techników. - Wszystko i wszyscy na tej stacji nie są absolutnie konieczni. Konieczne jest tylko dalsze wiercenie. Musimy nadal wiercić, za wszelką cenę. Ta praca ma ogromne, fundamentalne znaczenie i nie pozwolę, żeby cokolwiek lub ktokolwiek nas zatrzymał. Jeśli to będzie konieczne, sam pokieruję Bilą. Czy wyraziłem się jasno?

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Crane w końcu lekko skłonił głowę.

- Krystalicznie jasno, panie admirale.

24

Zmęczony Crane leżał na łóżku. Była prawie trzecia nad ranem i na stacji było wyjątkowo spokojnie. Słyszał dochodzące przez wspólną łazienkę dźwięki klarnetu. Roger Corbett był miłośnikiem Benny'ego Goodmana i Artiego Shawa.

Dawno już nie przeżył tylu niespodzianek jednego dnia. Był tak zmęczony, że oczy mu się same zamykały. Nie mógł jednak zasnąć, miał jeszcze jedną rzecz do zrobienia.

Sięgnął po leżącą na biurku teczkę. Wyciągnął z niej krótki dokument - relację naocznego świadka wydarzeń na morzu, o której wspomniał Asher. Przetarł oczy i spojrział na pierwszą stronę. Była to kolorowa reprodukcja karty z iluminowanego rękopisu: szerokie, czarne litery, kolorowy, nieco niepokojący margines i duży, ozdobny inicjał. Pergamin był mocno zniszczony wzdłuż dwóch poziomych linii zgięcia, a brzegi pociemniały od dotknięć wielu rąk. Tekst był po łacinie, ale na szczęście mediewista Ashera pomyślał o przekładzie na angielski i dołączył go do reprodukcji. Crane zaczął czytać:

Roku Pańskiego tysiąc trzysta dziewięćdziesiątego siódmego ja, Jón Albam, rybak z Staafhórn, opisałem, co widziałem.

W tym czasie miałem złamaną rękę i nie mogłem ani żeglować łodzią, ani rozstawiać sieci. Gdy szedłem wzdłuż klifu, od razu zauważyłem, że niebo się rozjaśniło, choć było

pokryte chmurami. Usłyszałem dziwny śpiew, tak jakby wielu głosów, od którego drżała siedziba Boga.

Bez ociągania pobiegłem do Staafhórn, żeby zawiadomić wszystkich o objawieniu. Wielu ludzi we wsi słyszało to własnymi uszami i widziało własnymi oczami. Wszyscy szli na kamienistą plażę. Była niedziela, dlatego mężczyźni ze wsi przebywali w domach, z rodzinami. Już po krótkiej chwili wieś opustoszała, bo wszyscy poszli nad morze.

Niebo rozjaśniło się jeszcze bardziej. Powietrze wydawało się dziwnie ciężkie, a wielu ludzi zwróciło uwagę, że włosy na naszych ciałach zjaśniały i nastroszyły się.

Nagle nastąpiła cała seria piorunów i gromów. Chmury nad oceanem rozstały się, a wraz z nimi cofnęła się tęcza i gotująca się mgła. Na niebie pojawiła się dziura, w której widać było wielkie oko, otoczone białymi płomieniami. Z oka padały w dół dwa snopy białego światła, proste jak kolumny. W miejscu, gdzie święte światło padało na morze, fale się uspokoiły.

Ludzie we wsi byli zachwyceni, gdyż oko było cudownie piękne, niewypowiedzianie jasne i otoczone tańczącą tęczą. Wszyscy mówili, że to Wszechmocny Bóg nawiedził Staafhórn, żeby udzielić nam swej łaski i błogosławieństwa.

Mężczyźni z osady zaczęli mówić, że powinniśmy popłynąć do światła, złożyć hołd Panu i przyjąć Jego błogosławieństwo. Jeden czy dwaj twierdzili, że nie, bo odległość jest zbyt duża. Oko było jednak tak nieporównanie piękne, a otaczający je ogień tak czysty i jasny, że wkrótce wypłynęli na morze, żeby dotknąć boskiego światła własnymi rękami i postarać się, aby spadło na nich. Tylko ja zostałem na brzegu: łodzie były pełne ludzi z osady, kobiet i dzieci, ja zaś nie mogłem żeglować. Dlatego wszedłem na klif, żeby stamtąd lepiej widzieć cud.

Po kilku minutach łodzie rozciągnęły się po morzu, ze trzy tuziny lub więcej. Wszyscy śpiewali hymny, wielbiąc Boga i dziękując Mu. Stojąc na urwisku, ja również dziękowałem Bogu, że ze wszystkich miast Królestwa Danii to właśnie Staafhórn pobłogosławił swoją łaską. Wydawało mi się, że sznur łodzi porusza się po wodzie z cudowną prędkością, choć niemal nie było wiatru. Gdy tak się modliłem, czułem też w sercu smutek, że byłem jedyną żywą duszą, jaka została na brzegu.

Po krótkim czasie, gdy łodzie były niecałą milę od brzegu, wielkie oko zaczęło się powoli obniżać. Chmury wokół oka wciąż się gotowały, a wokół zwieszała się zasłona z mgły, przebita niezliczonymi tęczkami. Teraz jednak kolumna białego światła, która spadała z oka do morza, zaczęła się zmieniać. Patrzyłem, jak kręci się i zgina niczym żywe stworzenie. Zmieniała się również powierzchnia wody w miejscu, gdzie padało światło. Nie była już spokojna,

zaczęła wrzeć, jakby w garze na ogromnym piecu. Śpiew stawał się coraz głośniejszy, ale nie kojarzył się już z niebiańskimi głosami. Coraz wyższe dźwięki przypominały teraz pisk zająca w pułapce, lecz były tak potężne, że padłem na kolana i zatkałem uszy.

Ze szczytu urwiska widziałem, że sternicy łodzi zaczęli się wahać. Jeden lub dwaj stanęli, inni próbowali zawrócić. Morze było bardzo wzburzone. Wokół kolumny światła tryskały fontanny i bryzgi, jak wtedy, gdy do małego stawu ktoś wrzuci wielki głaz. Ogromne oko obniżyło się jeszcze bardziej, a kolumna światła zmieniła się w biały słup ognia pożerającego wszystko, co napotka na drodze. Był to straszny widok.

Teraz już wszystkie łodzie płynęły czym prędzej do brzegu, ale nagle zatrzęsa się ziemia, chmury rozstały się z monstrualnym rykiem i wydawało mi się, że to wszystkie gwiazdy wpadły naraz do morza. W miejscu, gdzie gwiazda uderzyła w wodę, wznosiły się fantastyczne płomienie i gigantyczne obłoki pary, które zasłoniły wszystkie łodzie.

Wstrząsy rzuciły mnie na ziemię, ale choć byłem przerażony, nie mogłem oderwać oczu od tego widoku. Pochłaniająca wszystko mgła zbliżała się do brzegu. Przez mgłę widziałem strzelające z morza tysięczne języki czerwonych i fioletowych płomieni. Wielkie oko wciąż się zniżało, otoczone białymi i jasnymi płomieniami, które przebijały wszystko, nawet mgłę. Miałem wrażenie, że oko obniża się, rozważnie, lecz nieubłagane. Gdy dotknęło morza, niebiosą rozerwał grom o takiej sile, że nie znajduję słów, żeby to opisać. Huki i wstrząsy trwały niemal przez godzinę, a ziemia trzęsła się tak mocno, jakby miała się rozpaść na kawałki. Dopiero po dłuższym czasie hałas powoli ucichł i mgła się przeczesała.

Jakie to dziwne i straszne! To pewnie diabeł zwiódł mieszkańców Staafhórn i udając anioła, sprowadził na nich żalosny koniec. Gdy mgła się podniosła, zobaczyłem ciemnoczerwone morze. Na powierzchni jak okiem sięgnąć widziałem martwe ryby i inne stworzenia żyjące w głębinach, natomiast po łodziach rybackich i mieszkańcach mojej osady nie pozostał nawet ślad. Czulem głęboki smutek i żal, a jednocześnie nie mogłem zrozumieć, dlaczego Lucyfer nie został na miejscu, żeby chępić się swoim zwycięstwem? Nie było już widać wielkiego oka otoczonego płomieniami. Było tak, jakby straszny los ludzi na trzech tuzinach łodzi nic nie obchodził tego piekielnika.

Później przez wiele dni wędrowałem po Danii, opowiadając o tym wszystkim tym, którzy chcieli mnie słuchać. Rychło zostałem uznany za heretyka i uciekłem z Królestwa w obawie o życie. Zatrzymałem się w zamku Grimwold tylko na krótko, żeby odpocząć i nabrać sił. Nie wiem, dokąd się udam, ale nie mogę tu zostać.

Jón Albarn

Ja, Martin z Bresci, który przelałem te słowa na papier, uroczyście przysięgam, że wiernie spisałem relację świadka. Candlemas, Anno Domini 1398.

Gdy Crane wreszcie odłożył kartki, wyciągnął się na łóżku i zgasił światło, nadal czuł się strasznie zmęczony, ale nie zasnął. W głowie miał obraz ogromnego oka otoczonego czystymi, białymi płomieniami.

24

Drzwi do gabinetu Johna Marrisa były otwarte, ale Asher i tak zapukał przed wejściem.

- Proszę - odezwał się kryptolog.

Gabinet Marrisa był zapewne najlepiej uporządkowanym pomieszczeniem na całej stacji. Nigdzie nie było widać nawet drobiny kurzu. Na biurku, oprócz starannie ułożonych w rogu kilku książek, widać było tylko klawiaturę i płaski monitor. Nigdzie nie było żadnych zdjęć, plakatów, osobistych pamiątek lub innych drobiazgów. Wnętrze to pasuje do charakteru Marrisa, pomyślał Asher. Kryptolog był człowiekiem nieśmiałym, zachowującym dystans, nieskłonny do opowiadania o swoim życiu i wyrażania osobistych opinii. Jego osobowość doskonale pasowała do zawodu, który wykonywał.

Jaka szkoda, że zadanie, którym się teraz zajmował - złamanie krótkiego i pozornie prostego szyfru - okazało się takie trudne.

Asher zamknął za sobą drzwi i usiadł na jedynym wolnym krześle.

- Dostałem wiadomość od ciebie - powiedział. - Czy brutalny atak przyniósł jakieś wyniki?

Marris pokręcił głową.

- A filtry przypadkowych bajtów?- Nic zrozumiałego.

- Hm... - Asher osunął się na oparcie krzesła. Gdy otrzymał e-mail od Marrisa z prośbą, żeby wstąpił do niego przy najbliższej okazji, miał nadzieję, że kryptolog złamał szyfr. W ustach flegmatycznego Marrisa słowa „przy najbliższej okazji” były praktycznie żądaniem natychmiastowego spotkania. - O co zatem chodzi?

Marris zerknął na niego, po czym odwrócił wzrok.

- Zastanawiam się, czy nie próbujemy dokonać dekryptażu, wychodząc z błędnego założenia.

- Wyjaśnij - poprosił Asher, marszcząc brwi.

- Proszę bardzo. Wczoraj wieczorem czytałem biografię Alana Turinga.

Asher nie był zaskoczony. Marris, intelektualista czystej krwi, pracował nad drugim doktoratem - tym razem z historii komputerów. Alan Turing był jednym z twórców teorii obliczeń i komputerów.

- Słucham.

- Hm... Czy wiesz, co to jest maszyna Turinga?

- Lepiej odśwież moją pamięć.

- W latach trzydziestych Turing przedstawił koncepcję teoretycznego komputera, zwanego maszyną Turinga. Maszyna taka składa się z taśmy dowolnej długości, na której można zapisywać symbole z pewnego skończonego alfabetu. Wzdłuż taśmy przesuwają się głowice z czytnikiem. Odczytuje symbole i wykonuje instrukcje z podanej listy. Stan głowicy zmienia się w zależności od odczytanego symbolu. Na taśmie zapisane są dane lub instrukcje, co zrobić w następnym kroku. We współczesnych komputerach taśmie odpowiada pamięć, a głowicy centralny procesor. Turing udowodnił, że jego maszyna może wykonać wszystkie wyobrażalne obliczenia. Wyprzedził wszystkich.

- Mów dalej.

- Zacząłem myśleć o tym szyfrze, który usiłujemy odczytać - powiedział Marris, wskazując ręką na ekran, na którym widać było ciąg zer i jedynek, drażniący swą zwięzłością i niezrozumiałością:

```
0000011111101010001101011001110010000101
0001001100010100011010011000010000000000
```

- Pomyślałem, że może to jest taśma Turinga? - kontynuował. - Jaki wynik dałyby te zera i jedyneki, gdybyśmy przepuścili je przez maszynę Turinga?

Asher powoli się wyprostował.

- Chcesz powiedzieć... że te osiemdziesiąt bitów to program komputerowy?

- Wiem, że to brzmi jak wariactwo...

- Wcale nie. - Nie jest to większe szaleństwo niż to, że w ogóle tu jesteśmy - pomyślał Asher. Siedzimy na dnie oceanu i próbujemy się dokopać do... - Mów dalej.

- Najpierw musiałem podzielić łańcuch zer i jedynek na oddzielne instrukcje. Przyjąłem, że 00000 i 11111 na początku sygnalizują, ile bitów liczy każda instrukcja. Czyli każde cyfrowe słowo ma długość pięciu bitów. Zostało mi czternaście pięciobitowych instrukcji. - Marris nacisnął klawisz i zamiast dwóch linijek cyfr, na ekranie pojawiła się seria czternastu wierszy:

```
10101 00011 01011 00111 00100 00101 00010 01100 01010 0011000000 00000
```

Asher popatrzył na ekran.

- Jak na program komputerowy, to cholernie mało.
 - Tak. Niewątpliwie musi to być bardzo prosty program. W języku maszynowym - najprostszym, najbardziej uniwersalnym języku cyfrowym.
 - Co dalej? - spytał Asher.
 - Gdy rano przyszedłem do pracy, napisałem krótki program porównujący te liczby z listą standardowych instrukcji maszynowych. Program przypisuje każdej liczbie wszystkie możliwe instrukcje po kolei i sprawdza, czy w ten sposób powstaje jakiś działający program komputerowy.
 - Dlaczego uważasz, że autor tej wiadomości używa takiego samego języka maszynowego jak my?
 - Na poziomie binarnym są pewne instrukcje, które muszą występować w każdym wyobrażalnym urządzeniu obliczeniowym: zwiększ, zmniejsz, przeskocz, pomiń, jeśli jest równe zero, znaki logiki Boole'a. Uruchomiłem mój program i zająłem się czymś innym.
- Asher pokiwał głową.
- Dwadzieścia minut temu komputer skończył pracę.
 - Czy tym czternastu liczbom binarnym odpowiada jakiś program?
 - Tak. Jeden.
- Asher poczuł nagle podniecenie.
- Naprawdę?
 - Program wykonujący prostą operację matematyczną. Proszę. - Marris nacisnął klawisz i na ekranie pojawiło się kilka instrukcji. Asher pochylił się w stronę monitora.

NUME	OPERACJ	UWAGI
R LINII	A	
10101	ADD	/ Przygotuj licznik w akumulatorze
00011	00011	/ od liczby na pozycji 13 (notacja dziesiętkowa)
01011	CNM	/ Zmień znak liczby w liczniku
00111	PLC	/ Zapisz liczbę
00100	00100	/ na pozycji 14
00101	ADD	/ Odejmij od
00010	00010	/ liczba na pozycji 12
01100	ISZ	/ Zwiększ licznik i pomiń jeśli zero
01010	JMP	/ Wróć do
00110	00110	/ instrukcja 6

10011 END / Koniec programu
00001 / Pozycja 12
00000 / Pozycja 13
00000 / Pozycja 14

- Co robi ten program? - spytał Asher.

- Jak widzisz, to pętla wykonująca wielokrotne odejmowanie. W ten sposób w języku maszynowym koduje się dzielenie: metodą wielokrotnego odejmowania. No, w każdym razie to jedna z metod, można również wykonywać arytmetyczne przesunięcie w prawo, ale to wymaga bardziej wyspecjalizowanego systemu komputerowego.

- Czyli to operacja dzielenia. Marris pokiwał głową.

Asher czuł zaskoczenie połączone z podnieceniem.

- Nie zwlekaj, człowieku. Jaką liczbę dzielą?

- Jedynekę.

- Jedynekę. A przez co ją dzielą? Marris oblizał wargi.

- Hm, na tym właśnie polega problem...

26

Wzdłuż surowego, pozbawionego wszelkich ozdób korytarza w północno-wschodniej części stacji widać był sześćcioro drzwi. Zatrzymali się przed drzwiami z tabliczką *Radiologia - Ping*.

Komandor porucznik Korolis kiwnięciem głowy polecił jednemu z towarzyszących im żołnierzom, żeby otworzył drzwi, po czym wszedł do środka. Zaglądając ponad jego ramieniem, Crane zobaczył niewielkie, ale dobrze wyposażone laboratorium. Aż za dobrze: większość cennej przestrzeni zajmowała aparatura. Tuż za drzwiami siedziała przy komputerze kobieta azjatyckiego pochodzenia ubrana w biały fartuch. Szybko coś pisała, ale na widok komandora przerwała, wstała i skłoniła się z uśmiechem.

Korolis nie odpowiedział. Zamiast tego obrócił się na pięcie, jednym okiem spojrzał z dezaprobatą na Crane'a, podczas gdy drugie było skierowane w jakiś punkt nad jego lewym ramieniem.

- To powinno zaspokoić pana potrzeby - powiedział. Rozejrzał się dokoła, tak jakby chciał zapamiętać wszystko, co Crane mógłby ukraść, po czym cofnął się na korytarz. - Postawcie tu wartownika - polecił żołnierzom i odszedł.

Crane odprowadził wzrokiem komandora. Kiwnął głową żołnierzom i wszedł do laboratorium. Zamknął za sobą drzwi, czemu towarzyszył pisk rowkowanej, gumowej

uszczelki wokół futryny. Podeszedł do kobiety w kitlu, która wciąż stała z uśmiechem przy laboratoryjnym stole.

- Jestem Peter Crane - przedstawił się. Podał jej rękę. - przepraszam, że ładuję się do pani, ale nie mam tu na dole własnego miejsca pracy, a podobno w tym laboratorium jest stół z podświetlanym ekranem.

- Hui Ping - odpowiedziała kobieta, pokazując w uśmiech błyszczące białe zęby. - Słyszałam o panu, doktorze. Szuka pan przyczyny tych chorób, prawda?

- Zgadza się. Muszę tylko przyjrzeć się kilku zdjęciom rentgenowskim.

- Nie ma problemu. Proszę korzystać ze wszystkiego, co się panu przyda. - Hui była niska i szczupła, miała błyszczące czarne oczy i nosiła okulary w czarnej oprawce. Mówiła bezbłędną angielszczyzną, ale z silnym chińskim akcentem. Crane oceniał ją na trzydzieści lat. - Tam jest negatoskop.

- Dziękuję - powiedział, patrząc we wskazanym kierunku.

- Proszę mi powiedzieć, jeśli tylko będzie pan czegoś jeszcze potrzebował.

Crane podeszedł do negatoskopu, włączył światło i wyciągnął zdjęcia rentgenowskie kilku pracowników kompleksu wiertniczego. Tak jak przypuszczał: nie dostrzegł żadnych problemów medycznych. Na zdjęciach nie widać było niczego zaskakującego. Były zupełnie normalne.

W ciągu kilku ostatnich godzin przeprowadził nieformalne badanie sześciu osób z kompleksu wiertniczego. Ich dolegliwości nie różniły się jakościowo od problemów pracowników jawnej części stacji - były czynnościowe i irytująco różnorodne. Jedna osoba narzekała na ostre mdłości, inna na zaburzenia wzroku. Pacjenci mieli też problemy natury psychicznej: zakłócenia apetytu, ataksja, osłabienie pamięci. Nie były to poważne kłopoty, ale też - jak zwykle - trudno było dostrzec związki między nimi. Tylko jeden przypadek wydawał się naprawdę interesujący: pewna kobieta okazywała zaskakujące zmiany osobowości. Wcześniej była raczej nieśmiała, rzadko się odzywała i nie brała do ust alkoholu, natomiast od dziesięciu dni głośno klęła, stała się agresywna i rozwiązała. Poprzedniego dnia została zamknięta w swoim pokoju, ponieważ przyszła do pracy pijana. Crane rozmawiał zarówno z nią, jak i z jej kolegami. Zamierzał przesłać odpowiednio przefiltrowane sprawozdanie Rogerowi Corbettowi z prośbą o opinię.

Crane z ciężkim westchnieniem zgarnął zdjęcia ze stołu. Poleciał wykonać obrazowanie rezonansem magnetycznym i analizę krwi, ale obawiał się, że wyniki będą równie niejednoznaczne jak do tej pory. W pewnej mierze liczył, że tu nastąpi przełom. Oczywiście nie chciał, żeby więcej ludzi chorowało, gdyby jednak zlokalizował ognisko

choroby w kompleksie wiertniczym, który zajmował się bezpośrednio kopaniem szybu, mogłoby to stanowić jakąś wskazówkę. Jednakże stan zdrowia pracowników zespołu nie różnił się niczym od stanu ich kolegów z górnych poziomów.

Crane nie miał wątpliwości, że Spartan nagle zainteresował się problemami medycznymi nie z powodu ich znaczenia, tylko ze względu na kategorię osób, które ucierpiały. Wcześniej chorowali tylko ludzie niezbyt istotni dla realizacji głównego celu tego przedsięwzięcia, dlatego admirał niewiele się tym przejmował. Gdy zaczęli chorować ludzie zatrudnieni bezpośrednio przy wierceniu, Spartan się zaniepokoił.

Crane wyłączył światło. Nawet jeśli nowe dolegliwości okażą się mało poważne i nie umożliwią ustalenia przyczyny, i tak pozwoliły mu już wykonać istotny krok naprzód. Dzięki nim uzyskał dostęp do tajnej części stacji. Oznaczało to podwojenie monitorowanej populacji i umożliwiło szukanie potencjalnych czynników środowiskowych.

Hui Ping podeszła do stołu. Wyglądała jak postać z czarno-białego szkicu: czarne oczy, włosy i okulary, biały kitel i blada, niemal przezroczysta skóra.

- Nie wygląda pan na zadowolonego - powiedziała.

- I nie jestem. Elementy łamigłówki nie składają się w całość tak szybko, jakbym chciał - odparł, wzruszając ramionami.

Ping pokiwała energicznie głową, nakładając jednocześnie rękawiczki z lateksu.

- Tak samo u mnie. - Jej krótko obcięte, lśniące, czarne włosy podkreślały ruchy głowy.

- A czym się pani zajmuje?

- Tym - Ping wskazała na drugi koniec sporego aparatu. Crane podszedł, żeby przyjrzeć się badanemu obiektowi.

Ku jego wielkiemu zaskoczeniu była to taka sama kostka jak ta, którą pokazał mu Asher. Wisiała w powietrzu, mieniąc się niezliczonymi kolorami. Taka sama, cienka jak włos smuga światła biegła od górnej powierzchni kostki do sufitu.

- Chryste - westchnął z podziwem. - Dostała pani jeden do zbadania.

- Nie są znowu taką osobliwością. - Ping zaśmiała się lekko. - Jak dotąd znaleźliśmy już ponad dwadzieścia.

- Aż tyle? - zdziwił się Crane.

- Tak, a im głębiej kopujemy, tym jest ich więcej.

- Skoro znaleźliście ich aż tyle w samej objętości szybu, to w skorupie ziemskiej w okolicy musi być ich pełno.

- Och, nie całkiem. Nie wszystkie pochodzą z szybu.

- Jak to? - spytał Crane marszcząc czoło.

- Pierwszy rzeczywiście znaleźliśmy w szybie. Pozostałe wyszły nam na spotkanie.

- Wyszły na spotkanie? Co pani ma na myśli? Ping znowu się roześmiała.

- Nie wiem, jak to inaczej określić. Zbliżają się do Bili zupełnie jakby coś je przyciągało.

- Chce pani powiedzieć, że te kostki przemieszczają się w twardej skale?

- Nie wiemy, jak to robią. - Ping wzruszyła ramionami. - Ale tak się zachowują.

Crane raz jeszcze uważnie przyjrzał się kostce. Niesamowite - kostka wisiała w środku laboratorium, mieniając się wewnętrznym światłem o zmiennych, nieprzeliczonych odcieniach. Patrząc na nią, Crane poczuł nagłe, głębokie przekonanie, że obawy Ashera są nieuzasadnione. Niepokojąca relacja naocznego świadka z XIV wieku, którą przeczytał poprzedniej nocy, była zapewne fantazją lub odnosiła się do jakiegoś innego zdarzenia. Niewątpliwie przyczyna chorób leżała gdzieś indziej. Ten przedmiot musiał mieć dobry wpływ na otoczenie. Tylko moralnie rozwinięta cywilizacja, która wyeliminowała wojny, agresję i zło, mogła stworzyć coś tak pięknego.

- Co pani bada? - mruknął.

- Tę wąską wiązkę światła. Przepuszczam ją przez refraktometry i robię analizę spektralną, ale to trudna sprawa.

- Czy dlatego, że musi pani przemieszczać aparaturę wokół kostki, zamiast ustawić ją w odpowiednim położeniu?

- To również jest kłopotliwe - przyznała ze śmiechem. - Ale myślałam o czymś innym. Mam ten sam kłopot, co pan: kostki układanki nie pasują do siebie.

Crane skrzyżował ramiona i oparł się o aparat.

- Czy mogłaby pani mi o tym opowiedzieć? - poprosił z zainteresowaniem.

- Bardzo chętnie. Tylko uczeni interesują się tymi... powiedzmy żetonami, bo brakuje dobrego słowa. Pozostali myślą tylko o tym, żeby jak najszybciej dokopać się do głównego złoża. Niekiedy myślę, że dostałam tę drugorzędną robotę jedynie dlatego, że Korolis chciał się mnie pozbyć. Zostałam zatrudniona do programowania komputerów, nie zaś prowadzenia badań.

Ping nie zdołała ukryć rozgoryczenia. Głos ją zdradził. Zatem to Korolis przeniósł ją z ważnego stanowiska do tego laboratorium na zapleczu - pomyślał Crane. - Kobieta marnuje swój talent na teorię i nieistotne pomiary.

- Dlaczego miałyby to zrobić? - spytał. - Nie ufa pani?

- Korolis nie ufa nikomu, a już na pewno nie komuś, kto skończył politechnikę w Pekinie. - Ping wstała, podeszła do Crane'a i wskazała lewi tuj ący żeton. - Wróćmy do rzeczy. Wydaje się, że wiązka emitowanego światła ma stałe natężenie. W rzeczywistości jednak pulsuje, i to z dużą częstością: ponad milion razy na sekundę.

Crane popatrzył na wiązkę.

- Wiem. Asher mi o tym powiedział.

- To jeszcze nie wszystko. Wygląda jak zwykłe światło, prawda?

- Jest bardzo białe, ale poza tym niczym się nie różni.

- W rzeczywistości bardzo się różni od zwykłego światła. Ma paradoksalne właściwości. Niemal wszystkie testy, jakie przeprowadziłam, dały anomalne wyniki.

- Jak to? Światło to światło. Co może być w nim niezwykłego?

- Też tak myślałam. Z pomiarów wynika coś innego. Proszę, oto przykład. Ten aparat, o który się pan opiera, to spektrograf.

- Jeszcze nie widziałem tak dużego spektrografu.

- No, dobrze, to dość nietypowy spektrograf fotoelektryczny. Robi to samo co wszystkie spektrografy, tyle że szybciej i dokładniej. Wie pan, jak działa spektrograf?

- Tak. Rozkłada światło na fale różniące się długością.

- Słusznie. Zjonizowana materia, na przykład wskutek ogrzania do wysokiej temperatury, emituje promieniowanie. Różne pierwiastki emitują promieniowanie różniące się widmem. Promieniowanie pierwiastka lub związku składa się z linii emisyjnych, które można wykryć za pomocą spektrografu. Takie linie mają duże znaczenie w astronomii, ponieważ umożliwiają określenie składu chemicznego gwiazd.

- Proszę mówić dalej.

- Skorzystałam z tego spektrografu, żeby zbadać światło emitowane przez żeton. Oto wynik. - Ping niemal triumfalnym gestem podała mu kartkę.

Crane przyjrzał się widmu. Nie dostrzegł niczego niezwykłego. Wykres składał się z licznych wąskich maksimów i szerszych dolin - był dość podobny do zapisu EKG.

- Niewiele wiem o spektroskopii fotoelektrycznej - powiedział. - Nie widzę w tym nic dziwnego.

- W tym widmie nie byłoby nic zaskakującego, gdyby chodziło o promieniowanie odległej gwiazdy. Ale w przypadku tej kostki? To dziwne, wręcz niemożliwe. To - wskazała palcem kilka ciemnych pasków - linie absorpcyjne.

- I co z tego?

- Linie absorpcyjne powstają, gdy na linii między źródłem a obserwatorem znajduje się jakiś obiekt, na przykład obłok gazu, który pochłania światło o określonych długościach fal. Nigdy nie obserwuje się widma absorpcyjnego, gdy źródło i obserwator są w jednym pokoju.

Crane znowu spojrzał na widmo. Zmarszczył brwi.

- Twierdzi pani zatem, że takie widmo, jakie ma promieniowanie tych żetonów, dotychczas obserwowano tylko przy promieniowaniu gwiazd?

- Tak. Z fundamentalnych przyczyn taki obiekt nie może emitować promieniowania o takim widmie. To niemożliwe.

Crane zamilkł. Oddał wykres Ping.

- A to tylko jeden z wielu paradoksalnych właściwości tych żetonów. Właściwie każdy eksperyment daje niezrozumiałe wyniki. To fascynujące, ale też bardzo frustrujące. Dlatego postanowiłam skorzystać ze spektrografu. Doszłam do wniosku, że dla pewności należy użyć aparatu, którym normalnie posługują się astronomowie. - Chińska uczona pokręciła głową. - No i jest jeszcze kwestia fizycznej budowy żetonów. Dlaczego żeton w ogóle emituje światło? Czy zwrócił pan uwagę, że wiązka jest zawsze tak samo skierowana, niezależnie od ustawienia żetonu?

- Nie zauważyłem.

Crane podniósł rękę i bez zastanowienia obrócił żeton. Wystarczył lekki nacisk, żeby kostka się obróciła, ale wiązka światła przez cały czas była skierowana w ten sam punkt na suficie. W trakcie obrotu zmieniało się natomiast miejsce na powierzchni żetonu, z którego wychodziło światło. W dotyku żeton wydawał się chłodny i dziwnie śliski.

- Ciekawe - powiedział Crane. - Wiązka nie zmienia położenia względem otoczenia niezależnie od orientacji żetonu. Tak jakby dowolny punkt na powierzchni mógł być źródłem światła. - Przyciągnął żeton do siebie. Wydawało mu się, że rozgrzewa się w jego dłoni. Spojrzał przez ramię na Ping. - Zastanawiam się, czy...

Crane nagle przerwał. Uczona patrzyła na niego z przerażeniem. Cofnęła się o krok. Wydawała się zszokowana.

- Co się stało? - spytał.

Doktor Ping zrobiła jeszcze jeden krok do tyłu i stanęła za aparatem.

- Rękawiczki... - odpowiedziała zduszonym głosem. Crane nagle poczuł niemal bolesne ciepło w końcach palców. Szybko puścił żeton i cofnął rękę. Kostka płynnie wróciła do poprzedniego położenia w środku pokoju.

Patrzył na nią, stojąc w miejscu, tak jakby nogi mu wrosły w ziemię. Ping wypowiedziała tylko jedno słowo, ale jego pełne znaczenie wryło się głęboko w jego świadomość.

Nikt jeszcze nie dotykał żetonu bez rękawiczek...

Końce palców piekły go coraz bardziej. Crane poczuł przyśpieszone bicie serca, zaschło mu w ustach. Właśnie popełnił kardynalny grzech, najgłupszy błąd, jaki mógłby zrobić zupełny nowicjusz. Teraz...

Myśli przerwało mu wycie dzwonka alarmowego. Rozległ się zgrzyt metalu: w całym laboratorium automatycznie zamknęły się przewody wentylacyjne. Zgasło światło na suficie, a zamiast tego zapaliły się czerwone lampki instalacji alarmowej.

To Ping nacisnęła guzik alarmowy, zamykając ich oboje w laboratorium.

27

Crane stał nieruchomo. Miał wrażenie, że pod wpływem dzwonka trzęsą się ściany. W świetle alarmowych lamp laboratorium wyglądało, jakby były zalane krwią.

Co się stało? Dotknął tego tajemniczego urządzenia i wywołał jakąś reakcję. Boże - pomyślał z przerażeniem. - Czy zostałem napromieniowany? Promieniowanie alfa, może emisja neutronów? Jaka dawka? A może...

Crane opanował strach, przerwał te spekulacje i spróbował skupić myśli. Jak się postępuje w przypadku napromieniowania?

Odsunął się od lewitującego żetonu.

- Łazienka! - krzyknął. - Muszę szybko opłukać ręce solą fizjologiczną!

Hui pochyliła się nad aparaturą. Coś do niego mówiła, ale z powodu wycia alarmu nie mógł zrozumieć ani słowa.

- Co pani mówi?

Znowu coś krzyknęła, gwałtownie gestykulując.

- Co? - wrzasnął Crane.

Hui odwróciła się i nacisnęła guzik na ścianie. Nagle zrobiło się cicho. Chwilę później zapaliły się normalne światła.

- Mówiłam, że to nic strasznego! - krzyknęła. - To tylko podczerwień!

Crane spojrział na nią.

- Podczerwień? - powtórzył.

- Tak. Właśnie sprawdziłam. Gdy dotknął pan żetonu nastąpiła emisja promieniowania podczerwonego. - Ping znowu spojrzała na swoją aparaturę. Podeszła do Crane'a i

przejechała wzdłuż jego ciała przenośnym licznikiem Geigera, zatrzymując się na końcach palców. - Tylko promieniowanie tła, o takim samym natężeniu, jak w całej stacji.

W tym momencie Crane zwrócił uwagę na krzyki dobiegające z korytarza. Ktoś łomotał pięścią w drzwi laboratorium. Hui szybko podeszła do konsoli komunikacyjnej i podniosła słuchawkę.

- Mówi doktor Ping - powiedziała. - Falszywy alarm. Powtarzam, fałszywy alarm. Pomyłka.

- Proszę wprowadzić hasło - odpowiedział jej beznamiętny, mechaniczny głos.

Ping nacisnęła kilka guzików na konsoli, wprowadzając serię liczb.

- Hasło potwierdzone. Odwołujemy alarm.

Raz jeszcze zazgrzytał metal i przez otwarte przewody wentylacyjnie ponownie dotarło do laboratorium świeże powietrze. Hui otworzyła drzwi. Dwaj wartownicy, którzy walili pięściami w drzwi, niemal wtoczyli się do środka.

- Falszywy alarm - poinformowała ich Ping z uśmiechem. - Bardzo przepraszam za kłopot.

Żołnierze przez chwilę rozglądali się podejrzliwie dokoła, trzymając karabiny gotowe do strzału. Hui nadal się uśmiechała. Spojrzeli jeszcze na Crane'a, po czym wyszli na korytarz i znowu stanęli po obu stronach drzwi. Hui ponownie zaniknęła drzwi na klucz i obróciła się w stronę Crane'a.

- Przepraszam - powiedziała. Wydawała się zakłopotana.

- Pani przeprasza? To ja właśnie zrobiłem błąd godny ucznia z podstawówki.

- Nie. Myślałam, że zna pan reguły. Zbyt nerwowo zareagowałam... Wszyscy żyjemy tu w pewnym napięciu. Wykonane dotąd doświadczenia i pomiary wskazują, że te obiekty są nieszkodliwe. Mimo to...

Hui nie dokończyła zdania. Przez chwilę stali w milczeniu. Crane powoli odetchnął. Czuł, że tętno wraca do normalnego tempa. Wciąż piekły go oparzone opuszki.

Hui wyglądała tak, jakby nad czymś się zastanawiała.

- W istocie rzeczy powinnam panu podziękować, doktorze - powiedziała powoli.

- Za co? - zdziwił się Crane. Masował z roztargnieniem końce palców.

- Dzięki panu mam coś nowego do zbadania. Teraz żeton emituje dwa rodzaje promieniowania elektromagnetycznego.

- Chce pani powiedzieć, że...

- Tak. - Hui wskazała ręką aparaturę. - Żeton nadal emituje promieniowanie podczerwone, a nie tylko widzialne.

Znowu zapadła cisza. Crane podszedł do żetonu, tym razem zachowując większą ostrożność. Żeton wisiał w powietrzu, a jego perłowe krawędzie lekko falowały, jak rozmyte zarysy mirażu.

- Dlaczego on promieniuje? - wymamrotał.

- Dobre pytanie, doktorze.

- Chyba nie ma to nic wspólnego z jego napędem, prawda? - powiedział, wciąż przyglądając się żetonowi.

- Mało prawdopodobne.

- Mechanizm obronny?

- Myśli pan, że to ma skłonić napastnika do puszczenia żetonu? To również skrajnie nieprawdopodobne. Takie wyrafinowane urządzenie z pewnością mogłoby być wyposażone w lepsze mechanizmy obronne. Poza tym już próbowaliśmy zniszczyć taki żeton - zniósł bez szwanku wszystkie ataki. Pańskie palce nie mogą stanowić poważnego zagrożenia.

Crane obszedł żeton, przypatrując mu się ze wszystkich stron. Wciąż czuł skutki nagłego przyływu adrenaliny pod wpływem strachu. Wziął plastikową próbkę, ostrożnie złowił w nią żeton i zakorkował. Niewielka kostka zawisała w środku próbki.

- Asher uważa, że w promieniowaniu jest zakodowana jakaś wiadomość - powiedział.

- Jego zdaniem pulsy stanowią kod binarny.

- Logiczne przypuszczenie - zgodziła się Hui. - Jeśli rzeczywiście jest to wiadomość, do tej pory nie udało się jej odczytać.

- Ciekawe, co u niego - mruknął Crane bardziej do siebie niż do niej. Czuł się winny, że dotąd nie skontaktował się z głównym uczonym. Po raz ostatni rozmawiał z nim w kabinie, gdy nagle pojawił się Spartan z obstawą. Od tej pory był tak zajęty, że po prostu nie miał czasu do niego zadzwonić lub go poszukać.

- Napiszę do niego - powiedziała Ping. Usiadła przy biurku, na którym stał komputer, i zaczęła pisać. Po chwili przerwała, zmarszczyła brwi, ale znowu coś napisała. - Dziwne - powiedziała.

- Co się stało? - zainteresował się Crane. Podszedł do biurka.

- Dostaję wiadomość o błędach sieci - wyjaśniła, wskazując ekran monitora. - Niech pan spojrzy. Przekroczona maksymalna liczba pakietów.

- Jakiej sieci pani używa?

- Standardowej bezprzewodowej 802,11 g. To sieć używana w całej stacji. - Hui znowu wpisała kilka instrukcji.

- To samo.

- W klinice nigdy nie miałem kłopotów z siecią.
- Mnie również nigdy jeszcze się to nie zdarzyło. Do tej pory działała jak szwajcarski zegarek. - Hui powtórzyła próbę. - Okej. Za trzecim razem jakoś się udało.

Crane wciąż o tym myślał.

- Jakie pasmo częstości wykorzystuje ta sieć? - spytał.

- Pięć i jedna dziesiąta gigaherca. Dlaczego pan pyta? - Hui odwróciła się od monitora i spojrzała na niego. - Chyba pan nie przypuszcza...

- Że coś zaburza działanie sieci? Dobre pytanie. Czy w tym laboratorium są jakieś inne urządzenia wykorzystujące taką częstotliwość?

- Nie. Używana jest wyłącznie do łączności bezprzewodowej.

Hui mówiła coraz ciszej. Popatrzyli sobie w oczy i jak na komendę spojrzeli na żeton wiszący przed radiometrem. Hui wstała z krzesła, podeszła do stołu laboratoryjnego i odszukała wśród różnych ręcznych mierników analizator promieniowania. Podeszła do żetonu, przysunęła analizator i spojrzała na wyświetlacz.

- Boże, emituje również promieniowanie o częstotliwości pięć i jedna dziesiąta gigaherca - powiedziała.

- Kontaktuje się w trzech częstościach, bardzo od siebie odległych - zauważył Crane.

- Wiemy o trzech. Teraz jakoś gotowa jestem się założyć, że wykorzystuje więcej częstości. Zapewne dużo więcej.

- Czy jest pani pewna, że to nowe zjawisko?

- Absolutnie. Do tej pory emitował tylko promieniowanie widzialne.

Crane przyglądał się wiszącemu żetonowi.

- Jak pani sądzi, co się stało? Ping dziwnie się uśmiechnęła.

- Wydaje się, że pan go zbudził, doktorze.

Ping wróciła do komputera i zaczęła pośpiesznie stukać w klawiaturę.

28

- Pochłaniacze dwutlenku węgla?

- Sprawdzone.

- Serwomechanizmy i zawieszenie kardanowe?

- Sprawdzone.

- Deflektor?

- W porządku.

- Wskaźniki bezwładnościowego systemu sterowania?

- Zielone.
- Sprzęgło elektromagnetyczne?
- Maksimum.
- Wskaźnik temperatury?
- Sprawdzony.

Thomas Adkinson obrócił się na krześle w stronę panelu sterowniczego i wyłączył głośnik, przez który słyszał rozmowę pilota z inżynierem. Wszystkie lampki kontrolne na jego konsoli świeciły się zielono, a wysięgnik zamocowany pod Bilą był gotowy do działania.

Zamiast huku kolejnych uderzeń o kadłub, słyszeli teraz cichy szmer: kłapa wejściowa została już zaspawana i pracownicy polerowali szew. Gdyby w hangarze pojawił się ktoś nowy, zobaczyłby tylko gładką, lśniącą kulę i nie miałby powodu przypuszczać, że w środku siedzą trzech ludzie.

Wszystkim trzem było tam bardzo niewygodnie.

Adkinson poprawił się na metalowym krześle. Starał się znaleźć pozycję, w której mógłby jakoś wytrzymać przez dwadzieścia cztery godziny. Ponieważ wsiadanie i wysiadanie zajmowało tyle czasu - półtorej godziny przygotowania do zanurzenia, trzydzieści minut wyjście z Bili - załogi pracowały przez trzy zmiany bez przerwy, żeby zwiększyć wydajność.

Pieprzę wydajność, pomyślał Adkinson. Boże, dlaczego nie wybrałem łatwiejszego sposobu zarabiania na życie.

- Bila Jeden, tu kontrola zanurzenia - z niewielkiego głośnika rozległ się bezosobowy głos. - Status?

Grove, pilot Bili, wziął do ręki mikrofon.

- Tu Bila Jeden. Wszystkie systemy działają poprawnie.
- Zrozumiałem.

Adkinson spojrzał kątem oka na Grove'a. Jako pilot formalnie dowodził on Bilą, co zakrawało na żart, ponieważ nie miał nic do roboty poza gapieniem się na przyrządy i pilnowaniem, czy wszystko działa normalnie. Prawdziwą pracę wykonywali on i Horst, inżynier pokładowy. Grove nigdy jednak nie zapominał o kamerze, przekazującej obraz z Bili nie tylko do kompleksu wiertniczego, lecz także do bazy pod Waszyngtonem. Zawsze odgrywał dowódcę.

Znowu zaskrzypiał głośnik.

- Bila Jeden, śluza otwarta. Możecie się zanurzać.
- Zrozumiałem - odpowiedział Grove.

Przez chwilę nic się nie działo. Nagle Bila drgnęła - dźwig uniósł ją z legarów i przeniósł na śluzę. Powoli opuścił ją do wody, ale po zwolnieniu zacisków Bila i tak gwałtownie opadła. Usłyszeli dochodzący z góry huk zamykanej grodzi ciśnieniowej. Podobnie jak wszystkie dźwięki z zewnątrz był dziwnie osłabiony, ale wielokrotnie odbijał się echem od ścian śluzy i Bili.

To skutek niezwyklej konstrukcji Bili. Jej kadłub składał się z zewnętrznej skorupy z kompozytu tytanowo-ceramiczno-epoksydowo-węglowego i wewnętrznej ze stali. Podwójny kadłub był powszechnie stosowanym rozwiązaniem w konstrukcji okrętów podwodnych, natomiast Bila wyróżniała się niespotykanym sposobem połączenia obu skorup za pomocą tysięcy cienkich cięgieł tworzących skomplikowaną sieć przestrzenną.

Konstruktorzy Bili wzorowali się na naturze, co najbardziej dziwiło Adkinsona. Gdy po raz pierwszy usłyszał to wyjaśnienie, sądził, że chcą go nabrać. Za model skomplikowanej konstrukcji posłużyła czaszka dzięcioła. Wydawałoby się, że gdyby jakiś normalny ptak przez cały dzień dziobał drzewa, to pod wpływem wstrząsów jego mózg szybko zmieniłby się w galaretę. Czaszka dzięcioła zbudowana jednak jest z dwóch warstw połączonych - proszę zgadnąć - niezliczonymi kostnymi cięgłami.

Adkinson pokręcił głową. Dzięcioł. Jezu. Konstrukcję czaszki wymusiło ciśnienie działające podczas uderzeń. Oni siedzieli teraz w szczelnie zamkniętej, lśniącej metalowej kuli również z powodu ciśnienia.

Ciśnienie. Adkinson zawsze starał się o tym nie myśleć.

- Bila Jeden, tu kontrola zanurzenia. Wypłynąłeś ze śluzy. Grodz ciśnieniowa zamknięta.

- Zrozumiałem - odpowiedział Grove. Odłożył mikrofon i zwrócił się do Horsta, inżyniera pokładowego. - Jaki jest status Chrząszcza?

Horst siedział przy swojej konsoli. Miał przed sobą trzy ekrany, klawiaturę i dwa niewielkie drążki sterowe z gumowymi rączkami.

- Przejmuję Bilę.

Adkinson beczynnie przyglądał się pracującemu inżynierowi. Horst uważnie śledził trzy ekrany. Było na nich widać zielonkawe obrazy z sonaru Bili, maszyny wierzącej szyb i robota głębinowego zwanego Chrząszczem. Na pokładzie była tylko jedna prawdziwa zewnętrzna kamera, niewielki bezprzewodowy aparat dający niewiele większe pole widzenia niż peryskop. Z tej kamery korzystał pilot.

- Mam połączenie - powiedział Horst.

- Zrozumiałem. - Grove przerzucił kilka przełączników na konsoli, a następnie obrócił duże pokrętko o dziewięćdziesiąt stopni. - Zwiększam pole do siedemdziesięciu pięciu procent.

Z konsoli pilota rozległ się krótki pisk, a potem Bilę wypełnił cichy szum. Wydawało się, że pochodzi zewsząd i znikąd. Wszyscy poczuli coś dziwnego w brzuchu, gdy coś szarpnęło Bilą mocno w dół, jak balonikiem na sznurku.

- Pełne połączenie - zameldował Horst. Grove sięgnął po mikrofon.

- Kontrola zanurzania, tu Bila Jeden. Połączyliśmy się z Chrząszczem.

Horst wrócił do drążków sterowniczych. Poczuli jeszcze jedno, już łagodniejsze szarpnięcie i Bila zaczęła zjeżdżać w dół szybu.

Adkinson znowu pokręcił głową. Choć konstrukcja Bili była dziwna, jej metoda poruszania się była jeszcze dziwniejsza. Adkinson przywykł do okrętów podwodnych, ze zbiornikami balastowymi i kontrolą przegłębienia. Bila nie miała jednak zbiorników balastowych - zrobienie jakiegoś otworu w zewnętrznym kadłubie było wykluczone. Zamiast tego korzystali z pomocy Chrząszcza, podwodnego robota, który poruszał się wzdłuż szybu. Chrząszcz łączył się z Bilą za pomocą silnego pola elektromagnetycznego i ciągnął ją za sobą.

Przed rozpoczęciem zanurzenia ciśnienie w Bili było takie samo jak wewnątrz stacji, a kula pozostawała w spoczynku na głębokości śluzy. Podczas zanurzania całą pracę wykonywał Chrząszcz. Pod koniec zmiany Horst - który sterował robotem - po prostu rozłączał elektromagnetyczne sprzęgło. Bila unosila się, dążąc do pozycji równowagi hydrostatycznej. W ten sposób wracała do śluzy, gdzie się zatrzymywała.

To było dziwne rozwiązanie, ale dotychczas sprawdzało się za każdym razem, a co ważniejsze, było z natury bezpieczne: gdyby Chrząszcz miał kiedyś awarię, wystarczyłoby, żeby inżynier wyłączył pole magnetyczne, a Bila sama wróciłaby do śluzy. Nawet Adkinson musiał przyznać, że to pomysłowe rozwiązanie. Biorąc pod uwagę ciśnienie, trudno było wymyślić coś innego.

Znowu zasadnicze znaczenie miało ciśnienie.

- Zero minus trzysta metrów - zakomunikował Grove.

- Połączenie elektromagnetyczne pięć na pięć - powiedział Horst. - Stałe tempo zanurzania.

Adkinson oblizwał wargi. Ciśnienie nie tylko zmuszało ich do znalezienia ekstrawaganckich rozwiązań konstrukcyjnych umożliwiających pracę na takiej głębokości, lecz także ogromnie spowalniało postęp. Najpierw automatyczna, praktycznie niezniszczalna tarcza wiertnicza pogłębiała szyb o kilka metrów. Woda zalewała wywierconą studnię.

Następnie oni cembrowali studnię za pomocą pierścieni z superwytrzymałej stali. Instalowali je, korzystając z niezwykle złożonego wysięgnika umocowanego pod Bilą. Należało to do niego, podobnie jak odsysanie urobku za pomocą układu próżniowego na miejsce składowania na dnie, mniej więcej sto metrów w bok od stacji. Stalowe pierścienie należało montować szybko i dokładnie, w przeciwnym razie zawaliłyby się boczne ściany szybu, grzebiąc tarczę wiertniczą.

- Zero minus sześćset - zameldował Grove.

Rzecz jasna, byli tak dobrze wyszkoleni, a cały proces tak dobrze kontrolowany, że taki wypadek był praktycznie wykluczony. Jego szkolenie - z powodu pewnego ekscentrycznego, starego kutasa - było szczególnie ciężkie i nieprzyjemne. Ten przyk był strasznie wymagający.

Gdy skończą zmianę, szyb będzie sięgał trzydzieści parę metrów głębiej. Ściany zostaną porządnie zabezpieczone stalowymi pierścieniami. Ponieważ cały szyb wypełniała woda, pierścienie nie musiały wytrzymywać ogromnego ciśnienia.

Co innego Bila...

Adkinson zmusił się, żeby przestać o tym myśleć. Nudził się, to wszystko. Gdy nie miał co robić, często pograżał się w ponurych rozmyślaniach, czemu niewątpliwie sprzyjał nastrój panujący na stacji: ludzie chorowali, inni zachowywali się jak wariaci, krążyły plotki o dziwnych przedmiotach, które przebijały się przez osady i skały na spotkanie z Bilą. Adkinson był ciekaw, czy w trakcie tej zmiany natrafią na kolejny taki obiekt. Strażnicy - tak nazywali te tajemnicze żetony.

Strażnicy czego?

- Zero minus tysiąc metrów - odezwał się Grove. - Zmniejszyło się tempo zanurzania.

Horst spojrział na swoje ekrany.

- Chrząszcz zwolnił.

- Czy to taki sam problem jak poprzednim razem? - spytał Grove.

Pilotowi chodziło o kłopoty, jakie miała załoga Bili poprzedniego dnia, gdy w pobliżu dna szybu z niezrozumiałych powodów Chrząszcz przez sześćdziesiąt sekund nie wykonywał poleceń. Adkinson pomyślał, że to jakiś idiota tak nazwał robota. „Chrząszcz” - sugerowało to coś niewielkiego i sympatycznego. W rzeczywistość robot wcale nie przypominał wyglądem chrząszcza i na pewno nie był sympatyczny; kojarzył się raczej z potężną bestią.

- Nie, to coś innego - odpowiedział inżynier. - Gradient temperatury. Za chwilę go pokonamy.

Adkinson przesunął się na niewielkim siedzeniu. Spróbował pomyśleć o czymś przyjemniejszym. Mieli przed sobą ważny dzień. Ostatniej nocy tarcza wiertnicza przebiła się przez warstwę bazaltową - drugą warstwę skorupy ziemskiej. Oni mieli rozpocząć penetrację warstwy gabro - trzecią, najniższą położoną. Za nią była już nieciągłość Mohorovicicia... Ciekawe, co to takiego.

Adkinson był ciekaw, co znajdą w warstwie gabro. To najcieńsza i najsłabiej zbadana warstwa skorupy. Nigdy jeszcze nie wywiercono szybu sięgającego tak głęboko. Dotrą tam, gdzie jeszcze nie dotarł żaden człowiek - Adkinson musiał tym o pamiętać.

Ciężko westchnął, przebierając palcami po drążku sterowniczym wysięgnika roboczego. Możliwość sterowania zapewniał układ bezprzewodowy, ponieważ przez kadłub Bili nie mogły przechodzić żadne kable elektryczne lub rurki układu hydraulicznego. Zanurzanie nie ciągnęłoby się tak beznadziejnie długo, gdyby miał z kim pogadać. Rozmowa z Horstem i Grove'em stanowiła według niego towarzyski odpowiednik przyglądania się wysychaniu farby.

- Zero minus dwa tysiące metrów - zakomunikował Grove.

Pieprzę cię, pomyślał z irytacją Adkinson.

Przez kolejne dziesięć minut ciszę przerywały tylko komunikaty kontroli zanurzania i rytualne odpowiedzi pilota. Gdy zbliżyli się do dna szybu, Adkinson się przebudził. Wiedział, że gdy już zajmie się pracą - przyjmowaniem stalowych pierścieni opuszczanych ze stacji, układaniem ich w szybie za pomocą cybernetycznego wysięgnika poruszanego licznymi siłownikami, uszczelnianiem - czas minie szybko.

- Zaczynj zwalniać - polecił Grove.

- Potwierdzam - odpowiedział Horst i nacisnął kilka klawiszy. - Zjeżdżamy rozpędem.

- Kontrola zanurzania, tu Bila Jeden - Grove rzucił do mikrofonu. - Zbliżyliśmy się do dna szybu. Zaczynjcie spuszczać ładunek.

- Bila Jeden, zrozumiałem - odpowiedział kontroler. - Zjeżdża pierwszy ładunek.

Grove spojrział na Adkinsona. Był to dla niego sygnał, żeby ruszył tyłek. Kiwnął głową i zaczął przygotowywać stanowisko. Włączył ekran sonaru koniecznego do monitorowania położenia stalowych pierścieni, a następnie zaczął testować system sterowania wysięgnikiem. Najpierw sprawdził działanie głównego silnika, później niewielkich silników sterujących.

Dziwne, pomyślał. Wysięgnik działał powoli, jakby był rozleniwiony. Prawie nie reagował na ruchy drążka sterowego.

- Zatrzymaliśmy się - powiedział pilot. Zwrócił się do inżyniera. - Co się stało?

- Nie jestem pewny - odpowiedział Horst. Naciskał na klawisze i wpatrywał się w ekrany.

- Czy włączył się czujnik sygnalizujący zbliżenie do tarczy wiertniczej?

- Nie - odrzekł inżynier. - Tarcza rozpoczęła pracę zgodnie z rozkładem. Już przesunęła się o metr.

- Dlaczego zatem Chrząszcz się zatrzymał?

- Nie wiadomo. - Ręce Horsta tańczyły na klawiaturze. - Tylko z rzadka reaguje na komendy.

- Chryste. Tylko tego nam brakowało. - Grove uderzył ręką w kadłub Bili.

Pilot był znośny, gdy wszystko układało się pomyślnie, ale gdy zdarzały się problemy, zmieniał się w wyjątkowego zasańca. Adkinson miał nadzieję, że ta zmiana nie trafi do księgi rekordów.

- Możesz zwiększyć natężenie sygnału?

- Już jest ustawione na maksimum.

- Niech to diabli, lepiej...

- Już - przerwał mu Horst. - Chrząszcz ruszył.

- Tak lepiej - odrzekł Grove. Wrócił do normalnego tonu głosu. - Adkinson, przygotuj się...

- O cholera! - zaklął Horst. W jego głosie nagle pojawiło się napięcie. Adkinson od razu poczuł strach. - Wznosi się!

- Co się wznosi? - spytał Grove.

- Chrząszcz. Przestał się zanurzać. Zbliża się do nas!

Adkinson spojrział na środkowy ekran inżyniera. Rzeczywiście, sonar wskazywał, że wielki robot porusza się w górę. Bez patrzenia na przyrządy widać było, że robot przyśpiesza.

- Zatrzymaj go! - krzyknął Grove. - Wyłącz zasilanie!

- Nie mogę! - Horst gorączkowo wpisywał komendy. - Nie reaguje na żadnym kanale.

Nagle rozległ się ostry dzwonek alarmowy. „Ostrzeżenie przed zderzeniem - usłyszeli bezosobowy kobiecy głos. Ostrzeżenie przed zderzeniem”.

- To na nic! - krzyknął Horst. - Zbliża się! Zostało tylko dwadzieścia metrów!

Adkinson poczuł, jak żołądek kurczy mu się ze strachu. Jeśli Chrząszcz ich staranuje, spowoduje to zapewne uszkodzenie układu cięgieł łączących dwie powłoki kadłuba Bili...

Pod wpływem paniki gwałtownie zaciskał i otwierał pięści, ciężko dyszał i kręcił się wkoło, bezsensownie poszukując drogi ucieczki.

- Przerywamy misję! - Grove z trudem przekrzyczał alarm. - Horst, rozłącz elektromagnetyczne sprzęgło! Wyłączyliśmy!

- Już rozłączyłem! Mimo to Chrząszcz się zbliża! Jest piętnaście metrów od nas! Szybko się zbliża!

- Cholera! - Grove chwycił mikrofon. - Kontrola zanurzenia, tu Bila Jeden. Przerywamy misję i wracamy!

- Bila Jeden, powtórz? - zachrypiał głośnik.

- Chrząszcz nie działa, awaryjne wynurzenie! Adkinson zacisnął ręce na poręczach krzesła. Desperacko starał się opanować. Czuł, że Bila zaczęła się wznosić, ale poruszali się rozpaczliwie wolno. Nie mógł oderwać oczu od ekranu Horsta. Pośpiesz się, do diabła, pośpiesz się...

„Uwaga, zderzenie! - znowu rozległ się kobiecy głos. Uwaga, zderzenie!”

- Pięć metrów! - krzyknął Horst. - Boże...

- Trzymajcie się! - wrzasnął Grove.

Adkinson zaparł się rękami o wewnętrzną powierzchnię kadłuba. Zacisnął zęby. Przez chwilę miał wrażenie, że wycie alarmu i krzyki pilota przycichły w oczekiwaniu. Sekundę później nastąpiło uderzenie, Bila podskoczyła, zakołysała się na boki, słychać było zgrzyt rozdieranego metalu. Nagle zaczęła się błyskawicznie wznosić. Adkinson uderzył głową o podłogę... chwilę później ogarnęły go ciemności.

29

Crane biegł przez labirynt korytarzy na trzecim poziomie, dotrzymując kroku młodemu żołnierzowi z krótko obciętymi, jasnymi włosami.

- O co chodzi? - spytał. - Co się stało?

- Nie wiem, proszę pana - odpowiedział chłopak. - Otrzymałem rozkaz, żeby jak najszybciej przyprowadził pana do kompleksu wiertniczego.

Zatrzymali się przed nieoznaczonymi drzwiami. Okazało się, że to wejście do klatki schodowej. Zbiegali po metalowych schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz, aż znaleźli się na pierwszym poziomie. Żołnierz otworzył kolejne drzwi i pobiegli dalej wąskimi korytarzami. Crane zauważył, że tutaj - na najniższym poziomie stacji - ściany były pomalowane na czerwono.

Zbliżali się do dwuskrzydłowych drzwi. Na ich widok wartownicy od razu je otworzyli. Weszli do kompleksu wiertniczego - rozległego hangaru, który widział z galerii poprzedniego dnia. Na trzech ścianach wisiały elementy wyposażenia i przyrządy pomiarowe.

Widać było liczne wejścia do laboratoriów, magazynów, stacji monitorujących. Z sufitu - hangar sięgał dwa poziomy w górę - zwisały żurawie, ciężkie łańcuchy, przewody hydrauliczne. Wszędzie kręcili się technicy. Mówili coś cicho, a na ich twarzach widać było niepokój. Gdzieś daleko słychać było dzwonek alarmu.

W środku hangaru, wokół górnej pokrywy śluzy, zgromadziła się grupka ludzi. Wśród nich stał admirał Spartan. Crane szybko podszedł do niego.

- Co się stało? - spytał Spartana.

Admirał spojrział na niego, ale zaraz znowu wbił wzrok w pokrywę śluzy.

- Doszło do jakiegoś wypadku z Bilą Jeden.

- Co to za wypadek?

- Straciliśmy łączność z załogą, więc trudno powiedzieć. Prawdopodobnie zaczęło się od awarii robota, który ściąga Bilę w dół szybu. Robot zderzył się z Bilą, a ta teraz wznosi się w niekontrolowany sposób.

- Jezu. Nastąpiło rozszczelnienie?

- To zupełnie nieprawdopodobne. Ewentualne obrażenia mogą być raczej spowodowane zderzeniem.

- Jak wskutek uderzenia tępym narzędziem - mruknął Crane. Rozejrzał się dokoła. Szybko myślał, co dalej. - Załoga Bili liczy trzy osoby?

- Zgadza się.

- Nie mam tu żadnych środków medycznych.

- Już poleciłem przynieść zestawy ratunkowe.

„Do zderzenia pozostały w przybliżeniu dwie minuty” - ktoś podał ostrzeżenie przez głośnik.

- Polowe zestawy ratunkowe to za mało, admirał - powiedział Crane. - Będzie pewnie potrzebna sala zabiegowa. Trzeba ściągnąć doktor Bishop. Jeśli wszyscy trzej są ranni, sam nie dam rady.

- Nie do kompleksu wiertniczego - odparł Spartan, obracając się w jego stronę.

- Ale.. - zaczął Crane.

- Może pan skorzystać z ambulatorium na czwartym poziomie. Każę sprowadzić tam doktor Bishop. - Spartan wezwał skinieniem dłoni jakiegoś żołnierza. - Znajdźcie doktor Bishop i przyprowadźcie ją na czwarty poziom.

Żołnierz zasalutował i pobiegł wykonać rozkaz.

- A jeśli ci ludzie mają obrażenia kręgosłupa? - spytał Crane. - Nie możemy ich przенosić bez odpowiedniego zabezpieczenia... - przekonywał admirała, ale widząc wyraz jego twarzy zrezygnował.

Nie wygrasz tej walki, pomyślał. Zachowaj siły na inną okazję.

Jeden z techników uniósł głowę znad konsoli.

- Panie admirałe - powiedział - Bila Jeden nieco zwolniła.

- Jak szybko się wznosi? - spytał Spartan.

- Dziesięć metrów na sekundę.

- Została wytrącona ze stanu równowagi - powiedział Spartan. - To wciąż cholernie szybko.

Crane powtarzał sobie w myślach kolejne kroki, jakie będzie musiał wykonać, gdy już uda się wydobyć załogę z Bili. Miał za sobą specjalistyczne szkolenie, ale w tym wypadku każdy sanitariusz postępowałby według tej samej procedury co on. Drogi oddechowe, oddech, krążenie krwi. Jeśli zderzenie z robotem było bardzo silne, mogło spowodować potłuczenia, złamania, wstrząśnienie mózgu. Skoro miał przetransportować członków załogi na czwarty poziom, potrzebne były kołnierze usztywniające i deski zabezpieczające kręgosłup...

„Do zderzenia pozostało w przybliżeniu sześćdziesiąt sekund” - z głośnika rozległo się kolejne ostrzeżenie.

- Czy jest jakiś sposób, żeby zmniejszyć szybkość wznoszenia się Bili? - spytał Crane.

- Tuż przed uderzeniem we wrota śluzy zrobimy poduszkę z dwutlenku węgla - odpowiedział Spartan. - To powinno zmniejszyć siłę uderzenia, przynajmniej w teorii. Konieczna jest precyzyjna synchronizacja. Admirał podszedł do technika.

- Wypuście gaz pięć sekund przed zderzeniem - polecił.

- Tak jest, proszę pana. - Technik był blady jak prześcieradło.

Crane rozejrzał się po hangarze. Pracownicy znieruchomieli, ucichł szmer rozmów. Wszyscy czekali. „Trzydzieści sekund” - padło następne ostrzeżenie. Spartan sięgnął po mikrofon.

- Wszyscy na pokładzie przygotować się do zderzenia - rozkazał.

Crane podszedł do najbliższej poręczy i chwycił ją oburącz.

- Szybkość wznoszenia? - spytał Spartan technika.

- Dziewięć i pół metra na sekundę. Stała. „Piętnaście sekund” - zaskrzyphiał głośnik.

Spartan rozejrzał się po hangarze, jakby chciał sprawdzić, czy wszyscy gracze są na swoich miejscach.

- Wypuście gaz - polecił technikowi. Technik błyskawicznie nacisnął kilka guzików.

- Wypuszczony, panie admirale - zameldował.

W tym momencie Crane poczuł wstrząs. Stacja lekko zadygotała. Słychać było głośne oddechy i stłumione jęki.

Nagle wszyscy rzucili się do działania, zupełnie jakby włączono prąd. Słychać było wykrzykiwane rozkazy, technicy w białych kitlach i żołnierze w mundurach biegli na stanowiska. Metalowa podłoga drżała od tupotu ciężkich butów.

- Czy śluza zachowała szczelność? - spytał Spartan.

- W stu procentach, panie admirale - odpowiedział technik.

Spartan pokiwał głową, sięgnął po radio i wybrał częstotliwość.

- Otwórzcie pokrywę śluzy - polecił. - Wyciągnijcie moich ludzi.

Jakaś postać na przeszklonej galerii pod sufitem zasalutowała w odpowiedzi.

- Otwieramy zewnętrzne wrota śluzy - zameldował technik przy pulpicie sterowniczym.

Crane przyglądał się, jak trzech pracownicy przetaczają w pobliżu śluzy dziwne urządzenie: stalowe rusztowanie wysokości około dwóch metrów, z przymocowanym z boku dużym, metalowym, zębatym pierścieniem. Na pierścieniu, po przeciwnych stronach, znajdowały się dwa przemysłowe lasery. Widać było tryby służące do przesuwania laserów wokół pierścienia. Niewątpliwie urządzenie to służyło do wycinania okrągłego otworu w Bili w celu wypuszczenia załogi.

- Bila Jeden jest już w śluzie - rzekł technik. - Zamykamy zewnętrzne wrota.

- Jak długo potrwa wycięcie otworu? - spytał Crane.

- Osiem minut - odpowiedział Spartan. - To i tak dwa razy szybciej niż normalnie.

Uwagę Crane'a odwróciło zamieszanie przy wejściu do hangaru. Trzej żołnierze pchali przed sobą zaimprovizowane nosze na kółkach, czwarty niósł połowe zestawy opatrunkowe. Spartan spojrzał na Crane'a i lekko poruszył głową w kierunku Bili. Do roboty, tak Crane odczytał jego sygnał.

Crane podszedł do rusztowania i wskazał gestem żołnierzom, żeby rozstawili w pobliżu nosze na kółkach, rozłożyli zestawy ratunkowe, przygotowali kołnierze i deski usztywniające. W myślach powtarzał sobie, co ma do zrobienia, i przygotowywał się psychicznie na widok obrażeń.

- Wrota zamknięte - powiedział technik. - Wyrównujemy ciśnienie.

- Przygotujcie wyciągarkę - polecił Spartan.

Nad ich głowami rozległ się warkot silnika. Crane spojrzał w górę: po zamocowanej do sufitu prowadnicy podjechał nad śluzę automatyczny dźwig ze szczękowym chwytakiem.

- Ciśnienie wyrównane. - Otwierajcie śluzę.

Na chwilę wszyscy znowu zamilkli. Crane poczuł pod stopami jakiś dygot. Dwa skrzydła wrót śluzy rozjechały się na boki, odsłaniając ciemną powierzchnię wody. Zawarczał silnik dźwigu i chwytak powoli się obniżył, kołysząc się na grubej, stalowej linie. Po chwili zniknął w wodzie. Warkot przycichł. Crane usłyszał stłumiony dźwięk uderzenia metalu o metal. Lina zaczęła się unosić, jeszcze wolniej niż poprzednio. W końcu z wody wyłoniła się górna część chwytaka. Centymetr po centymetrze ukazywały się układy hydrauliczne chwytaka, mocne szczęki... i wreszcie ukazała się Bila Jeden.

Rozległ się zbiorowy jęk, stłumione krzyki. Za plecami Crane'a ktoś się rozplakał.

Crane prawie tego nie słyszał.

Między szczękami chwytaka nie widać było lśniącej, idealnej, niemal transcendentalnie pięknej kuli, tylko skurczony kłębek metalu, potwornie zgnieciony przez ciśnienie do trzy razy mniejszych rozmiarów. Między rozdartymi powłokami kadłuba widać było niezliczone cięgła przypominające teraz igły jeżozwierza. Niektóre fragmenty zostały sprasowane tak mocno, że wyglądały, jakby się stopiły. W tym wraku trudno było rozpoznać dawną Bilę.

W całym hangarze zapadła głucha cisza przerywana tylko czyimś łkaniem. Przez dłuższą chwilę chwytak tylko wisiał nieruchomo nad wodą. Operator był tak zszokowany, że przestał sterować dźwigiem.

- Postawcie to na podłodze - rozkazał admirał ponuro. Crane spojrzał na niego. Na twarzy Spartana malowała się taka wściekłość, że Crane natychmiast odwrócił wzrok. Wolał patrzeć na wrak Bili.

Ciszę przerwał zgrzyt protestującego metalu i brzęk łańcuchów. Operator opuścił Bilę tuż nad podłogę, obok śluzy. Z wraku lała się strumieniami woda. Nie tylko woda. Crane dostrzegł gęste, czerwone smugi.

Nie miał wątpliwości, że kołnierze, deski i inny sprzęt medyczny nie będą mu już potrzebne. Crane zwrócił się do żołnierzy. Chciał im polecić, żeby zabrali wszystko na miejsce.

W tym momencie dostrzegł w tłumie przerażonych pracowników kompleksu wiertniczego znajomą twarz. Pod ścianą hangaru stał niski mężczyzna w wypłowiałym kombinezonie, z grzywą siwych włosów i przenikliwymi, niebieskimi oczami. Był to Flyte, ten dziwny, starszy pan, który odwiedził go w kabinie pierwszego dnia. Ledwie go było widać za technikami w białych fartuchach. Przyglądał się wrakowi z żalem i niemal dziecinnym

smutkiem na twarzy. Chwilę później spojrzął na Crane'a i powoli, celowo poruszył ustami tak, jakby wymawiał te same słowa, które już raz powiedział, stojąc w progu jego kabiny:

To wszystko jest skazane na zniszczenie...

30

Howard Asher miał dwa laboratoria na stacji *Głęboki Sztorm*: ciasny gabinet na ósmym poziomie i nieco większy pokój na czwartym. Te dwa pomieszczenia bardzo różniły się wyglądem. W gabinecie na ósmym poziomie panował eklektyczny nieporządek i czuć było ciepłą atmosferę, natomiast laboratorium w tajnej części stacji było surowe, oszczędne, czysto funkcjonalne i bezosobowe. Asher siedział tam i wspierając głowę na łokciu, przyglądał się rozłożonym wykresom i równaniom. Nagle otworzyły się drzwi i wszedł admirał Spartan.

Przez chwilę patrzyli na siebie jak dwaj sparingpartnerzy. W końcu Asher nieco się odprężył.

- Usiądzie pan? - zaprosił gościa. Spartan pokręcił głową.

- Magnetyczna Jednostka Zanurzeniowa, czyli Chrząszcz, jest w kiepskim stanie. Zamierzamy korzystać z zapasowej, dopóki tej nie zreperują.

- Rozumiem zatem, że zamierza pan kontynuować wiercenie szybu.

- Oczywiście. Dlaczego nie mielibyśmy tego robić? Asher spojrzął na niego z niedowierzaniem.

- Admirale, właśnie zginęli trzej ludzie.

- Pamiętam o tym. Czy pańscy inżynierzy doszli do jakichś wniosków?

- W sprawie przyczyny awarii Chrząszcza? Nie mają nic definitywnego.

- Co proponują zrobić, żeby taka awaria się nie powtórzyła? Asher przez chwilę mierzył wzrokiem admirała. Ciężko westchnął.

- Dwukrotne, a jeszcze lepiej trzykrotne zwiększenie natężenia pola elektromagnetycznego powinno zagwarantować, że w przyszłości sprzęgło nie zawiedzie.

- Coś jeszcze?

- Tak. Wyłączcie wszystkie automatyczne urządzenia i procesory, które nie są absolutnie niezbędne do wiercenia. To dotyczy również pozostałych dwóch Bil i Chrząszcza. Korzystajcie tylko z niezbędnych przyrządów. Instrukcje dla nich należy przekazywać z dużą redundancją, cały czas sprawdzając poprawność transmisji.

- Zatem to są pańskie zalecenia? Asher zmarszczył brwi.

- Nie. Ja zalecam przerwanie dalszych operacji, dopóki nie zrozumiemy dokładnie przyczyn tej katastrofy.

- To wykluczone, doktorze. Nie można przecież przewidzieć, jak długo to potrwa.

- Jednak śmierć tych ludzi...

- To tragedia, ale gdy Grove, Adkinson i Horst podpisywali umowę, wiedzieli, na jakie niebezpieczeństwo się narażają. Podobnie jak pan.

- Admirale, niech pan posłucha... - powołał próbę Asher.

- Nie, doktorze, to pan niech posłucha. Ludzie zawsze byli gotowi ginąć, gdy chodziło o jakieś odkrycia lub zdobycie wiedzy, prawda? Czy nie z tego powodu wszyscy tu jesteśmy? Proszę pomyśleć o Robercie Falconie Scotcie, Amelii Earhart i załodze *Challenger*a. Ja też ryzykuję życie, żeby przesunąć granice wiedzy, dla dobra ludzkości. Czyż pan nie robi dokładnie tego samego? Asher zawahał się.

- Poza tym... jeśli przyczyną katastrofy jest czyjeś działanie, to zwłoka będzie sprawcom na rękę.

- Czyjeś działanie? Ma pan na myśli sabotaż? Nie ma żadnych poszlak, które wskazywałyby, że niewłaściwe działanie Chrząszcza było wynikiem sabotażu.

- Jeszcze nie ma.

- Bardziej prawdopodobną przyczyną są takie anomalie, jakie zauważyli Crane i Hui Ping. - Asher westchnął i przetarł ręką oczy. - Poza tym są pewne fakty, które należy wziąć pod uwagę.

- Jakie fakty?

- Bila Jeden właśnie zaczęła penetrować trzecią, najniższą położoną warstwę skorupy oceanicznej. Czy jest przypadkiem, że katastrofa nastąpiła na największej głębokości, jaką udało się nam osiągnąć?

- Ciśnienie nie mogło spowodować takiej awarii.

- Nie mam na myśli ciśnienia. Myślę o tym, że jesteśmy coraz bliżej tego czegoś, co się tam kryje. Warstwa gabrowa jest najcieńszą ze wszystkich trzech. Nawet jeśli na chwilę zapomnimy o śmierci trzech ludzi, czy nie niepokoją pana liczne dziwne choroby? Czy nie martwi się pan, że ludzie zaczynają szeptać, są poważne problemy z morale załogi?

Spartan nie odpowiedział. Asher wstał i zaczął krążyć po pokoju.

- Dzięki Crane'owi zrobiliśmy wielki krok naprzód.

- Doktor Crane powinien ograniczyć się do zleconego mu zadania - odparł Spartan.

- To jemu zawdzięczamy największy przełom. Admirale, te urządzenia nie emitują już sygnału tylko na jednej długości fali. Przekazują różne sygnały na tysiącach długości fal.

Prawdopodobnie nawet milionach. W istocie wykorzystują wszystkie pasma, jakie dotychczas zbadaliśmy. Nadają fale radiowe, mikrofałe, promieniowanie podczerwone, nadfioletowe, co tylko pan zechce.

- I w ten sposób zakłócają działanie naszych instrumentów i sieci bezprzewodowej - odpowiedział Spartan. - To prawdopodobnie jakieś powitanie.

- Niewykluczone. Ale równie dobrze może to być coś innego.

- Na przykład?

- Nie wiem. To, co chcą przekazać, jest jednak tak ważne, że nadają na wszystkich dostępnych pasmach. - Asher zawahał się i przystanął. - Jestem głęboko przekonany, że powinniśmy przestać wierzyć, dopóki nie odczytamy tych komunikatów. Ma pan dość kryptoanalityków z marynarki na pokładzie. Gdybym mógł z nimi współpracować, może razem szybciej złamalibyśmy kod.

- Obecnie mają inne zadania. Poza tym nie ma pan dowodu, że w tych sygnałach jest zawarty jakiś komunikat.

Asher wyrzucił w górę ręce w geście zniecierpliwienia.

- A pana zdaniem co to takiego? Może nadają listę przebojów z Alfa Centauri? - Asher znowu zaczął krążyć po pokoju.

Spartan przez chwilę mu się przyglądał.

- No dobrze - powiedział wreszcie. - Załóżmy, że nadają jakąś wiadomość. Jak już wspomniałem, to zapewne coś w rodzaju powitania. A może nadają instrukcję obsługi zakopanego urządzenia. Czy mnie to ciekawi? Bardzo. Czy jednak mam przerwać pracę, dopóki nie odkryję, co chcą nam powiedzieć? Nie. Przede wszystkim nie umie pan określić, ile czasu zajmie złamanie kodu. Zgadza się?

- Ja... - zaczął Asher, ale przerwał i gniewnie przytaknął.

- Jest jeszcze jeden powód. Nie ma znaczenia, jaka jest treść wiadomości. Jak sam pan przypomniał, przebijamy się już przez najniższą warstwę skorupy. Jeszcze tydzień, może krócej, a dotrzemy do Moho. Cokolwiek tam się znajduje, wydobędziemy to i zbadamy, wcześniej niż uczyni to ktoś inny.

Asher otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale nim zdążył, zatrzęsła się podłoga. Najpierw łagodnie, potem mocniej. Z półek spadły książki, słychać było trzask tłuczonego szkła laboratoryjnego, które posypało się ze stołu. Na korytarzu rozległy się zaniepokojone głosy, gdzieś daleko włączył się alarm. Spartan zerwał się na nogi, podbiegł do telefonu i wybrał numer. W tym momencie stacja znowu zadygotała.

- Mówi admirał Spartan - powiedział do słuchawki. - Proszę określić przyczynę wstrząsów. Jeśli są jakieś uszkodzenia, natychmiast meldować.

Spartan spojrział na Ashera. Główny uczony stał nieruchomo, trzymając się krawędzi blatu. Pochylił głowę i nasłuchiwał.

- To już tylko wstrząsy wtórne - mruknął.

- Do diabła, doktorze, co to było?

- To cena, jaką płacimy za lokalizację stacji na grzbiecie śródoceanicznym. Plusem jest niewielka grubość skorupy - Moho leży na głębokości siedmiu kilometrów. Minusem natomiast duża aktywność sejsmiczna otoczenia.

- Czyli tu często zdarzają się trzęsienia ziemi.

- Tak. Na ogół niewielkiej mocy, bo to przecież granica dywergentna. - Spojrział pytająco na Spartana. - Nie przeczytał pan tego opracowania na temat tektoniki płyt i oceanografii, które panu przesłałem?

Admirał nie odpowiedział. Wpatrywał się w jakiś punkt na ścianie nad ramieniem Ashera. W końcu potrząsnął głową.

- Doskonale. Po prostu doskonale. Wspaniały początek dnia - powiedział, po czym bez żadnego wyjaśnienia obrócił się na pięcie i wyszedł z laboratorium.

31

O ile klinika na górze była stosunkowo przestronna, o tyle ambulatorium na czwartym poziomie było zdecydowanie ciasne. Przypominało Crane'owi maleńką kabinę dla chorych na USS *Spectre*, gdzie pracował przez prawie rok. Tak jak tam po ścianach ciągnęły się niezliczone kable i rury. Mimo ciasnoty, w tym momencie ambulatorium wydawało się przygnębiająco puste. Crane spodziewał się, że będą tu leżeć trzej członkowie załogi Bili Jeden. W rzeczywistości z załogi nie pozostało nawet tyle, żeby było co wsadzić do plastikowego worka. Całą Bilę Jeden okryto pokrowcem i umieszczono w chłodni, żeby przeprowadzić dokładną analizę w późniejszym czasie.

Crane westchnął i zwrócił się do Bishop.

- Dziękuję, że przysłałaś. Przepraszam, że zmarnowałaś czas.

- Nie mów głupstw.

- Znałaś któregoś z tej trójki?

- Znałam Horsta. Miał kłopoty spowodowane bezdechem sennym, kilka razy przychodził do kliniki.

- Ja nie miałem okazji poznać żadnego z nich.

- Nie rób sobie wyrzutów, Peter. Przecież to nie twoja wina.

- Wiem, ale jestem sfrustrowany. To taka tragedia. Przygnębiała go nie tylko śmierć trzech członków załogi.

Drugim powodem frustracji był brak postępu w poszukiwaniach przyczyn chorób. Wykonali wszystkie znane testy - tomografię, rezonans magnetyczny, EKG. Nic to nie dało. Wszystkie nowe teorie, wszystkie obiecujące kierunki poszukiwań, ostatecznie kończyły się w ślepych zaułku. Postępował zgodnie z wszystkimi regułami diagnozowania, a mimo to nie mógł rozwiązać problemu. Chwilami miał wrażenie, że tu na dole przestały obowiązywać zasady nauk medycznych.

Crane przesunął się na krześle i celowo zmienił temat.

- Jak wygląda sytuacja na górze? Byłem taki zajęty, że nawet nie zadzwoniłem dowiedzieć się, co z naszymi pacjentami.

- W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin mieliśmy dwa nowe przypadki. Jeden z silnymi nudnościami, drugi z zaburzeniami rytmu.

- Założyłaś mu holter?

- Tak, na dobę. Ten kucharz, Loiseau, miał drugi atak. Tym razem jeszcze gorszy.

- Hospitalizowaliście go? Bishop kiwnęła głową.

- To chyba wszystko. Ostatnio to Roger jest bardziej zajęty.

- Co się dzieje?

- Odwiedziło go siedmiu, może ośmiu pracowników skarżących się na ogólne zaburzenia psychiczne.

- Na przykład?

- Typowe sprawy. Kłopoty z koncentracją, zaniki pamięci, wybuchowość. Roger uważa, że to wynik rozładowania nagromadzonego stresu.

- Rozumiem. - Crane nie chciał krytykować diagnozy, skoro sam nie badał pacjentów, ale jego doświadczenia w pracy na supertajnych okrętach podwodnych, gdzie miał do czynienia z ludźmi poddanymi ogromnej presji, nie potwierdzały takiego wniosku. Poza tym osoby o słabej psychice z pewnością zostały odsiane podczas selekcji pracowników stacji. - Opowiedz mi coś więcej o tym pacjencie z zaburzeniami osobowości.

- To bibliotekarz z ośrodka multimedialnego. Spokojny facet. Nieśmiały. Wczoraj wieczorem wszczął dwie bójki na Times Square. Gdy zdjęła go ochrona, był pijany, agresywny i głośno kłął.

- Bardzo interesujące.

- Dlaczego?

- Ponieważ jedna kobieta z tajnej części stacji ostatnio miała takie same zmiany osobowości. - Crane urwał i się zamyślił. - Wydaje się, że przypadki psychiczne zaczynają się pojawiać częściej niż fizjologiczne.

- Co ma z tego wynikać? - Bishop nie była przekonana. - Wszyscy powoli wariujemy?

- Nie. Może jednak - to tylko przypuszczenie - to właśnie jest wspólny dla wszystkich czynnik, którego szukamy. - Crane przez chwilę się wahał. - Słyszałaś o historii Phineasa Gage'a?

- Nazwisko jak z opowiadania Hawthorne'a.

- To jednak prawdziwa historia. W tysiąc osiemset czterdziestym ósmym roku Phineas P. Gage był brygadzystą, kierował ekipą robotników układających tory w Vermoncie. Wydaje się, że doszło do przypadkowego wybuchu ładunku używanego do kruszenia skał. Wybuch wyrzucił z otworu w skale pręt metalowy długości ponad metra, ważący sześć kilogramów, o średnicy ponad dwóch centymetrów. Pręt przebił mu głowę.

- Koszmarna śmierć. - Bishop pokręciła głową.

- Otóż wcale nie. Gage nie zginął. Wydaje się, że nawet nie stracił przytomności, choć pręt zniszczył znaczną część płata czołowego. Po kilku miesiącach mógł nawet wrócić do pracy. I tu jest sedno sprawy: Gage nie był tym samym człowiekiem. Przed wypadkiem był człowiekiem energicznym, pogodnym, uprzejmym, oszczędnym, rozsądnym w sprawach zawodowych. Teraz kłął, był lekkomyślny, niecierpliwy, podobno rozwiązywał, nie mógł pracować na żadnym odpowiedzialnym stanowisku.

- Tak jak niektórzy pacjenci po pierwszych resekcjach.

- Właśnie. Gage był pierwszym pacjentem, którego przypadek wskazywał na związek między stanem płatu czołowego i osobowością.

Bishop pokiwała z namysłem głową.

- Do czego zmierzasz, przypominając tę historię?

- Sam dobrze nie wiem. Zastanawiam się jednak, czy nie mamy do czynienia z problemem neurologicznym. Czy wreszcie sprowadzili zamówiony encefalograf?

- Tak, dziś rano. Zrobili piekło, bo zajął połowę miejsca w Wannie.

- No, to trzeba z niego skorzystać. Zróbcie EEG dziesięciu najpoważniej chorym pacjentom. Objawy nie mają znaczenia, najlepiej weźcie pięć przypadków somatycznych i pięć psychiatrycznych. - Crane przeciągnął się i pomasażował sobie plecy. - Napiłbym się kawy. A ty?

- Bardzo chętnie, pod warunkiem że nie przeszkadza ci rola kelnera. - Bishop zmarszczyła brwi i wskazała kciukiem drzwi.

- Och, tak. Oczywiście. - Crane na chwilę zapomniał o wartowniku stojącym przed ambulatorium, który na rozkaz Spartana eskortował Bishop i miał ją odprowadzić na górę. Z pewnością nie była zadowolona z tej opieki. - Zaraz wrócę.

Crane wyszedł z ambulatorium, kiwnięciem głowy powitał żołnierza i udał się po kawę. Jeszcze nie przyzwyczał się do tego, że może niemal swobodnie poruszać się po stacji. Chociaż wciąż było sporo miejsc, do których nie wolno mu było wchodzić, rozmawiając z pracownikami o ich dolegliwościach w ciągu ostatniej doby obejrzał tyle laboratoriów, biur, warsztatów, kajut, że wystarczyłoby tego na całe życie.

Dotyczyło to również pomieszczeń wypoczynkowych. Kafeteria na czwartym poziomie miała typowy dla tajnej części stacji spartański wystrój i tylko dwanaście miejsc, ale kawa nie była gorsza niż podawano w Times Square Cafe.

Crane podszedł do baru i zamówił kawę. Podziękował barmance, dołał sobie nieco mleka - Bishop wolała czarną - i chciał wrócić do ambulatorium, ale zatrzymały go podniesione głosy.

Przy stoliku w kącie kawiarni siedziało czterech pracowników. Grupa była mieszana: dwaj nosili obowiązkowe białe kitle techników laboratoryjnych, jeden kombinezon mechanika, a ostatni mundur mata. Gdy Crane wchodził, szeptali coś między sobą. Prawie nie zwrócił na nich uwagi. Przypuszczał, że rozmawiają o katastrofie Bili Jeden i śmierci kolegów. W ciągu kilku minut, gdy czekał na zamówioną kawę, rozmowa najwyraźniej zmieniła się w kłótnię.

- ...skąd to niby wiesz? - powiedział wyższy laborant. - To niezwykła okazja dla ludzkości. To dowód - ostateczny dowód - że nie jesteśmy sami w kosmosie. Nie możemy tego zignorować i schować głowy w piasek.

- Wiem, co sam widziałem - odparł mechanik. - I co słyszałem. Ludzie twierdzą, że nie mieliśmy tego znaleźć.

- Co to znaczy, nie mieliśmy tego znaleźć? - technik się skrzywił.

- To co mówię. To był przypadek. Natrafiliśmy na to zbyt wcześnie.

- Jeśli nie my, to znalazłby to ktoś inny - prychnął mat. - Pewnie chciałbyś, żeby znaleźli to Chińczycy, pierwsi opanowali nową technikę i wykorzystali ją do budowy broni?

- Jaką nową technikę? - odpowiedział mechanik podniesionym głosem. - Kurwa, nikt nie wie, co tam jest!

- Jezu, Chucky, ciszej - poprosił drugi technik, melancholijnie mieszając łyżeczką kawę.

- Zajmowałem się badaniem tych strażników - powiedział pierwszy. - Wiem, do czego są zdolne. Przypuszczalnie mamy jedyną okazję do nawiązania kontaktu z innymi formami życia!

- A ja właśnie skończyłem pakować wrak Bili Jeden - odparł Chucky. - Popatrz, co się z nią stało. Zgnieciona tak, że trudno ją poznać. Trzej moi przyjaciele nie żyją. Mówię ci, nie jesteśmy do tego przygotowani. To dla nas za trudne zadanie.

- Katastrofa Bili to oczywiście straszna tragedia - odpowiedział pierwszy technik. - To normalne, że jesteś przygnębiony. Nie możesz jednak pozwolić, żeby smutek cię zaślepił. Chodzi o ważną sprawę. Postęp zawsze związany jest z ryzykiem. Ci goście z kosmosu niewątpliwie chcą nam pomóc. Mogą nas wiele nauczyć.

- Do diabła, skąd wiesz, że oni chcą nas czegoś nauczyć? - spytał gniewnie mechanik.

- Gdybyś zobaczył, jakie piękne są te żetony, jak niesamowicie...

- Co z tego? Czarna pantera też wydaje się piękna, dopóki nie wypruje ci flaków.

- To niewłaściwe porównanie. - Laborant skrzywił się.

- Cholera, jest jak najbardziej właściwe. Zakładasz, że ci kosmici są przyjaźnie nastawieni. Wydaje ci się, że wszystko wiesz. Powiem ci coś: natura nie zna przyjaźni. Na naszej planecie jest pełno różnych form życia, które wkładają całą energię w zabijanie innych! - Mechanik znowu podniósł głos.

- Nie wiń innych za niedostatki naszej planety - powiedział pierwszy technik.

- A może oni zrzucili te urządzenia na wszystkie planety we wszechświecie. - Chucky był blady, trzęsły mu się ręce. - Odkrywamy je, wysyłają sygnały swoim panom, którzy nadlatują i nas niszczą. Bardzo skuteczny system eliminacji potencjalnych rywali.

- To już paranoja, nie sądzisz? - Drugi technik pokręcił głową.

- Paranoja? To może wyjaśnij mi, co się tutaj dzieje. Wszystkie te wypadki, o których nikt nie chce mówić! - krzyknął mechanik.

- Uspokój się! - skarcił go mat. Chucky wstał, przewracając krzesło.

- Dlaczego ludzie umierają? Dlaczego chorują? Dlaczego ja zaczynam chorować? Źle się czuję, coś jest nie w porządku z moją głową...

Crane już chciał interweniować, ale mechanik nagle zamilkł. Podniósł krzesło i usiadł, ciężko dysząc. Mat położył dłoń na jego ramieniu, starając się go uspokoić.

Sekundę wcześniej do kawiarni wszedł komandor porucznik Korolis w towarzystwie dwóch żołnierzy w czarnych mundurach i ciężkich butach.

Przez chwilę w kawiarni panowała cisza. Słyszał tylko ciężki oddech mechanika.

Komandor przybladł. Spojrzał na Crane'a i na jego twarzy pojawił się wyraz dezaprobaty. Potem przypatrzył się czterem mężczyznom przy stoliku, tak jakby chciał zapamiętać ich twarze. Potem - bardzo powoli - odwrócił się i wyszedł bez słowa na korytarz.

32

Trzy godziny później Crane'a wezwał Asher. Michele Bishop już wcześniej wróciła do kliniki, żeby nadzorować badania elektroencefalograficzne, których zażądał Crane. On skończył notować wydarzenia poranne i chciał odszukać tego mechanika, żeby skierować go na obowiązkowe badania medyczne i psychologiczne, ale w tym momencie zadzwonił telefon.

Przeszedł przez pokój i wyjął telefon z wpuszczonej w ścianę kołyski.

- Crane.

- Peter? Tu Howard Asher. Potrzebuję twojej pomocy.

- Oczywiście. Jesteś w swoim gabinecie? Zaraz tam będę...

- Nie, jestem w zakładzie terapii hiperbarycznej. Siódmy poziom. Wiesz, gdzie to jest?

- Tak. Ale...

- Proszę, przyjdź natychmiast. - Asher odłożył słuchawkę.

Crane przez chwilę stał nieruchomo. Był zupełnie zaskoczony. Dlaczego Asher był akurat tam? To wydawało się zupełnie bez sensu.

Zamyślony automatycznie odwiesił słuchawkę. Rozejrzał się po ambulatorium, czy wszystko jest na miejscu, a następnie wyszedł na korytarz i zamknął za sobą drzwi.

Przekroczenie bariery i przejście na siódmy poziom zajęło mu dziesięć minut. Na piętrze, gdzie znajdowały się laboratoria naukowe, jak zwykle kręciło się dużo ludzi, ale w końcu korytarza, w pobliżu zakładu terapii hiperbarycznej, nie widać było nikogo. Należało się tego spodziewać. Wewnątrz stacji panowało normalne ciśnienie atmosferyczne, nikt więc nie cierpiał na choroby związane z wysokim ciśnieniem. Crane przekonał się o tym w przykry sposób, gdy jego teoria choroby kesonowej legła w gruzach.

Zakład terapii hiperbarycznej składał się z niewielkiej sterowni, poczekalni i komory hiperbarycznej - metalowego cylindra o średnicy prawie dwóch metrów i długości trzech metrów, z dwoma iluminatorami. Wzdłuż ścian komory stały wyściełane leżanki, a pod sufitem widać było lampy i spryskiwacze. Całość bardzo przypominała komory dekompresyjne, przez które przeszedł Crane przed wejściem do stacji, ale była między nimi jedna istotna różnica: ta komora rzeczywiście działała.

Asher stał w poczekalni, w towarzystwie Johna Marrisa, kryptoanalityka z Krajowej Służby Oceanicznej, z którym przyszedł wcześniej do kabiny Crane'a. Marris miał na ramieniu dużą torbę. Asher wydawał się zmęczony, niemal wyczerpany. Przyciskał do boku zabandażowaną lewą rękę, tak jakby chciał ją chronić. Na widok Crane'a kiwnął z roztargnieniem głową.

- Nie wyglądasz za dobrze - zauważył Crane. - Chyba za mało śpisz?

Zamiast odpowiedzi Asher uśmiechnął się lodowato.

- Co się stało? - spytał Crane, wskazując na bandaż.

- Sam zobacz. Tylko delikatnie, bardzo proszę. - Asher zwrócił się do Marrisa. - Powtórzmy te próby z językiem codziennym, z dwukrotnie większą głębokością poszukiwania. Może dostaniemy inny wynik.

Crane ostrożnie rozpiął agrafkę i rozwinął bandaż. Na wewnętrznej stronie dłoni pojawiło się brzydkie owrzodzenie, pochylił się nad ręką Ashera. Skóra wokół wrzodu była blada, niemal alabastrowa, natomiast końce palców były sinoczarne. Crane poważnie się zaniepokoił.

- Kiedy to zauważyłeś? - spytał, spoglądając ostro na głównego uczonego.

- Wczoraj wieczorem.

- Żarty się skończyły - powiedział Crane, ponownie bandażując rękę. - Wystąpiły skutki niedokrwienia. To nie tylko owrzodzenie ręki - zaczyna się już martwica. Musisz natychmiast zgłosić się do kliniki. Trzeba zrobić badanie dopplerowskie, wykonać pomost naczyńniowy...

- Nie! - krzyknął Asher. Wziął głęboki oddech i jakoś się opanował. - Nie. Nie ma teraz czasu na operację.

- Czemu? - spytał Crane, przyglądając mu się badawczo.

- Musimy odczytać te wiadomości. Właśnie zginęli trzej ludzie. Złamanie kodu jest sprawą życia i śmierci. Słyszysz, co mówię, Peter? Dopóki tego nie zrobimy, nie mogę sobie pozwolić na bezczynność.

- Ale twoja ręka... - zaprotestował Crane.

- Wciąż biorę warfarynę - przerwał mu Asher. - Rano, gdy poszedłem na zmianę opatrunku do kliniki, dyżurny stażysta dał mi oczywiście antybiotyk. No i jeszcze mamy to. - Asher wskazał komorę hiperbaryczną.

Crane zastanawiał się, czy o to właśnie chodziło Asherowi. Komorę hiperbaryczną rzeczywiście często stosuje się w leczeniu niedokrwienia i zakażeń tkanek martwiczych, ale jest to tylko środek pomocniczy. Czysty tlen, pod wysokim ciśnieniem, przenika do tkanek,

popudzając leukocyty do walki z infekcją. Komora nie może jednak zastąpić radykalniejszych i bardziej bezpośrednich metod leczenia.

- Słuchaj, Peter - powiedział Asher, niskim, przekonującym tonem. - Sukces jest już blisko. Dzięki tobie żetony nadają teraz na niezliczonych częstościach. To wielki krok naprzód. Na każdej częstości jest nadawana inna wiadomość, dzięki czemu mamy znacznie więcej materiału do analizy. Okazało się, że od kilku dni drążyliśmy w zupełnie błędnym kierunku.

- Tak?

- Myśleliśmy, że już odczytaliśmy wiadomość. Wydawało się, że to zakodowane wyrażenie matematyczne.

- Wyrażenie matematyczne? - powtórzył Crane. Nie zdołał ukryć niedowierzania.

Asher wydawał się zdeprymowany.

- Bardzo prosty wzór - dodał.

- Jaki wzór?

Gdy Asher nic nie odpowiedział, Marris wyciągnął z kieszeni komputerowy wydruk i podał go Crane'owi.

Próba 1 z 1 Tryb: redukcyjny.

$X = 1 / 0$

Próba zakończona Poprawność sprawdzona Liczba kroków: 236340

Crane oddał mu kartkę.

- Jeden dzielone przez zero? Na zajęciach z matematyki od razu mnie nauczyli, że nie wolno dzielić przez zero.

Asher zaczął nerwowo spacerować po pokoju.

- Oczywiście, nie wolno. Dzielenie przez zero jest zakazane przez prawa obowiązujące w całym wszechświecie. No, ale dekryptaż udał się wyjątkowo gładko. Wszystko doskonale do siebie pasowało... Myśleliśmy, że po prostu popełniliśmy jakiś drobny błąd. Dlatego wcześniej ci o tym nie powiedziałem. Zmarnowaliśmy dużo czasu na symulacje komputerowe i kryptograficzne ataki, usiłując znaleźć ten błąd. Teraz jednak sądzę, że wybraliśmy całkowicie zły kierunek ataku. - Asher zatrzymał się i spojrzał na Crane'a. Wpatrywał się w niego pałającym wzrokiem. - Zamierzamy przepuścić te sygnały przez analizatory szukające wyrażen z różnych języków codziennych. Powinniśmy zrobić to już dawno, ale całkowicie skupiliśmy się na pogoni za majakami. Straciliśmy mnóstwo czasu, którego nam brakuje. Dlatego teraz nie mogę przerwać. Dlatego jestem zmuszony polecić ci - nie, poprosić cię - żebyś przygotował komorę do terapii tlenowej.

Crane się nie ruszył.

- To nie jest prawdziwa terapia, a tylko sposób na odwleczenie nieuniknionego.

- Wiem. - Asher z wyraźnym trudem panował nad sobą. - Po prostu potrzebuję trochę czasu. Może kilka godzin, może dzień - żeby przepuścić sygnały przez analizatory. Potem udam się prosto do kliniki i poddam wszystkim zabiegom, jakie uznasz za stosowne. Marris może sam zająć się drugą sprawą, w każdym razie przez jakiś czas.

- Jaką drugą sprawą?

- Marris sądzi, że odkrył, jaką metodą sabotażysta na stacji kontaktuje się ze światem.

- Naprawdę? Jak to robi?

- Nie mam czasu, żeby to teraz wyjaśniać. Gdy tylko wyjdę z komory, Marris sprawdzi swoją teorię i spróbuje zlokalizować źródło przekazywanych komunikatów. Na razie zawiadomiłem szefów wszystkich wydziałów - Fergusona Conovera, Bishop, pozostałych - żeby rozglądali się, czy nie dzieje się coś podejrzanego. - Asher na chwilę przerwał. - To jednak sprawa na później. Teraz absolutne pierwszeństwo ma dekrypcja sygnałów.

- Proszę bardzo. - Crane ciężko westchnął. - Mam jednak nadzieję, że prosto z komory udasz się do kliniki.

- Dziękuję, Peter. - Twarz Ashera rozjaśnił uśmiech, jaki Crane pamiętał z pierwszych dni swego pobytu na stacji. Główny uczony zwrócił się do Marris. - Masz wszystko?

Marris podniósł z podłogi torbę z laptopem i kiwnął głową.

- Połączymy się z siecią bezprzewodowo z komory - powiedział Asher. - Żetony są kilka poziomów niżej, więc nie powinny zaburzać transmisji.

- Przygotuję komorę - zapowiedział Crane. Już chciał odejść, ale nagle się zatrzymał. - Chwileczkę. Jakie „my”?

- Zamierzam towarzyszyć doktorowi Asherowi - wyjaśnił Marris.

- Niezwykły pomysł. - Crane skrzywił się. - Pan nie potrzebuje terapii tlenowej.

- To jedyne rozwiązanie, które umożliwi dalszą pracę - odrzekł Marris.

Crane wahał się przez chwilę, ale w końcu wzruszył ramionami. Przecież to tylko tlen, pomyślał.

- Proszę bardzo. Wchodźcie zatem do komory. Wyjaśnię wam procedurę przez mikrofon.

Crane wszedł do sterowni. Asher, zamiast wejść do komory, poszedł za nim. Położył rękę na jego ramieniu.

- Peter - szepnął - tylko nie mów nic Spartanowi. Prośba ta zaskoczyła Crane'a.

- Czego mam mu nie mówić?

- O tym, że popełniliśmy błąd. I o tym, jak bliscy jesteśmy znalezienia rozwiązania.

- Nie rozumiem. Sądziłem, że chodzi właśnie o to, żeby powiedzieć Spartanowi, co odkryliście. Asher energicznie pokręcił głową.

- Nie, nie od razu. Nie ufam Spartanowi. - Asher jeszcze bardziej ściszył głos. - A tym bardziej Korolisowi. - Asher mocniej zacisnął rękę na jego ramieniu. - Obiecuj mi to, Peter.

Crane się wahał. W oczach Ashera paliło się dziwne światło, a z czoła spływał mu pot. Crane'owi nagle przyszło do głowy, że może główny uczony cierpi nie tylko na niewydolność naczyniową. Może choroba, na którą zapadli inni pracownicy stacji, zaatakowała i jego.

Myśl ta głęboko go zaniepokoiła. Delikatnie uwolnił się z uścisku Ashera.

- Dobrze - obiecał.

Asher kiwnął głową i uśmiechnął się, po czym skierował się do wejścia do komory hiperbarycznej. Crane zajął się przygotowywaniem komory - włączył kompresory, sprawdził zawartość zbiorników z tlenem, stan zaworów i manometrów - ale przez cały czas myślał o niezwykłym wyrazie oczu Ashera.

33

Charles Vasselhoff powoli włókł się do Dna, mesy na trzecim poziomie. Nie był głodny - zaschło mu w ustach i bolał go brzuch - ale po prostu nie miał dokąd pójść. Jego potężnym ciałem wstrząsały dreszcze, a mimo to było mu tak gorąco, że rozpiął kombinezon. Najbardziej dokuczała mu głowa. Początkowo uznał, że to zwykły ból spowodowany stresem i przepracowaniem, ale później sytuacja się pogorszyła: miał dziwne wrażenie, jakby jego mózg spuchł i przestał mieścić się w czaszce. Przerwał pracę w warsztacie elektromagnetycznym, gdzie naprawiał uszkodzonego Chrzążca alfa, i wrócił do swojej kabiny.

Tam wcale nie było lepiej. Przewracał się na łóżku, zaplątując się w prześcieradło. Już po krótkim czasie poduszka nasiąkła potem. Patroni, z którym dzielił kabinę, położył swoje wielkie, śmierdzące nogi na wspólnym stole i oglądał jakiś program kulinarny nadawany przez telewizję kablową na stacji. Nieustanne paplanie zawodowego kucharza stopniowo coraz bardziej irytowało Charlesa. Wciąż miał wrażenie, że mózg nie mieści mu się w głowie. Dzwoniło mu w uszach. No i jeszcze Patroni spoglądał na niego ukradkiem, tak jakby patrzył na kogoś, kto zbyt głośno mówi do siebie.

Vasselhoff od kilku dni czuł, że ludzie mu się przypatrują. Zaczęło się to równocześnie z bólem głowy. Nigdy jednak tak nie patrzyli na niego koledzy z kabiny. Zaklął

pod nosem, opuścił nogi na podłogę, wstał i wyszedł na korytarz, bez słowa zatraskując za sobą drzwi.

Nogi same poniosły go do Dna. W każdym razie tak mu się wydawało, ale w jakiś sposób znalazł się przed laboratorium radiologicznym. Zamrugał, zachwiał się, oblizął wyschnięte wargi i zawrócił. Gdzieś zmylił drogę, musiał spróbować ponownie. Uważnie stawiając nogi, cofał się wąskim korytarzem.

Minał go jakiś mężczyzna w białym fartuchu, z palmtopem w ręku.

- Cześć, Chucky - powiedział, ale się nie zatrzymał. Chucky zrobił jeszcze dwa kroki, po czym się zatrzymał.

Powoli, sztywno, obrócił się w kierunku technika, który był już w połowie korytarza. Chucky dopiero po chwili zrozumiał, co tamten powiedział. Miał wrażenie, że mózg rozsada mu czaszkę; z oczu ciekły mu łzy, dzwoniło mu w uszach. Zamknął się w sobie, a całą jego uwagę pochłaniał ból głowy i dreszcze wstrząsające jego ciałem.

- Cześć - rzekł niepewnie. Jego głos brzmiał dziwnie i ochryple. Znowu oblizął wargi, ale i tak ich nie zwilżył. Zawrócił i powoli pokuśtykał do kafeterii. Zatrzymywał się na każdym skrzyżowaniu i mrugając, przypatrywał się tabliczkom wskazującym kierunek. Z trudem pokonując zamęt w głowie, zmierzał do celu.

Zbliżała się zmiana, dlatego w kafeterii było pełno ludzi. Parę osób czytało menu wywieszane na sztalugach. Przy barze stała kolejka. Chucky zatrzymał się na końcu. Zastanawiał się trochę, dlaczego ma takie ciężkie i drewniane nogi. Szmer głosów w kafeterii sprawiał, że jeszcze mocniej dzwoniło mu w uszach. Dzwonienie było tak wyraźne i głośne, że niewątpliwie inni też je słyszeli, a mimo to nikomu nie wydawało się to dziwne. Zupełnie tak, jakby niewidzialne wiązki bólu i hałasu były wycelowane tylko w jego głowę. Skąd to nadlatuje? Kto mi to robi?

Wziął tacę ze sterty i pokuśtykał naprzód. Wpadł na osobę stojącą przed nim, wymamrotał przeprosiny i cofnął się pół kroku.

Musiał się maksymalnie skupić, żeby przesuwać się naprzód wraz z kolejką. Wziął puszkę wody sodowej, później drugą i jeszcze trzecią, mając nadzieję, że woda pomoże mu pozbyć się wrażenia suchości w ustach. Sięgnął po talerz sałatki z rzeżuchy, przyjrzał się jej krytycznie i odstawił. Minał stół z omletami, bo na myśl o jajkach prawie zwymiotował. Zatrzymał się przy stole z mięsem. Kucharz z wielkim, stalowym nożem odkroił dla niego plaster pieczeni i nałożył na talerz, po czym polał brązowym sosem.

Trzymając tacę obiema rękami, Chucky podszedł do najbliższego wolnego krzesła i usiadł. Puszki z wodą sodową zagrzecotały, objijając się jedna o drugą. Zapomniał wziąć nóż

i widelec, ale to nie miało znaczenia: ból głowy rozszerzał się coraz bardziej, Chucky nie mógł poruszać szczęką i zeszywniał mu kark. Zupełnie nie czuł głodu. Siedzące przy stoliku dwie kobiety rozmawiały z ożywieniem, ale przerwały i przyglądały mu się uważnie. Poznał je, to były dwie programistki z działu naukowego, ale nie mógł sobie przypomnieć ich imion.

- Cześć, Chucky - przywitała go jedna z nich.

- Wtorek - odpowiedział. Szarpnął za kółko puszki, potem jeszcze raz, a gdy wreszcie udało mu się otworzyć, rozlał trochę wody na ręce. Podniósł puszkę do ust i chciwie wypił wielki łyk. Gdy próbował przycisnąć usta do puszki, poczuł ból, dlatego nie zrobił tego dokładnie i woda pociekła mu po brodzie. Mimo bólu jakoś przełknął kilka łyków.

Niech to diabli.

Chucky odstawił puszkę, zamrugał i wsłuchał się w dzwonienie w głowie. Pomylił się: to nie był dźwięk dzwonów, tylko jakiś głos. Nie, kilka głosów, które coś mu szeptały.

Nagle ogarnął go lęk: przerażało go odrętwienie palców i wstrząsające nim dreszcze, ale najbardziej bał się tych szeptów w głowie. Znowu zaschło mu w ustach. Wypił łyk wody. Jego serce gwałtownie uderzało o żebra. Czuł w gardle ciepłą ciecz, ale nie mógł określić jej smaku.

Głosy stawały się coraz głośniejsze. Chucky już się nie bał; zamiast tego czuł gniew. To nie było sprawiedliwe. Dlaczego oni tak się nad nim znęcają? Nie zrobił nic złego. Wysyłajcie te sygnały do kogoś innego, na stacji nie brakuje zasrańców.

Kobiety przy stoliku patrzyły na niego z wyraźnym niepokojem.

- Dobrze się czujesz, Chucky? - spytała druga programistka.

- Odpiardol się - odpowiedział. Przecież w rzeczywistości miały go w dupie. Siedziały sobie i gadały, pozwalając na to, żeby te sygnały rozsadały mu głowę...

Nagle wstał, przewracając tacę. Woda sodowa i sos rozlały się na cały stół. Zachwiał się, ale jakoś utrzymał równowagę. Kafeteria wirowała, głosy w głowie już prawie krzyczały. Nagle przestało mu to przeszkadzać: wiedział już, skąd pochodzące sygnały. Z pewnością to promieniowanie. Jak mógł nie pomyśleć o tym wcześniej? Rzucił się do stołu z mięsem i chwycił ciężki, ostry nóż, z resztkami mięsa i tłuszczu. Kucharz powiedział coś i wyciągnął rękę, ale gdy Chucky machnął nożem, od razu się cofnął. W kafeterii rozległy się krzyki przerażenia, ale Chucky nie zwracał na to uwagi - słyszał tylko głosy w głowie. Wytoczył się na korytarz z nożem w ręku. Wiedział już, że to z powodu promieniowania: wnikało do jego głowy, to była przyczyna jego stanu.

Skończy z tym, i to od razu.

Chucky szedł tak szybko, jak tylko mógł. Tym razem nie zabłądził: dobrze wiedział, dokąd idzie. To nie było daleko. Na jego widok ludzie rozplaszczali się na ścianach, ale on widział tylko ich rozmazane, monochromatyczne sylwetki, na które nie zwracał uwagi.

Wstrząsały nim coraz silniejsze dreszcze, ale jakoś włókł się przez korytarz, zataczając na boki. Głosy w głowie podpowiadały mu jakieś straszne rzeczy, ale on twardo postanowił, że nie będzie ich słuchał: zaraz zrobi z nimi porządek. Wiedział, co musi uczynić.

Już widział w końcu korytarza drzwi z żółtym ostrzegawczym rombem. Przed drzwiami stali dwaj wartownicy. Na jego widok zaczęli krzyczeć, ale Chucky słyszał tylko chór głosów w głowie. Jeden przyklęknął. Coś mówił i wycelował w jego stronę jakiś przedmiot. Chucky szedł dalej. Nagle zobaczył błysk. Potężny huk zagłuszył nawet wrzaski w jego głowie. Poczul w piersi potworny ból. Coś popchnęło go do tyłu. Ból i głosy słaby. Ogarnęły go bezkresne ciemności i wreszcie odnalazł spokój.

34

Główne stanowisko operacyjne w klinice było wyposażone we wszystkie urządzenia potrzebne do przeprowadzenia poważnych zabiegów, od zwykłego usunięcia wyrostka do skomplikowanej laparoskopii. Tego wieczoru zmieniła się w tymczasową kostnicę.

Na stole operacyjnym leżały zwłoki Charlesa Vasselhoffa. W ostrym świetle jego skóra wydawała się nieco niebieska. Crane usunął już górną część czaszki, zważył mózg i następnie włożył go na miejsce. Teraz metalowe ściany stanowiska operacyjnego drżały w rytmie piły Strykera, którą Crane przecinał mostek. Następnie otworzył jamę brzuszną. Obok niego stała stażystka z tacą instrumentów. Po drugiej stronie stała Michele Bishop. Miała na twarzy maskę chirurgiczną, ale widać było, jak marszczy czoło.

Przy drzwiach, daleko od ciała, stał komandor porucznik Korolis.

- Kiedy będzie gotowy raport, doktorze? - spytał. Crane go zignorował. Wyłączył piłę, podał ją stażystce i znowu zaczął dyktować uwagi do mikrofonu podłączonego do cyfrowego magnetofonu.

- Rana postrzałowa z prawej strony piersi. Uszkodzenia skóry i tkanek miękkich. Nie ma śladów strzału z niewielkiej odległości, takich jak resztki prochu i zwęglenie brzegów rany. - Spojrzał na Bishop, która bez słowa podała mu cęgi do przecinania żeber. Odciął ostatnie żebra i ostrożnie podniósł mostek.

Posługując się szczypcami, Crane badał zniszczenia dobrze widoczne w ostrym świetle górnej lampy.

- Tor pocisku od piersi do pleców, nieco w dół. Średnica rany półtora centymetra. Okrężne uszkodzenia i promieniste pęknięcia. Uszkodzenie przedniej części drugiego prawego żebra, dolnego płata płuca prawego, prawej żyły podobojczykowej i dolnego odcinka przewodu pokarmowego. - Crane wziął instrument do rozcinania jelit i wsunął go w światło. Delikatnie odsunął trzewia na bok. - Zdeformowany pocisk dużego kalibru w tkance po prawej stronie trzonu drugiego kręgu piersiowego. - Ostrożnie wyciągnął szczypcami pocisk i znowu dyktował obserwacje.

- Diagnoza anatomopatologiczna - kontynuował. - Rana wlotowa pocisku w górnej części klatki piersiowej. Pocisk przeszedł przez prawą przestrzeń opłucnową i rozerwał żyłę podobojczykową. Przyczyna śmierci - uraz i masywne krwawienie do prawej przestrzeni opłucnowej. Zabójstwo. Raport toksykologiczny zostanie dołączony później.

- Zabójstwo? - Korolis uniósł brwi.

- A pan jak to nazwie? - rzucił Crane. - Może według pana to była obrona konieczna?
- dodał, wrzucając pocisk do metalowej kuwety.

- Ten człowiek wymachiwał śmiertelnie groźną bronią. Był agresywny i groził.

- Rozumiem. - Crane zaśmiał się gorzko. - Tym uzbrojonym żołnierzom groziło straszne niebezpieczeństwo.

- Vasselhoff zamierzał wejść bez pozwolenia do pomieszczeń, gdzie obowiązuje ścisły zakaz wstępu dla osób postronnych.

Crane podał szczypce stażystce.

- Tak? Pewnie zamierzał poćwiartować nożem kuchennym pański cenny reaktor.

Korolis szybko spojrział na doktor Bishop i stażystkę.

- Wszystkich, którzy zgodzili się pracować na stacji, dokładnie poinformowano, że strategiczne elementy stacji będą chronione za wszelką cenę. Powinien pan uważać, co pan mówi, doktorze. Złamanie podpisanych przez pana zobowiązań wiąże się z bardzo surowymi konsekwencjami.

- Może pan mnie pozwać.

Korolis przez chwilę milczał, tak jakby się nad tym zastanawiał.

- Kiedy mogę się spodziewać końcowego raportu? - spytał jedwabistym głosem.

- Gdy skończę. A teraz może pan stąd wyjdzie i pozwoli nam spokojnie pracować?

Korolis znowu zamilkł. Po kilku sekundach uśmiechnął się, ledwo odsłaniając zęby. Spojrzął na zwłoki, niemal niezauważalnie skinął głową w kierunku Bishop, odwrócił się i wyszedł.

Wszyscy troje przez chwilę stali nieruchomo, nasłuchując coraz cichszych odgłosów jego kroków.

- Myślę, że masz jednego wroga więcej. - Bishop westchnęła.

- Nic mnie to nie obchodzi - odpowiedział Crane. I rzeczywiście, teraz niewiele się tym przejmował. Był niemal chory fizycznie z frustracji, wywołanej klimatem tajności i wojskowego drylu, jaki panował na całej stacji, oraz niemożnością pokonania choroby, która pośrednio spowodowała śmierć Vasselhoffa. Zdjął rękawiczki, cisnął je do metalowego pojemnika na śmieci i wyłączył magnetofon.

- Czy mogłabyś dokończyć? - poprosił stażystkę.

- Oczywiście, doktorze. Szycie?- Tak, już wystarczy.

Crane wyszedł z sali operacyjnej na centralny korytarz kliniki. Oparł się ze znużeniem o ścianę. Bishop przystanęła obok niego.

- Zamierzasz teraz pisać raport?

- Nie. - Crane pokręcił głową. - Jeśli będę o tym dłużej myślał, znowu się wścieknę.

- Wydajesz się wykończony. Chyba powinieneś się przespać.

- Kiepskie szanse. - Roześmiał się ponuro. - Nie po takim dniu. Poza tym będę jeszcze musiał zająć się Asherem. Wychodzi za trzy godziny.

Bishop spojrzała na niego pytająco.

- Skąd wychodzi?

- Nie wiesz? Z komory hiperbarycznej.

- Asher? Dlaczego? - zdziwiła się lekarka.

- Z powodu zmian niedokrwienych. W ciągu ostatnich paru dni jego stan bardzo się pogorszył. Ma teraz owrzodzenia kończyn.

- Czy wystąpił zator? Jeśli tak, to zamiast w komorze hiperbarycznej, powinien leżeć na stole operacyjnym.

- Wiem. Tłumaczyłem mu to, ale się uparł. On... - Crane przypomniał sobie o obietnicy zachowania tajemnicy. - Uważa, że jest blisko ważnego odkrycia, dlatego nie chciał przerwać pracy. Zabrał nawet Marrisa do komory, żeby mogli razem pracować.

Bishop nie odpowiedziała. Patrzyła z namysłem gdzieś w głąb korytarza.

- Nawet gdybym spróbował, i tak nie mógłbym zasnąć - powiedział Crane. Ziewnął. - Odrobię zaległości w papierkowej robocie. - Przerwał na chwilę. - A czy są już wyniki EEG?

- Tylko jednej pacjentki. Mary Philips, która narzekała na drętwienie twarzy i rąk. Zostawiłam je w twoim gabinecie. Sprawdzę, co z pozostałymi. Kazałam laborantowi kontynuować, powinien już zbadać co najmniej sześciu następnych, przyniosę ci wyniki.

- Dzięki. - Crane popatrzył za nią, gdy oddalała się energicznym krokiem. Przynajmniej jedno się udało: stosunki między nimi bardzo się poprawiły.

Crane poszedł do swojego ciasnego gabinetu. Jak zapowiedziała Bishop, zastał na biurku gruby plik wykresów fal elektromagnetycznych mózgu z przyczepionym na wierzchu opisem. Crane nie lubił studiować wyników elektroencefalografii: nie miał cierpliwości koniecznej do uprawiania sztuki rozpoznawania elektrycznych anomalii w działaniu mózgu na podstawie niezliczonych falujących linii. Skoro jednak zlecił wykonanie badań, to musiał przeanalizować wyniki. Jeśli jego hipoteza, iż problemy medyczne na stacji mają charakter neurologiczny, była poprawna, to elektroencefalografia mogła ją potwierdzić.

Crane usiadł za biurkiem, przetarł oczy i rozłożył długie taśmy papieru z wykresami. Miał przed sobą pejzaż mózgu Mary Philips, złożony z licznych falujących linii różniących się amplitudą i częstotliwością. Na pierwszy rzut oka trudno było dostrzec w nich coś ciekawego, ale Crane zdawał sobie sprawę, że tak jest zawsze z elektroencefalografiami. Wyniki badań elektromagnetycznej aktywności mózgu nie przypominały elektrokardiogramów, na których wszelkie anomalie są natychmiast widoczne. Informacje kryły się we względnych zmianach natężenia i częstości sygnałów.

Crane przyjrzał się najpierw czynności alfa. Fale miały maksymalną amplitudę w części potylicznej mózgu, jak zwykle u przytomnych osób dorosłych. Przejrzał kilka wykresów, ale nie dostrzegł żadnych anomalii poza krótkimi zaburzeniami, które mogły być spowodowane na przykład niepokojem lub hiperwentylacją. Fale alfa były prawidłowe, rytm nie zawierał niższych częstotliwości.

Następnie Crane sprawdził fale beta. Ich natężenie w płacie czołowym było nieco za duże, ale mieściło się w normie. Zarówno w falach alfa, jak i beta nie dostrzegł żadnej asymetrii lub nieregularności.

Gdy przeglądał kolejne wykresy i śledził przebieg czarnych linii, narastało w nim dobrze znane uczucie rozczarowania. Podejrzewał, że i ta próba zakończy się porażką.

Ktoś zapukał do drzwi i od razu je uchylił. Była to laborantka trzymająca stertę papierów.

- Doktorze?

- Tak.

- To wyniki badań EEG, które pan zlecił. - Weszła do pokoju i położyła papiery na biurku. Sterta miała jakieś czterdzieści centymetrów wysokości.

- Ilu pacjentów już zbadaliście?

- Czternastu - poinformowała go z uśmiechem i szybko wyszła.

Czternastu. Wspaniale. Crane ze znużeniem wrócił do wyników badań Mary Philips. Teraz zajął się falami theta i delta. Przeglądał wykresy od lewej strony do prawej, uważnie przyglądając się kolejnym dziesięciosekundowym interwałom. Tło wydawało się nieco asymetryczne, ale tego można było oczekiwać w początkowej fazie testu. Gdyby badania trwały dłużej, pacjent zapewne by się uspokoił...

Nagle zauważył coś dziwnego: między falami delta widać było serię iglic z płata czołowego, niewielkich, ale wyraźnych.

Crane zmarszczył brwi. Aktywność theta, wykraczająca poza sporadyczne fale o niskim napięciu, była u dorosłych czymś bardzo rzadkim.

Przejrzał dalszą część wykresu. Iglice theta bynajmniej nie znikwały, przeciwnie, stawały się coraz silniejsze. Na pierwszy rzut oka przypominało to chorobę Picka, rodzaj zaniku mózgu, który ostatecznie prowadzi do demencji. Dolegliwości, na jakie skarżyła się Mary Philips, należą do wczesnych objawów tej choroby.

Crane nie był jeszcze przekonany. W tej serii wyładowań było coś, co mu się nie podobało.

Wrócił do początku wykresu i obrócił taśmę papieru o dziewięćdziesiąt stopni. „Pionowy odczyt” - analiza wykresu EEG od góry do dołu zamiast od lewej strony do prawej - zwykle pozwala lepiej skupić uwagę na fali o określonej częstotliwości zamiast na superpozycji fal tworzących elektromagnetyczny pejzaż mózgu. Powoli przewracał strony.

Nagle znieruchomiał.

- Do diabła, a co to takiego?

Rzucił wykres na biurko i otworzył szufladę. Na szczęście znalazł linijkę. Przyłożył ją do wykresu i od razu poczuł na karku dziwny dreszcz.

Powoli wyprostował się na krześle.

- Więc to to - mruknął.

Hipoteza ta wydawała się zupełnie nieprawdopodobna, ale miał przed sobą niepodważalne dowody. Iglice theta nie były konsekwencją nieregularnego wzrostu i spadku normalnej aktywności mózgu. Nie miały też losowego przebiegu, jak zwykle w wypadku jakiegось fizycznej patologii. Postępowały regularnie, ściśle okresowo, co wydało się całkowicie niezrozumiałe.

Crane odłożył na bok wyniki badań Mary Philips i sięgnął po pierwszą teczkę ze sterty, jaką zostawiła na biurku laborantka. Po chwili patrzył na wyniki badań mężczyzny, który przeżył niewielki udar - w mózgu pacjenta również była obecna zdumiewająco regularna seria iglic.

Przejrzenie wyników pozostałych pacjentów zajęło mu kwadrans. Ci chorzy skarżyli się na różne dolegliwości, od bezsenności, przez arytmie i nudności do manii, ale wszyscy mieli taką samą serię iglic w falach theta, których niezwykle regularność była całkowicie obca naturze.

Crane odsunął stertę wyników na bok. Ogarnęło go dziwne poczucie nierzeczywistości. Wreszcie - po tylu wysiłkach - znalazł objaw wspólny dla wszystkich chorych. Choroba miała charakter neurologiczny. W mózgu zdrowego, dorosłego człowieka fale theta nie występują - wykres jest płaski. Nawet gdy fale się pojawiają, nigdy nie występują w postaci serii iglic o precyzyjnie określonej częstotliwości. Natrafił na coś zupełnie nieznanego medycynie.

Crane wstał i podszedł do telefonu. Gorączkowo myślał o swoim odkryciu. Musiał skonsultować się z Bishop, i to natychmiast. Te wszystkie różnorodne objawy można było łatwo zrozumieć, przyjmując, że mają do czynienia z chorobą autonomicznego układu nerwowego. Był głupcem, że nie wpadł na to wcześniej. Jak jednak rozchodziła się ta choroba? Równoczesne wystąpienie choroby neurologicznej u tak dużej grupy pacjentów było czymś zupełnie nieprawdopodobnym...

Chyba że...

- Jezu - westchnął.

Szybko, niemal gorączkowo sięgnął po kalkulator. Błyskawicznie naciskał guziki, spoglądając co chwila na wykres. Skończył i z niedowierzaniem popatrzył na wynik.

- To niemożliwe - szepnął.

Nagle zadzwonił telefon. W ciszy gabinetu dzwonek zabrzmiał przeraźliwie głośno. Zerwał się z krzesła i podniósł słuchawkę.

- Crane.

- Peter? - usłyszał głos Ashera. W komorze wypełnionej tlenem pod wysokim ciśnieniem jego głos brzmiał cienko i wysoko.

- Asher! - wykrzyknął Crane. - Odkryłem wspólny czynnik! Boże, to zupełnie niewiarygodne...

- Peter! - przerwał mu Asher. - Musisz natychmiast przyjść do komory. Rzuć wszystko i chodź tutaj.

- Ale...

- Udało się nam.

Crane zamilkł. Potrzebował kilku sekund, żeby przestawić się i zacząć myśleć o czymś innym.

- Odczytaliście wiadomość?

- Nie wiadomość, a wiadomości. Mam je wszystkie na dysku laptopa. - Głos Ashera był nie tylko niezwykle wysoki, lecz także słycać w nim było desperację. - Musisz tu natychmiast przyjść. Natychmiast. Jest konieczne, absolutnie konieczne, żebyśmy nie...

Rozległ się trzask i połączenie zostało przerwane.

- Halo? - krzyknął Crane do słuchawki. - Doktorze Asher? Halo?

Cisza.

Crane zmarszczył brwi i odwiesił słuchawkę. Spojrzał na stertę wykresów na biurku. Obrócił się na pięcie i wyszedł na korytarz.

35

Niecałe pięć godzin wcześniej, gdy Crane był po raz ostatni na siódmym poziomie, jak zwykle wszędzie kręcili się pracownicy, ale sytuacja była całkowicie normalna. Teraz, gdy wyszedł z windy, znalazł się w centrum chaosu. Słycać było syreny alarmowe, ludzie krzyczeli i płakali, przez korytarz biegli żołnierze, technicy i uczeni. W atmosferze czuć było panikę.

Crane zatrzymał pracownika zespołu porządkowego ubranego w obowiązkowy pomarańczowy kombinezon.

- Co się dzieje? - spytał.

- Pożar! - odpowiedział tamten, z trudem łapiąc oddech. Crane nagle poczuł strach. Jako podwodniak, dobrze wiedział, jak groźny jest pożar pod wodą.

- Gdzie?

- W komorze hiperbarycznej! - wykrzyknął robotnik, uwolnił się od Crane'a i odbiegł.

Crane zaniepokoił się jeszcze bardziej. Każdy pożar był groźny, ale pożar w pomieszczeniu wypełnionym tlenem... Asher...

Crane bez dalszego namysłu wyskoczył z windy i popędził korytarzem.

W ślepych korytarzu, gdzie mieściły się pomieszczenia komory hiperbarycznej, działała już ekipa ratunkowa. Gdy Crane przepychał się przez tłum, poczuł smród dymu.

- Jestem lekarzem! - krzyknął. Przecisnął się do sterowni komory hiperbarycznej. W niewielkim pokoiku stało kilku funkcjonariuszy ochrony. Przy konsoli siedział Hopkins, młody technik medyczny. Za nim stał komandor porucznik Korolis. Zerknął na zbliżającego się Crane'a, po czym znowu skupił uwagę na Hopkinsie.

- Co się stało? - Crane spytał Hopkinsa.

- Nie wiem. - Z czoła technika lał się pot. Błyskawicznie wykonywał jakieś operacje. - Byłem w końcu korytarza, w pracowni patologii, gdy zawyła syrena.

- Kiedy to było?

- Dwie, może trzy minuty temu.

Crane spojrział na zegarek. Od rozmowy z Asherem nie minęło jeszcze pięć minut.

- Wezwałeś sanitariuszy?

- Tak.

Crane spojrział przez szybę na komorę hiperbaryczną. Nieoczekiwanie zobaczył przez iluminator język ognia. Chryste! Komora nadal się pali!

- Dlaczego nie włączyły się spryskiwacze? - krzyknął do Hopkinsa.

- Nie wiem - odpowiedział technik, wciąż gorączkowo manipulując przyciskami. - Z jakiegoś powodu nie włączyły się oba systemy przeciwpożarowe, główny i rezerwowy. Nie reagują na komendy. Teraz przeprowadzam alarmową redukcję ciśnienia!

- Nie możesz tego zrobić! - zaprotestował Crane. - W komorze panowało maksymalne ciśnienie.

Na to Korolis mu odpowiedział:

- Skoro nie działają spryskiwacze, jest to jedyny sposób, żeby otworzyć włącznik i ugasić ogień.

Crane spojrział na niego z wściekłością.

- W komorze było ciśnienie dwustu kilopaskali. Wiem, bo sam je nastawiłem. Jeśli nagle zmniejszycie ciśnienie, zabijecie Ashera.

- On już nie żyje - odrzekł Korolis, spoglądając na niego. Crane otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zrezygnował.

Niezależnie od tego, czy Korolis miał rację, musieli zgasić pożar. Gdyby ogień ogarnął zbiorniki z tlenem, mogłoby to zagrozić całej stacji. Nie było wyboru. Wściekły i sfrustrowany Crane uderzył pięścią w ścianę, obrócił się i przecisnął do poczekalni.

Ratownicy skupili się przy wejściu do komory. Pośpieszenie szykowali sprzęt gaśniczy i nakładali maski tlenowe, zakrywające usta i nos. Z niewielkiego głośnika nad szybą sterowni rozległ się głos Hopkinsa.

- Pełna dekompresja za piętnaście sekund! Ratownicy raz jeszcze sprawdzili sprzęt.

- Pełna dekompresja! Otwieram włącznik! - krzyknął Hopkins przez głośnik.

Rozległ się szcęk elektrycznych rygla i włącznik się otworzył. Poczekalnię wypełnił czarny dym, Crane poczuł falę gorąca. Czuł ohydny smród spalonego ciała. Odruchowo się odwrócił, z oczu pociekły mu łzy. Słyszał tupot nóg, wykrzykiwane rozkazy, syk gaśnic.

Crane znowu odwrócił się przodem do komory. Ratownicy byli już w środku, a zamiast czarnego dymu przez właz wylatywała gęsta, biała mgła z gaśnic. Wszedł do komory i precyzyjnie się między ratownikami. Nagle się zatrzymał.

Asher leżał na podłodze, skulony wokół laptopa. Obok spoczywał Marris, kryptoanalityk z Krajowej Służby Oceanicznej. Obaj położyli się na podłodze, żeby uniknąć płomieni i dymu. Nic z tego. Ubranie Ashera było zwęglone, ciało czarne i pokryte bąblami. Grzywa szarych włosów spłonęła, a z krzaczastych brwi pozostały poskręcane, czarne włoski.

Crane ukląkł, żeby go zbadać, ale zrezygnował. Wydawało niu się niemożliwe, żeby Asher mógł przeżyć. Główny uczony leżał bez ruchu, tylko z jego uszu płynęła krew. Widocznie nagła zmiana ciśnienia spowodowała pęknięcie ucha środkowego. Było to zapewne najmniejsze zmartwienie: z pewnością nastąpił masywny zator gazowy, podnoszący zawartość dwuwęglanów we krwi, do tego jeszcze zatrucie dymem i oparzenia trzeciego stopnia...

Crane przygryzł wargę. Był oszołomiony nagłą tragedią i utratą przyjaciela, ale z drugiej strony niemal się ucieszył, że Asher zginął. Gdyby przeżył, byłby skazany na potworne cierpienia spowodowane oparzeniami i zatorem.

Ratownicy zaczęli się wycofywać, mgła się przersedzała. Ze ścian komory spływał środek gaśniczy. Na zewnątrz słychać już było głosy sanitariuszy. Crane delikatnie położył rękę na ramieniu Ashera.

- Żegnaj, Howardzie - powiedział. Asher nagle otworzył oczy.

Crane przez chwilę sądził, że to skurcz mięśni: pośmiertny skutek obniżenia w nich stężenia ATP. Oko jednak się poruszyło. Asher patrzył na niego.

- Kroplówka! - Crane bez chwili zastanowienia krzyknął do sanitariuszy. - Płyn fizjologiczny, szybko! Kompres lodowy!

Powoli, z ogromnym wysiłkiem, Asher podniósł rękę, z której pozostał właściwie tylko kawałek ciała przypieczonego do kości. Chwycił Crane'a za kołnierz i przyciągnął do siebie. Spróbował poruszyć spalonymi ustami; skóra na wargach pękła i pojawiły się kropelki cieczy.

- Nie próbuj nic mówić - powiedział cicho Crane. - Nie ruszaj się. Przeniesiemy cię do kliniki.

Asher go nie posłuchał. Jeszcze mocniej zacisnął palce na jego kołnierzu.

- Whip - szepnął ochryple.

Podszedł do nich sanitariusz w gumowych rękawiczkach. Zaczął zdejmować z Ashera ubranie i przygotowywać kroplówkę. Drugi pochylił się nad Marrisem.

- Spokojnie - powiedział Crane. - Za chwilę cię stąd zabierzemy.

Asher jeszcze mocniej zacisnął chwyt. Miał już konwulsje.

- Whip... - powtórzył.

Wypuścił z sykiem powietrze i zadygotał. Jego oczy powędrowały do wnętrza czaszki, a z gardła wydobył się jakiś charkot. Rozluźnił chwyt, opuścił rękę na podłogę. Już więcej się nie odezwał.

36

Crane siedział przy biurku w swojej kabinie, gapił się w ekran komputera, ale nic nie widział. Od wypadku minęło już kilka godzin, ale on wciąż był oszołomiony. Wziął długi prysznic, odniósł rzeczy do pralni, ale wciąż miał wrażenie, że czuje w kabinie zapach spalonych włosów i skóry.

Nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Był jak sparaliżowany. Czy rzeczywiście zaledwie osiem godzin temu przeprowadził sekcję Charlesa Vasselhofa? Wtedy miał do napisania tylko jeden protokół z sekcji.

Teraz liczba zabitych wzrosła do trzech. Plus jeszcze trzej, którzy zginęli w Bili Jeden.

Crane miał przed oczami Howarda Ashera, jakiego zobaczył na ekranie monitora w bibliotece na platformie *Król Sztormu* dwa tygodnie temu. Główny uczony był opalony i uśmiechnięty. Mamy do czynienia, Peter, z największym odkryciem wszech czasów. Asher później nie uśmiechał się już tak często, jak tego pierwszego dnia ich znajomości. Wspominając to, Crane pomyślał, że Asher tylko udawał pogodę ducha, chciał, żeby on poczuł się tu mile widziany.

Ktoś delikatnie zapukał do drzwi. To była Michele Bishop. Swoje ciemnoblonde włosy spięła z tyłu, co podkreślało jej wydatne kości policzkowe. Miała zaczerwienione, smutne oczy.

36

- Cześć, Peter - powiedziała bardzo cicho.

- Cześć. - Obrócił się w stronę drzwi.

Bishop przez chwilę stała w progu. Choć zwykle nie brakowało jej pewności siebie, teraz wyraźnie się wahała.

- Chciałam tylko sprawdzić, jak się czujesz.

- Bywałem w lepszej formie - odparł, potrząsając głową.

- Niepokoiłam się, bo się nie odzywałeś. Ani wtedy, gdy przenosiliśmy ciała do kliniki, ani podczas sekcji.

- Nie mogę zrozumieć, co się stało w komorze hiperbarycznej. Co spowodowało pożar? Dlaczego spryskiwacze były wyłączone?

- Spartan polecił przeprowadzić dochodzenie. Na pewno wyjaśnią, co się stało.

- Powiniennem był zachować większą ostrożność, osobiście sprawdzić stan komory. Wypróbować system przeciwpożarowy.

- Nie powinieneś tak myśleć - zaprotestowała Bishop. Weszła do kabiny. - Zrobiłeś wszystko, co do ciebie należało. To był wypadek. Po prostu tragiczny wypadek.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz. - Crane westchnął.

- Nie wiń siebie, Peter. Jeśli zaczniesz, będę musiała napuścić na ciebie Corbetta.

Crane blado się uśmiechnął. Przez chwilę oboje milczeli.

- Wracam do kliniki - odezwała się Bishop. - Przynieść ci coś z apteki? Xanax, valium, coś innego?

- Nie, dziękuję. - Pokręcił głową.

- No to zobaczymy się później. - Bishop odwróciła się do drzwi.

- Michele?

- Tak? - Lekarka spojrzała na niego przez ramię.

- Dziękuję ci.

Skinęła głową wyszła z kabiny i zamknęła za sobą drzwi.

Crane powoli obrócił się do biurka. Przez kilka minut wpatrywał się w ekran monitora, potem raptownie wstał i zaczął krążyć po pokoju. To nie pomogło - przypomniało mu tylko, jak Asher chodził od ściany do ściany, gdy wyjaśniał, jaki jest prawdziwy cel działania stacji.

Było to zaledwie cztery dni temu.

W tym wszystkim tkwiła jakaś koszmarna ironia. On w końcu dokonał przełomowego odkrycia - ale Asher zginął, nim się o tym dowiedział. Asher, który ściągnął go na stację, żeby wyjaśnił tajemnicze choroby personelu.

Crane przypomniawszy sobie z goryczą, że nie tylko on posunął się naprzód. Asher również. Teraz jednak główny uczony już nie żył: samoistna odma, zatory gazowe, oparzenia trzeciego stopnia pokrywające osiemdziesiąt procent ciała.

Bishop miała rację, rzeczywiście po śmierci Ashera zachowywał się nienaturalnie, przestał się odzywać. To częściowo był tylko skutek szoku. Milczał, ponieważ nie mógł powiedzieć jej prawdy. Bardzo chciał opowiedzieć jej o swoim odkryciu, podzielić się z nią swymi spostrzeżeniami, ale ona nie miała odpowiedniej klauzuli dostępu. Skoro nie mógł mówić swobodnie, wołał milczeć.

Crane nie mógł dłużej odkładać spisania sprawozdań z sekcji.

Usiadł przy biurku i włączył komputer. W rogu zamigotała ikona - miał nowe wiadomości.

Crane westchnął, uruchomił pocztę i wjechał kursorem myszy na odpowiednie okienko. Dostał jeden list; ciekawe, że nie było nazwiska nadawcy. Kliknięciem myszy otworzył wiadomość.

Jest pora wielu słów i jest pora snu. Homer,
Odyseja, pieśń XI.

Doktor Asher powiedział w życiu wiele ważnych słów. Teraz już tylko śpi.

To prawdziwa tragedia.

Zbyt wielu ludzi zginęło - a jeszcze do tego nie dotarliśmy. Obawiam się najgorszego. Teraz cały ciężar spoczął na pańskich barkach, drogi doktorze. Ja muszę tu zostać, pan może odejść. Proszę znaleźć odpowiedź, a potem opuścić stację tak szybko, jak tylko będzie to możliwe.

Jeśli ktoś musi pracować w ciemnościach, nie powinien pracować sam. Niech pan znajdzie przyjaciela.

Obawiam się, że od czasu naszej rozmowy w pańskiej kabinie wzrosły liczby niewymierne na stacji. Może jednak ma to dobrą stronę, bo w nich kryje się rozwiązanie zagadki.

Życzę panu udanego dnia.

F

Crane zmarszczył brwi. Nie wiedział, jak ma rozumieć ten tajemniczy list. Niech pan znajdzie przyjaciela...

Znowu ktoś zapukał do drzwi. Pewnie Bishop z lekarstwami, których nie potrzebował.

- Proszę, Michele - powiedział, zamykając pocztę. Otworzyły się drzwi. W progu stała Hui Ping, specjalistka od komputerów.

Crane spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Przepraszam - odezwała się. - Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

- Ależ skąd! - Crane oprzytomniał. - Proszę, wejdz. Ping weszła i usiadła na krześle, które podsunął jej Crane.

- Właśnie dowiedziałam się o śmierci doktora Ashera. Usłyszałam o tym wcześniej, ale siedziałam w laboratorium, bo zauważyłam coś dziwnego. W każdym razie gdy tylko się dowiedziałam... no, chciałam z kimś porozmawiać. Zabawne, że jedyną osobą, o której pomyślałam, byłeś ty.

Crane pochylił głowę na bok.

Ping nagle wstała.

- Chyba jestem egoistką. To przecież ty tam byłeś, z pewnością czujesz...

- Nie, w porządku - przerwał jej Crane. - Też myślę, że powinienem porozmawiać.

- O Asherze?

- Nie. - To jeszcze zbyt świeża sprawa - pomyślał. - O czymś, co odkryłem.

Ping powoli usiadła.

- Wiesz, że robiłem wszystkie badania, jakie tylko przychodziły mi do głowy, sprawdzałem wszystkie tropy, żeby odkryć, dlaczego ludzie chorują.

Ping kiwnęła głową.

- Do niczego to nie prowadziło, aż wreszcie coś przyszło mi do głowy. Zwróciłem w końcu uwagę, że ludzie mają dwa zupełnie różne typy objawów. Niektórzy mieli objawy somatyczne - nudności, skurcze, wiele innych. Inni mieli dolegliwości psychiczne - bezsenność, brak koncentracji, nawet stany pobudzenia maniakalnego. Zawsze uważałem, że musi istnieć wspólna przyczyna tych problemów. Jaki jednak czynnik mógłby powodować tak odmienne skutki? Wtedy pomyślałem, że przyczyna musi mieć charakter neurologiczny.

- Dlaczego?

- Ponieważ od mózgu zależy działanie zarówno ciała, jak i umysłu. Kazałem zatem zrobić badania EEG. Dzisiaj dostałem pierwsze wyniki. Wszyscy pacjenci mają regularne iglice theta, które u dorosłych w ogóle nie powinny występować. Co jeszcze dziwniejsze, układ jest dokładnie taki sam u wszystkich chorych. Wtedy wpadłem na wariacki pomysł. Zrobiłem wykres tych impulsów elektrycznych. Wiesz, co odkryłem?

- Nie mam pojęcia.

Crane otworzył szufladę, wyciągnął kopertę i bez słowa podał ją Ping. Hui wyjęła z niej komputerowy wydruk.

- To kod cyfrowy Ashera - powiedziała. - Zakodowana wiadomość, jaką nadają żetony.

- Właśnie.

Ping nie mogła tego zrozumieć. Przez chwilę siedziała nieruchomo, ale nagle otworzyła szeroko oczy.

- Och, nie. Chyba nie myślisz...

- Tak właśnie sędzę. Maksima fal delta dokładnie pokrywają się z impulsami światła.

To ta sama wiadomość, którą odkrył Asher.

- Jak to możliwe? Dlaczego nie zarejestrowaliśmy żadnego sygnału?

- Nie wiem, ale mam pewną teorię. Wiemy już, że żetony nadają wiadomości na wszystkich dostępnych częstościach promieniowania elektromagnetycznego - w zakresie fal radiowych, mikrofal, promieniowania podczerwonego, optycznego i nadfioletowego. Wiemy również, że konstruktorzy tych żetonów w dziedzinie techniki mają nad nami ogromną przewagę. Czy zatem nie jest możliwe, że nadają te wiadomości, korzystając z innych kanałów, z innego rodzaju promieniowania, którego nie potrafimy jeszcze rejestrować?

- Na przykład? - spytała Hui.

- Nie mam pojęcia. Może jest jakieś promieniowanie kwarkowe. Może to jakieś cząstki przenikające przez materię, jak bozon Higgosa. Chodzi o to, że jakieś nieznanne nam promieniowanie, niewykrywalne przez nasze detektory, zaburza procesy elektromagnetyczne w mózgu.

- Dlaczego zatem nie wpływa na wszystkich?

- Ponieważ układy biologiczne nigdy nie są jednakowe. Tak jak niektórzy ludzie mają cięższe kości, tak inni mają bardziej odporne układy nerwowe. A może niektóre pomieszczenia na stacji działają jak klatki Faradaya, choć nikt tego nie planował.

- Jak co?

- Klatka Faradaya. Metalowe pudło, które nie przepuszcza pola elektromagnetycznego. I wiesz co? Moim zdaniem to promieniowanie działa na wszystkich, tylko w różnym stopniu. Sam ostatnio czuję się trochę dziwnie. A ty?

Hui przez chwilę się zastanawiała.

- Nie. Czuję się zupełnie normalnie. Przez moment milczeli.

- Zamierzasz o tym powiedzieć admirałowi Spartanowi? - spytała Hui.

- Jeszcze nie.

- Dlaczego? Wydaje mi się, że wykonałeś swoje zadanie.

- Spartan nie jest skłonny przyjmować do wiadomości niczego, co nie pasuje do jego opinii. Nie chcę zawiadamiać go o tym zbyt wcześnie, bo będzie miał okazję od razu to odrzucić. Im więcej zbiorę dowodów, tym lepiej. Muszę odnaleźć drugi istotny element łamigłówki.

- Co to za element?

- Tuż przed śmiercią Asher dokonał jakiegoś ważnego odkrycia. Wtedy, gdy siedział w komorze hiperbarycznej. Wiem, bo zadzwonił do mnie. Powiedział, że wszystko jest na dysku jego laptopa. Muszę zdobyć ten komputer i przekonać się, co takiego odkrył Asher. Koniecznie chciał mi coś powiedzieć, już po wypadku. Dwukrotnie powtórzył to samo słowo: „whip”.

- Whip? Bat? - zdziwiła się Hui.

- Wyjaśnienie tajemnicy jest w jego komputerze. Jeśli jeszcze uda się z niego coś wydobyć.

W kabinie znowu zapadła cisza. W końcu Crane wstał z krzesła.

- Masz ochotę iść na kawę na Times Square? - zaproponował.

- Z przyjemnością - ucieszyła się Hui. Wyszli na korytarz.

- Zapewne mogłabym ci pomóc - powiedziała Hui.

- Jak?

- Podczas studiów miałam praktykę w firmie zajmującej się odzyskiwaniem utraconych danych.

- Naprawdę potrafisz odczytać dane ze zniszczonego dysku?

- Sama tego nie robiłam, bo byłam tylko stażystką. Obserwowałam jednak, jak się to robi, kilka razy pomagałam.

Zatrzymali się przy windzie.

- Wcześniej powiedziałaś, że odkryłaś coś dziwnego - przypomniał sobie Crane. - Co to takiego?

- Przepraszam? Ach, tak. Pamiętasz te linie absorpcyjne, które ci pokazałam? Te w widmie badanego żetonu?

- Tak. Mówiłaś, że takie linie obserwuje się w widmach gwiazd.

- Tak.

Drzwi windy otworzyły się z ledwie dosłyszalnym szmerem. Weszli i Crane nacisnął guzik numer dziewięć.

- No, właściwie dla zabawy porównałam to widmo z widmami znanych gwiazd z bazy danych. Każda gwiazda ma swoje unikatowe widmo, po którym można ją zidentyfikować. I wiesz co? Znalazłam jedną mającą dokładnie takie widmo.

- Gwiazda ma takie samo widmo jak ten żeton?

- Tak. Cygnus Major, czyli M81. Sto czterdzieści lat świetlnych od nas.

- Myślisz, że żetony pochodzą z tej gwiazdy?

- Być może. Cygnus Major ma tylko jedną planetę.

Gazowego olbrzyma. Oceany kwasu siarkowego i atmosfera z metanu.

- Nie pomyliłaś się? - Crane potarł z namysłem brodę.

- Widmo jest tak niepowtarzalną cechą, jak odciski palców. - Hui potrząsnęła głową. -

Na pewno się nie pomyliłam.

- Uważasz, że na dodatek chcą nam powiedzieć, skąd pochodzą?

- Na to wygląda.

- Dziwne. Co pociągającego mogą widzieć mieszkańcy planety pokrytej kwasem i zanurzonej w metanie w tlenie i wodzie na Ziemi?

- Też tego nie rozumiem. - W tym momencie otworzyły się drzwi windy i wyszli na korytarz.

37

Podłoga w pomieszczeniach komory hiperbarycznej była gęsto zasypana śmieciami. Wszędzie wały się zużyte gaśnice, bandaże, gumowe rękawiczki. Komandor porucznik Terrence W. Korolis poruszał się między śmieciami z precyzją wybrednego kota.

Przed wejściem stali dwaj komandos w czarnych mundurach, nie wpuszczając nikogo do środka. Komorę uznano za miejsce przestępstwa. Trzeci pilnował sterowni. Korolis znalazł ich dowódcę, bosmana Woburna, w poczekalni. Woburn właśnie rozmawiał z technikiem w białym fartuchu. Właz do komory był otwarty, ściany spalone, sufit pokryty grubą warstwą sadzy.

Gdy Woburn dostrzegł Korolisa, przerwał rozmowę i poszedł za nim do sterowni. Choć utykał, poruszał się sprawnie i precyzyjnie. Komandor poczekał, aż bosman zamknie drzwi.

- Meldujcie, bosmanie - zażądał.

- Układy bezpieczeństwa komory zostały celowo wyłączone, panie komandorze.

- A spryskiwacze? Automatyczny system gaszenia pożaru?

- Wyłączony w centralnym procesorze.

- Co było przyczyną pożaru? Macie jakieś hipotezy? Woburn wskazał kciukiem okno sterowni, przez które widać było poczekalnię.

- Kompresor, panie komandorze. Zdaniem tego technika ktoś przy nim manipulował.

- Jak?

- Wygląda na to, że ktoś wyłączył regulator obrotów, gdy kompresor pracował z pełną mocą.

- Co spowodowało niekontrolowany wzrost obrotów. - Korolis pokiwał głową.

- Tak, panie komandorze. Kompresor najpierw się przegrzał, a potem właściwie eksplodował.

- Gdzie trzeba się dostać, żeby to zrobić?

- Za komorą, między dwoma laboratoriami, znajduje się pomieszczenie kompresora. Tam można było wykonać wszystkie manipulacje.

- Ile potrzeba na to czasu?

- Zdaniem technika, jeśli zrobił to ktoś znający się na rzeczy, to zajęło mu to dwie, góra trzy minuty.

Korolis pokiwał głową. Człowiek ten z pewnością znał się na rzeczy. Podobnie jak wiedział, jak przeciąć laserem wewnętrzną powłokę kopuły. Dobry sabotażysta, który potrafi zniszczyć lub wysadzić w powietrze praktycznie wszystko.

Korolis znał się na szkoleniu takich specjalistów.

- Czy jakaś kamera była skierowana na pomieszczenie kompresora? - spytał Woburna.

- Nie, panie komandorze. - Woburn pokręcił głową. Jego szare włosy zalsniły w sztucznym świetle.

- Dziękuję, bosmanie.

Korolis wyjrzał przez okno obserwacyjne. Technik wszedł do komory hiperbarycznej i nie było go widać. Poza komandosami w czarnych mundurach nie było żadnych świadków.

Znowu zwrócił się do Woburna.

- Macie to tutaj? - spytał. Wprawdzie drzwi były zamknięte, ale Korolis jeszcze bardziej zniżył głos.

Woburn zachował całkowicie obojętny wyraz twarzy. Lekko kiwnął głową.

- Nikt nie widział, jak to zabieraliście?

- Tylko nasi ludzie, panie komandorze.

- Doskonale.

Woburn uklęknął przy konsoli, wydobył spod niej cienką, czarną teczkę z nylonu. Wręczył ją Korolisowi. Wyciągnął z kieszeni kluczyk i również podał go komandorowi.

- Czy mamy kontynuować dochodzenie? - spytał Woburn. - Sprawdzić, czy ktoś zauważył coś niezwykłego?

- To już niepotrzebne. Dziękuję, bosmanie. Ja poprowadzę dalsze śledztwo i przekażę wyniki admirałowi.

- Tak jest, panie komandorze. - Woburn energicznie zasalutował.

Korolis przyglądał mu się przez chwilę z zaciśniętymi ustami. Również zasalutował i wyszedł z pomieszczeń komory hiperbarycznej.

*

Korolis mieszkał w specjalnym sektorze na jedenastym poziomie, zarezerwowanym dla oficerów. Wszedł do swojego pokoju, zamknął drzwi na klucz i zbliżył się do biurka. W kabinie panował półmrok. Tam gdzie w innych pokojach wisiały obrazy lub zdjęcia, Korolis powiesił płaskie monitory. Na półkach zamiast powieści stały tajne instrukcje.

Położył na biurku nylonową teczkę i otworzył zamek. Wyciągnął z niej laptop, mocno przypalony z jednej strony. W pokoju rozszedł się śwąd spalenizny.

Korolis włączył filtr powietrza, po czym usiadł przy biurku i przyciągnął do siebie klawiaturę swojego komputera. Podał hasło uruchamiające komputer, a następnie wpisał drugie, znacznie dłuższe, dające dostęp do tajnej, wojskowej sieci komputerowej. Tylko on miał prawo z niej korzystać. Włączył program do obsługi podsłuchu. Przejrzał listę plików, aż wreszcie znalazł ten, który go interesował. Na ekranie pojawił się skomplikowany wykres fali akustycznej, zarejestrowanej przez mikroskopijny mikrofon. Korolis założył słuchawki i włączył specjalny filtr eliminujący szmery. Zwiększył wzmocnienie i nacisnął guzik uruchamiający odtwarzanie.

W słuchawkach usłyszał głos Crane'a, zaskakująco czysty i wyraźny jak na warunki nagrania.

Tuż przed śmiercią Asher dokonał jakiegoś ważnego odbycia... Wiem, bo zadzwonił do mnie, żeby mi to powiedzieć. Powiedział, że wszystko jest na dysku jego laptopa. Muszę zdobyć ten komputer... Koniecznie chciał mi coś powiedzieć, już po wypadku...

Potem odezwała się jakaś kobieta. Komputerowy analizator rozpoznał głos Hui Ping. Korolis spochmurniał.

Wyjaśnienie tej tajemnicy jest na jego komputerze, dodał Crane.

Korolis kliknął myszą i zatrzymał odtwarzanie. Zamknął plik i wyłączył program. Wstał od biurka, wziął laptop Ashera i podszedł do szarej szafki w kącie pokoju. Ukląkł, otworzył ją i wyciągnął silny elektromagnes.

Raz jeszcze sprawdził, czy drzwi są zamknięte na klucz, po czym powoli i uważnie wielokrotnie przejechał elektromagnesem nad twardym dyskiem laptopa. Nawet jeśli pożar nie zniszczył wszystkich danych na dysku, to teraz ich odczytanie stało się niemożliwe.

Crane i Hui Ping stanowili poważne zagrożenie dla bezpieczeństwa stacji. Nie można było przesadzić z ostrożnością. Był to dopiero pierwszy krok. Korolis dobrze wiedział, jaki będzie następny.

Chłodnia 1-C na najniższym poziomie stacji była ponurym miejscem nawet w najlepszych okolicznościach. Panowała tam temperatura 3,5° C. Na podłodze leżały drewniane palety, pod którymi chlupała brudna woda, jak w zębie. Nieliczne lampy nie rozpraszały ciemności. To pomieszczenie na pewno nie było stosowne dla osób cierpiących na klaustrofobię. Czuć było smród pleśni i mięsa. Ciszę przerywało tylko kapanie wody.

Admirał Spartan stał pośrodku chłodni, przyglądając się zgniecionemu wrakowi Bili Jeden. Wisiała nad podłogą jak zgnieciona kulka folii aluminiowej, opasana łańcuchami i zawieszona na potężnym haku rzeźnickim. Obok leżał na podłodze niebieski brezent, który właśnie ściągnięto z Bili.

Jaki błąd spowodował tę katastrofę? Jako wojskowy Spartan zawsze dążył do zwycięstwa, przewidując błędy - swoje lub przeciwnika - a następnie zapobiegając im lub je wykorzystując. Jak jednak mógł przewidzieć niepowodzenia, skoro obowiązywały tutaj całkowicie mu obce, nieznanne reguły działania?

Po katastrofie Bili Jeden, pozostałe dwie jednostki, Bili Dwa i Bili Trzy, działały bez żadnej awarii. Wprowadzili zmiany zarekomendowane przez Ashera i jego naukowców, co zapobiegło dalszym incydentom. Praca posuwała się naprzód nawet szybciej, niż przewidywali, ponieważ trzecia, najniższa warstwa skorupy okazała się bardzo miękka, tak jakby była zbudowana z mułu. Dzięki temu powinni dotrzeć do nieciągłości Mohorovičića już za parę dni, nie zaś tygodni, jak planowali.

Asher. Admirał znowu przypomniał sobie ostrzeżenia głównego uczonego po katastrofie Bili Jeden i śmierci trzech członków załogi: „Zalecam przerwanie dalszych operacji, dopóki nie zrozumiemy dokładnie przyczyn tej katastrofy”.

Teraz Asher też już nie żył.

Za plecami admirała zazgrzytał metal. Ktoś otworzył drzwi. Na ciemnej ścianie pojawił się prostokąt jasnego światła. Komandor Korolis - mimo swej kociej niechęci do wilgoci i zimna - wsunął się do środka.

- Pański raport, komandorze? - odezwał się Spartan. Korolis podszedł bliżej.

- Spryskiwacze w komorze hiperbarycznej były wyłączone. W wyniku przeciążenia kompresora nastąpił wybuch i rozpoczął się pożar. Nie ma wątpliwości, że był to akt sabotażu.

- To było morderstwo - skorygował go admirał.

- Ma pan rację, admirale.

Spartan znowu obrócił się w kierunku zgniecionej Bili.

- Tym razem wydaje się, że celem była konkretna osoba, nie zaś cała stacja.

Dlaczego?

- Nie potrafię na to odpowiedzieć, panie admirale. Może po prostu mieliśmy szczęście.

Spartan spojrzał na Korolisa.

- Mieliśmy szczęście, komandorze?

- Mam na myśli wybór celu ataku. Mamy szczęście, że sabotażysta nie wybrał celu mającego większe znaczenie strategiczne.

Spartan zamrugął.

- Rozumiem. A pana zdaniem, jaki cel miałby większe znaczenie strategiczne niż doktor Asher?

- Użyteczność Ashera była już bardzo wątpliwa. Zmienił się w Kasandrę - przepowiadał katastrofę, dążył do zakłócenia harmonogramu pracy, a to wszystko źle wpływało na morale załogi.

- Istotnie. - Spartan pomyślał, że jeśli Korolis ma jakieś wady, to nie jest nią nadmierna szczerłość.

- W każdym razie takie jest moje zdanie, panie admirale. Szczerze mówiąc, jestem zdziwiony, że pan się z nim nie zgadza.

Spartan zignorował tę osobistą wycieczkę. Wskazał ręką Bilę.

- A co z tym?

- Przeanalizowaliśmy taśmy z nagranyimi komunikatami z Bili oraz czarną skrzynkę z Chrzążca. W przeciwieństwie do sprawy komory hiperbarycznej nie ma żadnych śladów sabotażu lub innych brudnych zagrywek. Awaria sprzętu, po prostu.

Spartan przez chwilę milczał, przyglądając się kuli zgniecionego metalu.

- Czy są jakieś postępy w śledztwie?

- Tak. Korzystając z kamer śledzących ruch w stacji, zidentyfikowaliśmy jedną osobę, która była w obu miejscach - w pobliżu doku Wanny i komory hiperbarycznej - bezpośrednio przed aktami sabotażu.

- Kto to?

Korolis bez słowa wyciągnął kopertę z kieszeni na piersi i wręczył ją admirałowi. Spartan otworzył ją, zerknął na kartkę i oddał kopertę Korolisowi.

- Doktor Ping? - spytał. Korolis pokiwał głową.

- Zawsze miałem w stosunku do niej podejrzenia z powodu chińskiego pochodzenia. Czy sam pan nie twierdził, admirale, że sabotażysta na pewno działa na zlecenie obcego rządu?

- Została dokładnie sprawdzona, jak wszyscy biorący udział w tajnych projektach.
- Czasami komuś udaje się prześlizgnąć nawet przez szparkę. Zwłaszcza jeśli komuś innemu na tym bardzo zależy. Wie pan o tym równie dobrze jak ja.

- Co pan zaleca?

- Należy ją umieścić w areszcie, dopóki nie zostanie zakończone dokładne dochodzenie.

Spartan spojrział na niego. Uniósł brwi.

- Czy nie byłaby to raczej zbyt impulsywna reakcja?

- Od tego zależy bezpieczeństwo całej stacji. Spartan wykrzywił usta w gorzkim uśmiechu.

- A co z *habeas corpus*?

Korolis był wyraźnie zdziwiony pytaniem.

- W danych okolicznościach, panie admirale, nie jest to istotne zastrzeżenie.

Gdy Spartan nic nie odpowiedział, Korolis znowu się odezwał.

- Jest jeszcze jedna sprawa. Pamięta pan ostatnie słowo Ashera, które dwukrotnie powtórzył, kierując je do Crane'a?

- Whip - rzekł Spartan, kiwając głową.

- A może on wcale nie mówił whip? Może chciał powiedzieć Hui Ping?

Spartan spojrział na niego, mrużąc oczy.

- To możliwe, panie admirale. Hui P... Hui P... to brzmi prawie tak jak wiip.

Spartan wreszcie podjął decyzję.

- Dobrze. Nie widzę jednak powodu, żeby ją aresztować. Proszę ją poinformować, że ma zakaz opuszczania kabiny do czasu wyjaśnienia sprawy.

- Panie admirale, z całym szacunkiem twierdzę, że areszt...

- Proszę wykonać rozkaz, komandorze.

Za plecami Korolisa coś się poruszyło. Spartan spojrział w tamtym kierunku. W drzwiach stał Peter Crane.

- Doktor Crane - powiedział, minimalnie podnosząc głos. - Proszę do nas.

Korolis szybko się obrócił. Pojawienie się Crane'a wyraźnie go zaskoczyło.

Crane wszedł do chłodni. Jego ciemne włosy i szare oczy ostro kontrastowały z białym kitem. Spartan zastanawiał się, jak długo Crane stał przy drzwiach i co usłyszał.

- Jak możemy panu pomóc, doktorze?

Crane zbliżył się do nich. Spojrział na Spartana, Korolisa, wrak Bili Jeden i znowu na admirała.

- W istocie szukałem komandora Korolisa - powiedział.

- Wydaje się, że pan go znalazł. Crane zwrócił się do komandora.

- Ci pańscy komandos w czarnych mundurach, którzy pilnują komory hiperbarycznej, powiedzieli mi, że w tej sprawie muszę się zwrócić do pana. Potrzebuję laptop Ashera.

- Po co panu jego komputer? - spytał Korolis, marszcząc brwi.

- Według mnie tuż przed wypadkiem Asher dokonał ważnego odkrycia. Prawdopodobnie odczytał wiadomość nadawaną przez żetony.

- Laptop został poważnie uszkodzony - rzekł Korolis.

- Mimo to warto spróbować - uparł się Crane. - Ma pan coś przeciwko?

Przysłuchując się rozmowie, Spartan nie miał wątpliwości, że ci dwaj szczerze się nie znoszą.

Korolis spojrział na admirała, który niemal niedostrzegalnie poruszył brwiami.

- Bardzo proszę - powiedział komandor. - Proszę ze mną - Komputer znajduje się w zamkniętej szafce w pomieszczeniach komory hiperbarycznej.

- Doktorze? - wtrącił Spartan. Crane obrócił się ku niemu.

- Jeśli dowie się pan czegoś, proszę mnie natychmiast poinformować.

- Oczywiście.

Korolis zasalutował. Obaj mężczyźni wyszli z chłodni, ale Spartan jeszcze przez dłuższą chwilę stał nieruchomo i rozmyślał, patrząc na drzwi.

39

Crane znalazł Hui Ping w jej laboratorium. Właśnie analizowała wydruk widma linii absorpcyjnych, zaznaczając istotne miejsca markerem. Gdy wszedł, uniosła głowę i uśmiechnęła się do niego.

- Och, dobrze! - powiedziała. - Masz laptop. Dopiero teraz zauważyła wyraz jego twarzy i przestała się uśmiechać.

- Peter, co się stało?

Crane spojrział na zamocowaną pod sufitem kamerę i usunął się z jej pola widzenia.

- Muszę cię o coś zapytać. Czy byłaś kiedyś w zewnętrznym punkcie przyjmowania dostaw?

- Masz na myśli miejsce, gdzie cumuje Wanna z dostawami? - Potrząsnęła głową. - Nie, nigdy tam nie byłam.

- Gdzie byłaś, gdy wybuchł pożar w komorze i zginął Asher?

- Tutaj, w laboratorium. Badałam linie absorpcyjne, pamiętasz? Mówiłam ci o tym.

- Zatem nie byłeś w pobliżu komory hiperbarycznej.

- Nie. - Ping zmarszczyła brwi. - Dlaczego o to pytasz? Do czego zmierzasz?

Crane zawahał się. Właśnie miał wykonać ryzykowny krok i złamać liczne reguły, których zgodził się przestrzegać, podpisując różne dokumenty przed wejściem na stację. Z jednej strony nie widział żadnego powodu, dlaczego Korolis miałby kłamać na temat roli Ping, a udzielanie pomocy sabotażyście było równoznaczne ze zdradą. Z drugiej zaś strony instynkt podpowiadał mu, że Ping jest godna zaufania.

Poza tym Hui była jedyną osobą, która mogła mu pomóc poznać, co odkrył Asher.

Crane nerwowo oblizwał wargi.

- Słuchaj uważnie. Korolis uważa, że to ty jesteś sabotażystką.

- Ja? - Ping szeroko otworzyła oczy. - Ależ...

- Słuchaj mnie. Korolis przekonał Spartana, żeby umieścić cię w areszcie domowym.

Lada chwila przyjdą tu żołnierze, żeby odprowadzić cię do twojej kabiny.

- To niemożliwe. - Ping zaczęła szybko oddychać. - To niesprawiedliwe.

Crane przyciągnął ją do siebie, tak aby nie stała w polu widzenia kamery.

- Uspokój się, Hui. Zabiorę cię stąd.

- Ale dokąd? - spytała ostrym tonem.

- Uspokój się. Chcę, żebyś spokojnie pomyślała. Czy jest jakieś laboratorium lub inne pomieszczenie, gdzie mogłabyś zająć się tym laptopem? Jakies miejsce na uboczu, bez kamery?

Ping nic nie odpowiedziała.

- Oddychaj powoli. Słuchaj, nie pozwolę, żeby cię zabrali, ale musimy stąd zniknąć.

Czy znasz jakieś odpowiednie miejsce?

Kiwnęła głową. Z wyraźnym wysiłkiem wzięła się w garść.

- Na szóstym poziomie. Laboratorium morskiej fizyki stosowanej.

- Dobra. Najpierw jednak muszę jeszcze coś zrobić. Stań tutaj, poza zasięgiem kamery. - Crane sięgnął do kieszeni fartucha i wyciągnął jakiś przedmiot owinięty w sterylny opatrunek. Rozwinął gazę. W sztucznym świetle błysnął skalpel.

Hui zamarła na widok skalpela.

- Po co ci to?

- Muszę usunąć identyfikatory RFID, które nam wszczepili - wyjaśnił Crane. Położył na stole watę i środek dezynfekcyjny. - W przeciwnym razie natychmiast nas znajdą.

Crane podciągnął rękaw fartucha, przetrął skórę watką zamoczoną w spirytusie i podniósł skalpel.

Pierwsze cięcie przebiło naskórek, drugie skórę. Teraz już widać było identyfikator, zanurzony w warstwie podskórnego tłuszczu. Hui odwróciła wzrok. Crane wyjął szczypcami identyfikator, upuścił go na podłogę i rozgniół obcasem.

- Gotowe - powiedział. - Teraz przynajmniej nie mogą mnie śledzić jak jakiegoś migrującego ptaka.

Crane zdezynfekował i opatrzył ranę. Wyrzucił skalpel do kosza i wyjął drugi.

Ping odruchowo cofnęła się o krok.

- Nie bój się - powiedział. - Mam okład znieczulający, który powoduje tymczasowe odrętwienie skóry. Sam go nie użyłem, bo w pośpiechu wziąłem z apteczki tylko jeden.

Ping wciąż się wahała.

- Hui, musisz mi zaufać - przekonywał ją Crane. Hui ciężko westchnęła i skinęła głową. Zrobiła krok w jego stronę i jednocześnie zaczęła podwijać rękaw.

40

- Gotowa? - zapytał Crane, odkładając instrumenty medyczne. - Weź wszystko, czego będziesz potrzebowała i chodźmy stąd.

Hui wahała się przez chwilę. Podeszła do biurka, wyciągnęła szufladę i wyjęła spore etui z narzędziami. Odłączyła swój laptop od sieci i wzięła go pod pachę.

- Po co ci to? - spytał Crane.

- Części zapasowe - wyjaśniła Hui. Wzięła głęboki oddech. - Jestem gotowa.

- Zatem prowadź. Unikaj wartowników i kamer.

Opuścili laboratorium radiologiczne i poszli wąskimi korytarzami na trzecim poziomie. Na pierwszym skrzyżowaniu Hui zatrzymała się, po czym skręciła w prawo, żeby uniknąć kamer. Doszli do końca korytarza i skręcili w lewo.

Gdy minęli róg, Crane się zatrzymał. Przy pomalowanych na czerwono drzwiach w głębi korytarza stali dwaj wartownicy.

Crane szybko myślał, co zrobić. Żołnierze mieli przy pasach krótkofalówki, ale najprawdopodobniej Korolis nie nakazał jeszcze rozpoczęcia poszukiwań Hui. Gdyby się teraz cofnęli, wyglądałoby to bardzo podejrzanie.

Podał jej rękę i lekko pociągnął za sobą. Ruszył naprzód, niedbale wymachując teczką z laptopem Ashera. Miał nadzieję, że to przedstawienie wygląda przekonująco. Kątem oka zauważył, że Hui go naśladuje.

Przeszli obok wartowników. Żołnierze popatrzyli na nich, ale się nie odezwali. Chwilę później Crane usłyszał, jak Hui wypuszcza powietrze.

Minęli kilka zamkniętych drzwi i doszli do kolejnego skrzyżowania. W korytarzu z lewej strony stało paru wartowników.

- Nie dam rady - szepnęła Hui.

- Musisz.

Hui przez chwilę się zastanawiała.

- Za Dnem są schody ewakuacyjne, którymi możemy dostać się na szósty poziom - powiedziała i od razu skręciła w prawo.

W kafeterii było stosunkowo spokojnie. Przy stolikach nakrytych białymi obrusami siedziało w sumie jakieś dziesięć osób. Hui poprowadziła go przez wahadłowe drzwi do ciasnej kuchni. Crane dostrzegł siedzącego w kącie głównego kucharza, Renaulta, który na szczęście był zajęty nakładaniem jedzenia na talerz i nie podniósł głowy.

Hui przeszła przez kuchnię, minęła chłodnię i otworzyła metalowy właz w ścianie. Po drugiej stronie znajdowała się wąska metalowa klatka schodowa. Przepisnęli się przez otwór i zamknęli właz za sobą. Szybko pokonali trzy piętra i znaleźli się na szóstym poziomie. Tu kończyły się schody - niewątpliwie dlatego, że nad nimi rozciągała się bariera, ziemia niczyja odgradzająca tajną część stacji od reszty.

Hui zatrzymała się na podeście, żeby się uspokoić. Położyła rękę na rączce włazu, wzięła głęboki oddech i otworzyła klapę.

Korytarz był pusty.

Westchnęła z ulgą.

- Laboratorium jest w końcu korytarza - szepnęła.

Minęli składzik z rzeczami do sprzątanania i wolny pokój. Hui zatrzymała się przed drzwiami z tabliczką Laboratorium Morskiej Fizyki Stosowanej i szybko weszła do środka. Crane rozejrzał się jeszcze raz po korytarzu, czy nikt ich nie widzi i czy nie rejestruje ich jakaś kamera, po czym wszedł do ciemnego laboratorium i cicho zamknął za sobą drzwi.

Hui włączyła światło. Byli w dużym, dobrze wyposażonym laboratorium. Na stole pośrodku Crane dostrzegł mikroskop stereoskopowy i autoklaw. Po jednej stronie stołu stało kilka taboretów. W głębi widać było wejście do magazynu sprzętu; na półkach stały oscyloskopy, galwanometry i inne aparaty, których Crane nie rozpoznał. Z wieszaka na ścianie zwisała duża płachta z jakiegoś niezwykłego materiału, błyszczącego w świetle jak srebro.

Crane podszedł do płachty i pomacał ją palcami.

- Co to jest? - spytał.

- Płachta gaśnicza. Na wypadek gdyby jakiś eksperyment źle się skończył.

- A dlaczego to laboratorium nie jest używane?

- Doktor Asher chciał wykorzystać tę okazję - to znaczy pobyt na stacji - żeby przeprowadzić różne podwodne doświadczenia. Analiza fal grawitacyjnych, procesy sedymentacyjne, takie rzeczy. Rzadko się zdarza, że uczonej ma do dyspozycji takie środki.

- I co się stało?

- Spartan się nie zgodził. O ile wiem, potrzebował więcej ludzi do kopania szybu. Asher stracił pomieszczenia mieszkalne dla kilkunastu uczonych, a liczył na nie. - Hui położyła na stole laboratoryjnym swój laptop i etui z narzędziami. - Połóż tutaj laptop Ashera - powiedziała. - Tylko delikatnie, proszę. Takie operacje należy wykonywać w specjalnym pomieszczeniu wolnym od pyłu. Jeśli na odsłoniętym dysku osiadzie kurz, zmniejszy to szanse na odzyskanie danych.

Crane ostrożnie położył laptop na stole. Hui roztarła ręce, rozejrzała się, po czym zaczęła przeglądać szuflady. Udało się jej znaleźć gumowe rękawiczki, maskę chirurgiczną, szkło powiększające na stojaku, silną lampę roboczą, kilka puszek ze skompresowanym powietrzem. Rozłożyła na stole własne narzędzia i nałożyła na nadgarstek uziemienie. Spojrzała na Crane'a.

- Czego właściwie szukamy?

- Nie jestem pewny. Musimy zrekonstruować ostatnie odkrycie Ashera.

Hui pokiwała głową. Otworzyła teczkę i wyjęła uszkodzony laptop. Plastikowa obudowa była z jednej strony nadtopiona, a cały komputer był czarny od sadzy. Crane stracił nadzieję.

Hui nałożyła rękawiczki i maskę chirurgiczną. Drugą podała Crane'owi, żeby zrobił to samo. Sięgnęła po puszkę ze sprężonym powietrzem i zdmuchnęła ze stołu niewidoczne drobiny kurzu. Wyjęła z etui śrubokręt i odkręciła tylną część obudowy komputera. Następnie usunęła płytę główną i zasilacz. Teraz miała już dostęp do twardego dysku.

- Mamy chyba szczęście - powiedziała. - Dysk uniknął najgorszego losu.

Teraz rozmontowała swój laptop. Praca działała na nią uspokajająco. Crane z uznaniem przyglądał się, jak szybko potrafi rozłożyć komputer na poszczególne elementy.

Następnie Hui bardzo ostrożnie przeniosła twardy dysk Ashera do swojego komputera. Szybko go zmontowała i włączyła. Rozległ się głośny trzask, a później kilka pisków. Na ekranie pojawił się komunikat o błędzie. Komputer nie chciał odpalić.

- Co to za hałas? - spytał Crane.

- W tej firmie, gdzie miałam praktykę, nazywali to trzask śmierci. Zwykle oznacza to awarię serwowymechanizmu lub coś w tym stylu.

- To niedobrze, prawda?

- Jeszcze nie wiem. Musimy otworzyć napęd.

Hui wyłączyła z gniazdka swój laptop, znowu go rozłożyła i wyjęła twardy dysk. Położyła go na stole i wskazała ręką Crane'owi, żeby się odsunął. Posługując się cienkimi śrubokrętami, skalpelem i innymi narzędziami, które zdaniem Crane'a byłyby bardziej na miejscu w gabinecie dentysty, zdjęła pokrywę dysku. Przysunęła bliżej lampę i skierowała ją na dysk. W ostrym świetle widać było wyraźnie niewielkie złote cylindry z ramionami służącymi do zapisywania i odczytywania danych, otoczone zielonym lasem obwodów scalonych.

Hui dokładnie przyjrzała się dyskowi przez szkło powiększające.

- Wydaje się, że nie doszło do uderzenia głowic o talerze - powiedziała. - Talerze wydają się w niezłym stanie. Myślę, że już wiem, o co chodzi. Spaliło się kilka kości w układzie kontrolera.

- Kontrolera?

- Układu sterującego dyskiem.

- Uda ci się go naprawić?

- Prawdopodobnie. Wymienię go na płytę z mojego laptopa.

- Będzie pasować? - spytał Crane.

- Wszyscy pracownicy stacji mają takie same laptopy. Wiesz, jak postępują urzędy - zawsze kupują hurtowo.

Posługując się lupą i narzędziami jubilerskimi, Hui usunęła z napędu jakiś element. To pewnie kontroler - pomyślał Crane, przyglądając się jej z pewnej odległości.

- Rzeczywiście, spalony - powiedziała Hui, przypatrując się usuniętemu elementowi przez szkło powiększające. - Mamy szczęście, że talerze się nie stopiły.

Hui położyła spalony kontroler na stole. Otworzyła twardy dysk ze swojego laptopa, wyjęła ten sam element, zainstalowała go w dysku Ashera i ponownie założyła pokrywę.

- Chwila prawdy - powiedziała, ponownie instalując dysk w swoim komputerze. Przedmuchała wewnątrz sprężonym powietrzem, włączyła komputer do prądu i spróbowała go uruchomić.

Crane podszedł bliżej. Niecierpliwie wpatrywał się w ekran. Znowu ten sam komunikat o błędzie.

- Cholera - zaklął.

- Ale nie powtórzył się trzask śmierci - pocieszyła go Hui. - Zauważyłeś, że podczas POST nie było ostrzegawczych pisków?

- Co to oznacza?

- Komputer widzi teraz twardy dysk, z tym nie ma problemu. Po prostu nie może znaleźć żadnych danych.

Crane znowu zaklął.

- Jeszcze nie skończyliśmy - rzekła Hui. Wyjęła ze swego etui CD-ROM. - To płyta startowa z różnymi narzędziami diagnostycznymi. Przyjrzymy się dokładniej temu dyskowi.

Hui włożyła CD-ROM do stacji dysków i ponownie uruchomiła komputer. Tym razem na ekranie pojawiło się kilka okienek. Hui usiadła przy stole i zaczęła wpisywać komendy. Crane przyglądał się jej pracy.

Hui przez kilka minut manipulowała myszą. Na ekranie pojawiły się długie ciągi dwójkowych i szesnastkowych liczb. W końcu puściła mysz i wyprostowała się na krześle.

- Twardy dysk działa - powiedziała. - Nie widzę żadnych fizycznych uszkodzeń.

- Dlaczego zatem nie możemy odczytać danych? - spytał Crane.

- Ponieważ najwyraźniej ktoś je skasował - odpowiedziała, spoglądając na niego.

- Skasował?

Hui zdjęła maskę z twarzy, potrząsnęła włosami i kiwnęła głową.

- Analiza pola magnetycznego wskazuje, że ktoś wymazał dane za pomocą magnesu.

- Już po pożarze?

- Niewątpliwie Asher tego nie zrobił.

- Ale po co? - Crane był zszokowany. - To bez sensu. Wszyscy powinni byli sądzić, że laptop jest zniszczony.

- Widocznie ktoś chciał mieć pewność, że dysk nie przetrwał.

Crane przyciągnął taboret i usiadł. Zdjął maskę i rzucił ją na stół. Nagle poczuł się bardzo stary.

- No to koniec - powiedział. - Nigdy nie dowiemy się, co odkrył Asher.

Ciężko westchnął i spojrzał na Hui. Ze zdziwieniem zauważył na jej twarzy uśmiech, który w innych okolicznościach uznałby za psotny.

- Co takiego?

- Mam jeszcze w rezerwie kilka sztuczek.

- O czym ty mówisz? - zdziwił się Crane. - Przecież ktoś wymazał wszystko, co było zapisane na dysku.

- Tak, ale to jeszcze nie oznacza, że dane przepadły.

- Nie rozumiem. - Crane pokręcił głową.

- Gdy kasujesz dane na dysku, w rzeczywistości po prostu zapisujesz w tym samym miejscu losowy ciąg zer i jedynek. Głowica pisząca generuje minimalny sygnał potrzebny do zapisania nowego bitu. Tak działa twardy dysk: najslabszy konieczny sygnał, nie więcej.

- Dlaczego?

- Żeby nie zmienić sąsiednich bitów. W każdym razie, ponieważ sygnał nie jest na tyle mocny, żeby całkowicie zmienić namagnesowanie talerza w danym miejscu, to stare dane, niczym duch, wpływają na wypadkowe namagnesowanie tego punktu talerza.

Crane spojrział na nią. Wciąż nie rozumiał, co ona mówi.

- Wyobraź sobie dwa sąsiednie miejsca na dysku. W jednym jest zapisane zero, w drugim jedynka. Teraz ktoś zapisuje w tych dwóch miejscach dwie jedynki. Ponieważ głowica zapisuje jedynki za pomocą pola magnetycznego o minimalnym natężeniu, miejsce, w którym przedtem było zero, wciąż jest słabiej namagnesowane niż to, w którym poprzednio była jedynka.

- Zatem stare dane są widoczne, mimo że zapisano nowe.

- Właśnie.

- Czy masz narzędzia, żeby przywrócić poprzednie dane?

- Tak. - Hui skinęła głową. - Procedura polega na odjęciu absolutnej wartości sygnału od tego, co jest na dysku. W ten sposób otrzymujemy obraz tego, co było zapisane wcześniej.

- Nie miałem pojęcia, że coś takiego jest możliwe - przyznał Crane. Zastanowił się chwilę. - Poczekaj. Przecież powiedziałaś, że ktoś wymazał dane magnesem, a nie zapisał na starych nowe. Czy mimo to możesz je odczytać?

- Nie wiem, jakiego użyto magnesu, ale to był pewnie ręczny model, ponieważ nie wytwarzał silnego pola magnetycznego. A może ten, kto to zrobił, nie wziął pod uwagę, że tarcze w napędzie są częściowo ekranowane. W każdym razie słaba demagnetyzacja jest równoważna dwu - lub trzykrotnemu zapisowi nowych danych. Moje narzędzia potrafią odczytać dane, nawet gdy ktoś sześć razy zapisał w tym miejscu coś nowego.

Crane mógł tylko pokręcić z podziwem głową.

- To destrukcyjna procedura. Można ją przeprowadzić tylko raz. To również oznacza, że potrzebny jest jeszcze jeden twardy dysk, na który zrzucimy zrekonstruowane dane. Mój już nie działa, bo wyjęłam kontroler dysku. - Spojrzała na niego. - Mogę pożyczyć twój?

- Wygląda na to, że szybko skończy się nam zapas laptopów - uśmiechnął się Crane. - Oczywiście, zaraz go przyniosę.

- Tymczasem zacznę odtwarzać dane - powiedziała Hui. Odłożyła lupę i sięgnęła po jakieś narzędzia.

- Będziesz tu bezpieczna. - Crane cicho wyszedł z laboratorium.

41

Mężczyzna posługujący się imieniem Wallace szedł, lekko kuśtykając, przez labirynt korytarzy na poziomie naukowym przebudowanej platformy *Król Sztormu*. Poruszał się szybciej niż zwykle: dopiero przed chwilą odebrał wiadomość w swojej kabinie - zakodowany sygnał na falach radiowych o niskiej częstotliwości - i musiał natychmiast przekazać ją agentowi na stacji *Głęboki Sztorm*.

Wanna miała wyruszyć na dno oceanu już za dwadzieścia minut. Gdyby się pośpieszył, mógłby zdążyć.

Dotarł do swojego boksu, zapalił światło i zamknął za sobą drzwi na klucz. Na biurku stała torba kurierska, którą miał zanieść do doku na najniższym poziomie platformy. Otworzył ją, poszperał w środku i wyciągnął CD-ROM ręcznie podpisany *radiogramy 001136-001152*.

Obrazy - dokładnie to, czego potrzebował.

Umieścił płytę w stacji komputera i przeniósł do pamięci przypadkowo wybrany plik. Następnie wyjął płytę i schował ją do koperty, po czym napisał krótki program, który miał dopisać wiadomość do najmniej istotnych pikseli obrazu. Napisanie i dwukrotne sprawdzenie programu zajęło mu pięć minut.

Mruknął z aprobatą i uruchomił program. Po chwili na ekranie pojawił się znak zapytania: program zażądał danych. Wallace starannie wystukał wiadomość, która miała zostać przekazana. Gdy skończył, przed naciśnięciem klawisza „enter” jeszcze raz sprawdził, czy się nie pomylił:

JEŚLI PRACA NIE MOŻE ZOSTAĆ PRZERWANA, TO ZNISZCZ STACJĘ W
CIĄGU 24 GODZIN.

Wszystko w porządku. Wallace nacisnął klawisz i wiadomość znikła z ekranu. Komputer nadał jej postać binarną i ukrył w pliku zawierającym radiogram. Krótki pisk zasygnalizował koniec pracy.

Wallace uśmiechnął się do siebie.

Wyciągnął z szuflady CD-ROM, umieścił go w stacji i skopiował przerobiony plik z dysku na płytę. W trakcie kopiowania odchylił się do tyłu i przetarł koszulą okulary. Obraz nie był duży, dlatego kopiowanie trwało tylko dwie minuty. Wallace wyciągnął płytę ze stacji i zgasił komputer, natychmiast zacierając wszystkie ślady po wykonanych operacjach.

Wsunął płytę do plastikowej koperty, napisał na niej nazwisko adresata i schował obie płyty do torby kurierskiej.

Wstał, zarzucił torbę na ramię i spojrzął na zegarek.

Miał jeszcze dwanaście minut. Doskonale.

Otworzył drzwi i wyszedł z boksu. Pogodnie pogwizdując, udał się do doku, gdzie już czekała Wanna.

42

Gdy Crane wkradł się do laboratorium, Hui Ping prawie podskoczyła na taborecie i upuściła śrubokręt na podłogę.

- Boże! - westchnęła. - Ale mnie przestraszyłeś.

- Przepraszam. - Crane cicho zaniknął za sobą drzwi.

- Długo cię nie było. Co się stało?

- Musiałem odpowiedzieć na kilka listów. - Crane wolał nie wspominać o dziesięciominutowym przesłuchaniu przy barierze, które zaliczył w drodze powrotnej. Dwaj wartownicy koniecznie chcieli się dowiedzieć, gdzie przebywa doktor Ping. Nie chciał denerwować jej jeszcze bardziej.

- Jak ci idzie? - spytał. Podszedł i położył swój laptop na stole.

Hui konstruowała jakiś skomplikowany układ elektroniczny. Crane nie znał się na elektronice - dla niego były to tylko jakieś aparaty połączone licznymi przewodami. Hui podniosła głowę znad stołu.

- Właśnie skończyłam ostatni test.

- Dla mnie to wyrafinowana nauka.

- To jest wyrafinowana nauka. Magnetometr jest połączony z konwerterem A/D, a całość z zegarem taktującym.

Urządzenie to może sporządzić kopię wymazanego dysku doktora Ashera, bit po bicie. Crane gwizdnął.

- Na szczęście Asher zadbał o należyte wyposażenie swojego laboratorium. Można było mieć do niego zaufanie. Co by się stało, gdybyś nie miała tych wszystkich superzabawek?

- Magnetometr jest absolutnie konieczny. Bez pozostałych mogłabym się obejść, ale rekonstrukcja trwałaby znacznie dłużej. - Hui wyciągnęła rękę po jego laptop, ale się zawahała. - Będę musiała skasować wszystkie dane. Jesteś pewny, że nie masz nic przeciw temu?

- Śmiało. - Crane wzruszył ramionami. - Wszystkie moje pliki i tak są w sieci.

Hui włączyła jego laptop i wpisała kilka instrukcji.

- Potrwa to kilka minut.

Zapadła cisza, słychać było tylko szmer twardego dysku.

- Gdy szedłem po komputer, zastanawiałem się nad tą sprawą - powiedział wreszcie Crane. - Ktokolwiek rozmagnesował dysk Ashera, chciał mieć stuprocentową pewność, że jego odkrycie pozostanie tajemnicą.

- Też o tym myślałam. Sprawca nie chciał jednak, żeby ktokolwiek wiedział, iż dane zostały skasowane.

- Właśnie o to mi chodzi. W przeciwnym razie mógłby po prostu rozwalić komputer młotkiem.

- Ale kto to zrobił? I po co?

- Sabotażysta? - powiedział Crane.

- Wydaje się mało prawdopodobne, nie sądzisz? Nie znam jego motywów, ale gdybym była sabotażystką, raczej chciałabym sama zdobyć te dane. - Hui wstała z taboretu. - Dobra. Gotowe.

Hui zdjęła obudowę jego laptopa, podłączyła do twardego dysku taśmowy kabel, nie wyłączając przy tym prądu. Włączyła inne urządzenia, zrobiła parę korekt i równocześnie uruchomiła magnetometr i cyfrowy zegar taktujący. W laboratorium rozległ się cichy szum.

- Jak długo to potrwa? - spytał Crane.

- Niezbyt długo. Doktor Asher był podobny do ciebie - najczęściej korzystał z głównego komputera stacji. Wątpię żeby na tym dysku było coś poza jego osobistą pocztą, plikami internetowymi i zbiorami mającymi związek z tymi zakodowanymi wiadomościami.

Minęło dziesięć minut. Oboje prawie się nie odzywali. Hui monitorowała proces ekstrakcji danych, a Crane kręcił się po laboratorium, oglądał aparaturę i starał się opanować niecierpliwość. W końcu szum ustał.

- Zrobione. - Hui wyłączyła różne urządzenia, odłączyła kabel taśmowy i założyła pokrywę komputera Crane'a. Spojrzała na niego. - Jesteś gotowy?

- Odpalaj.

Hui nacisnęła włącznik. Oboje pochylili się nad czarnym ekranem. Po chwili rozległ się cichy pisk i pojawiła się winieta systemu operacyjnego.

- Bingo! - szepnęła Hui.

Crane delikatnie uściśnął jej ramię. Hui zainstalowała program do manipulowania zbiorami i zaczęła przeglądać dokumenty Ashera.

- Zaraz sprawdzimy. - Nastąpiła krótka przerwa. - Wygląda na to, że masz rację. Jest tu czterdzieści plików, znacznie krótszych, wszystkie zawierają wyłącznie zera i jedynki.

- Moim zdaniem Asher i Marris wybrali czterdzieści sygnałów z różnych przedziałów widma elektromagnetycznego. Chcesz się założyć, że w trzecim folderze są odczytane wiadomości? - Crane czuł coraz większe podniecenie.

- Nie przyjmuję zakładu. Zaraz się przekonamy. - Hui przejechała myszą po ekranie. Otworzyła folder *wyniki*. Na ekranie pojawiła się lista plików.

1_trans.txt

2_trans.txt

3_trans.txt

4_trans.txt

5_trans.txt

6_trans.txt

7_trans.txt

8_trans.txt

- Są - prawie szepnęła Hui.

- Widocznie gdy Asher do mnie dzwonił, on i Marris odczytali już osiem z czterdziestu wiadomości. Szybko, otwieraj.

Hui najechał kursorem na ikonę i kliknęła. Otworzyło się nowe okienko, zawierające jedną linię:

$X = 1/0$

- Chwileczkę! - zaprotestował Crane. - Coś jest źle. To stary przekład. Ten błędny.

- To nie ulega wątpliwości. Ktoś, kto potrafił zbudować coś tak skomplikowanego jak żetony, z pewnością wiedział, że nie można dzielić przez zero.

- Asher powiedział mi, że początkowo dekryptaż szedł im gładko, więc byli przekonani, iż to jakiś drobny błąd. Stracili kilka dni na szukanie pomyłki. Przed pójściem do komory hiperbarycznej zrezygnowali z tego podejścia i zamierzali spróbować czegoś zupełnie nowego. - Crane zmarszczył brwi. - To stare wyniki. Gdzieś musi być jeszcze jeden folder.

Hui przez chwilę przeszukiwała dysk.

- Nie ma. To jedyny możliwy folder.

- Sprawdźmy drugi plik. Może Asher po prostu nie skasował błędnego tekstu.

Hui kliknęła myszą w ikonę *2_trans.txt*. Znowu otworzyło się okienko:

$X = 0^{\circ}$

- Zero do zerowej potęgi? - skrzywił się Crane. - To jakieś szaleństwo. To równie nieokreślone wyrażenie, jak dzielenie przez zero.

Coś przyszło mu do głowy.

- Czy możesz sprawdzić, kiedy powstały te pliki?

- Wczoraj po południu - odpowiedziała Hui po chwili.

- Wszystkie?

- Tak.

- Czyli wtedy, gdy Asher i Marris byli w komorze. Zatem to jednak nowe wyniki.

Crane zamilkł. Hui przejrzała pozostałe sześć plików. Za każdym razem na ekranie pojawiała się proste matematyczne wyrażenie, za każdym razem równie niemożliwe: - a do trzeciej plus b do trzeciej równa się c do trzeciej potęgi? - Hui pokręciła głową. - Nie ma trzech liczb naturalnych, które spełniają takie równanie.

- A co z logarytmem naturalnym zera? Również jest nieokreślony. Pi to liczba niewymierna. Nie można jej przedstawić w postaci ułamka z liczbami naturalnymi w liczniku i mianowniku.

- Wydaje się, że Asher miał jednak rację za pierwszym razem. To znaczy w sprawie dekryptażu.

- Niewątpliwie tak uważał, ale to przecież bez sensu. Dlaczego żetony miałyby nadawać wiadomości z absurdalnymi wyrażeniami matematycznymi? Dlaczego ich twórcy mieliby uważać te wiadomości za tak ważne, że postanowili nadawać je we wszystkich zakresach widma elektromagnetycznego i nie tylko? Myślę, że...

Crane nagle zamilkł. Ktoś szedł przez korytarz. Crane usłyszał jakieś głosy i kroki.

Spojrzał na Hui. Jej oczy rozszerzyły się z przerażenia. Wskazał magazynek.

- Tam - szepnął. - Szybko.

Hui pobiegła do magazynku, otworzyła drzwi i wślizgnęła się do środka. Crane szybko zgasił światło i możliwie szybko poszedł w jej ślady. W ostatniej chwili się zatrzymał, wyszedł z magazynku do laboratorium i zdjął z haka płachtę gaśniczą.

Kroki słyhać było coraz bliżej.

Crane nakrył płachtą stół laboratoryjny. Starał się rozłożyć ją równo, tak aby nie widać było komputerów i innych urządzeń. Po kilku sekundach pobiegł do magazynku. Gdy zamykał drzwi, usłyszał zgrzyt klamki. Chwilę później ktoś otworzył drzwi laboratorium.

Crane wyglądał przez kratkę wentylacyjną. W drzwiach stało dwóch żołnierzy. Światło z korytarza podkreślało ich sylwetki.

Jeden włączył światło. Crane odchylił się, tak aby jego twarz pozostawała w ciemnościach. Czuł na karku pośpieszny oddech Hui.

Usłyszeli odgłosy kroków. Żołnierze weszli do laboratorium. Znowu zapadła cisza.

Powoli, bardzo powoli, Crane pochylił się naprzód, żeby znowu wyjrzeć przez kratkę. Żołnierze stali przy stole i rozglądali się po pokoju.

- Nikogo tu nie ma - powiedział jeden z nich. - Sprawdźmy następne laboratorium.

- Chwileczkę - odpowiedział jego kolega. - Chcę najpierw coś sprawdzić. - Żołnierz zdecydowanym krokiem ruszył w kierunku magazynku.

43

Crane skulił się w ciemnościach, a stojąca za nim Hui wstrzymała oddech. Chwycił jej dłoń i lekko ucisnął.

Cienkie promienie światła przedostające się przez kratkę znikły, bo zbliżający się żołnierz zasłonił lampę. Crane słyszał jego kroki tuż przy drzwiach.

Nagle pisnęło radio. Usłyszeli jakiś ruch i trzask włącznika.

- Barbosa - odezwał się żołnierz do mikrofonu. Słyszeli jego głos tak wyraźnie, jakby stał w magazynku. - Tak jest, panie komandorze - powiedział po chwili i zakończył rozmowę.

- Chodźmy - rzucił do kolegi.

- Kto to był? - spytał żołnierz stojący przy stole.

- Korolis. Widzieli ją.

- Gdzie?

- W sortowni śmieci. Chodź, idziemy stąd.

Crane i Hui usłyszeli oddalające się kroki i trzask drzwi. Crane uświadomił sobie, że wstrzymał oddech. Gwałtownie odetchnął i puścił rękę Hui.

- Poszli sobie - powiedział.

Hui spojrzała na niego szeroko otwartymi, lśniącymi oczami. W milczeniu kiwnęła głową.

Przez następne pięć minut oboje milczeli. Crane czuł, że serce powoli wraca do normalnego rytmu. W końcu łożył rękę na klamce i cicho otworzył drzwi magazynku, y/ciąż miał nogi jak z waty, ale zrobił kilka kroków, podszedł do ściany i włączył światło.

Hui podeszła do stołu laboratoryjnego i zdjęła płachtę z komputerów i instrumentów. Jej ruchy były powolne i mechaniczne.

- Co teraz? - spytała.

Crane zmusił się do skupienia myśli.

- Pracujemy dalej.

- Co mamy jeszcze zrobić? Przejrzelismy wszystkie odczytane wiadomości. Nie ma w nich nic poza niemożliwymi wyrażeniami matematycznymi.

- A co z tym plikiem *initial.txt*! To ten długi sygnał nadawany spod Moho. Jesteś pewna, że na dysku nie ma przekładu?

- Absolutnie - potwierdziła Hui. - Jak powiedziałaś, Asher widocznie skoncentrował się na krótszych wiadomościach nadawanych przez żetony.

Crane zastanawiał się przez chwilę. Spojrzał na komputer.

- Co on mógł odkryć? - powiedział niemal do siebie. - Gdy zadzwonił do mnie z komory hiperbarycznej, był wyjątkowo podekscytowany. Coś musi się znajdować na tym dysku. - Znowu zwrócił się od Hui. - Czy dasz radę odtworzyć jego ostatnie kroki?

- O co ci chodzi?

- O sprawdzenie, kiedy powstały wszystkie pliki, i stwierdzenie, co Asher robił, nim do mnie zadzwonił.

- Oczywiście. Mogę uporządkować wszystkie pliki według godziny i daty powstania. - Hui otworzyła program do poszukiwania zbiorów i wpisała odpowiednią instrukcję. Pracowała coraz szybciej. Stopniowo wracała do siebie.

- Pracował głównie z plikami z folderu „dekryptaż” - Hui wskazała odpowiednią informację na ekranie. - Jednak przez ostatnie piętnaście minut działania laptopa, Asher surfował po sieci.

- Naprawdę?

- Tak. - Hui pokiwała głową. - Zaraz otworzę przeglądarkę i sprawdzę, czego szukał. - Znowu zastukały klawisze. Crane potarł brodę. „Połączymy się z siecią bezprzewodowo”, powiedział Asher do Marrisa tuż przed wejściem do komory. Niewątpliwie mieli dostęp do Internetu. Ale do czego im to było potrzebne?

- To lista stron, które odwiedził - powiedziała Hui. Odsunęła się na bok, żeby Crane mógł się przyjrzeć.

Crane pochylił się nad ekranem. Lista zawierała kilkanaście stron z oschłymi, rządowymi nazwami.

- Sporo stron Agencji Ochrony Środowiska - mruknął. - Komisja do spraw Energii Atomowej. Projekt góra Ocotillo.

- Lista jest ułożona chronologicznie - wtrąciła Hui. - Na dole są ostatnie strony, jakie odwiedził.

Crane spojrzał na dół listy.

- Departament Energii. Zakład Pilotażowy Izolacji Odpadów. To ostatnia.

Crane patrzył na ekran. Nagle coś zrozumiał.

- Och Boże! - westchnął. Fala zrozumienia rozchodziła się niczym gorąca magma.

- Co takiego? - spytała Hui.

- Czy stąd można podłączyć się do sieci? Muszę mieć dostęp do Internetu.

Hui bez słowa wyjęła kabel z przybornika i podłączyła laptop do sieci stacji. Crane wjechał myszą na ostatnią pozycję na liście i nacisnął dwukrotnie przycisk. Po chwili otworzyło się nowe okienko z rządową stroną, gęsto wypełnioną tekstem. Na górze widać było pieczęć Departamentu Energii i tytuł:

WIPP - Waste Isolation Pilot Plant Carlsbad, New Mexico

- Wipp - powiedziała cicho Hui.

- Asher mówił wipp, nie whip. Miał na myśli Waste Isolation Pilot Plant. Zakład Pilotażowy Izolacji Odpadów.

- Co to takiego?

- Potężne hale wykute w osadach soli głęboko pod pustynią Chihuahua w Nowym Meksyku. Ćwierć miliona metrów sześciennych podziemnych magazynów w zupełnej gęstości, pierwszy państwowy skład odpadów transuranowych.

- Jakich?

- Odpadów promieniotwórczych. Produktów ubocznych zimnej wojny i wyścigu zbrojeń jądrowych. Od narzędzi i kombinezonów ochronnych do starych akumulatorów z satelitów. Wszystko świeci wskutek skażenia plutonem i innymi pierwiastkami cięższymi od uranu. Teraz to świństwo jest składowane w różnych miejscach w całym kraju. Zgodnie z nowym planem odpady mają zostać umieszczone w jednym centralnym składzie głęboko pod pustynią. - Crane spojrzął na nią. - Góra Ocotillo to ściśle tajny ośrodek w południowo-wschodniej Kalifornii, geologiczny magazyn zużytego paliwa jądrowego i wycofanych z uzbrojenia głowic jądrowych.

Crane znowu popatrzył na ekran.

- Brałem udział w konferencji na temat zagrożeń związanych z magazynowaniem zużytego paliwa i starej broni. To poważny problem, gdzie zwalić coś tak śmiertelnie groźnego. Dlatego stworzone składy takie jak Ocotillo i Carlsbad. Jaki to jednak ma związek z *Głębokim Sztormem*? O co chodziło Asherowi?

Oboje milczeli.

- Czy powiedział coś jeszcze? - spytała Hui. - Wtedy, gdy zadzwonił do ciebie.

Crane przez chwilę przypominał sobie rozmowę.

- Powiedział, że jest konieczne, absolutnie konieczne, żebyśmy nie... i w tym momencie połączenie zostało przerwane.

- Żebyśmy nie robili czego? Nie kopali dalej?

- Nie jestem pewny. Nigdy się nad tym dłużej nie zastanawiałem.

W tym momencie Crane nagle zrozumiał. Poczłł niemal fizyczne uczucie, mieszaninę triumfu i strachu.

- Och Boże - westchnął znowu.

- Co tym razem?

- Zakład Pilotażowy Izolacji Odpadów? Ocotillo? - wykrzyknął. - To właśnie znajduje się pod nami.

- Chyba nie myślisz... - Hui mocno przybladła.

- Właśnie tak. Przez cały czas przyjmowaliśmy, że dobroduszną, ojcowską rasę kosmitów umieściła pod ziemią jakieś cudowne urządzenie, żeby ludzkość je odkryła, gdy już będzie umiała je docenić. To zupełnie coś innego. W rzeczywistości Ziemia została wykorzystana jako skład starej broni lub odpadów toksycznych. I to niewyobrażalnie groźnych, jeśli wziąć pod uwagę, jak wysoki poziom techniczny osiągnęli już nasi przyjaciele z Cygnus Major.

- To chciał powiedzieć ci Asher?

- Na pewno. Nie ma innego wyjaśnienia. Ten skład pod nieciągłością Moho, do którego Spartan usiłuje się dokopać, to bomba z czasowym zapalnikiem.

Crane przerwał.

- Pamiętam dyskusję na konferencji, o której ci wspomniałem. Znalezienie miejsca na składowanie odpadów promieniotwórczych lub starych głowic jądrowych to tylko część problemu. Największym jest to, że to świństwo będzie promieniować dłużej, niż trwa cała dotychczasowa historia ludzkości. Jak mamy ostrzec kogoś, kto będzie żył tam za dziesięć tysięcy lat, żeby lepiej trzymał się z dala od Carlsbadu i góry Ocotillo? Znana nam cywilizacja ulegnie do tej pory całkowitej przemianie. Dlatego Departament Energii rozmieszcza wokół składów, jak to określa, „bierne środki kontroli”.

- Czyli znaki ostrzegawcze.

- Tak. Wymyślili różne znaki. Rysunki, symbole, napisy. Chodzi o to, żeby ostrzec naszych potomków, że to niebezpieczne miejsce, które zostało odizolowane z dobrych powodów. Specjaliści rozważali również rozmaite aktywne środki.

- Skąd jednak możesz mieć pewność, że to, co jest pod nami, rzeczywiście jest niebezpieczne? - Hui nie była jeszcze przekonana.

- Nie rozumiesz? Ci strażnicy, na których natrafiliśmy, służą właśnie do tego celu. To „bierne środki kontroli”. Nadawane wiadomości to ostrzeżenia.

- Przecież to tylko matematyczne wzory.

- Ale zastanów się, jaki charakter mają te wyrażenia. Wszystkie są niemożliwe. Gdy Asher odczytał pierwszą wiadomość i uważał, że się pomylił, wiesz, co wtedy powiedział? „Dzielenie przez zero jest zakazane przez prawa obowiązujące w całym wszechświecie”. To kluczowe słowo: zakazane. Wszystkie wyrażenia zawarte w tych wiadomościach - zero do zerowej potęgi, logarytm z zera - są zakazane.

- Ponieważ ich nadawca nie mógł sformułować ostrzeżenia w normalnym języku.

- Właśnie. Różne gatunki posługują się różnymi językami, natomiast prawa matematyczne są uniwersalne. - Crane pokręcił głową. - Pomyśleć tylko o tej gadaninie Flyte'a o niewymiernych liczbach. Był bliższy prawdy, niż sam wiedział.

- Kto?

- Nieważne - odpowiedział i krótko się zaśmiał. Hui przez chwilę nad czymś myślała.

- Dlaczego zaczęli od jednego wyrażenia, a potem zaczęli nadawać tysiące innych?

- Może uznali, że dzielenie przez zero jest najprostsze, a zatem najbardziej przekonujące. - Crane wzruszył ramionami. - A może moje dotknięcie zainicjowało jakiś proces w strażniku. Możliwe również, że skoro nie przerwaliśmy kopania szybu, to urządzenia te zorientowały się, iż wiadomość do nas nie dotarła i trzeba sformułować ją wyraźniej.

Crane zrobił krok w kierunku drzwi. Nagle poczuł, że musi jak najszybciej przystąpić do działania. Z każdą minutą zbliżali się do zagłady.

- Dokąd idziesz? - spytała Hui.

- Masz przed sobą faceta, do którego w końcu dotarła ta wiadomość.

Na jej twarzy znowu odmalował się strach.

- A co ze mną? Dokąd ja mam pójść?

- Zostań tutaj. Jesteś tu pewnie bezpieczniejsza niż gdzie indziej, bo tu już szukali. -

Crane uściskał jej rękę. Chciał ją uspokoić. - Niedługo po ciebie wrócę.

Hui wzięła głęboki oddech. Z trudem panowała nad sobą.

- Dobrze. Może przez ten czas przyjrzę się pierwszemu sygnałowi. Temu, którego Asher nie odczytał.

- Doskonały pomysł. - Crane uśmiechnął się. Zbliżył się do drzwi, przez chwilę nadśluchiwał, czy na korytarzu jest pusto, po czym szybko wyszedł.

44

Admirał Spartan w milczeniu przyglądał się Crane'owi. Stali w spokojnym kącie galerii obserwacyjnej. Półmrok rozpraszało tylko światło z hangaru, jakie docierało przez okno galerii. Nie było jednak wystarczające, żeby Crane mógł zobaczyć wyraz twarzy admirała.

Crane spojrział przez ramię na techników i inżynierów siedzących na swoich stanowiskach. W hangarze na dole zespół robotników w pomarańczowych kombinezonach przygotował Bilę Dwa do zanurzenia. Nawet stojąc tutaj, wyczuwał pełne oczekiwania napięcie, jakie panowało w całym zespole: od Moho dzieliły ich już tylko dni, może nawet godziny pracy. Każde następne zanurzenie mogło przynieść przełom.

Crane znowu skupił wzrok na Spartanie.

Miał wrażenie, że admirał obudził się po długiej kontemplacji. Splótł ręce na plecach.

- Chciałbym upewnić się, czy wszystko dobrze zrozumiałem. Wszystkie problemy medyczne - tajemnicze choroby, zaburzenia psychiczne - są skutkiem jakiegoś sygnału?

- Tak. Takiego samego sygnału cyfrowego, jaki nadają strażnicy, korzystając z fal elektromagnetycznych, a w szczególności z fal świetlnych. Sygnał ten jest jednak emitowany w taki sposób, że nie potrafimy go bezpośrednio odebrać. Indukuje on natomiast patologiczne fale theta w mózgu. Widzi pan, admirale, procesy zachodzące w mózgu oparte są na procesach elektrycznych - wyjaśnił Crane. - Zaburzenia elektromagnetyczne wpływają na działanie autonomicznego układu nerwowego. Może to spowodować nudności, zaburzenia wzroku, zaburzenia rytmu serca, wszystkie problemy neurologiczne, na jakie skarżyli się nasi pacjenci. Mogą również zakłócić działanie płatów czołowych mózgu, co wyjaśnia kłopoty z pamięcią, koncentracją, zmiany osobowości, a nawet psychozę.

- Jak możemy przeciwdziałać? Jak zniwelować działanie sygnału?

- Jak obronić się przed skutkami sygnału? Przecież nawet nie potrafimy go wykryć, a co dopiero wytwarzać. Możemy tylko go unikać, nie ma innej metody. Trzeba przerwać wiercenie szybu, wyprowadzić ludzi na powierzchnię, daleko od źródła.

Spartan odrzucił tę sugestię jednym ruchem głowy.

- W tych sygnałach są zakodowane wzory matematyczne, tak?

- Asher odszyfrował kilka wiadomości. Wszystkie zawierają niemożliwe wyrażenia matematyczne.

- Twierdzi pan, że to jakieś ostrzeżenie.

- Takie wyrażenia są zakazane na mocy powszechnie obowiązujących praw matematycznych. Czy jest lepszy sposób na zasygnalizowanie niebezpieczeństwa, gdy nie można skorzystać ze zwykłego języka?

- Lepszy sposób, doktorze? Ostrzeżenie mogłoby być wyraźniej sformułowane. Bardziej bezpośrednie.

Crane dosłyszał w jego głosie wyraźny sceptycyzm.

- Ci, którzy umieścili ten obiekt poniżej Moho i skonstruowali strażników, niewątpliwie ogromnie górują nad nami pod względem poziomu techniki. Niewykluczone, że nadają, jak to pan określił, wyraźniej sformułowane ostrzeżenia, ale my nie potrafimy ich odebrać.

- My zaś jesteśmy dumnymi właścicielami międzygwiazdowego składu trujących odpadów lub broni, jaka pozostała po wyścigu zbrojeń kosmitów. - Spartan zacisnął usta.

Crane nic nie odpowiedział. Milczenie się przeciągało. Słyszał szmer odległych rozmów i stukanie klawiatur. W końcu Spartan powoli wypuścił powietrze.

- Przykro mi, doktorze, ale to wszystko nie brzmi dla mnie przekonująco. W istocie zaczynam się zastanawiać, czy w pana mózgu nie pojawiły się maksima fal delta. Kosmiczna cywilizacja wykorzystuje Ziemię jako skład odpadów, a następnie ostrzega nas specjalnymi sygnałami.

- Nie, nie nas. My nic ich nie obchodzimy, czego najlepszym dowodem jest niezwykle gwałtowna metoda utworzenia tego składu. Dla nich jesteśmy jakimiś insektami. Cywilizacja, która tego dokonała, istnieje w środowisku zawierającym duże ilości kwasu siarkowego i metanu. Tlen i wodór to dla nich zapewne substancje toksyczne. Nie troszczą się o nas. Ziemia jest dla nich zupełnie bezużyteczną, niewielką planetą, a my jesteśmy istotami zbyt prymitywnymi, żeby poświęcać nam uwagę. Odkryliśmy te sygnały zupełnie przypadkowo. Oni myślą o znacznie bardziej rozwiniętych cywilizacjach. Ostrzegają innych kosmitów, żeby nie zbliżali się do Ziemi.

Spartan nic nie odpowiedział. Crane po chwili ciężko westchnął.

- Ma pan rację, to nie brzmi przekonująco. Jest tylko jeden sposób, żeby uzyskać niezbity dowód: trzeba przebić Moho. Całkowicie analogicznie można jednak powiedzieć, że poszlaki wskazujące, iż granat jest niebezpieczny, nie są przekonujące, a żeby się przekonać, trzeba wyciągnąć zawleczkę.

Spartan w dalszym ciągu milczał.

- Proszę posłuchać - kontynuował Crane z gorączkowym naciskiem. - Nie wiem, oczywiście, co się tam znajduje. Wiem tylko, że jest to niewyobrażalnie niebezpieczne. Czy

warto narażać całą Ziemię, żeby się dowiedzieć, co tam ukryto? Nie można wykluczyć, że stawka jest taka wysoka.

- Czy jest pan o tym przekonany? - Spartan wreszcie zareagował.

- Stawiam własną głowę.

- Czy jest pan równie pewny tego, że ktoś celowo spróbował wymazać dane z twardego dysku Ashera?

Crane pokiwał głową.

- Pańskie talenty wykraczają poza dziedzinę nauk medycznych. Czy pan sam odzyskał dane?

- Ktoś mi pomógł - przyznał Crane po chwili wahania.

- Rozumiem. - Admirał spojrział na niego uważnie. Z jego kamiennej twarzy nie można było niczego odczytać. - Czy może wie pan, gdzie jest Hui Ping?

- Nie wiem - odpowiedział Crane neutralnym tonem.

- Dobrze. Dziękuję, doktorze. Crane zamrugął.

- Przepraszam?

- Może pan odejść. Jestem dość zajęty.

- Przecież wszystko, co panu powiedziałem...

- Wezmę to pod uwagę.

Crane spojrział na niego z niedowierzaniem.

- Weźmie pan to pod uwagę? Jeszcze jedna zmiana, może dwie, i będzie za późno, żeby cokolwiek wziąć pod uwagę. - Przerwał na chwilę. - Admirale. Tu chodzi o coś więcej niż tylko wykonanie pańskiego zadania, stwierdzenie, co jest tam na dole. Chodzi o życie wszystkich ludzi na pokładzie stacji. Jest pan za nich odpowiedzialny. Nawet jeśli wydaje się panu mało prawdopodobne, żebym miał rację, ma pan obowiązek zbadać przedstawione przeze mnie fakty. Ryzyko jest po prostu za duże, żeby postępować inaczej.

- Może pan odejść, doktorze.

- Wykonałem swoje zadanie, wyjaśniłem zagadkę. Teraz niech pan zrobi to, co do pana należy! Niech pan przerwie to szaleństwo, uratuje stację, bo inaczej...

Crane uświadomił sobie, że podniósł głos. Ludzie zaczęli spoglądać w ich stronę. Zamilkł.

- Bo inaczej co? - odrzekł Spartan jedwabistym głosem. Crane nic nie odpowiedział.

- Cieszę się, że wykonał pan swoje zadanie. Teraz proponuję, żeby dobrowolnie opuścił pan kompleks wiertniczy, nim polecę pana wyprowadzić.

Crane stał nieruchomo, jakby wrósł w podłogę. Z trudem opanował gniew. W końcu obrócił się na pięcie i wyszedł z galerii obserwacyjnej.

45

Michele Bishop siedziała przy biurku w swoim starannie uporządkowanym gabinecie. Przyglądała się uważnie zdjęciu rentgenowskiemu wyświetlonemu na ekranie monitora. Ciemnoblond włosy spadały jej na oczy, a brodę lekko wsparła na dłoni z elegancko polakierowanymi paznokciami. W klinice było zupełnie cicho.

Ciszę przerwał nagle ostry dzwonek telefonu stojącego kilkanaście centymetrów od niej. Bishop nerwowo drgnęła, po czym sięgnęła po słuchawkę.

- Klinika, mówi Bishop.

- Michele? Tu Peter.

- Doktor Crane? - upewniła się, marszcząc brwi. Głos brzmiał podobnie, ale Peter zwykle mówił flegmatycznie, niemal ospale, teraz zaś śpieszył się i dyszał. Nacisnęła guzik z boku monitora i wyprostowała się na krześle. Po chwili ekran stał się czarny.

- Jestem w ambulatorium na czwartym poziomie. Potrzebuję twojej pomocy, i to bardzo.

- Słucham.

- Dobrze się czujesz? - spytał Crane po chwili milczenia. - Brzmisz, jakbyś była czymś zajęta.

- Nic mi nie jest - zapewniła go Bishop.

- Mamy do czynienia z poważnym kryzysem - powiedział i urwał, tym razem na dłużej. - Słuchaj. Nie mogę ci wszystkiego wyjaśnić. To coś na dzień to nie jest jednak Atlantyda.

- Tyle sama odgadłam.

- Odkryłem, że ten obiekt, do którego dążymy, jest niesłychanie groźny.

- Co to takiego?

- Nie mogę ci tego powiedzieć, jeszcze nie w tej chwili. Nie ma czasu do stracenia. Tak czy inaczej musimy przekonać Spartana, żeby przerwał drażnienie szybu. Oto, co chciałbym, żebyś zrobiła. Zbierz paru uczonych i inżynierów - tych, których dobrze znasz. Rozsądnych cywilów. Ludzi, którym możesz zaufać i mających stosunki. Przychodzi ci ktoś do głowy?

Bishop zastanowiła się chwilę.

- Tak. Gene Vanderbilt, szef badań oceanograficznych. No i tutaj, w klinice, mamy...

- Świetnie - przerwał jej Peter. - Zadzwoń do mnie na komórkę, gdy ich zbierzesz. Przyjdę i wszystko wyjaśnię.

- Co się dzieje, Peter? - spytała.

- Odkryłem przyczynę chorób. Powiedziałem Spartanowi, ale on nie słucha. Wyjaśnię ci to dokładniej, gdy wszyscy się zbierzemy. Jeśli nie zdołamy przekonać Spartana, będziemy musieli skontaktować się z wyższymi władzami na powierzchni, powiedzieć im, co się tu dzieje, i nakłonić ich, żeby wydali odpowiednie rozkazy. Możesz to zrobić?

Bishop nic nie odpowiedziała.

- Michele, posłuchaj mnie. Wiem, że nie we wszystkich sprawach zgadzaliśmy się ze sobą, ale teraz mówimy o bezpieczeństwie całej stacji, a może nie tylko stacji. Po śmierci Ashera potrzebuję pomocy jego ludzi, tych, którzy wierzyli w niego i jego zasady. Ludziom Spartana niewiele już brakuje do osiągnięcia celu, to kwestia dni lub nawet godzin. Jesteśmy lekarzami, składaliśmy przysięgę. Musimy zadbać, żeby ludziom powierzonym naszej opiece nie stało się nic złego, a w każdym razie zrobić wszystko, co leży w naszej mocy. Pomożesz mi?

- Tak - wymamrotała Bishop.

- Ile czasu potrzebujesz?

Bishop namyślała się, nerwowo rozglądając się po pokoju.

- Niedługo. Kwadrans, może pół godziny.

- Wiedziałem, że dasz się przekonać. Bishop przygryzła wargę.

- Spartan nie chce przerwać wiercenia szybu?

- Znasz go. Zrobiłem, co mogłem, żeby go przekonać.

- Jeśli sam nie zmieni zdania, nikt nie zdoła go do tego namówić.

- Musimy spróbować. Zadzwonisz do mnie, zgoda?

- Dobrze.

- Dzięki, Michele. - Crane odłożył słuchawkę.

W pokoju znowu zapanowała cisza. Bishop siedziała bez ruchu na krześle, wpatrując się w słuchawkę telefonu. Po mniej więcej sześćdziesięciu sekundach odłożyła ją na widełki z zamyślonym, niemal zrezygnowanym wyrazem twarzy.

46

Jak na standardy stacji apartament admirała Spartana na jedenastym poziomie był stosunkowo przestronny, a wydawał się jeszcze większy z powodu minimalistycznego umeblowania. Gabinet, sypialnia, pokój konferencyjny miały surowy, wojskowy wystrój.

Zamiast obrazów na ścianach wisiały oprawione dyplomy uznania. Obok politurowanego biurka stała amerykańska flaga. W gabinecie była tylko jedna półka na książki - stały na niej regulaminy marynarki wojennej oraz opracowania dotyczące taktyki i strategii. Jedyne osobiste szczegóły dające pewien wgląd w duszę admirała, były przekłady starych tekstów wojskowych i historycznych - między innymi *Roczniki* i *Dzieje* Tacyta, *Strategikon* cesarza Maurycego i *Wojna peloponeska* Tukidydesa.

Korolis widział to wszystko już wiele razy. Dobrym okiem rozejrzał się po gabinecie, natomiast drugie błędziło we mgle krótkowzroczności. Zamknął za sobą drzwi i zrobił dwa kroki naprzód.

Admirał stał pośrodku gabinetu, plecami do Korolisa. Słyszając trzask drzwi, odwrócił się twarzą do wejścia. Teraz Korolis zatrzymał się zupełnie zaskoczony. Nad ramieniem Spartan dostrzegł jeden z żetonów-strażników, które znaleźli w szybie. Żeton spokojnie wisiał w środku pokoju, a smuga światła sięgała do metalowych przewodów wentylacyjnych na suficie. Admirał najwyraźniej badał jego działanie.

Korolis pomyślał, że chyba nie powinien się dziwić. Od dwóch dni admirał zachowywał się dość dziwnie. Normalnie Spartan akceptował jego rekomendacje niemal automatycznie, bez dyskusji, natomiast ostatnio odrzucał jego sugestie, a nawet kazał mu się tłumaczyć. Jak w tej sprawie aresztowania Ping. Zmiana nastąpiła chyba po tej sprawie Bili Jeden. A może admirał również zachorował...

Korolis nie chciał wyciągnąć logicznego wniosku z tego przypuszczenia.

- Proszę, niech pan siada - powiedział Spartan, wskazując mu krzesło.

Korolis przeszedł przez pokój, nie patrząc na lewitujący żeton i usiadł na krześle przed dużym biurkiem admirała. Spartan obszedł biurko i spoczął na skórzanym fotelu.

- Praca posuwa się naprzód zgodnie z harmonogramem - powiedział Korolis. - W istocie nawet wyprzedziliśmy harmonogram. Po wprowadzeniu nowych procedur nie było żadnych, hm, incydentów. Nowe reguły, zwłaszcza sprawdzanie sum kontrolnych, spowalniają nieco drażnienie szybu, ale nie mamy problemów z ksenolitami w osadach, co z nadwyżką zrekompensowało opóźnienia...

Spartan uniósł rękę, przerywając mu w połowie zdania.

- Wystarczy, komandorze.

Korolis znowu się zdziwił. Był przekonany, że admirał wezwał go, aby złożył raport o postępach w pracy. Wziął z biurka metalowy przycisk do papieru - dużą metalową knagę z fregaty *Figilant* z czasów wojny o niepodległość - i zaczął się nim bawić, żeby ukryć zmieszanie.

Przez chwilę obaj milczeli. Spartan odgarnął do tyłu swoje stalowoszare włosy.

- Kiedy Bila Dwa ma wrócić z szybu? Korolis odstawił przycisk i spojrzał na zegarek.

- Za dziewięćdziesiąt minut.

- Proszę przeprowadzić wszystkie normalne operacje po zakończeniu zmiany, a następnie odstawić Bilę Dwa. Proszę również poinformować załogę Bili Trzy, że jest wolna do czasu otrzymania innego rozkazu.

- Nie jestem pewny, czy dobrze pana zrozumiałem - odrzekł Korolis, marszcząc brwi.

- Załoga Bili Trzy jest wolna?

- Tak.

- Jak długo?

- Nie mogę na to jeszcze odpowiedzieć.

- Co się stało? Czy otrzymał pan jakiś rozkaz z Pentagonu?

- Nie.

Korolis oblizał wargi.

- Proszę wybaczyć, panie admirale, ale jeśli mam przerwać drażnienie szybu, chciałbym poznać jakieś wyjaśnienie.

Spartan przez chwilę zastanawiał się nad tym żądaniem.

- Odwiedził mnie doktor Crane - powiedział.

- Crane, panie admirale?

- Crane twierdzi, że zidentyfikował przyczynę problemów medycznych.

- Tak?

- Ma to związek z sygnałami emitowanymi przez anomalię. Gdy przygotuje raport, poznamy wszystkie szczegóły.

- Obawiam się, że nie rozumiem - rzekł Korolis. - Nawet jeśli Crane ma rację, jaki jest związek między przyczyną chorób a kontynuowaniem pracy?

- Prowadząc swoje badania, Crane dokonał jeszcze jednego odkrycia. Odszyfrował nadawane wiadomości.

- Odszyfrował wiadomości - powtórzył Korolis.

- Jego zdaniem są to ostrzeżenia.

- To samo twierdził Asher. Crane jest tylko jego chłopcem na posyłki. Nigdy nie mieli żadnych dowodów.

Spartan spojrzał na niego badawczo.

- Może teraz już ma. Interesujące, że wspomniał pan o Asherze. Jak się okazało, Crane dokonał swego odkrycia, korzystając z danych zapisanych na laptopie Ashera.

- To niemożliwe! - wykrzyknął Korolis nim zdołał się opanować.

- Doprawdy? - spytał łagodnie Spartan. - A dlaczego?

- Bo... bo komputer został uszkodzony podczas pożaru. W żadnym razie nie nadaje się do użytku.

- Przyczyną uszkodzenia nie był tylko ogień. Według Crane'a ktoś celowo rozmagnesował twardy dysk. - Admirał wciąż uważnie przyglądał się Korolisowi. - Czy panu coś o tym wiadomo?

- Nic o tym nie wiem, to chyba oczywiste. W każdym razie wydaje mi się niemożliwe, żeby Crane zdołał odczytać dane z dysku. Komputer był spalony i zniszczony.

- Ktoś mu pomógł.

- Kto?

- Nie chciał powiedzieć.

- Moim zdaniem to bzdury. Skąd pan wie, że on tego wszystkiego nie wymyślił?

- Gdyby taki był jego zamiar, nie zwlekałby tak długo. Poza tym nie widzę żadnego powodu, dlaczego miałyby to robić. Co więcej, jego odkrycia są niepokojąco spójne.

Korolis uświadomił sobie, że szybko dyszy. Poczul nieprzyjemny, chłodny dreszcz, a chwilę później ogarnęła go fala gorąca. Z czoła spływały mu krople potu. Pochylił się do przodu.

- Panie admirale, proszę o ponowne rozważenie tej decyzji. Od Moho dzieli nas pewnie już tylko jedna zmiana, może dwie.

- Tym więcej mamy powodów, żeby zachować ostrożność, komandorze.

- Panie admirale, jesteśmy tak blisko. Nie możemy się zatrzymać.

- Widział pan, jaki los spotkał Białą Jeden. Potrzebowaliśmy osiemnastu miesięcy, żeby dotrzeć do punktu, w którym obecnie jesteśmy. Nie chcę ryzykować, że nasza praca pójdzie na marne. Dzień lub dwa dni zwłoki niczego nie zmieni.

- Panie admirale, liczy się każda godzina. Kto wie, czy inne państwa nie spiskują przeciw nam. Musimy jak najszybciej dotrzeć do celu i przejąć wszystko, co się tam znajduje, nim sabotażysta zaatakuje ponownie.

- Nie pozwolę, żeby jakieś pośpieszne i nieprzemyślane działania zagroziły powodzeniu całej akcji.

- Panie admirale! - krzyknął Korolis.

- Komandorze! - Spartan nieco uniósł głos, ale to całkowicie wystarczyło. Korolis zamilkł. Oddychał szybko i płytko.

Spartan zmierzył go ostrym wzrokiem.

- Źle pan wygląda - powiedział spokojnym tonem. - Zastanawiam się, czy nie dotknęła pana choroba, która rozprzestrzenia się na stacji.

Słyszając to przypuszczenie - jak na ironię tak bliskie jego wcześniejszym podejrzeniom w odniesieniu do Spartan - Korolis wpadł w gniew. Nikomu nie powiedział o prześladowających go ostatnio coraz silniejszych bólach głowy. Nie miał wątpliwości, że ich przyczyną był ciągły stres. Z całych sił zacisnął palce na poręczach krzesła.

- Niech mi pan wierzy, że zależy mi na dotarciu do anomalii nie mniej niż panu - kontynuował Spartan. - Sprowadziliśmy tu jednak doktora Crane'a z określonego powodu. Sam pomogłem go wybrać. Teraz nie mam innego wyjścia, jak wziąć pod uwagę jego odkrycia. Zamierzam zebrać zespół najlepszych wojskowych uczonych, żeby ocenili jego wnioski. Dalsze decyzje będą zależeć od ich opinii. Teraz proszę udać się do doktor Bishop w celu dokładnego...

Korolis zerwał się z krzesła. Częściowo bezwiednie, częściowo instynktownie chwycił ciężką knagę z biurka admirała i błyskawicznym ruchem uderzył Spartan w lewą skroń. Twarz admirała zszarzała, oczy uciekły w głąb czaszki, tak że widać był tylko białka. Po chwili Spartan zwał się z fotela na podłogę.

Korolis stał nad nim, ciężko dysząc, prawie minutę. Gdy się uspokoił, odstawił knagę na biurko i wygładził koszulę. Spojrzał na telefon. Zebrał myśli, po czym podniósł słuchawkę i wystukał numer.

- Woburn - usłyszał już po drugim dzwonku.

- Bosmanie.

- Panie komandorze! - Korolis niemal słyszał, jak dowódca komandosów stuknął obcasami.

- Admirał Spartan zachorował umysłowo. Nie jest sobą, dlatego ja przejmuję dowodzenie. Proszę postawić wartę przed jego apartamentem.

- Tak jest, panie komandorze.

- Proszę jak najszybciej zameldować się w kompleksie wiertniczym. Będę tam na pana czekał.

- Tak jest, panie komandorze.

Korolis odłożył słuchawkę telefonu. Przez chwilę rozglądał się z namysłem po gabinecie Spartan. Wreszcie wyszedł na korytarz i zamknął za sobą drzwi na klucz.

Robert Corbett siedział w gabinecie i notował obserwacje dotyczące pacjenta, który skarżył się na ataki paniki i agorafobie. Pracę przerwał mu telefon. Odłożył cyfrowy notatnik i podniósł słuchawkę.

- Doktor Corbett.

- Roger? Mówi Peter Crane.

- Cześć, Peter. Niech zgadnę. Moje chrapanie dotarło do ciebie przez łazienkę, prawda?

To miał być żart, ale Crane najwyraźniej nie był w nastroju.

- Czekam na telefon Michele. Może wiesz, gdzie ona jest?

- Nie. Nie widziałem jej już od dłuższego czasu.

- Miała do mnie zadzwonić trzy kwadranse temu. Dzwoniłem na jej komórkę, ale nie odpowiada. Trochę się niepokoję.

- Rozejrzę się. Mogę ci w czymś pomóc?

- Nie, dziękuję - odpowiedział Crane po chwili wahania. - Jeśli możesz, po prostu spróbuj ją znaleźć.

- Postaram się.

Corbett odłożył telefon, wstał od biurka i wyszedł na korytarz.

W poczekalni siedziały cztery osoby. Już to było czymś niezwykłym, gdyż Bishop sprawnie zarządzała kliniką, terminy wizyt były uzgadniane i zwykle nikt nie musiał czekać. Corbett zajrzał do dyżurnej pielęgniarki, gdzie siedział jego stażysta Bryce - bardzo poważny młody człowiek. W tej chwili wypełniał formularz zamówienia na artykuły medyczne.

- Może wiecie, gdzie jest doktor Bishop? - spytał Corbett.

- Przykro mi, ale nie. - Bryce pokręcił głową.

- Wyszła z kliniki jakąś godzinę temu - poinformowała go pielęgniarka.

- Czy powiedziała, dokąd idzie?

- Nie, doktorze.

Corbett z namysłem potarł szczękę. Przez chwilę stał i gapił się na poczekalnię. W końcu podjął decyzję. Wrócił do swojego gabinetu, otworzył spis telefonów w cyfrowym notatniku i odnalazł właściwy numer wewnętrzny. Sięgnął po telefon.

- Monitoring, mówi Wolverton - usłyszał jakiś szorstki głos.

- Mówi doktor Corbett z kliniki. Chciałbym prosić o zlokalizowanie doktor Michele Bishop.

- Poproszę hasło, doktorze.

Corbett podał hasło. Usłyszał stuk klawiszy. Po chwili Wolverton znowu się odezwał.

- W tej chwili przebywa w zakładzie kontroli środowiska na ósmym poziomie.

- W zakładzie kontroli środowiska? - powtórzył ze zdziwieniem Corbett.

- Czy ma pan jeszcze jakieś pytania, doktorze?

- Dziękuję, to wszystko. - Corbett odłożył słuchawkę. Wziął komórkę i wyszedł z gabinetu. Po drodze zatrzymał się przy dyżurce, powiedział Bryce'owi, że tymczasowo wszystkie sprawy będą na jego głowie, po czym wyszedł z kliniki.

Zakład kontroli środowiska stanowił prawdziwy labirynt kiepsko oświetlonych pomieszczeń na ósmym poziomie, gdzie zwykle nikogo nie było. Stały tu kompresory, piece, nawilzacze, klimatyzatory, filtry elektrostatyczne i inne urządzenia, dzięki którym atmosfera na stacji była taka, jak na powierzchni oraz wolna od zarazków. Mimo całej tej maszynerii w zakładzie panowała zaskakująca cisza. I to ona przygniatała Corbetta. Już otworzył usta, żeby zawołać Bishop, ale zrezygnował. Przechodził przez kolejne pomieszczenia, starając się nie robić hałasu.

Kolejną salę wypełniały przewody wentylacyjne i zamknięte w stalowych osłonach układy filtrów wznoszące się aż do sufitu. Było tu jeszcze ciemniej niż w poprzednich pomieszczeniach. Corbett lawirował powoli między rurami, rozglądając się na boki. A może Bishop już wyszła? Może Wolverton się pomylił i nigdy jej tu nie było? Po co miałyby tu przychodzić? Wydawało się to zupełnie nieprawdopodobne...

Nagle Corbett ją zauważył. Klęczała przy potężnej stalowej rurze, plecami do niego, całkowicie czymś pochłonięta. Przez chwilę myślał, że wykonuje masaż serca, ale zaraz się zorientował, że to, co uznał za ciało, w rzeczywistości było dużą, czarną torbą z nylonu. Zbliżył się do niej o krok. Dziwne. Bishop poruszała rękami tak, jakby rzeczywiście robiła masaż serca. Corbett zmarszczył brwi. Słyszał, jak Bishop ciężko sapie; widać to zajęcie wymagało sporego wysiłku.

Corbett zrobił jeszcze jeden krok. Teraz mógł zajrzeć jej przez ramię. Bishop ugniatała kostkę z materiału podobnego do gliny, starając się nadać jej postać wałka długości około pół metra.

Corbett dostrzegł dwa takie wałki przyklejone do stalowej rury.

Nim zdołał się opanować, głośno wciągnął powietrze. Bishop upuściła ciasto i zerwała się na nogi, odwracając do niego twarzą.

- Jesteś sabotażystką - powiedział Corbett, choć było to oczywiste. - To ty próbowałaś przeciąć kopułę.

Nozdrza Bishop rozszerzyły się, ale nic nie odpowiedziała. Corbett wiedział, że powinien coś zrobić - uciec, wezwać pomocy - ale stał oszołomiony, niemal sparaliżowany.

- Co to jest? Semteks? Bishop wciąż się nie odzywała.

Corbett gorączkowo myślał. Choć pracował z nią od wielu miesięcy, w istocie niewiele o niej wiedział. Wydawało mu się to jednak niemożliwe. To nieprawda, nieprawda. To jakieś nieporozumienie.

- Co ty robisz? - spytał.

- Myślę, że to chyba oczywiste - odrzekła wreszcie Bishop. - Ta rura to południowa szprycha ciśnieniowa.

Gdy Corbett usłyszał z jej ust potwierdzenie zdrady, przełamało to jego umysłową blokadę.

- Przecież szprycha jest wypełniona wodą - powiedział. - Wybuch spowoduje pęknięcie rury i zalanie całej stacji.

Corbett cofnął się o krok.

- Nie ruszaj się - nakazała mu Bishop. Coś w jej głosie sprawiło, że Corbett się zatrzymał.

- Dlaczego to robisz? - spytał, jednocześnie niedbałym ruchem splatając ręce na plecach.

Bishop nie odpowiedziała. Wydawało się, że zastanawia się nad następnym posunięciem.

Corbett ukradkiem wyjął telefon komórkowy z tylnej kieszeni spodni. Prawie się nie ruszając, wybrał kciukiem 1231 - numer wewnętrzny Bryce'a. Na szczęście numer był tak prosty, że nie musiał patrzeć na komórkę. Trudniejszym zadaniem było wyłączenie głosu, dlatego Corbett tylko zasłonił palcami głośnik.

- Po tej stronie bariery nie ma żadnych środków wybuchowych - powiedział. - Jak przeszmuglowałaś semteks na stację?

Z twarzy Bishop znikły wszelkie oznaki niepewności. Zaśmiała się ponuro.

- Wanną są przewożone różne nieprzyjemne substancje medyczne. Sam dobrze o tym wiesz. Strażnicy nie mają większej ochoty w nich grzebać. W ten sposób można przemycić różne rzeczy. Na przykład to. - Bishop włożyła rękę do kieszeni fartucha i wyciągnęła pistolet.

Corbett, wciąż oszołomiony i zaskoczony, patrzył na broń tak, jakby to był eksponat. Brzydki pistolet z dziwnym, lśniącem wykończeniem, krótką lufą i tłumikiem. Chciał już spytać, jak zdołała uniknąć detektorów metalu, ale patrząc na błyszczący zamek sam odgadł: pistolet był zrobiony z kompozytu ceramiczno-polimerowego. Kosztowna i nielegalna broń.

- Jeśli zatopisz stację, sama zginiesz - powiedział.

- Nastawiłam detonator na dziesięć minut. Gdy nastąpi wybuch, będę już na dwunastym poziomie, przy kapsule ewakuacyjnej.

- Michele, nie rób tego - błagał Corbett. - Nie zdradzaj ojczyzny. Nie wiem, dla jakiego kraju pracujesz, ale nie warto tego robić.

Twarz Bishop nagle spochmurniała.

- Dlaczego sądzisz, że pracuję dla rządu innego państwa? - spytała gniewnie. - Dlaczego uważasz, że w ogóle pracuję dla jakiegoś rządu?

- Ja... - Corbett urwał zaskoczony tym wybuchem.

- Nie można pozwolić, żeby to, co się tutaj znajduje, wpadło w ręce rządu Stanów Zjednoczonych. Ameryka już wielokrotnie dowiodła, że jeśli tylko może, nadużywa swojej potęgi. Skonstruowaliśmy bombę atomową i co zrobiliśmy? Już po kilku miesiącach zbombardowaliśmy dwa miasta.

- Nie możesz tego porównywać z...

- Jak myślisz, co zrobi Ameryka, gdy opanuje technologię wytwarzania urządzeń, które są tu ukryte? Stanom Zjednoczonym nie można powierzyć czegoś takiego.

- Technologie? - autentycznie zdziwił się Corbett. - O jakiej technologii ty mówisz?

Wybuch skończył się równie szybko, jak nastąpił. Bishop nic nie odpowiedziała, tylko gniewnie pokręciła głową. Nagle ciszę przerwał męski głos.

Teraz po raz pierwszy Corbett poczuł, jak żołądek kurczy mu się ze strachu. Zaaferowany gniewną rozmową zapomniał, że musi trzymać palce na głośniku telefonu komórkowego.

Twarz Bishop stwardniała.

- Pokaż ręce - rozkazała.

Corbett powoli unióśł ręce. W prawej trzymał telefon.

- Ty... - Bishop błyskawicznie uniosła pistolet, wycelowała w niego i wystrzeliła.

Wystrzał nie był głośniejszy od kichnięcia. Z lufy pistolem uleciało trochę dymu. Corbett poczuł w piersiach palące uderzenie. Jakaś siła rzuciła go na obudowę wentylatora. Przewrócił się na podłogę, kaszląc i charcząc. Nim ogarnęły go ciemności, zobaczył jeszcze, jak Bishop gniewnie rozgniała obcasem telefon, a następnie klęka i szybko przylepia do stalowej rury trzeci wałek semteksu.

48

Crane wszedł do windy i nacisnął guzik „1”. Nim jeszcze zamknęły się drzwi, już zaczął nerwowo kręcić się po kabinie.

Dlaczego Michele Bishop jeszcze nie zadzwoniła?

Od ich rozmowy minęło już półtorej godziny. Bishop zapowiedziała, że zgromadzenie naukowców nie zajmie jej więcej niż trzydzieści minut.

Czy coś się stało?

W końcu Crane miał dość czekania w ambulatorium. Postanowił jeszcze raz spróbować przekonać admirała Spartana. Musiał spróbować. Stawka była zbyt wysoka, żeby mógł zrezygnować z próby. Wszystko - nawet kłótnia - było lepsze od bezczynnego siedzenia.

W chwili gdy znowu otworzyły się drzwi windy, coś przyszło mu do głowy. Już na korytarzu wyciągnął z kieszeni komórkę i zadzwonił do centrali stacji.

- W czym mogę panu pomóc? - spytała recepcjonistka obojętnym głosem.

- Chciałbym skontaktować się z kimś o nazwisku Vanderbilt. Gene Vanderbilt z działu oceanograficznego. Nie mam w tej chwili dostępu do spisu numerów.

- Chwileczkę, już pana łączę.

Gdy Crane szedł przez pomalowany na czerwono korytarz, jego telefon kilka razy zapiszczał. W końcu usłyszał męski głos.

- Oceanografia, mówi Vanderbilt.

- Doktor Vanderbilt? Mówi Peter Crane.

Nastąpiła chwila milczenia. Crane zastanawiał się, czy Vanderbilt usiłuje sobie przypomnieć, skąd zna jego nazwisko.

- Doktor Crane, tak? Pan był człowiekiem Ashera.

- Zgadza się.

- Bardzo go nam brakuje.

- Czy Michele Bishop kontaktowała się z panem?

- Doktor Bishop? Nie, ostatnio z nią nie rozmawiałem.

- Nie? - Crane zatrzymał się w pół kroku. - Czy jest pan w swoim laboratorium?

- Tak. Od kilku godzin.

Crane znowu ruszył naprzód, ale szedł wolniej.

- Proszę posłuchać, doktorze. Stało się coś ważnego, ale nie mogę o tym mówić przez telefon. Potrzebuję pana pomocy, pana i innych najważniejszych uczonych.

- Co się stało? Czy to jakiś problem medyczny?

- W pewnym sensie. Przedstawię panu wszystkie szczegóły osobiście. Teraz mogę tylko powiedzieć, że sprawa dotyczy bezpieczeństwa całej stacji, a prawdopodobnie nie tylko stacji.

Znowu chwila ciszy.

- Dobrze. Co pan chce, żebym zrobił?

- Proszę jak najszybciej zebrać kilku kolegów, dbając przy tym o dyskrecję. Gdy ich pan ściągnie, proszę dać mi znać.

- To może chwilę potrwać. Niektórzy pracują w tajnej części stacji.

- Proszę jak najszybciej się z nimi skontaktować. Proszę ich uprzedzić, żeby nikomu nic nie mówili. Niech mi pan wierzy, to ma zasadnicze znaczenie. Wyjaśnię to, gdy się spotkamy.

- Dobrze, doktorze - powiedział powoli Vanderbilt, z wyraźnym namysłem. - Spróbuję zorganizować spotkanie w sali konferencyjnej na dwunastym poziomie.

- Proszę zadzwonić do innej komórki, jest w spisie telefonów. Natychmiast przyjdę na górę. - Crane wyłączył telefon i schował go do kieszeni fartucha. Jeśli Spartan zmieni zdanie, będę musiał wyjaśnić Vanderbiltowi, że problem został rozwiązany - pomyślał.

W końcu korytarza widać już było dwuskrzydłowe drzwi do kompleksu wiertniczego. Crane ze zdziwieniem zauważył, że zamiast żandarmów wejścia strzegło dwóch komandosów w czarnych mundurach, uzbrojonych w karabinki szturmowe M-16. Jeden z nich uniósł rękę, nakazując mu, żeby stanął. Starannie sprawdził jego identyfikator i usuwając się nieco w bok, otworzył drzwi.

W hangarze było pełno ludzi. Crane zatrzymał się tuż za progiem i rozejrzał się dokoła. W kilku strategicznych punktach stali żandarmi i komandosi. Wszędzie kręcili się technicy i mechanicy. Głównym centrum aktywności była Bili zawieszona na wysięgniku dźwigu. W pobliżu stało rusztowanie z laserowymi palnikami. Na widok tych przygotowań Crane spochmurniał.

W tym momencie zachrypiał głośnik. „Uwaga, do zanurzenia Bili Trzy pozostało dziesięć minut. Pracownicy kontroli zanurzenia, proszę zgłosić się na posterunki”.

Crane wziął głęboki oddech, po czym pomaszerował w kierunku Bili. W tłumie techników stali trzej członkowie załogi ubrani w charakterystyczne białe kombinezony. Crane dostrzegł pobrużdżoną twarz i siwe włosy doktora Flyte'a.

Na jego widok Flyte otworzył szeroko oczy. Odsunął się od grupy i podszedł do niego.

- Doktorze Flyte, dlaczego ma pan na sobie kombinezon członka załogi? - spytał Crane.

Flyte dziwnie na niego spozjrzał. Na jego ptasiej twarzy widać było wyraz zmęczenia. Był bardzo zdenerwowany.

- Wcale nie chciałem go wkładać. Wcale nie! Moja praca polega na naprawianiu ramienia, uczeniu innych jego tajemnic, nie zaś posługiwaniu się nim. „Bogowie olimpijscy są trudnymi przeciwnikami”. - Flyte spojrział ukradkiem za siebie i zniżył głos. - Ja muszę tu być, ale pan jest wolny. Musi pan uciec. Jak już powiedziałem, wszystko zostanie zniszczone.

- Muszę znaleźć... - zaczął Crane. Nagle urwał, bo zbliżył się do nich komandor Korolis. Ku wielkiemu zdziwieniu Crane’a komandor również miał na sobie biały kombinezon członka załogi.

- Proszę wrócić do Bili - polecił Flyte’owi, po czym spojrział na Crane’a.

- Co pan tu robi? - spytał.

- Szukam admirała Spartana.

- Admirał jest niedostępny. - Korolis przestał udawać uprzejmość. Wyraz jego twarzy i zachowanie sygnalizowały wrogość i podejrzliwość.

- Muszę z nim porozmawiać - powiedział Crane.

- To niemożliwe - prychnął Korolis.

- Dlaczego, komandorze?

- Admirał miał kryzys psychiczny. Ja przejąłem dowodzenie.

- Kryzys? - Czy to zatrzymało Bishop? Crane odrzucił to przypuszczenie równie szybko, jak przyszło mu do głowy. Gdyby dowódca stacji miał jakieś problemy ze zdrowiem, Corbett, Bishop lub któryś ze stażystów natychmiast by go o tym powiadomili.

Wynikał z tego oczywisty wniosek: nikt z pracowników kliniki nie został wezwany.

W głowie Crane’a zabrzmiały alarmowe dzwonki. Nagle zdał sobie sprawę, że znalazł się w niebezpieczeństwie.

„Uwaga! - rozległ się komunikat z głośnika. - Członkowie załogi Bili proszeni są o zajęcie miejsc. Zespół uszczelniający, proszę przygotować się do zamknięcia Bili i sprawdzenia szczelności kadłuba”.

- Niech pan tego nie robi! - Crane usłyszał własny głos.

- Czego mam nie robić? - Korolis zmarszczył brwi. Miał zaczerwienione oczy. Zwykle mówił cicho, ale teraz krzyczał i brakowało mu tchu.

- Niech pan przerwie drażnienie szybu!

- Panie komandorze! - zawołał pracownik stacji monitorującej.

- Słucham? - Korolis obrócił się do niego.

- Ktoś chce z panem rozmawiać. Bryce, stażysta z kliniki.

- Niech mu pan powie, że jestem zajęty.

- On twierdzi, że to sprawa najwyższej wagi...

- To - Korolis wskazał ręką Bilę - jest jedyną ważną sprawą w tej chwili!

- Tak jest, panie komandorze. - Pracownik odłożył słuchawkę i skupił się na wskazaniach aparatury pomiarowej.

- Dlaczego miałbym przerwać? - Korolis wrócił do rozmowy z Crane'em.

- To zbyt niebezpieczne. To szaleństwo.

Korolis zbliżył się do niego o krok. Na jego czole i bladych skroniach widać było krople potu.

- Słyszałem o pana teoriach. Wie pan, co ja myślę, doktorze? Myślę, że to pan jest niebezpieczny. Stanowi pan zagrożenie dla morale tutejszych pracowników, co zagraża powodzeniu naszej misji.

Korolis zmierzył go gniewnym wzrokiem. Nagle odwrócił się w stronę żandarmów.

- Hoskins! Menendez!- Tak jest! - Żołnierze stanęli na baczność.

- Ten człowiek jest aresztowany. - Korolis wskazał kciukiem Crane'a. - Gdy Bila już się zanurzy, odprowadźcie go do celi i postawcie przed nią wartownika.

Nim Crane zdążył zaprotestować, komandor odszedł do Bili Dwa. Doktor Flyte miał bardzo nieszczęśliwą minę, ale wraz z trzecim członkiem załogi już zniknął w srebrnej paszczy Bili.

49

Robert Corbett leżał na boku w rozszerzającej się kałuży ciepłej krwi, półprzytomny z bólu. Chwilami wydawało się, że śpi, chwilami, że jest już martwy, pogrążony w bezgranicznych ciemnościach zapomnienia. Myśli i uczucia przepływały przez jego świadomość, tak jakby nie miał nad nimi żadnej kontroli. Może minęła minuta, może dziesięć, nie potrafił tego określić. Jednego tylko był pewien: nie może zdradzić tej klęczącej kobiecie z pistoletem, że jeszcze żyje.

Czuł ostry ból, ale to pomagało mu pokonać ogarniające go potworne znużenie, które skłaniało go do pogrążenia się we śnie.

Gdy tak leżał, poczuł nagły żal. Umówił się na trzecią z pacjentką. Pewnie już na niego czeka, stuka obcasem o podłogę i spogląda na zegarek. Miała zaburzenia osobowości, ale jej stan bardzo się poprawił. Jaka szkoda, że już nie będzie jej leczył...

Znowu osłabł i poddał się ponurym rojeniom. Wydawało mu się, że jest nurkiem, który zanurzył się zbyt głęboko. Teraz powierzchnia była tylko jasną smugą, daleko w ciemnościach, wysoko nad nim, a jego płuca pękały. Płynął, jak umiał najszybciej, ale miał jeszcze daleko...

Corbett zmusił się do oprzytomnienia. Bishop skończyła instalować ładunki wybuchowe.

Wstała i spojrzała na niego. W świetle z sąsiedniego pomieszczenia widać było jej błyszczące oczy. Corbett wstrzymał oddech. Leżał nieruchomo, z półprzymkniętymi oczami. Bishop zostawiła torbę na podłodze i zrobiła krok w jego kierunku. Jeszcze jeden. Uniosła rękę. Corbett zobaczył przytłumiony błysk lufy.

Nagle Bishop odwróciła głowę. Ułamek sekundy później Corbett też usłyszał jakieś głosy, częściowo zagłuszone przez szmer kompresorów.

Co najmniej dwie osoby, może więcej, były w pierwszym pomieszczeniu zakładu kontroli środowiska. Corbett poczuł przypływ nadziei, odzyskał jasność myśli i opanował zmysły. Jego wybieg okazał się skuteczny. Bryce przysłał pomoc.

Głosy zbliżały się do nich.

Bishop przeszła nad nim, trzymając broń gotową do strzału, po czym stanęła za wentylatorem, obok wjazdu do drugiego pomieszczenia. Corbett uniósł nieco powieki. Ukryła się w ciemnościach i wyglądała zza węgła. W świetle widać było zarys jej głowy i lufy pistoletu. Chwilę później prześlizgnęła się przez wjazd i schowała za turbiną. Corbett stracił ją z oczu.

Wciąż słyszał głosy, ale nie miał już wrażenia, że się zbliżają. Widocznie ci ludzie byli w pierwszej sali, gdzieś między Bishop i głównym wyjściem. Corbett dosłyszał parę słów. Chyba robotnicy przyszli sprawdzić któreś z niezliczonych urządzeń.

Czyli odsiecz nie nadeszła - jeszcze nie. Może nigdy nie przybędzie.

Corbett podparł się ręką i spróbował usiąść. Dłoń poślizgnęła się na zakrwawionej podłodze. Klatkę piersiową przeszył mu ostry ból. Zagryzł wargi, żeby nie krzyknąć.

Leżał, płytko oddychał i czekał, aż ból minie. Po chwili zaczął się czołgać w kierunku stalowej rury.

Poruszał się rozpaczliwie wolno. Pół metra, metr. W gardle czuł krew zmieszana z powietrzem. Ruchy dodatkowo hamowała nasiąknięta krwią marynarka. W połowie drogi zatrzymał się na chwilę, bo niemal stracił przytomność. Nie mógł jednak długo odpoczywać; wiedział bowiem, że nie da rady znowu ruszyć. Zebrał wszystkie siły i przesunął się o pół metra.

W końcu uderzył głową o rurę. Jęknął z bólu. Spojrzał do góry. Zobaczył nad głową cztery wałki semteksu z doczepionymi detonatorami.

Corbett zebrał siły, uniósł się nieco i wyrwał detonator z najbliższego wałka. Palący ból wypełnił jego pierś. Corbett opadł na podłogę, ciężko dysząc. Słyszał, jak krew skapuje z łokcia na metalową podłogę.

Leżąc na podłodze, Corbett zbadał detonator. W ciemnościach dostrzegł baterijkę, ręcznie nastawiany zegar, dwie metalowe płytki oddzielone folią, pętlę światłowodu. Wszystkie elementy były zminiaturyzowane. Corbett niewiele wiedział o detonatorach i materiałach wybuchowych, ale przypuszczał, że na sygnał z zegara folia zostanie przepalona, płytki zetkną się i w obwodzie popłynie prąd, który zainicjuje eksplozję.

Corbett możliwie delikatnie położył detonator na podłodze. Bishop powiedziała, że nastawi zegar na dziesięć minut. Pozostało pewnie ze cztery lub pięć.

Jeszcze trzy detonatory.

Corbett znowu zebrał wszystkie siły, uniósł rękę, chwycił detonator, starając się nie dotknąć zegara i oderwał go od ładunku. Opadł na podłogę.

Tym razem ból był znacznie silniejszy. Niewiele brakowało, a straciłby przytomność. Dławił się krwią w gardle. Zakasłał. Minęła minuta, nim mógł kontynuować.

Trzeci ładunek znajdował się poza jego zasięgiem. Corbett podczołgał się jeszcze bliżej. Po raz trzeci machnął ręką do góry, wyrwał detonator i opuszczył rękę na podłogę.

Ból był tak silny, że Corbett zwątpił, czy zdoła rozbroić czwarty ładunek. Leżał w ciemnościach, walcząc o zachowanie przytomności i nasłuchując szmeru głosów. Miał wrażenie, że robotnicy toczą niekończącą się dyskusję na temat jakiś problemów technicznych.

Ile zostało czasu? Minuta? Dwie?

Corbett zastanowił się, dokąd poszła Bishop. Niewątpliwie schowała się gdzieś i niecierpliwie słuchała tej paplaniny, czekając, aż robotnicy sobie pójda i będzie mogła uciec.

Dlaczego po prostu ich nie zastrzeliła? Miała przecież pistolet z tłumikiem. Było tylko jedno wyjaśnienie: takie ceramiczne pistolety mają małe magazynki. Pewnie miała tylko dwa pociski. Nie mogła też uciec, bo wszystko by się wydało. Tak miała jeszcze szansę uciec. Gdyby jednak jeszcze dwaj pracownicy podnieśli alarm, byłaby zgubiona...

Nie. Bishop nie ucieknie. Wróci tutaj i przestawi zegary, żeby zyskać więcej czasu.

Corbett był zbyt zajęty rozbieraniem detonatorów i walką z bólem, żeby wcześniej o tym pomyśleć. Ona tu wróci, lada chwila.

Pod wpływem strachu poczuł przypływ energii. Raz jeszcze uniósł się z podłogi i zacisnął palce na czwartym detonatorze.

Dokładnie w tym momencie we włazie pojawiła się ludzka sylwetka, wyraźnie widoczna na jaśniejszym tle. Na jej widok Bishop zakłęła i rzuciła się do przodu.

Zaskoczony Corbett gwałtownie się poruszył. Niechcący potracił palcami zegar. Rozległ się cichy trzask i z detonatora uleciał niewielki obłok dymu. Minęła może milisekunda, ale Corbettowi wydawało się, że to cała wieczność. Wreszcie usłyszał potworny huk i cały wszechświat ogarnęła apokalipsa ognia, stali i wody.

50

„Zewnętrzne wrota zamknięte - rozległ się komunikat z głośników. - System uszczelniający aktywny. Bila Dwa w szybie. Przybliżony czas zejścia na dno dziewiętnaście minut trzydzieści sekund”.

Stojąc w kącie, Crane przyglądał się z bezsilną wściekłością, jak ramię dźwigu - już wolne od ciężaru - wynurza się z wody i wraca do pozycji spoczynkowej. Gdy czekał, aż zakończy się żmudny proces uszczelniania Bili i opuszczania jej przez służbę, rozglądał się po hangarze w poszukiwaniu przychylnego spojrzenia, ukradkowego pochylenia głowy, czegoś, co mogłoby wskazać mu potencjalnego sojusznika. Na próżno. Inżynierowie, technicy i robotnicy wrócili do swoich zwykłych obowiązków związanych z drażeniem. Nikt nie zwracał na niego uwagi.

Oczywiście poza żołnierzami, którzy go pilnowali. Gdy Bila Dwa była już w szybie, jeden lekko go szturchnął.

- No dobra, doktorze. Idziemy.

Gdy wyszli na korytarz na pierwszym poziomie, Crane miał poczucie pełnej nierzeczywistości. Na pewno był to jakiś sen. Tymi wydarzeniami rządziła jakaś pokrętna logika snu. Czy naprawdę dwaj uzbrojeni żołnierze prowadzili go do aresztu? Czy naprawdę nie przerwano drażenia szybu mimo grożącej katastrofy? Czy Korolis naprawdę przejął dowodzenie? Korolis...

- Nie możecie tego zrobić - powiedział cicho do żołnierzy. W odpowiedzi tylko otworzyli drzwi i wyprowadzili go na zewnątrz.

- To nie admirał Spartan jest chory - dodał Crane na korytarzu - tylko komandor Korolis.

Żadnej odpowiedzi.

- Widzieliście, jaki był blady i spocony? To chorobliwa nadmierna potliwość. Zachorował na tę chorobę, która ostatnio dopadła wiele osób. Jestem lekarzem, potrafię rozpoznać chorego.

Zbliżali się do rozwidlenia korytarza. Jeden z żołnierzy popchnął go kolbą.

- W prawo.

- Od przybycia na stację widziałem wielu chorych. Korolis jest klasycznym przypadkiem.

- Będzie dla pana lepiej, jeśli się pan zamknie - ostrzegł go żołnierz.

Crane popatrzył na jasnoczerwone ściany i zamknięte drzwi laboratoriów. Przypomniał sobie, jak już raz szedł pod eskortą, w towarzystwie Spartana, który postanowił dać mu prawo wstępu do tajnej części stacji. Wtedy nie wiedział, dokąd go prowadzą. Tym razem było inaczej. Poczucie nierealności stało się jeszcze silniejsze.

- Ja też służyłem w wojsku - powiedział. - Jesteście żołnierzami. Przysięgaliście służyć krajowi. Korolis jest człowiekiem niebezpiecznym i nie zrównoważonym psychicznie. Wykonując jego rozkazy, postępujecie nie lepiej niż...

Kolejne uderzenie kolbą w plecy było znacznie mocniejsze niż poprzednie. Crane przewrócił się na kolana, poczuł w karku ostre szarpnięcie, gdy jego głowa poleciała naprzód.

- Uspokój się, Hoskins - warknął drugi żołnierz.

- Wkurza mnie jego gadanie - odparł Hoskins. Crane wstał i otrząpął ręce. Patrzył na Hoskinsa, mrużąc oczy. Bolała go łopatka.

Hoskins wskazał lufą kierunek.

- Rusz się pan.

Poszli dalej, po chwili skręcili w lewo. Zbliżali się do windy. Hoskins nacisnął guzik „do góry”. Crane otworzył usta, żeby jeszcze raz spróbować ich przekonać, ale zrezygnował. Może strażnicy aresztu będą bardziej skłonni słuchać głosu rozsądku...

Rozległ się cichy dzwonek i otworzyły się drzwi windy.

W tym momencie gdzieś na górze nastąpił potężny wybuch. Cała stacja zadygotała. Światła przygasły, rozjaśniły się, znowu przygasły. Kolejny wybuch wstrząsnął stacją tak, jak pies potrząsa złapanym szczurem. Z rozdzierającym uszy zgrzytem z sufitu spadły szare rury wentylacyjne, przygniatając Hoskinsa do podłogi.

Crane w ogóle się nie zastanawiał, co zrobić. Błyskawicznie kopnął drugiego żołnierza w kolano, po czym rzucił się do windy. Na oślep nacisnął kilka guzików. Zaczepił fartuchem o metalową kratkę. Z kieszeni wypadł mu telefon komórkowy. Na korytarzu zapaliły się czerwone światła alarmowe. Crane widział, jak Hoskins siada na podłodze. Krew z rany na głowie spływała mu na czoło i nos. Z wyrazem ponurej determinacji zerwał się na nogi. W tym momencie rozległo się wycie syren alarmowych, ale Hoskins podniósł karabin i

wycelował. Crane schował się za metalową ościeżnicą. Pocisk przebił drzwi, ale winda ruszyła już do góry.

51

Gordon Stamper, mechanik pierwszej klasy, biegł po schodach z dziewiątego poziomu, przeskakując po dwa stopnie naraz. Pomarańczowy kombinezon kleił się mu do pleców i ramion, a haki, radio i inne przyrządy przyczepione do pasa grzechotały przy każdym skoku. Za nim biegli koledzy z zespołu ratowniczego, dźwigając butle z tlenem, siekiery i resztę sprzętu.

Gdy ogłoszono alarm, dyspozytor powiedział przez głośniki, że to nie ćwiczenia. Stamper nie całkiem mu wierzył. No, niewątpliwie coś się stało: słyszał przecież cholernie głośny wybuch, potem przygasły światła. Po chwili jednak znów się zapaliły i wszystko wróciło do normy. Stamper łatwo mógł uwierzyć, że kierownictwo urządziło przedstawienie, żeby sprawdzić czujność zespołu ratowniczego. Szefowie zawsze szukali jakiegoś sposobu, żeby się do nich przyczepić.

Stamper otworzył drzwi i wbiegł na pusty korytarz na ósmym poziomie. Wszystkie drzwi po obu stronach korytarza były zamknięte. Należało się tego spodziewać: zbliżał się fajrant, urzędnicy i naukowcy poszli już pewnie coś zjeść lub podsumowywali wyniki pracy w pokojach konferencyjnych na siódmym poziomie.

Stamper włączył mikrofon radia, przypięty do szelki kombinezonu.

- Stamper do centrali. - Centrala, słucham.

- Jesteśmy na ósmym poziomie.

- Zrozumiałem.

Stamper wyłączył radio z ponurą satysfakcją. Z pewnością nie mogli narzekać na zbyt długi czas reakcji. Od alarmu do przybycia na miejsce wypadku minęły tylko cztery minuty.

Mieli sprawdzić zakład kontroli środowiska znajdujący się po przeciwnej stronie stacji. Stamper spojrzął na swoich ludzi, sprawdził, czy są już wszyscy. Ruszyli korytarzem.

Im dłużej o tym myślał, tym bardziej był przekonany, że to lipa. Żaden alarm, tylko ćwiczenia. Było raptem jedno wezwanie, gorączkowe i niespójne, przy czym połączenie zostało przedwcześnie przerwane. Dzwoniący mówił coś o przecieku, o wodzie. Jakaś bzdura. Każdy przecież wiedział, że stacja stała pod kopułą, która oddzielała ją od Morza Północnego. Kopuła była szczelna, a między stacją i kopułą nie było wody. Jeśli to nie ćwiczenia, to pewnie pękła jakaś rura. Na tym poziomie pracowali subtelni uczeni, skłonni do wpadania w panikę na widok kropli wody.

Ratownicy biegli przez korytarz z głośnym brzękiem ekwipunku. Stamper zatrzymał się na skrzyżowaniu w kształcie litery T i podrapał po brodzie. Korytarz w lewo prowadził przez sektor administracji z niezliczonymi boksami i ciasnymi przejściami. Idąc w prawo, przez laboratoria, mogli szybciej dotrzeć do zakładu kontroli środowiska.

Od strony laboratoriów dobiegł go brzęk metalu i jakieś gorączkowe krzyki. Przez chwilę nasłuchiwał. Miał wrażenie, że ci ludzie są coraz bliżej.

- Hej! - krzyknął, przykładając do ust dłoń zwiniętą w trąbkę.

Głosy zamilkły.

- Tu zespół ratowniczy!

Stamper znowu usłyszał nerwowe głosy, którym towarzyszył tupot nóg. Spojrzał na swoich ludzi i wskazał głową kierunek, skąd dobiegały krzyki.

Gdy minęli zakręt korytarza i znaleźli się w sektorze badawczym, Stamper dostrzegł niewielką grupkę, może pięciorga lub sześciorga uczonych, biegnących im naprzeciw. Mieli strach w oczach, rozchełstane ubrania i fartuchy. Jakaś kobieta w średnim wieku cicho płakała. Grupką kierował wysoki mężczyzna z jasnymi, kędzierzawymi włosami, do pasa obłany wodą.

Piętnaście metrów za nimi, w końcu korytarza, widać było zamknięty wodoszczelny właz.

Stamper wysunął się przed ratowników.

- Gordon Stamper, kierownik zespołu ratowniczego - powiedział stanowczym tonem. - Co się stało?

- Musimy stąd uciekać - powiedział wysoki mężczyzna, z trudem łapiąc oddech. - Wszyscy!

- Proszę powiedzieć, co się stało...

- Nie ma czasu na wyjaśnienia! - przerwał mu tamten. Mówił wysokim, załamującym się głosem, jakby był na skraju hysterii. - Zamknęliśmy za sobą wszystkie włazy, ale ciśnienie jest zbyt wysokie. Nie wytrzymają, mogą puścić w każdej chwili...

- Spokojnie - powiedział Stamper. - Niech się pan weźmie w garść i powie nam, co się stało.

Mężczyzna zwrócił się do pozostałych uczonych.

- Wy jak najszybciej idźcie na dziewiąty poziom. Spanikowana grupka nie potrzebowała dodatkowej zachęty.

Bez słowa przebiegli obok ratowników i znikli w korytarzu prowadzącym do klatki schodowej.

Stamper przyglądał się ich ucieczce z obojętnym wyrazem twarzy, po czym znowu zwrócił się do wysokiego blondyna.

- Słucham pana.

Mężczyzna przełknął ślinę i z wyraźnym trudem opanował nerwy.

- Byłem na korytarzu przy laboratorium sonaru sejsmiczno-akustycznego. Szedłem na spotkanie zespołu i zatrzymałem się, żeby przed zejściem na siódmy poziom sprawdzić na palmtopie numer pokoju konferencyjnego. W tym momencie... - Głos go zawiódł. Szybko wytarł usta rękawem. - W tym momencie nastąpił potężny wybuch. Wstrząs mnie przewrócił. Gdy wstałem, zobaczyłem, jak ściana wody zalewa zakład kontroli środowiska w końcu korytarza. W wodzie widać było krew, części ciała. Dużo części ciała.

Blondyn znowu przełknął ślinę.

- Kolega i ja pobiegliśmy, żeby zamknąć zewnętrzny włącznik zakładu. Potem cofnęliśmy się wzdłuż korytarza, zbierając wszystkich, których mogliśmy znaleźć. Gdy już wychodziliśmy, włącznik puścił i woda zalała laboratoria. Wycofując się, zamykaliśmy po drodze wszystkie wewnętrzne grodzie, ale ciśnienie jest za duże, grodzie nie wytrzymają...

W tym momencie gdzieś przed nimi rozległ się potężny huk.

- Widzi pan! Puściła wewnętrzna grodzie! - krzyknął z przerażeniem wysoki uczonec. - Musimy uciekać, jak najszybciej! - Obrócił się i pobiegł w kierunku tylnej klatki schodowej.

Stamper odprowadził go wzrokiem. Powoli, rozważnie włączył radio i pochylił głowę w stronę mikrofonu.

- Stamper do centrali.

- Centrala, słucham.

- Informuję, że spotkaliśmy grupę pracowników uciekających z sektora badawczego. Wycofują się klatką schodową bravo dwa. Informacje z poziomu ósmego wskazują, że doszło do ogromnego przecieku na terenie zakładu kontroli środowiska. Nastąpiła chwila ciszy.

- Tu centrala, czy możesz powtórzyć ostatnią informację?

- Ogromny przeciek. Zalecam zamknięcie całego sektora. Proszę natychmiast ściągnąć zespół naprawczy, żeby załatali przeciek i zabezpieczyli ósmy poziom.

- Czy sprawdziłeś to osobiście? - spytał dyżurny po chwili milczenia.

- Nie.

- Proszę zbadać sytuację i przekazać raport.

- Zrozumiałem.

Cholera, zaklął w myślach Stamper. Spojrzał w głąb korytarza, w kierunku zaryglowanego włącznika. Wcale się nie denerwował. Ćwiczył to tyle razy, że nawet teraz miał

wrażenie, iż powtarza rutynowe czynności. Jednak ci naukowcy byli tak przerażeni, w oczach tego blondyna widać było prymitywny strach...

Zwilżył językiem usta i zwrócił się do zespołu.

- Idziemy.

Nim skończył wymawiać to słowo, usłyszał nowy dźwięk dochodzący z sektora badawczego przed nimi: niskie jęki, bulgotanie i szum pędzącej wody, jeszcze nigdy czegoś takiego nie słyszał. Hałas błyskawicznie narastał. Stamper poczuł, jak włosy mu się jeżą na głowie.

Odruchowo cofnął się o krok.

- Stamper? - odezwał się jeden z ratowników.

W tym momencie, z niemal zwierzęcym jękiem bólu, jeden po drugim pękły rygle włazu. Pokrywa wyleciała z ramy jak korek od шамpana. W ich stronę runęła potężna masa wody.

Stamper stał jak skamieniały, z przerażeniem wpatrując się w żywioł.

Woda pędziła ku niemu jak wygłodniały drapieżnik, myślący tylko o jedzeniu. Z głośnym sykiem porywała wszystko na swej drodze. Stamper nigdy nie przypuszczał, że woda może wytwarzać taki dźwięk. Miała ohydny czerwono-czarny kolor, z łatami krwawej piany. Jej potęga wywierała odpychające wrażenie. Strumień unosił krzesła, stoły, komputery i inne przedmioty, którym Stamper wolał się nie przyglądać. Czuł w nozdrzach smród lodowatej, słonej wody, kojarzący się z atramentową głębią oceanu i bardziej przerażający niż sam widok wody.

Nagle czar prysnął i Stamper rzucił się do ucieczki. Potykając się i przeklinając, on i pozostali ratownicy biegli ile sił w nogach, żeby dotrzeć do klatki schodowej i uniknąć tego horroru.

Radio Stampera zapiszczało, ale on nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Usłyszał za to głośny brzęk stali, gdy jeden z ratowników zatrzasnął i zarygłował właz w grodzi odcinającej część korytarza. Stamper nawet się nie obejrzał. Mogli zamknąć nawet kilka włazów, a i tak nie zmieniłoby to sytuacji. Dla Stampera było jasne, że w żaden sposób nie uda się zlikwidować przecieku i zabezpieczyć ósmego poziomu.

52

Crane biegł korytarzami na szóstym poziomie tak szybko, jak mógł, żeby nie zwrócić na siebie uwagi. Przed każdym skrzyżowaniem zwalniał, szedł normalnie, a potem znowu biegł. Na korytarzach było pusto - po drodze spotkał tylko sprzątacza z wózkiem i dwóch

dyskutujących uczonych. Najwyraźniej nikt się specjalnie nie przejął hukiem wybuchu, który niedawno wstrząsnął całą stacją. Syreny alarmowe już umilkły i na twarzach mijanych ludzi nie widać było zaniepokojenia.

Crane dobiegł do ślepego korytarza, gdzie mieściło się laboratorium morskiej fizyki stosowanej. Rozejrzał się dokoła - nikogo nie było. W laboratorium panowała cisza. Nacisnął klamkę i szybko wślizgnął się do środka.

Hui Ping stała przy stole laboratoryjnym.

- Gdzie się podziewałeś? - spytała z naciskiem. - Byłam już przekonana, że coś ci się stało. I jeszcze ten wybuch...

- Przepraszani, Hui. Coś mnie zatrzymało. A jak było tutaj?

- Zupełnie spokojnie. W każdym razie jeszcze minutę temu. - Uśmiechnęła się niewesoło. - No ale przynajmniej nie zmarnowałam czasu. Udało mi się odszyfrować tę długą wiadomość spod Moho. W każdym razie tak uważam. Sam się przekonasz...

- Teraz nie ma na to czasu. Musimy stąd uciekać, i to szybko. Z pewnością zarejestrowały mnie kamery.

- Kamery? - Hui otworzyła szeroko oczy. - Co się stało?

- Korolis się stał. Przejął dowództwo stacji.

- Komandor Korolis? A co ze Spartanem?

- Bóg jeden wie. To jeszcze nie wszystko. Korolis uparł się, żeby dalej dążyć szyb. Ma obsesję na tym punkcie, do tego stopnia, że osobiście zjechał Bilą na dół. Moim zdaniem działa pod wpływem tej choroby. Gdy próbowałem go powstrzymać, kazał mnie aresztować.

- Co takiego? Crane pokiwał głową.

- Udało mi się wyrwać, nim mnie zamknęli. Musimy przedostać się na dwunasty poziom. Zmobilizowałem do akcji głównych uczonych, zbierają się tam w sali konferencyjnej. Chcę im wyjaśnić, czego szukamy, opowiedzieć o odkryciach Ashera, posunięciach Korolisa - wszystko. Musimy zawiadomić władze na powierzchni, skontaktować się z ludźmi mogącymi skończyć z tym szaleństwem...

Crane nagle urwał.

- O cholera - mruknął bardziej do siebie niż do niej. Hui spojrzała na niego pytająco.

- Bariera - wyjaśnił.

W pośpiechu Crane zapomniał o barierze oddzielającej tajną część stacji. Wartownicy prawdopodobnie nadal mieli rozkaz zatrzymać Ping, a z całą pewnością teraz szukali jego.

- Niech to diabli! - zaklął i uderzył pięścią w stół, nie mogąc opanować frustracji. - Nie przedostaniemy się przez barierę.

Crane spojrział na Hui. Ze zdziwieniem stwierdził, że wyraźnie przybladła. Przecież chyba nie zapomniała o barierze. A może?

- O co chodzi?

- Jest inna droga - odpowiedziała bardzo cicho. - To jedyna możliwość.

Crane czekał na ciąg dalszy.

- Na drugim poziomie jest wyjście ewakuacyjne.

- Wyjście ewakuacyjne? Czyli na zewnątrz stacji? Ping kiwnęła głową.

Crane nagle przypomniał sobie szczeble na zewnętrznej ścianie stacji. „To stopnie dla płetwonurków, na przykład gdyby konieczne były jakieś naprawy”, wyjaśnił mu magazynier Conrad, gdy szli do przystani Wanny.

- Pilnują go? - spytał.

- Nie sądzę. Przez właz można tylko wyjść na zewnątrz, zatem nie ma obaw, że ktoś wejdzie do środka, omijając barierę. Niewiele osób wie o tym wyjściu. Ja dowiedziałam się o nim tylko dlatego, że jest w pokoju sprzątaczy tuż obok mojego laboratorium.

- No to chodźmy - powiedział Crane bez namysłu.

*

Ping poprowadziła go tą samą drogą, którą wcześniej przeszli z jej laboratorium. Czy to naprawdę było tylko cztery godziny temu - pomyślał Crane z goryczą. W tym czasie zdarzyło się tak wiele, że miał wrażenie, iż minęły wieki.

Dotarli do klatki schodowej. Szli powoli i ostrożnie, zatrzymując się na każdym podejściu, żeby upewnić się, że nikt ich nie widzi. Gdy mijali trzeci poziom, usłyszeli brzęk garnków w kuchni. Zeszli piętro niżej. Hui położyła rękę na klamce, wzięła głęboki oddech i otworzyła drzwi.

Crane wyjrzał przez szczelinę. Krótki korytarz kończył się na skrzyżowaniu w kształcie litery T. Między nimi i skrzyżowaniem, przed drzwiami z tabliczkami *Sedymentacja* i *Stratygrafia*, stało kilka osób w białych kitlach. Usłyszeli trzask drzwi i obrócili głowy z zaciekawieniem.

Crane wyczuł wahanie Ping.

- Idź - powiedział cicho. - Po prostu przejdź obok nich. Ping otworzyła szeroko drzwi i wyszła na korytarz. Crane szedł za nią. Starał się zachowywać zupełnie naturalnie. Skinieniem głowy pozdrowił stojących naukowców. Nie rozpoznał twarzy żadnego z nich. Mógł mieć tylko nadzieję, że nikt z nich nie był w kompleksie wiertniczym, gdy Korolis kazał go aresztować. Opanował chęć obejrzenia się za siebie. Nie słyszał jednak pośpiesznych kroków i wezwań, żeby się zatrzymał. Westchnął z ulgą.

Na skrzyżowaniu Ping skręciła w lewo. Minęli niewielkie laboratoria i biura. Nagle się zatrzymała.

- Co się stało? - spytał Crane.

Hui bez słowa wskazała kamerę wiszącą pod sufitem, dziesięć metrów przed nimi.

- Czy jest inna droga?

- Bardzo określona. Prawdopodobnie i tak wpadniemy na jakąś kamerę.

- Jak jest daleko do wjazdu? - spytał po chwili zastanowienia.

- Wyjście jest tuż za rogiem.

- Dobra. Idziemy, tylko gazem.

Przebiegli przez korytarz z pochylonymi głowami. Ping skręciła w prawo i zatrzymała się przed szarymi drzwiami. Weszli do środka.

Znaleźli się w magazynku na sprzęt. Na głębokich, metalowych półkach od podłogi do sufitu leżały przyrządy i zapasy. Jak wszędzie na stacji przestrzeń była wykorzystana do maksimum. Ping skierowała się w głąb magazynku, gdzie znajdował się nieoznakowany ciężki wjazd z potężnymi ryglami.

- Pomóż mi odciągnąć rygle - powiedziała.

Z trudem odciągnęli cztery zasuwę i otworzyli wjazd. Crane zobaczył ciasne pomieszczenie oświetlone czerwoną żarówką w drucianej oprawie. W ścianie był zainstalowany kolejny wjazd, mniejszy, grubszy, zaopatrzony w serwomechanizm uchylający klapę. **OSTRZEŻENIE!** - przeczytał Crane. **WYJŚCIE EWAKUACYJNE. NIE MA WEJŚCIA POWROTNEGO DO STACJI NA TYM POZIOMIE.**

Crane dotknął ręką pokrywy. Była chłodna i wilgotna. Z drugiej strony dobiegał ich jakiś szum, którego nie potrafił zidentyfikować.

Ping ciężko dyszała. Crane spojrzał na nią.

- Jesteś gotowa? Pokręciła głową.

- Ja chyba nie dam rady.

- Musisz. To nasza jedyna szansa, żeby przedostać się na drugą stronę bariery. Na dwunastym poziomie, wśród uczonych, będziesz znacznie bezpieczniejsza. Jeśli tu zostaniesz, jest tylko kwestią czasu, kiedy zbiry Korolisa cię dopadną.

- Dobrze. Chodźmy. - Ping wzięła głęboki oddech i zaciśnęła zęby.

Ping zamknęła wjazd od strony magazynku, a Crane otworzył wyjście ewakuacyjne - odciągnął rygle, kręcąc kołem ze szprychami w pokrywie. Po dwóch obrotach rygle puściły.

Obok wjazdu widać było czerwony guzik z napisem „ON”. Crane spojrzał na Ping. Kiwnęła głową. Gdy nacisnął guzik, włączył się serwomechanizm i klapa opadła do wnętrza.

Szum natychmiast zmienił się w głośny ryk. Poczuli chłodny podmuch i ostry zapach morskiej wody.

Wyjście prowadziło na zamocowaną do ściany platformę mającą co najwyżej pół metra kwadratowego. Crane szybko wyszedł i podał rękę Ping. Gdy już była bezpieczna, obrócił się i rozejrzał dokoła.

Nagle skamieniał. Nie wierzył własnym oczom.

- Boże! - westchnął cicho.

53

- Do dna szybu pozostało jeszcze sześć minut, panie komandorze.

- Dziękuję, doktorze.

Korolis poprawił się na fotelu pilota. Był zadowolony. Spojrzał z aprobatą na inżyniera pokładowego, doktora Rafferty'ego. Inżynier nie tylko wyróżniał się absolutną lojalnością wobec niego, lecz także był jednym z najważniejszych wojskowych uczonych na stacji, fizykiem z wykształcenia. Korolis sam go wybrał i w pełni na nim polegał. Tylko najlepsi mogli wziąć udział w tej misji.

Było to już tysiąc dwieście czterdzieste pierwsze zanurzenie Bili. Tym razem wszystko szło gładko, tak jak powinno.

Korolis spojrział na przyrządy kontrolne. Ćwiczył wiele razy na symulatorze Bili, a urządzenia nie różniły się bardzo od tych, które znał z okrętów podwodnych. Nie bał się żadnej niespodzianki.

Znowu poczuł w skroniach uderzenie bólu. Skrzywił się. Gdyby o tym pomyślał przed wejściem do Bili, połknąłby kilka tabletek tylenolu. Siłą woli zmusił się, żeby nie zwracać uwagi na ból. W tym momencie nic nie mogło mu przeszkodzić.

- Status Chrząszcza? - spytał inżyniera.

- Wszystkie kontrolki zielone, panie komandorze.

- Doskonale.

Wszystko szło jak w zegarku. Za kilka minut osiągną dno szybu. A potem, jeśli dopisze im szczęście...

- Czy odczyt został potwierdzony? - spytał Rafferty'ego.

- Tak, panie komandorze. Pomiar wykonany podczas poprzedniego zanurzenia wskazuje, że dokonaliśmy pełnej penetracji warstwy gabrowej.

Pełna penetracja. Udało się. Przewiercili szyb przed trzecią, położoną najgłębiej warstwę skorupy oceanicznej.

Nie, nie będzie żadnych niespodzianek, powtórzył w myślach. Poza najważniejszą: przed nimi, pod nieciągłością Mohorovičića, czekały ukryte skarby.

Ktoś powiedział, że ceną za wolność jest nieustanne czuwanie. Miał rację, w pewnej mierze. Korolis wiedział, że to jeszcze nie wszystko. Nie wystarczy być czujnym, trzeba jeszcze działać, chwycić byka za rogi. Jeśli zdarzała się jakaś okazja, należało z niej korzystać, nawet gdy wymagało to pokonania trudności. Ameryka, jedyne supermocarstwo, była samotna. Świat z zazdrości lub nienawiści tylko czekał na jej upadek. Wrogie rządy niszczyły jej gospodarkę, doprowadzając do ujemnego bilansu handlowego, a równocześnie rozbudowywały armie i ulepszały broń masowego rażenia. W takiej rozpaczliwej sytuacji jego obowiązkiem - najważniejszym obowiązkiem wszystkich - było zrobienie wszystkiego, co konieczne, żeby wzmocnić potęgę Stanów Zjednoczonych.

Klub mocarstw atomowych powiększał się z roku na rok. Bomby jądrowe już nie wystarczały, żeby odstraszyć wrogów. Potrzebna była nowa broń, tak potężna, aby na długo zapewniła Ameryce druzgocącą przewagę.

Wymagało to poznania - za pomocą wszelkich koniecznych do tego środków - techniki, która pozwoliłaby Ameryce wyprzedzić wszystkich rywali. Odpowiednie rozwiązania techniczne były ukryte pod nimi. Wynalazki, które pozwalały wysyłać sygnały spod ziemskiej skorupy i magazynować niemal nieskończoną energię w niewielkich, świecących żetonach.

Myśl o rezygnacji z opanowania tej techniki była niewyobrażalna. Myśl, że ktoś inny mógłby ją opanować, była niedopuszczalna.

- Zostały cztery minuty - zakomunikował Rafferty.

- Doskonale. - Korolis spojrzął na trzeciego członka załogi: zylastego, starszego mężczyznę z grzywą siwych włosów. Doktor Flyte prawie się nie odzywał. Korolis zmarszczył brwi. Obecność doktora Flyte'a na stacji była przykrą koniecznością. Ten wybitny specjalista od cybernetyki i miniaturyzacji zaprojektował skomplikowany wysięgnik, który zapewniał Bili możliwość działania. Może i był geniuszem, ale był też potwornym ekscentrykiem, a zdaniem Korolisa stanowił zagrożenie dla bezpieczeństwa stacji. Z tego powodu Flyte został zmuszony do pozostania na stacji wbrew swej woli. Było to idealne rozwiązanie: ten stary gaduła nie miał okazji, żeby rozmawiać z niewłaściwymi osobami, natomiast oni mogli wykorzystać jego umiejętności do utrzymywania w należytym stanie robotów i szkolenia innych w obsłudze skomplikowanych systemów.

Korolis zmienił pozycję na fotelu. To on wybrał Flyte'a na członka załogi. Chciał mieć najlepszy zespół. Kto potrafiłby lepiej sterować robotem niż jego konstruktor?

Znowu poczuł w skroniach ukłucie bólu, ale zmusił się, żeby je zignorować. Nic nie mogło powstrzymać go od wykonania zadania. Nie zamierzał pozwolić, żeby własna słabość stanęła mu na drodze.

Było ze wszech miar słuszne, że to on, osobiście, dokona tego odkrycia. Nikt inny nie był godny zaufania. Admirał Spartan okazał się mięczakiem - niebezpiecznym mięczakiem. Nie była to pora na wątpliwości i wahanie. Od niedawna Spartan zbyt często demonstrował słabość, nie mógł dalej dowodzić tak ważną operacją.

Zaskoczenie, a nawet smutek, jakie okazał z powodu śmierci Ashera - który stał się najpoważniejszą przeszkodą w dążeniu do celu - były pierwszym sygnałem. Nie brakowało innych, takich jak niegodny mężczyzny żal z powodu katastrofy Bili Jeden - przecież była to normalna strata w toku działań. Poza tym admirał gotów był słuchać zdradzieckich, defetystycznych twierdzeń Petera Crane'a - to już przekraczało wszelkie granice.

Na myśl o lekarzu Korolis spochmurniał. Od pierwszej chwili, od ich pierwszego spotkania w klinice, wiedział, że Crane będzie źródłem kłopotów. Długa rozmowa Crane'a z Asherem, którą Korolis podsłuchiwał, tylko utwierdziła komandora w jego podejrzeniach. Cała ta tchórzliwa gadanina o niebezpieczeństwach, o przerwaniu misji... Korolis miał nadzieję, że skasowanie danych z twardego dysku Ashera wystarczy, żeby zapobiec dalszemu rozpowszechnianiu wariackich pomysłów tego starego durnia. Skąd miał wiedzieć, że ten skurwysyn Crane zdoła odzyskać dane? Jeśli rzeczywiście to zrobił, jeśli to wszystko nie były kłamstwa; bez wątpienia ten człowiek był zdolny do wszystkiego...

Korolis pomyślał, że Crane siedzi w areszcie i nieco się uspokoił. Będzie jeszcze czas, żeby się nim zająć.

- Kontrola zanurzenia do Bili Trzy - zatrzeszczał głośnik.

Korolis sięgnął po mikrofon.

- Tu Bili Trzy, słucham.

- Parne komandorze, na stacji nastąpił wypadek, o którym musimy pana poinformować.

- Proszę meldować.

- Przed chwilą całą stacją wstrząsnął jakiś wybuch.

- Wybuch?

- Tak, panie komandorze..

- Proszę o szczegóły. Jaki wybuch? Awaria mechaniczna? Eksplozja?

- Jeszcze nie wiemy, panie komandorze.

- Gdzie nastąpiło zdarzenie?

- Na ósmym poziomie.

- Jaki jest stan obecny?

- Nie otrzymaliśmy jeszcze raportu o uszkodzeniach. Sytuacja jest niejasna. Zasilanie zostało przywrócone. Wydaje się, że są jakieś problemy w zakładzie kontroli środowiska. Wysłaliśmy zespół ratowniczy i ekipę naprawczą. Czekamy na meldunki.

- Proszę mi je przekazać, gdy tylko nadejdą. Niech bosman Woburn wyśle patrol, żeby niezależnie ocenił sytuację.

- Tak jest, panie komandorze.

- *Hades jest tylko nieubłagany i nienawistny** - powiedział Flyte bardziej do siebie niż do kogokolwiek innego. Zaczął śpiewnie recytować jakiś tekst. Korolis uznał, że to starożytna greka. * *Homer. Iliada, pieśń IX, przekład K. Jeżewska.*

- Bez odbioru - powiedział Korolis i odłożył mikrofon. Woburn z pewnością poradzi sobie z sytuacją na górze. Korolis wybrał jego i cały zespół, ponieważ wiedział, że może liczyć na ich lojalność, sprawdzoną w niezliczonych wspólnych tajnych akcjach.

Uświadomił sobie nagle, że w głębi duszy zawsze się tego spodziewał. Przewidywał, że w przełomowej chwili będzie potrzebował ich lojalności i wsparcia, gdy sam znajdzie się w Bili, żeby sięgnąć po zdobycz.

- Dwie minuty - zameldował inżynier.

- Proszę włączyć tarczę wiertniczą - polecił Korolis, patrząc na starego. - Doktorze Flyte?

Cybernetyk na chwilę zamilkł. Spojrzał na komandora swymi lśniąco-czarnymi oczami.

- Proszę przeprowadzić diagnostykę robota - powiedział Korolis.

- *Moje dziecko, jakież to słowo wyrwało się tobie z zagrody zębów?** - odpowiedział Flyte kolejnym cytatem, ale niechętnie zajął się przygotowaniem robota. * *Homer. Odyseja, pieśń XXIII, przekład J. Parandowski.*

Korolis spojrział na instrumenty na pulpicie sterowniczym. Uśmiechnął się. Bosman Woburn poradzi sobie z problemami na górze. Jego przeznaczenie leżało poniżej - trzysta metrów pod ich stopami.

54

Crane odruchowo cofnął się o krok i uderzył ramieniem o metalową ścianę stacji. Nie wierzył własnym oczom.

Platforma, na której stali, wisiała mniej więcej dziesięć metrów nad dnem, w które wpuszczono fundamenty stacji. Poniżej, aż do ściany kopuły, rozciągał się niezwykle, niemal

księżycowy pejzaż osuszonego dna. Widać było niewielkie wzgórza i doliny oraz częściowo wypełnione wodą wąwozy. Dno miało kolor ciemnej czekolady; wydawało się, że jest pokryte gładkim, śmierdzącym mułem, który fosforyzował w słabym świetle lamp zawieszonych pod kopułą.

Crane patrzył jednak w zupełnie przeciwnym kierunku. Do góry.

Kopuła, która otaczała i chroniła stację, wznosiła się łagodnym łukiem, a jej powierzchnia niemal ginęła gdzieś w górze. Z boku platformy, na której stali, zaczynała się metalowa drabina przymocowana do ściany stacji. Tuż pod dachem Crane dostrzegł wąską galerię prowadzącą do przystani Wanny - szedł tamtędy tydzień temu. Przestrzeń między kopułą a stacją przecinała potężna rura szprych ciśnieniowej. I ją widział już przedtem.

Teraz jednak wyglądała zupełnie inaczej. W miejscu, gdzie szprycha przecinała ścianę stacji, wylewał się z niej burzliwy potok wody. Właśnie to było źródłem ryku: potężny strumień wody, wytryskujący z wyrwy w rurze z morderczą siłą ognia karabinu maszynowego. Crane widział, jak dziura stopniowo się powiększa i potok wody morskiej przybiera na sile.

Crane był oszołomiony tym widokiem, ale mimo to jasno zrozumiał kilka spraw. Niezależnie od tego, czy był to skutek błędu konstrukcyjnego, czy sabotażu, to właśnie był wybuch, który słyszał. Wprawdzie na stacji panował spokój, tak jakby nie zdarzyło się nic niezwykłego, ale było to złudzenie. Nawet jeśli nadzór techniczny jeszcze tego nie dostrzegł, już za chwilę musiał się zorientować w sytuacji.

W pierwszej chwili Crane instynktownie cofnął się w stronę wjazdu, tak jakby chciał wrócić i ostrzec o niebezpieczeństwie pracowników kompleksu wiertniczego. Przypomniawszy sobie jednak, że tą drogą można tylko wyjść - nie ma powrotu. Poza tym, dno pokrywała już woda, która lała się z góry coraz potężniejszym strumieniem. Już za parę minut ich niewielka platforma i wyjście ewakuacyjne znajdą się pod wodą...

Crane nagle poczuł ostry ból ręki. To Hui Ping bezwiednie wbijała paznokcie w jego dłoń, gdy patrzyła na szaleńczy kalejdoskop na górze. Miała mokrą twarz i włosy.

Crane delikatnie uwolnił rękę.

- Chodźmy - powiedział. - Nie możemy tu zostać.

- Nie dam rady - mruknęła w odpowiedzi. Już raz to powiedziała przy słuzie.

- Nie mamy wyboru - odrzekł Crane.

Hui przez chwilę rozglądała się na boki, po czym opuściła oczy.

- Mam lęk wysokości - wyjaśniła.

Niech to szlag - zaklął w myślach Crane, patrząc na nią. Wziął głęboki oddech. Spróbował na chwilę zapomnieć o wściekłym wodospadzie nad ich głowami i lejącym się na nich mroźnym deszczu. Położył ręce na jej ramionach i spojrzał dziewczynie w oczy.

- Hui, nie mamy wyboru - powtórzył. - Musisz to zrobić.

- Ale...

- To jedyna droga. Będę cały czas za tobą. Obiecuję. Hui popatrzyła na niego. Po policzkach spływała jej woda.

Przełknęła ślinę i kiwnęła głową.

Crane podprowadził ją do drabiny i położył jej rękę na szczelbu.

- Wspinasz się, przestawiając nogi ze szczelbla na szczelbel.

Hui stała nieruchomo. Crane obawiał się, że sparaliżował ją strach. W końcu, powoli i niepewnie, chwyciła drugą ręką następny szczelbel, oderwała nogi od platformy i stanęła na najniższym szczelblu.

- Dobrze - zachęcił ją Crane, przekrzykując ryk wody. - Dalej.

Gdy Hui pokonała kilka szczelbli, Crane ruszył za nią, starając się iść blisko niej. Szczelble były zimne i niebezpiecznie śliskie. Nozdrza wypełniał smród wody z dna.

Wspinali się powoli, w milczeniu. Crane słyszał, jak Hui sapie z wysiłku. Ryk wody przybierał na sile. Crane zaryzykował spojrzenie w górę. Z otworu lały się wielkie, skrzące strumienie, tworząc poniżej wielkie spirale. W powietrzu wisiała mgła drobnych kropeł wody tworząca w świetle lamp sodowych niesamowite, zdradziecko piękne kształty.

Hui się poślizgnęła. Jej but zatańczył niebezpiecznie blisko twarzy Crane'a. Krzyknęła ze strachu i przywarła do drabiny.

- Nie dam rady - powiedziała. - Już nie mogę.

- Nie denerwuj się. Spokojnie i powoli. Nie patrz w dół. Hui kiwnęła głową, nie spoglądając w jego kierunku.

Zacisnęła palce na szczelblach i ciężko dysząc, znowu ruszyła do góry.

Wspinali się dalej w tym samym, powolnym tempie. Crane oceniał, że przeszli jakieś dwanaście metrów. Strumienie wody rozpryskiwały się na ich twarzach i rękach. Crane wiedział, że w miarę zbliżania się do przecieku sytuacja będzie się stale pogarszać.

Dwie minuty później Hui się zatrzymała.

- Muszę odpocząć - sapnęła.

- Nie ma problemu. Oprzyj się o szczelble. Doskonale ci idzie. - W głębi duszy Crane był zadowolony z przerwy. Sam też z trudem łapał oddech i bolały go palce - szczelble były zimne i mokre.

Crane przypuszczał, że już wspięli się nad barierę. Wisieli teraz na gładkiej, monolitycznej, metalowej ścianie stacji. Spojrzał w dół, między nogami. Szczeble drabiny ginęły we mgle. Z trudem dostrzegł zarys platformy przy wyjściu ewakuacyjnym. Dno było już całkowicie pokryte kotłującą się wodą.

- Zapomniałem cię o coś spytać! - krzyknął Crane. Wodospad niemal zagłuszył jego słowa.

- O co? - Hui nie oderwała wzroku od szczebli.

- Gdzie jest wejście?

- Nie wiem.

- Co takiego? - Niemal go zatkało, gdy to usłyszał.

- Wiem tylko, że gdzieś na górze jest wjazd, może nawet dwa. Nie wiem, na których poziomach.

- To wystarczy. - Crane przetarł rękawem oczy i strząsnął wodę z włosów.

Według niego musieli jeszcze pokonać trzydzieści metrów. Wisząc na szczeblu, spojrzał do góry, żeby przyjrzeć się uszkodzonej szprysze ciśnieniowej. Potężna pozioma rura łączyła ścianę stacji z kopułą dwa poziomy nad nimi. Teraz częściowo zasłaniały ją kaskady wody lejące się przez wielką dziurę. Wodna zamieć była tak gęsta, że Crane nie mógł dostrzec, czy uszkodzona została również ściana stacji. Szczeble biegły prosto do góry po pionowej ścianie w pewnej odległości od szprychy, ale mimo to zalewały je czarne fale morskiej wody.

Mieli przed sobą ciężką przeprawę.

Crane poczuł, że jego serce przyśpiesza, a mięśnie nóg zaczynają dygotać. Oderwał wzrok od kaskady. Widok ten działał na niego paraliżująco. Pomyślał, że jeśli zaraz nie ruszą dalej, to już tu zostaną.

- Idziemy! - zawołał, usiłując przekrzyczeć szum wodospadu.

Powoli wspinali się dalej. Z każdym krokiem musieli pokonywać coraz mocniejszy napór wody. Przedtem szli w ulewie, natomiast teraz, gdy zbliżyli się do poziomu szprychy, woda siekła z boku z coraz większą siłą.

Crane ledwo widział nogi Hui.

- Uważaj! - krzyknął. - Przed każdym krokiem sprawdź, czy pewnie stoisz.

Otworzył usta, żeby jeszcze coś dodać, ale zakrztusił się słoną wodą. Gwałtownie zakasłał.

Podciągnięcie... noga... następny szczebel... podciągnięcie. Crane starał się nie myśleć o niczym poza kolejnymi ruchami, chciał zatopić się w rytmie. Woda zalewała mu oczy i

uszy, biła po palcach. Z trudem utrzymywał się na szczeblach. Nie wiedział już, gdzie się znajdują, a mroźne strumienie wody całkowicie go oślepiały. Trząśnięcie z zimna. Miał wrażenie, że jego świat całkowicie wypełniła woda. Z każdym oddechem połykał więcej wody niż powietrza. Kręciło mu się w głowie, tracił orientację.

Zatrzymał się i potrząsnął głową, żeby oprzytomnieć. Podniósł rękę i chwycił następny szczebel. Palce ześlizgnęły się z poprzeczki, ale zdążył poprawić chwyt i odzyskał równowagę. Odwrócił twarz i wziął głęboki oddech. Podciągnął się. Musimy już być na poziomie szprychy - pomyślał. - To zaraz się skończy. Musi.

Nagle usłyszał rozpaczliwy krzyk dochodzący z góry. Ryk wody niemal całkowicie stłumił ludzki głos. Sekundę później coś zważyło mu się na głowę i ramiona. Uderzenie było tak nagłe i nieoczekiwane, że niewiele brakowało, a puściłby szczeble. Coś zawisło na jego szyi i szarpało na boki. Stał w wodnym wirze, z trudem łapiąc oddech, trzymając się rozpaczliwie drabiny i usiłując zrozumieć, co się stało.

Znowu usłyszał krzyk, tym razem tuż koło ucha. Wszystko zrozumiał. Hui ześlizgnęła się z drabiny, ale w locie jakimś cudem zdołała chwycić się jego szyi.

- Hui! - krzyknął, odwracając głowę w jej stronę.

55

- Hui! - krzyknął jeszcze raz.

Hui tylko jęknęła. Czuł na twarzy dotyk jej mokrego i zimnego policzka.

- Trzymaj się! Z całych sił! Wyciągnę nas stąd! Crane stanął pewniej na szczeblu. Mięśnie jego łydek i ramion z trudem wytrzymały dodatkowe obciążenie. Zebrał całą energię, sięgnął ręką do następnego szczebla. Hui wisiała mu na szyi, ciągnąc go w dół. Dotknął szczebla, ale palce ześlizgnęły się z mokrego metalu. Stęknął z wysiłku i spróbował jeszcze raz. Udało się. Podniósł się na nogach i sięgnął do następnego szczebla. Czuł, jak Hui zaciska kolana na jego biodrach i splata stopy wokół jego nogi.

Jeszcze jeden szczebel, jeszcze jedno heroiczne podciągnięcie. Crane zauważył, że wodna burza wokół niego zaczyna się przerzedzać. Dodało to mu energii. Jeszcze dwa szczeble i jego głowa znalazła się już ponad wodą. Zatrzymał się, żeby chwilę odpocząć. Ciężko dyszał, a mięśnie nóg i ramion drżały mu konwulsyjnie. Pokonał jeszcze dwa szczeble i już całkowicie wynurzyli się z wody.

Potężna rzeka wody przelewała się kilkanaście centymetrów pod ich stopami. Crane zaparł się, chwycił Hui za rękę i pomógł jej złapać szczebel. Podtrzymał ją uważnie, aż wreszcie stanęła na drabinie.

Ciężko dyszeli i dygotali, a bezpośrednio pod nimi huczał wodospad.

Crane miał wrażenie, że trwali w milczeniu, przyklejeni do ściany stacji Bóg wie ile godzin, ale wiedział, że w rzeczywistości odpoczywali nie dłużej niż pięć minut. Zmusił się do działania.

- Chodźmy - krzyknął. - Na pewno jesteśmy już blisko wejścia.

Hui nie podniosła głowy. Mokre ubranie i fartuch przykleiły się do jej ciała. Cała się trzęsła.

Crane nie był pewny, czy nawet go usłyszała.

- Hui! Musimy iść dalej!

Zamrugła i kiwnęła głową. Z jej oczu znikł strach - teraz widać w nich było tylko oszołomienie i wyczerpanie.

Powoli popęzli do góry. Crane był ogłupiały z zimna i zmęczenia. Próbował liczyć stopnie, ale mimo wysiłku nie mógł się skupić. Raz - tylko raz - spojrzął w dół. Szczeble ginęły w kotłującej się wodzie. Poza tym nie było nic widać - ani ściany stacji, ani kopuły, ani dna. Teraz wydawało mu się niemożliwe, że przeszli przez to piekło.

Hui coś powiedziała, ale nie dosłyszał ani słowa. Powoli, jak we śnie, podniósł głowę. Hui wskazywała wiszącą trzy metry nad nimi niewielką platformę.

Resztkami sił pokonali kilka szczebli i dobrnęli do platformy. Crane spojrzął na nieoznakowany właz. Już chciał podnieść rękę, żeby go otworzyć, ale się zawahał. A jeśli jest zaryglowany od wewnątrz? Jeśli nie zdołają dostać się do środka, zginą. Albo utoną, albo umrą z wycieńczenia.

Wziął głęboki oddech i szarpnął za rączkę zasuw. Przesunęła się bez oporu. Crane nacisnął barkiem pokrywę. Usłyszał pisk gumy i kłapa uchyliła się do środka. Pomógł przejść Hui, po czym sam wszedł i zamknął za sobą właz.

Byli wewnątrz stacji.

56

Po przejściu przez służbę powietrzną znaleźli się w wąskim, ciemnym pokoju. Crane zatrzymał się, żeby złapać oddech. Zza ściany dochodziło do ich uszu wycie syreny alarmowej.

Crane otworzył drzwi. Wyszli na pusty korytarz. Teraz słyszeli syrenę znacznie wyraźniej.

- Jedenasty poziom - powiedziała Hui, rozglądając się dokoła. - Pomieszczenia mieszkalne załogi.

- Musimy dostać się do sali konferencyjnej piętro wyżej - odpowiedział Crane. - Czeka tam na mnie doktor Vanderbilt.

Crane wszedł do pierwszej z brzegu kabiny, wziął z łazienki ręcznik i otulił nim Hui. Pobiegli do najbliższej klatki schodowej. Mieli wrażenie, że piętro opustoszało. Po drodze spotkali tylko jedną osobę - sprzątacza, który na widok dwóch całkowicie przemoczonych postaci zatrzymał się i popatrzył na nich z szeroko otwartymi ustami.

Szybko weszli po schodach na najwyższy poziom stacji. Tu, w odróżnieniu od jedenastego poziomu, panował tłok. Na korytarzach i przy drzwiach do pokoi stały grupki ludzi; wszyscy wydawali się przestraszeni i zdenerwowani.

Centrum konferencyjne składało się z sali wykładowej i kilku niewielkich pokoi pomocniczych. W środku sali wykładowej stała grupka sześciu osób; rozmawiali przyciszonymi głosami. Na widok Crane'a i Hui od grupy odłączył się wysoki, rudowłosy mężczyzna z krótką brodą. Z kieszeni jego laboratoryjnego fartucha wystawały ciemne okulary.

- Doktor Crane? - spytał, podchodząc do niego. Crane kiwnął głową.

- Jestem Gene Vanderbilt. - Oceanograf obrzucił ich badawczym spojrzeniem. Ich wygląd wyraźnie go zaskoczył, ale zrezygnował z komentarzy. - Chodźcie, przedstawię pana pozostałym.

Podeszli do grupy. Crane niecierpliwie czekał, aż Vanderbilt skończy go przedstawiać. Uścisnął ręce wszystkich obecnych.

- Szczerze mówiąc, jestem zaskoczony pana widokiem - powiedział Vanderbilt. - Nie przypuszczałem, że zdoła pan tu dotrzeć.

- Dlaczego? - spytał Crane. Zastanawiał się, czy Vanderbilt wie już, że poszukują go żandarmi i nie miał szans na przejście przez barierę.

- Bo ósmy poziom jest całkowicie zalany. Wszystkie grodzie są zamknięte, podobnie jak szyby wind.

- Całkowicie zalany? - Crane przeżył szok. Czyli uszkodzona została nie tylko szprycha, lecz także sama stacja. Teraz już nikt z tajnej części stacji nie miał szans przedostać się na górę.

- Również część siódmego poziomu, prawda? - Vanderbilt zwrócił się do niskiego, smagłego mechanika, który przedstawił się jako Gordon Stamper.

- Tak. - Stamper pokiwał głową. - Teraz pod wodą jest jakieś sześćdziesiąt procent siódmego poziomu. W ciągu ostatnich pięciu minut woda zalała sale od siedem-dwanaście do siedem-czternaście.

- Wygląda na to, że znaleźliście inną drogę - powiedział Vanderbilt, znowu lustrując ich wzrokiem.

- Też jest już niedostępna - odpowiedział Crane. - Pękła jedna ze szprych ciśnieniowych. Woda zalewa przestrzeń między stacją a kopułą. Wyjście ewakuacyjne na drugim poziomie jest już pod wodą.

- Wiemy o dziurze - rzekł Vanderbilt. - Ekipy naprawcze zostały już wezwane.

- To bardzo duży przeciek - powiedział Crane sceptycznym tonem.

- Dobrze, że mnie pan o tym poinformował - Stamper skrzywił się ironicznie. - Przepraszam, ale muszę wracać do swoich ludzi.

- Proszę o kolejny raport za piętnaście minut - polecił mu Vanderbilt.

Stamper kiwnął głową i odszedł.

- Pan tu dowodzi? - spytał Crane Vanderbilta.

- Tak. Ze wszystkich uczonych na piętrach powyżej ósmego ja zajmuję najwyższe stanowisko.

- A co z wojskowymi?

- Niewielu ich widać. Próbują zamknąć przeciek i uszczelnić stację.

Crane spojrzał, czy Stamper już się oddalił.

- Powiedział pan, że wiecie wszystko o przecieku. Czy wiecie, co go spowodowało?

Uczeni wymienili znaczące spojrzenia. Vanderbilt kiwnął głową.

- Sabotaż.

- Jest pan pewny? - spytał Crane. Kolejna niezręczna przerwa w rozmowie.

- Wydaje się, że Roger Corbett przypadkiem przyłapał sabotażystkę, gdy rozkładała ładunki semteksu.

- Sabotażystkę? Czyli to kobieta?- Michele Bishop.

Hui Ping gwałtownie sapnęła.

- Nie - zaprotestował Crane. - To niemożliwe.

- W trakcie konfrontacji z Bishop Corbett zdołał ukradkiem zadzwonić do swojego stażysty, Bryce'a. Ten słyszał ich rozmowę. Bishop sama to przyznała.

Za dużo się zdarzyło w zbyt krótkim czasie, żeby Crane mógł przyjąć to do wiadomości. Poczul dreszcze, których przyczyną nie było bynajmniej mokre ubranie. Michele? Nie, to po prostu niemożliwe.

- Gdzie oni są? - spytał odruchowo.

- Oboje zostali na ósmym poziomie. Przypuszczalnie zginęli w wyniku wybuchu.

Crane uświadomił sobie, że nie może o tym myśleć. W każdym razie nie teraz. Ogromnym wysiłkiem woli skoncentrował się na panującej sytuacji. Wziął głęboki oddech.

- Przeciek nie jest jedynym problemem. Zapewne nawet nie najważniejszym.

- Jak rozumiem, przyszedł pan tutaj, żeby nas o tym poinformować.

Crane spojrzał po zebranych.

- Kto z was ma klauzulę dostępu do poufnych informacji? Dwaj - w tym Vanderbilt - unieśli ręce.

Mimo znużenia i szoku Crane zdał sobie sprawę, że zamierza złamać wszelkie reguły tajności, których miał solennie przestrzegać. W tym momencie nic go to nie obchodziło.

Szybko naszkicował sytuację: prawdziwy cel wykopalisk, problemy medyczne i ich rozwiązanie, podejrzenia Ashera, odczytane wiadomości, WIPP. Hui wyjaśniała różne szczegóły i uzupełniała relację swoimi obserwacjami. Mówiąc, Crane jednocześnie przypatrywał się twarzom słuchaczy. Dwaj, którzy mieli dostęp do tajnych danych, kiwali głowami, tak jakby ich podejrzenia zostały potwierdzone. Inni wydawali się zdumieni, a nawet sceptyczni.

- Korolis przejął dowództwo wojskowe - zakończył Crane. - Nie wiem, co stało się z admirałem Spartanem. Korolis jest obecnie w Bili Trzy. Uparł się, żeby przeniknąć przez Moho. Jak rozumiem, to może nastąpić w czasie tej zmiany, praktycznie w każdej chwili.

- Co zatem pan sugeruje? - spytał Vanderbilt.

- Musimy nawiązać kontakt z powierzchnią z AmShale lub lepiej z Pentagonem. Dotrzeć do ludzi na dostatecznie wysokich stanowiskach, żeby mogli powstrzymać to szaleństwo.

- Będzie to trudne.

- Dlaczego? - Crane spojrzał na oceanografa.

- Nie ma łączności z powierzchnią. Już próbowałem.

- Co się stało?

- Stacja łączności z powierzchnią jest na siódmym poziomie. Zalana.

- Cholera - mruknął Crane. Przez chwilę wszyscy milczeli.

- Kapsuła ewakuacyjna - powiedziała wreszcie Ping. Wszyscy na nią spojrzeli.

- O czym pani myśli? - ktoś spytał.

- Skoro nie możemy nawiązać łączności, musimy przekazać wiadomość osobiście.

Tym razem cisza trwała znacznie krócej.

- Ping ma rację - odezwał się jeden z uczonych. - Nie możemy tutaj zostać. Jeśli to, co powiedział Crane jest prawdą, musimy się ewakuować.

- Jest jeszcze jeden problem - dodała Ping. - Jeśli nie uda się zlikwidować przecieku, to poziom wody na zewnątrz stacji szybko wzrośnie.

- Stacja nie jest dostosowana do ciśnienia na takiej głębokości. Zostanie zgnieciona.

- W kapsule zmieści się ze sto osób - ocenił Vanderbilt. - Spokojnie starczy miejsca dla wszystkich z górnych poziomów.

- A co z ludźmi poniżej, w tajnej części stacji? - spytał Crane.

- Jest to jeszcze jeden powód, żeby jak najszybciej wypłynąć na powierzchnię - odrzekł Vanderbilt. - Łączność jest zerwana. Im szybciej dostaniemy się na górę, tym szybciej będzie można zorganizować akcję ratunkową.

Crane rozejrzał się dokoła. Wszyscy kiwali głowami na zgodę.

- Postanowione - oświadczył Vanderbilt. - Zaczynamy zatem przechodzenie personelu do kapsuły. Potrzebuję paru ochotników, żeby sprawdzić, czy na poziomach od dziewiątego do jedenastego nie ma jakiś maruderów.

- Biorę dziewiąty poziom - zgłosił się Crane. - Znam go lepiej niż pozostałe dwa.

- Dobra - zgodził się Vanderbilt. - Spotkajmy się tutaj jak najszybciej.

Crane zwrócił się do Ping.

- Pomożesz ładować ludzi do kapsuły? Kiwnęła głową.

- Zaraz wrócę. - Crane uścisnął jej ramię, po czym obrócił się i wybiegł z sali.

57

W Bili Trzy było gorąco i śmierdziało potem.

- Panie komandorze - odezwał się Rafferty, przekrzywiając głowę.

Korolis oderwał wzrok od przyrządów i spojrzał na inżyniera.

- Czujniki rejestrują anomalię w kolejnej warstwie skalnej.

- Gdzie?

- Niecałe dwa metry poniżej tarczy wiertniczej.

- Jak się sprawuje tarcza?

- Trochę kaprysi. Przy co drugim pakiecie danych nie zgadza się suma kontrolna.

- Zwolnijcie do połowy normalnej prędkości - polecił Korolis. - Nie chcę dziś żadnej awarii.

- Tak jest, panie komandorze.

- Czy wiadomo coś więcej o tej anomalii?

- Jeszcze nie, panie komandorze. W wodzie jest zbyt dużo rozkruszonej skały, musimy się zbliżyć.

- A ultrasonograf?
- Zbyt duże zakłócenia z dołu.

Korolis roztarł palcami skronie. W myślach przeklinał ograniczenia sprzętu. Im bardziej zbliżali się do anomalii, tym gorzej sprawowały się instrumenty pomiarowe.

Komandor starł pot z czoła i przycisnął oczy do gumowej osłony ekranu zewnętrznego wizjera. Naciśnięciem guzika na konsoli włączył reflektor pod Bilą. Na ekranie natychmiast pojawiło się prawdziwe tornado wody i skalnych drobin. Tarcza wiertnicza wciąż kruszyła skały, a rura ssąca odprowadzała urobek z szybu, co sprawiało, że woda była zupełnie mętna. Cholera, zaklął Korolis. Wyłączył reflektor i odsunął głowę od wizjera. Niecierpliwie stuknął palcami o drążek sterowniczy.

Z zewnątrz dobiegł ich przytłumiony huk, tak jakby pochodził z wielkiej odległości. W rzeczywistości to doktor Flyte osadził w szybie kolejny stalowy pierścień.

- Bila Trzy, tu kontrola zanurzenia - odezwał się głośnik. Korolis sięgnął po mikrofon.
- Tu Bila Trzy, słucham.
- Mamy raport o wybuchu, panie komandorze.
- Proszę meldować.
- Nastąpił przeciek w północnej szprysze ciśnieniowej.
- Stan stacji?
- Ósmy poziom całkowicie zalany, przejście niemożliwe. Prawie pięćdziesiąt procent siódmego poziomu również zalane.

- Siódmego poziomu? To niemożliwe, przecież każdy poziom jest szczelnie odgradzony od sąsiednich.

- Tak, ale z powodu lokalizacji przecieku, woda może się przedostawać przewodami wentylacyjnymi. Według raportu, przyczyną przecieku był...

- Co robią ekipy naprawcze? Czy przeciek został już zamknięty?

- Udało się zamknąć grodzie poniżej i powyżej przecieku. Woda przestała przedostawać się do środka.

- Dobra robota.

- Szybko wzrasta jednak poziom wody między stacją a kopułą, panie komandorze. Jeśli jeszcze jakieś pomieszczenia na siódmym poziomie zostaną zalane, zagrozi to barierze.

Korolis znowu poczuł bolesne pulsowanie w głowie.

- Wobec tego trzeba jak najszybciej załatać przeciek w szprysze - powiedział.
- Panie komandorze...

- Nie chcę słyszeć żadnych usprawiedliwień. Ściągnijcie tyle ekip naprawczych, ile potrzeba. Wykonać.

- Panie komandorze - wtrącił się Rafferty.

- Proszę poczekać - warknął Korolis do mikrofonu. Spojrzał na inżyniera. - Tak, doktorze?

- Detektory wykryły zbliżający się do nas obiekt.

- Skąd?

- Trudno określić, panie komandorze. Przed minutą jeszcze nic nie było widać. Pojawił się przed chwilą.

- Strażnicy? - spytał Korolis. Zamrugał kilka razy.

- Nie wiadomo. Jeśli tak, to znacznie więksi niż dotychczas. Poruszają się bardzo szybko.

Korolis znowu przycisnął twarz do wizjera i włączył reflektor.

- Proszę wyłączyć tarczę wiertniczą - polecił. - Przez ten pył nic nie widać.

- Tak jest. Wyłączyć tarczę wiertniczą.

Korolis spojrział przez wizjer. Tuman osadów i skalnych drobin powoli osiadał. Nagle ich zobaczył, niczym zjawy wyłaniające się z mgły.

Dwaj. Mieli taki sam nieopisany wygląd zewnętrzny, jak ich mniejsi bracia na stacji: oszalałymi, nieziemski kalejdoskop kolorów, bursztynowego, szkarłatnego, hiacyntowego i tysięcy innych. W podwodnych ciemnościach świecili tak jasno, że groziło to przeciążeniem detektorów CCD w karnierach. Strażnicy byli jednak znacznie więksi - mieli ponad metr długości, błyszczące krystalicznie ogony, którymi bili na boki, oraz kilkanaście czułek, rozciągniętych we wszystkie strony. Zatrzymali się nieco poniżej, po obu stronach Bili. Korolisowi szczęka opadła ze zdumienia. Przyglądał się, jak leniwie unoszą się w wodzie, tak jakby na coś czekali.

Komandor nigdy jeszcze nie widział nic tak pięknego. Czuł, że pod ich czarodziejskim wpływem przestaje go boleć głowa i znika nieprzyjemne poczucie gorąca.

- Przyszli nas powitać - szepnął.

- Panie komandorze? - odezwał się kontroler zanurzenia.

Korolis zmusił się, żeby oderwać oczy od wizjera. Natychmiast znowu poczuł ból głowy, tak silny, że niemal zwymiotował. Z wściekłością podniósł mikrofon.

- Słucham? - warknął gniewnie.

- Panie komandorze, jest jeszcze jedna sprawa, o której powinien pan się dowiedzieć. Otrzymaliśmy meldunek z górnych poziomów. Wydaje się, że grupa uczonych mobilizuje się do akcji.

- Do akcji?

- Tak. Zwołują personel i kierują ludzi do kapsuły ewakuacyjnej. Najprawdopodobniej planują masową ewakuację.

Flyte rozpromienił się z radości.

- Szarooka Ateno, ześlij im sprzyjające wiatry - zaintonował cicho.

Korolis go zignorował. Przybliżył mikrofon do ust.

- Nikt nie opuści stacji, gdy ja tu dowodzę - powiedział, kontrolując ton głosu. - Czy bosman Woburn ma swoich ludzi na górnych poziomach?

- Tak, panie komandorze. Są na klatkach schodowych na ósmym poziomie. Pomagają opanować sytuację.

- No, to niech się tym zajmą. Bez odbioru.

- Tak jest, panie komandorze. - Głośnik zaskrzypiał i zamilkł.

- Odległość do anomalii? - Korolis zwrócił się do Rafferty'ego.

- Metr, prosto pod tarczą.

- Czy można stwierdzić, co to takiego?

- Sprawdzam. - Inżynier pochylił się nad przyrządami. - Wydaje się, że to jakiś bardzo gęsty materiał.

- Rozmiary?

- Nieznane. Rozciąga się we wszystkich kierunkach.

- Może to nowa warstwa geologiczna?

- Mało prawdopodobne, panie komandorze. Powierzchnia jest bardzo regularna.

Bardzo regularna. Metr niżej. Korolis poczuł gwałtowne uderzenia serca. Znowu wytarł pot z czoła i zwilżył wargi.

- Status systemu strumieni powietrznych?

- Gotowy do działania.

- Doskonale. Proszę skierować tarczę wiertniczą w bok, żeby wydrążyła horyzontalny tunel. Następnie skierujemy tarczę i Chrząszcza do tunelu oraz rozłożymy ramię stabilizatora.

- Tak jest, panie komandorze.

Korolis spoglądał na zmianę na inżyniera i doktora Flyte'a. Po chwili bez słowa przycisnął twarz do okularu wizjera.

Sprawdzenie dziewiątego poziomu zajęło Crane'owi dwadzieścia minut. Centrum socjalne, normalnie pełne życia przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, teraz przypominało miasto widmo. Kino zmieniło się w cmentarz pustych krzeseł, z biblioteki znikli czytelnicy. Sklep był zamknięty, światło w środku zgaszone. Również przy stolikach kawiarni nikt nie siedział. Crane znalazł jednego śpiącego pracownika centrum multimedialnego i samotnego laboranta w klinice, dokąd poszedł po przenośną apteczkę. Obu natychmiast odesłał na dwunasty poziom.

Zajrzał do pralni - nie było tam nikogo. Przy okazji wziął jeszcze jeden ręcznik. Następnie wrócił na Times Square i po raz ostatni rzucił okiem na wystawy sklepowe i kawiarnię. Cisza była niesamowita. W powietrzu unosił się zapach kawy, z głośników w kawiarni dobiegała muzyka, ale Crane słyszał również szmer dochodzący z ósmego poziomu. Przypomniała mu się służba na okręcie podwodnym i dziwne - niemal złowieszcze - skrzypienie zbiorników balastowych podczas napełniania ich wodą morską.

Gdy szedł po schodach, znowu pomyślał o Michele Bishop. Nie chciał uwierzyć, że to ona była sabotażystką. Z drugiej strony zdał sobie sprawę, że to zapewne jedyne wyjaśnienie, dlaczego nie zwołała uczonych, dlaczego nie oddzwoniła do niego, tak jak obiecała. Crane pomyślał, że kiedyś może spróbuje zrozumieć jej motyw, ale teraz nie wiedział nawet, od czego zacząć.

Przypomniał sobie ich ostatnią, krótką rozmowę telefoniczną. „Spartan nie chce przerwać drażenia szybu?” - spytała. Teraz było dla niego całkowicie oczywiste, że nie chciała tylko zaspokoić ciekawości.

Korytarze na dwunastym poziomie już też opustoszały. Wszyscy zgromadzili się w dużej sali obok doku kapsuły ewakuacyjnej. Gdy Crane tam wszedł, zobaczył kilkadziesiąt osób czekających w kolejce przy metalowej drabinie zamocowanej do przeciwległej ściany. Drabina nikła w ciężkim włazie w suficie. Docierająca z góry niebieska poświata nadawała drabinie widmowy wygląd.

Vanderbilt stał na dole i dyrygował ludźmi wchodzącymi na pokład. Towarzyszyła mu Hui Ping. Podeszli do Crane'a.

- Znalazł pan kogoś? - spytał Vanderbilt.

- Dwóch.

- To już wszyscy. - Ocanograf kiwnął głową. - Skończyliśmy sprawdzać pozostałe poziomy.

- Ewakuujemy się ze stacji, żeby sprowadzić pomoc - odpowiedział mu Crane.
- Nie będzie żadnej ewakuacji. Wszyscy mają wysiąść i wrócić na swoje stanowiska, a kapsuła ma zostać zabezpieczona.
- Na czyj rozkaz? - spytał Vanderbilt.
- Komandora Korolisa.
- Korolis jest chory - powiedział Crane.
- Ze wszystkich obecnych ja zajmuję najwyższe stanowisko - rzekł Vanderbilt. -
Dolne poziomy są odcięte, wobec tego ja tu dowodzę. Ewakuacja będzie kontynuowana.
Komandos wycelował broń w ich kierunku.
- Mam swoje rozkazy - powiedział beznamiętnym tonem. - Wszyscy mają wysiąść z kapsuły. Dobrowolnie lub nie.

Crane zerknął na lufę karabinu, po czym spojrzał komandosowi w oczy. Wydawały się zupełnie lodowate. Crane nie miał wątpliwości, że nie była to pusta groźba.

Kobieta na drabinie skamieniała z przerażenia. Powoli, cicho płacząc, zaczęła schodzić.

59

Crane ocenił sytuację. Żołnierz stał przy drzwiach, pięć metrów od niego.

Crane zacisnął pięści. Zupełnie nieświadomie przyjął pewien plan. Zerknął na Vanderbilta. Wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Oceanograf niemal niezauważalnie kiwnął głową.

Crane znowu skupił wzrok na karabinie. Wiedział, że nim zdąży podbiec do żołnierza i wyszarpnąć mu broń, ten go zastrzeli. Gdyby jednak udało mu się odwrócić jego uwagę, Vanderbilt miałby szansę się zbliżyć...

Zrobił krok do przodu.

Komandos zwrócił się w jego stronę. Patrzył na Crane'a nieco rozszerzonymi oczami, tak jakby wyczuł niebezpieczeństwo. Szybko podniósł karabin.

W tym momencie na korytarzu pojawił się jakiś mężczyzna.

- Odłóż broń! - krzyknął. Crane poznał dobrze znany głos.

Żołnierz odwrócił się w stronę wejścia. W drzwiach stał admirał Spartan. Z wielkiej rany na czole ciekła krew, a górna część munduru była cała czerwona. W prawej ręce trzymał ciężki pistolet. Był blady, ale wydawał się zdeterminowany.

- Powiedziałem, odłóżcie broń, żołnierzu - powtórzył spokojnie.

Przez chwilę nikt się nie ruszał. Nagle komandos szybko obrócił karabin w stronę Spartan, ale admirał jednym płynnym ruchem podniósł pistolet i strzelił pierwszy. Huk wystrzału w zamkniętym pomieszczeniu był ogłuszający. Żołnierz zatoczył się do tyłu, upuścił karabin i przewrócił się na podłogę. Kobieta na drabinie krzyknęła z przerażenia.

Spartan stał nieruchomo, wciąż celując w żołnierza leżącego nieruchomo na podłodze. Wreszcie zrobił krok naprzód, podniósł karabin szturmowy i zwrócił się do Crane'a. Vanderbilt pomógł uczonej wejść na drabinę, po czym gestem wezwał Hui, żeby zaczęła się wspinać.

- Gdzie pan był? - spytał Crane.

- Zamknięty w swojej kabinie.

- Jak się pan wydostał?

Admirał pokazał mu pistolet i krzywo się uśmiechnął.

- Wie pan, co się stało?

- Wiem już dość. Czy wszyscy są w kapsule?

- Wszyscy z poziomów od dziewiątego do dwunastego. W sumie sto dwanaście osób.

Ósmy poziom jest całkowicie zalany. Nikt z dolnych poziomów nie zdoła się przedostać.

Na twarzy Spartan pojawił się grymas cierpienia.

- Musi pan koniecznie jak najszybciej zabrać stąd tych ludzi.

- W pełni się z panem zgadzam. Wsiadajmy na pokład.

- Ja zostaję. - Admirał pokręcił głową.

- Nie może pan. Nie ma żadnych gwarancji, że ratunek nadejdzie w porę. Poza tym Korolis jest właśnie w Bili Trzy. W każdej chwili może dotrzeć do Moho. Bóg jeden wie, co się wtedy stanie.

Spartan wskazał pistoletem zabitego żołnierza.

- Za chwilę nadejdą następni. Zatrzymają kapsułę, uniemożliwią ewakuację. Nie mogę do tego dopuścić.

- Ale... - zaprotestował Crane.

- To rozkaz, doktorze. Ma pan uratować tyłu, ilu pan zdoła. Proszę wejść na pokład.

Crane jeszcze chwilę się wahał, ale zaraz stanął na baczność i zsalutował. Spartan odsalutował z zimnym uśmiechem na twarzy. Crane szybko obrócił się w stronę drabiny. Vanderbilt już był w połowie.

- Doktorze? - krzyknął Spartan. Crane obejrzał się za siebie.

Spartan wyciągnął z kieszeni wizytówkę.

- Gdy będzie pan na platformie, proszę zadzwonić do tego człowieka i wszystko mu powiedzieć.

Crane spojrział na wizytówkę z wytłoczonym godłem Departamentu Obrony. *ColinMcPherson, (203) 111-1011*. Nazwisko i numer, to wszystko.

- Tak jest, panie admirale.

- Powodzenia.

Crane kiwnął głową na pożegnanie. Szybko wspiął się po drabinie i zniknął we włazie. Znalazł się w wąskiej, pionowej rurze, oświetlonej wpuszczonymi w ściany niebieskimi diodami. Po obu stronach drabiny ciągnęły się jakieś przewody. Nagle usłyszał stłumiony brzęk metalu - to Spartan zamknął dolny właz.

Crane pokonał jeszcze dwadzieścia pięć szczebli i przecisnął się przez grubą obręcz, stanowiącą wejście do kapsuły. Okrągłe, niskie wnętrze miało kształt łąy. Półmrok rozpraszały tylko takie same niebieskie diody, jak w rurze łączącej stację z kapsułą. Gdy jego oczy dostosowały się do kiepskiego oświetlenia, zobaczył dwa pierścienie ławek, ustawionych wokół ścian - tylny nieco wyżej od przedniego. Przed ławkami ciągnęły się poręcze. W ławkach tłoczyli się pracownicy stacji. Niektórzy trzymali się za ręce. W kapsule było cicho jak w świątyni; ludzie prawie się nie odzywali, najwyżej coś szeptali. Crane dostrzegł znane twarze. Bryce, stażysta z kliniki. Gordon Stamper, mechanik i ratownik. Laboranci, piekarze, mechanicy, bibliotekarze, ekspedienci, kelnerzy - był to prawdziwy przekrój społeczny pracowników stacji, pracował z nimi, leczył ich lub po prostu widywał w ciągu ostatnich kilku tygodni.

Rzuciła się w oczy nieobecność Rogera Corbetta i Michele Bishop.

Po prawej stronie od wejścia znajdował się niewielki pulpit sterowniczy, przy którym siedzieli Vanderbilt i jakiś technik. Vanderbilt wstał i podszedł do niego.

- Admirał Spartan? - spytał.

- Został - odpowiedział Crane.

Vanderbilt kiwnął głową. Ukląkł i starannie zamknął właz. Dał sygnał technikowi, który siedział przy konsoli. Rozległ się niski dźwięk bączka.

- Zaczynamy manewr odbijania - oznajmił technik. Vanderbilt wstał i wytarł ręce o fartuch.

- Odliczanie trwa pięć minut. Tyle potrzeba na wszystkie czynności - powiedział.

- A jak długo trwa wynurzanie?

- Osiem minut od odłączenia się od stacji. Przynajmniej w teorii.

Crane poprawił apteczkę na ramieniu i ruszył na obchód, żeby sprawdzić, czy ktoś nie potrzebuje pomocy. Gdy skończył, wrócił do pulpitu przy podstawie kapsuły. Hui Ping siedziała za Vanderbiltem. Gdy Crane usiadł obok, uśmiechnęła się do niego. Wypadło to dość blado.

- Gotowa - spytał.

- Nie.

W pokrywie wjazdu znajdował się niewielki iluminator, taki jak ten, przez który Crane wyglądał na zewnątrz podczas zjazdu na stację batyskafem. Spojrzał w dół. W bladym, niebieskim świetle widać było drabinę sięgającą do zamkniętego wjazdu do stacji.

- Jeszcze dwie minuty - powiedział technik przy konsoli. - Mamy dobre ciśnienie.

- Zastanawiałam się nad czymś - odezwała się Hui, przesuając się na ławce.

- Wal - powiedział Crane, masując obolałe ramiona.

- Pamiętasz, co mówiłeś o zabezpieczeniach w WIPP i górze Ocotillo? Stosuje się tam dwa rodzaje zabezpieczeń, które mają zapewnić, żeby nikt, celowo lub przypadkiem, nie dostał się do magazynu odpadów promieniotwórczych. Pasywne i aktywne.

- Zgadza się.

- Rozumiem, co to są środki pasywne. Znaki ostrzegawcze, obrazy, sygnały i tak dalej. Na czym jednak miałyby polegać działanie środków aktywnych?

- Nie wiem. Na tej konferencji niewiele o nich mówiono, ktoś tylko wspomniał, że istnieją. Przypuszczam, że to jeszcze jedna tajna sprawa. - Crane spojrział na nią. - Dlaczego pytasz?

- Te żetony, które znaleźliśmy drążąc szyb w kierunku Moho, zgodnie z twoją klasyfikacją należy uznać za środki pasywne. Po prostu emitują sygnały ostrzegawcze. Zastanawiam się, czy ci kosmici zastosowali również jakieś środki aktywne.

- Nie wiem - powoli odpowiedział Crane. - To bardzo dobre pytanie.

- Jedna minuta - mruknął technik.

Zapadła cisza. Crane wyraźnie słyszał, docierające tu przez grube pokrywy wjazdów, ostre trzaski wystrzałów z karabinów automatycznych.

60

Tarcza wiertnicza i Chrząszcz zostały umieszczone w bocznym tunelu. Po rozłożeniu stabilizatora Bila Trzy zawisła nieruchomo bezpośrednio nad anomalią. Te końcowe manewry ćwiczyli wielokrotnie na symulatorze; teraz zostały wykonane bez najmniejszego błędu. Od

tej chwili postępowali jak chirurdzy, używając tylko cybernetycznych wysięgników manipulacyjnych i strumieni sprężonego powietrza. W Bili zapadła grobowa cisza.

- Jeszcze raz - szepnął Korolis. - Tylko delikatnie.

- Tak jest, panie komandorze - odpowiedział szeptem Rafferty.

Trzej członkowie załogi porozumiewali się spojrzeniami i krótkimi mruknięciami. Napięcie i podniecenie udzieliło się nawet doktorowi Flyte'owi. Korolis wytarł z twarzy pot i znowu przycisnął twarz do wizjera. W Bili panowała uroczysta atmosfera, tak jakby byli archeologami i otwierali święty grób. Korolis nie czuł już pulsującego bólu głowy, a z jego języka znikł dziwny, metaliczny osad.

Inżynier wypuścił jeszcze jeden podmuch sprężonego powietrza. W żółtym świetle reflektora widać było burzę skalnego pyłu. Rura odsysająca szybko usunęła zawiesinę.

- Ostrożnie - mruknął Korolis. - Jaka jest odległość?

- Jesteśmy tuż obok, panie komandorze - odpowiedział Rafferty.

Korolis znowu przycisnął oczy do okularu wizjera.

- Jeszcze jeden strumień - polecił.

- Tak jest.

Korolis przyglądał się, jak strumień powietrz omiata dno wydrążonego otworu. Dwaj strażnicy wisieli w wodzie po bokach, cały czas wachlując błyszczącymi ogonami i leniwie machając długimi czułkami. Sprawiali wrażenie, jakby oglądali widowisko. Czemu nie? Przecież właśnie tu było ich miejsce. Mieli być nie tylko świadkami jego triumfu, lecz także pomóc mu zorientować się w technicznych skarbach, jakie tu czekały. To nie przypadek sprawił, że znalazł się tu podczas najważniejszego zanurzenia Bili: tak zrządziło przeznaczenie.

- Jeszcze raz - szepnął.

Kolejny podmuch i kolejna szara burza. System odsysający usunął pył i woda znów stała się przezroczysta. Korolis mocniej zacisnął ręce na rączkach wizjera.

Ciszę przerwał głos kontrolera.

- Bila Trzy, tu kontrola zanurzenia. Bila Trzy, tu kontrola zanurzenia. Proszę, potwierdź...

Nie odrywając oczu od wizjera, Korolis podniósł rękę i zgasił głośnik. Na dnie pojawiło się coś nowego - jakaś błyszcząca powierzchnia, podobna do wypolerowanej metalowej płyty.

- Niech pan dmuchnie jeszcze raz - powiedział Korolis. - Tylko delikatnie, doktorze.

- Tak jest, panie komandorze.

Sprężone powietrze uniosło z dna chmurę szarych i brązowych drobin. Gdy woda znów stała się przejrzysta, Korolis otworzył szeroko usta.

- Boże! - westchnął. Strumień powietrza odsłonił gładką, szklistą powierzchnię na dnie szybu. Wyglądało to tak, jakby ktoś zdmuchnął pył z blatu biurka. Miał wrażenie, że teraz spogląda w nieskończenie głęboką, czarną studnię. Światło reflektora odbijało się od szklistej powierzchni, ale Korolisowi wydawało się, że widzi jakieś dziwne źródło światła poniżej jasnej aury wokół otworu.

Strażnicy po obu stronach Bili Trzy zaczęli zdradzać oznaki zdenerwowania. Teraz nie wisieli już spokojnie w wodzie, lecz poruszali się gwałtownie w poprzek szybu.

- Niech pan zgasi reflektor - polecił Korolis.

- Słuchani? - zdziwił się Rafferty.

- Proszę zgasić światło.

Reflektor zgasł. Teraz Korolis widział wyraźniej.

Wisieli nad ogromną wnęką, zamkniętą szklistą powierzchnią - udało się im odsłonić tylko jej mały fragment. Korolis nie był pewny, czy wnęka jest pusta w środku, czy wypełnia ją ten szklisty materiał. Atlasowa czerń wyraźnie sugerowała ogromną głębokość.

Nie... w głębi wnęki pojawiło się słabe światełko. Korolis wstrzymał oddech. Światło powoli stawało się coraz jaśniejsze.

Zbliżało się do nich.

- Panie komandorze! - W zwykle spokojnym głosie inżyniera teraz słychać było napięcie.

- Tak? - Korolis spojrzał na niego.

- Znikły zakłócenia. Przestali nadawać swoje sygnały.

- Czy ma pan znowu pełną kontrolę nad naszymi urządzeniami?

- Tak, panie komandorze. Działają wszystkie urządzenia zdalnie sterowane i detektory, ultrasonograf, magnetometr, wszystko.

Korolis przywarł do wizjera.

- Popisują się przed nami - mruknął.

Światło było już blisko. Korolis zaobserwował zmiany natężenia: nie było to powolne, leniwe falowanie, tak jak świecili strażnicy, lecz ostre pulsacje. Nigdy jeszcze nie widział takiego koloru, metalicznego błysku, tak jakby czarne światło odbijało się od klingi. Miał wrażenie, że mógłby je nie tylko zobaczyć, lecz także poczuć jego smak. Było to dziwnie niepokojące odczucie. Z jakiegoś powodu włosy zjeżyły mu się na karku.

- Panie komandorze! - odezwał się Rafferty. - Od kiedy ożyły detektory, rejestrują dochodzące z dołu promieniowanie.

- Jakiego rodzaju, doktorze?

- Z całego zakresu widma. Radiowe, podczerwień, nadfiolet, gamma. Detektory wariują. Nie mogę rozpoznać widma.

- Niech je pan zanalizuje.

- Tak jest, panie komandorze. - Inżynier włączył niewielki komputer przymocowany do konsoli i zaczął wczytywać dane.

Korolis wrócił do wizjera. Dziwny, świecący obiekt nadal zbliżał się do nich, wyłaniając się z głębokiej czerni. Jego dziwny kolor jeszcze się pogłębił. Miał kształt torusa i emitował pulsujące światło. Korolis z otwartymi ustami przypatrywał się temu niezemskiemu zjawisku. Nagle przypomniał sobie dawno zapomniane zdarzenia z dzieciństwa. Miał osiem lat, gdy rodzice zabrali go do Włoch. Wysłuchali mszy celebrowanej przez papieża w Bazylice św. Piotra. Gdy Ojciec Święty podniósł hostię, Korolis poczuł niemal elektryczny wstrząs. Przepych spektaklu sprawił, że po raz pierwszy głęboko zrozumiał jego znaczenie. Stojąc przy tabernakulum, papież oferował im najwspanialszy dar, jaki istnieje we wszechświecie: świętą tajemnicę hostii.

Rzecz jasna instytucjonalna religia już od dawna nie miała dla niego żadnego znaczenia, ale patrząc na ten cudowny, lśniący obiekt, Korolis czuł taką samą mieszaninę emocji. Należał do wybrańców. Oto miał przed sobą dar potęgi, najcudowniejszy, jaki umiał sobie wyobrazić.

Zaschło mu w ustach, a na języku znowu poczuł smak miedzi. Doktor Flyte kiwnął głową, przeszedł przez ciasną kabinę i spojrzał przez wizjer. Przez chwilę nic nie mówił. Poruszył szczęką.

- Nie światło, lecz raczej widoczne ciemności - mruknął. Rafferty nagle uniósł głowę.

- Panie komandorze! - wykrzyknął. Korolis spojrzał na niego.

- Musi pan to zobaczyć!

Korolis pochylił się nad ekranem komputera. Dostrzegł dwa wykresy, każdy złożony z niezliczonych, wąskich pionowych linii.

- W pierwszej chwili nie mogłem zidentyfikować widma promieniowania elektromagnetycznego - powiedział Rafferty. - Wydawało mi się zupełnie bezsensowne, niemożliwe.

- Dlaczego? - Korolis spojrzał ukradkiem na wizjer.

- Ponieważ w widmie jest promieniowanie materii i antymaterii.

- To niemożliwe. Materia nie może współistnieć z antymaterią.

- Właśnie. Widzi pan jednak ten obiekt na ekranie? Detektory rejestrują materię i antymaterię. Gdy rozdzieliłem promieniowanie obu składników, dostałem to - Rafferty wskazał ekran.

- Co to jest?

- Promieniowanie Hawkinga, panie komandorze. Doktor Flyte oderwał twarz od wizjera i spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Promieniowanie Hawkinga? - powtórzył Korolis.

Rafferty przytaknął. Na jego czole pojawiły się krople potu, a w oczach dziwny blask.

- To promieniowanie cieplne emitowane przez czarną dziurę.

- Chyba pan żartuje. Inżynier potrząsnął głową.

- Każdy astrofizyk natychmiast rozpoznałby widmo czarnej dziury.

Korolis poczuł, że jego euforia ustępuje miejsca niedowierzaniu.

- Twierdzi pan zatem, że ten obiekt to czarna dziura? Złożona z materii i antymaterii?

To po prostu niemożliwe.

Flyte jeszcze raz wyjrzał przez wizjer. Gdy odwrócił się do nich, jego czarne oczy ostro odcinały się od bladej twarzy.

- *Eheu!* Myślę, że już rozumiem.

- Proszę zatem nam wyjaśnić, doktorze Flyte.

- Panowie, panowie, panowie. Obiekt ten w kształcie torusa to nie jest jedna czarna dziura, lecz układ dwóch.

- Dwóch czarnych dziur? - powtórzył Korolis z jeszcze większym niedowierzaniem.

- Tak, dwóch! Właśnie to powiedziałem. Wyobraźcie sobie dwie czarne dziury - raczej niewielkie, wielkości piłki tenisowej każda - krążące wokół siebie po bardzo ciasnej orbicie. Wirują z ogromną prędkością, zataczając tysiąc lub więcej okrążeń na sekundę.

- Jak utrzymują się na orbicie?

- Nawet ja nie znam odpowiedzi na wszystkie pytania, komandorze. Musi utrzymywać je na orbicie jakaś nieznana siła. Gdy obserwujemy je gołym okiem, wydaje się nam, że widzimy jeden obiekt. Doktor Rafferty wykrył natomiast promieniowanie Hawkinga materii i antymaterii.

- Ponieważ w rzeczywistości są to dwa rozdzielone obiekty - powiedział Korolis.

- To oczywiste. - Rafferty westchnął. - Właśnie tego dowodzą oddzielne widma obu składników układu.

Korolis nagle zrozumiał. To była niewyobrażalnie potężna, ale prosta i elegancka broń. Znowu ogarnęła go fala euforii.

- Dwie czarne dziury - powiedział raczej do siebie niż do nich. - Jedna z materii, druga z antimaterii. Są połączone, choć się nie dotykają. Wystarczyłoby jednak usunąć siłę, która je rozdziela...

- Nastąpiłoby zderzenie i całkowita przemiana materii w energię - dokończył ponuro Rafferty. - Wyzwolona energia na jednostkę masy byłaby większa niż we wszelkich innych procesach znanych nauce.

- Proszę pozwolić mi spojrzeć. - Korolis odsunął Flyte'a od wizjera. Czuł gwałtowne bicie serca, a ręce miał śliskie od potu. Spojrzał z podziwem na pulsujący torus. Gdy wsiadał dziś do Bili, miał nadzieję, że pozna nowy wynalazek, coś tak potężnego, że zagwarantuje to supremację Stanów Zjednoczonych. Sukces przekroczył jego najśmielsze oczekiwania.

- Bomba - szepnął. - Najpotężniejsza bomba we wszechświecie. I mieści się w małym pudełku.

- Bomba? - odezwał się Rafferty. W jego głosie słyhać było nutę niepokoju, nawet strachu. - Panie komandorze, obiekt, który widzimy jako broń, jest całkowicie bezużyteczny.

- Dlaczego? - spytał Korolis, nie odrywając oczu od wizjera.

- Ponieważ takiej broni nie można użyć. Gdyby te dwie czarne dziury kiedyś się zderzyły, siła wybuchu spowodowałaby zniszczenie całego Układu Słonecznego.

Korolis go nie słuchał. Ciemna nieskończoność na ekranie zaczęła się subtelnie zmieniać.

Tam gdzie przed chwilą widział atramentową ciemność, rozpraszaną tylko przez pojedyncze źródło światła, teraz pojawiła się niebieska poświata, jak wczesnym rankiem, jeszcze przed wschodem słońca. Korolis wstrzymał oddech. To nie był jeden obiekt, ale setki - tysiące - pierścieni ułożonych jeden obok drugiego. To te najbliższe emitowały dziwne światło, podczas gdy inne ginęły w ciemnościach, niemal niewidoczne. Między nimi poruszali się strażnicy, nieustannie wymachując czułkami.

Była to niewyobrażalna zdobycz wykraczająca poza wszelkie nadzieje.

Korolis oderwał twarz od wizjera i wierzchem dłoni wytarł pot z twarzy.

- Proszę wrócić na swoje stanowisko - powiedział do Flyte'a. - Niech pan przygotowuje cybernetyczny wysięgnik.

- Słucham? - cybernetyk gwałtownie zamrugał.

- Proszę przygotować wysięgnik. Niech go pan wysunie metr w dół.

- Ależ wtedy dotknie powierzchni...

- I o to chodzi.

Na chwilę zapadła cisza. Pierwszy odezwał się Rafferty.

- Proszę wybaczyć, panie komandorze, ale czy jest pan pewny, że to rozsądna decyzja, biorąc pod uwagę niewątpliwą naturę...

- Chcę dać im znać, że akceptujemy ich dar.

Nikt mu nie odpowiedział. Flyte poszedł na stanowisko, mamrocząc coś po grecku. Chwycił drążek sterowniczy.

Na ekranie Korolisa pojawiło się ramię wysięgnika. Wydłużało się nierówno, szarpanymi ruchami. Ramię wyglądało jak wielki, stalowy palec. Znowu przypomniał sobie odbytą w dzieciństwie podróż do Rzymu. Pamiętał, jak stał i gapił się z otwartymi ustami na fresk Michała Anioła przedstawiający stworzenia Adama: Bóg ma właśnie dotknąć palcem palec Adama. Pierwszy moment życia, początek wszechświata...

Ramię dotknęło szklistej powierzchni, która ugięła się, jakby była zrobiona z żelatyny.

Korolisowi wydawało się, że słyszy cichy śpiew, niski szmer chóru na odległym wzgórzu. To tak wygląda kontakt z wiecznością...

Dwaj strażnicy pływający po obu stronach Bili nagle znikli z pola widzenia. Jeszcze przed chwilą byli, ale teraz pozostały po nich tylko widma i wspomnienia. W głębi wnęki pojawiło się jakieś jasne, złote światło, podobne do małego słońca. W ostrym świetle widać było wszystkie sekrety wnęki. Korolis wziął głęboki oddech - to było coś niesamowitego. Nie mógłby nawet zliczyć wszystkich torusów.

Ten arsenał mógł zniszczyć cały kosmos.

- Jeśli jeden taki torus może rozbić Układ Słoneczny, to po co im były tysiące? - mruknął.

Nikt się nie odzywał.

- Czy wiecie, dlaczego Partenon jest dziś w ruinie? - nagle spytał Flyte.

Pytanie było tak dziwne i zaskakujące, że Korolis wbrew sobie spojrział na niego.

- To przez Turków - wyjaśnił Flyte. Tym razem, wyjątkowo, sprawiał wrażenie, że mówi poważnie. - W osiemnastym wieku zrobili tam skład amunicji. Przypadkowy pocisk spowodował wybuch. To jest taki skład, komandorze. Skład starej broni, pokłóse jakiegoś międzygalaktycznego wyścigu zbrojeń. Coś, co zdecydowanie przekracza nasz poziom techniczny.

- Bzdura - odpowiedział Korolis. - Pewnie rozmawiał pan z Crane'em?

- Obawiam się, że to nie jest bzdura. Nikt nie planował, że to znajdziemy. Tę broń ukryto tutaj, żeby nikt jej nie znalazł i nie użył, ponieważ spowodowałoby to zniszczenie nie tylko Układu Słonecznego, ale i sporej części kosmosu.

- Panie komandorze! - wtrącił się Rafferty. - Rejestruję bardzo dziwne sygnały!

- Jakie sygnały?

- Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Przyrządy wykryły skupisko energii o nieznanym charakterze.

- Skupisko energii?

- Tak. Zbliża się do nas z ogromną prędkością.

- Taki już los ludzkich rodów, jak losy nietrwałych liści - wyrecytował Flyte żałobny tonem. - Jedne na ziemię wiatr zrzuca, a inne wydają rozkwitający las, kiedy zbliża się pora wiosenna.

Korolis wyjrzał przez wizjer. Ostre światło nie przypominało już małego słońca. Śpiew zmienił się w głośny, nieziemski skrzek. Korolis zdał sobie sprawę, że obiekt podobny do słońca zbliża się do nich z dużą prędkością. Nie dostrzegał już bomb i strażników, tylko rozmyte, kolorowe plamy. Błyskawiczny ruch po trajektorii wiodącej do celu skojarzył mu się z widokiem pocisku antyrakietowego. Obiekt był coraz bliżej i już nie przypominał niczego, co Korolis kiedykolwiek widział. Powiększał się błyskawicznie, aż ostre światło wypełniło cały ekran wizjera. Korolis dostrzegł jeszcze języki ognia, podobne do stopionych opiłków metalu...

...obiekt dotknął Bili Trzy. W ciągu niecałej milisekundy ciało i kości komandora wyparowały lub uległy zwęgleniu. Nie zdążył nawet poczuć zdziwienia, lęku i bólu.

61

- Trzydzieści sekund - powiedział technik przy konsoli sterowniczej. - Mamy maksymalną wyporność.

Vanderbilt oderwał oczy od przyrządów pokładowych i rozejrzał się po kapsule.

- Trzymajcie się. To będzie jazda po wybojach. Odgłosy strzelaniny ucichły.

Crane rozejrzał się dokoła. W kapsule panowała zupełna cisza. W niebieskiej poświacie diodowych lamp widać było pełne napięcia twarze.

- Dziesięć sekund - ostrzegł technik.

- Włączony proces katapultowania - powiedział Vanderbilt.

Teraz Crane usłyszał brzęk uderzeń jakimś metalowym przedmiotem w pokrywę dolnego włazu. Echo w rurze wzmacniało efekt. Ktoś w pobliżu zaczął się głośno modlić. Crane chwycił Hui Ping za rękę.

- Katapultujemy się - powiedział technik.

Poculi wstrząs, usłyszeli zgrzyt metalu i kapsuła wystrzeliła do góry jak korek od szampana. Crane czuł, jak przyśpieszenie przyciska go do ławki. Przez iluminator we włazie widać było tylko burzę bąbli oświetlonych reflektorami kapsuły.

W tym momencie usłyszał dziwny, ledwo słyszalny dźwięk. Pochodził gdzieś z dołu. Crane miał wrażenie, że to Ziemia jęknęła z bólu. Kapsuła nagle gwałtownie się zakołysała, co nie miało nic wspólnego z szybką jazdą do góry.

Kabinę wypełniły krzyki i jęki. Hui nagle podniosła rękę do twarzy.

- Moje uszy - powiedziała.

- Skutek zmiany ciśnienia - odpowiedział Crane. - Spróbuj przełknąć ślinę lub ziewnąć. Albo zaciśnij palcami nos, zamknij usta i spróbuj dmuchnąć przez nos. Pomaga to wyrównać ciśnienie w uchu środkowym.

Crane znowu wyrzwał przez iluminator w klapie włazu, żeby sprawdzić, czy widać źródło dziwnego dźwięku. Bąble już się rozeszły; mógł dostrzec zarys kopuły, dobre dwieście metrów poniżej. Światelka wyglądały jak małe gwiazdki na czarnym niebie. W tym momencie światła znikły.

Crane chciał już podnieść głowę, gdy nagle gdzieś w dole eksplodowało światło.

Wybuch był tak silny, że nagle oświetlił cały ocean. Crane przez chwilę widział dno, choć kapsuła znajdowała się trzysta metrów wyżej. Ciągnęło się we wszystkie strony jak szara, księżycowa równina. Niezliczone dziwaczne ryby głębinowe wisiały w wodzie jak sparaliżowane. Po chwili światło stało się zbyt jasne i Crane musiał odwrócić wzrok.

- Do diabła, co to takiego? - wykrzyknął Vanderbilt. Iluminator przypominał teraz potężną żarówkę, której żółte światło wypełniło całą kapsułę. Po paru sekundach światło zaczęło przygasać. Z dołu dochodził do nich huk kolejnych wybuchów, tak jakby ktoś tam urządził gigantyczny pokaz fajerwerków. Crane znowu pochylił się nad iluminatorem. Widok zaparł mu dech w piersiach.

- Boże! - westchnął.

W odbitym od dna świetle dostrzegł zniszczoną kopułę - poszczególne fragmenty rozchyliły się na boki jak skórka banana. Wewnątrz błyskały nieziemskie, czerwone, brązowe i żółte światła: kaskada wybuchów oznaczała całkowitą destrukcję stacji.

Crane nagle dostrzegł potężną falę uderzeniową, która zbliżała się do kapsuły z ogromną prędkością. Wyprostował się na ławce, jedną ręką złapał poręcz, a drugą chwycił Hui za rękę.

- Przygotować się na wstrząs! - krzyknął.

Czekali w napięciu... Ułamek sekundy później fala uderzeniowa gwałtownie szarpnęła kapsułą i niemal przewróciła ją do góry dnem. Rozległy się okrzyki przerażenia. Lampy zgasły; ciemności rozpraszało tylko szybko gasnące żółte światło przedostające się przez iluminator. Crane mocno zaciskał palce na dłoni Hui. Kolejne wstrząsy szarpały nimi na wszystkie strony. Ktoś potoczył się przez całą kapsułę, objając o poręcz. Słychać było jęki, wezwania pomocy. Nagle usłyszał szum wody tryskającej przez jakiś otwór.

- Uszczelnić przeciek! - krzyknął Vanderbilt do technika.

- Co to było? - spytała Hui, przyciskając twarz do ramienia Crane'a.

- Nie wiem. Przypuszczalnie aktywne środki kontroli, o które pytałaś. Korolisa spotkała przykra niespodzianka.

- A... stacja?

- Zniszczona.

- Och nie. Nie, nie. Tam zostało tylu ludzi... - Hui się rozpląkała.

Kapsuła stopniowo odzyskiwała równowagę. Crane rozejrzał się dokoła. Jedni płakali i jęczeli, inni uspokajali wstrząśniętych sąsiadów. Wyglądało na to, że tylko jedna osoba odniosła obrażenia - mężczyzna, który potoczył się po podłodze. Crane delikatnie odsunął Hui i podszedł do niego.

- Jak daleko do powierzchni? - krzyknął do Vanderbilta. Oceanograf pomagał technikowi uszczelnić przeciek.

- Nie wiadomo - odkrzyknął. - Nie ma prądu, wszystkie systemy wysiadły. Wynurzamy się tylko dzięki sile wyporu.

Crane uklęknął przy rannym. Mężczyzna był oszołomiony, ale przytomny. Próbował wstać o własnych siłach. Crane pomógł mu usiąść i szybko opatrzył brzydką ranę na czole i stłuczony łokieć. W kapsule było zupełnie ciemno. Crane wrócił do Hui. Woda na podłodze sięgała mu do kostek.

Gdy siadał, ktoś podszedł do niego w ciemnościach.

- Nie możemy uszczelnić przecieku - usłyszał szept Vanderbilta. - Miejmy nadzieję, że zaraz wypłyniemy na powierzchnię.

- Na pewno minęło już osiem minut - wtrącił technik. - Na pewno.

W tym momencie Crane spostrzegł - lub tylko tak mu się wydawało - że ciemności w kapsule zaczęły się przejaśniać. Hui mocniej ścisnęła jego rękę: ona również to zauważyła. Kapsuła zwolniła i zatrzymała się. Kabinę wypełniło światło wpadające przez górne iluminatory.

Wszyscy poczuli, jak kapsuła delikatnie kołysze się na falach. Był to nieomylny znak - wypłynęli na powierzchnię.

Wszyscy zaczęli krzyczeć z radości. Hui płakała, ale Crane wiedział, że teraz są to łzy szczęścia.

Brodząc w wodzie, Vanderbilt podszedł do wjazdu wyjściowego w dachu kapsuły. Nie zdążył go otworzyć - już usłyszeli tupot kroków na dachu. Ktoś przekręcił rączkę i podniósł klapę. Słychać było zgrzyt metalu.

Po raz pierwszy od dwóch tygodni Crane zobaczył słoneczne światło i pogodne błękitne niebo.

62

Potem były liczne pokoje i boksy, jakieś pytania, ktoś zaświecił mu latarką w oczy, ktoś inny zarzucił mu na ramiona gruby płaszcz kąpielowy. Crane miał wrażenie, że we śnie zatoczył pełny krąg - znów był sam w bibliotece na platformie *Król Sztormu*, znów siedział przed tym samym molitorem, co piętnaście dni wcześniej.

Zwilżył wargi. Może to rzeczywiście był sen, może to wszystko się nie zdarzyło. Może to był tylko wytwór jego wyobraźni, który rozpoczął się tak obiecująco, żeby wkrótce mienić się w koszmar. Za chwilę oprzytomnieje i resztki złudzeń rozpadną się jak fasada starego budynku, znowu rządzić będzie rozum i wszystko okaże się tylko iluzją.

Nagle monitor ożył i na ekranie pojawił się wyraźnie męczony mężczyzna w ciemnym garniturze i okularach bez oprawki. Siedział przy politurowanym biurku. Crane wiedział, że to na pewno mu się nie śni.

- Doktorze Crane - odezwał się nieznajomy. - Nazywam się McPherson. Jak rozumiem, admirał Spartan dał panu moją wizytówkę.

- Tak.

- Czy jest pan sam?

- Tak, jestem. - Crane kiwnął głową.

- Może zatem zacznie pan od początku? Proszę niczego nie pomijać.

Crane powoli, systematycznie zrelacjonował wydarzenia ostatnich dwóch tygodni. McPherson głównie słuchał, ale od czasu do czasu zadawał pytania, które zdradzały, że w

większości nie są to dla niego nowiny. Gdy Crane zbliżał się do końca - potwierdzenia teorii Ashera, działań Korolisa, ostatniego spotkania ze Spartanem - McPherson wydawał się jeszcze bardziej znużony. Miał worki pod oczami, garbił się za biurkiem.

Crane skończył i w bibliotece zapadła cisza. W końcu McPherson wrócił do rzeczywistości. Odkaszlnął.

- Dziękuję, doktorze - powiedział i sięgnął ręką do panelu, żeby zakończyć połączenie.

- Chwileczkę - powstrzymał go Crane. McPherson spojrzał na niego.

- Czy może mi pan wyjaśnić, kim byli sabotażyści? Dlaczego chcieli zniszczyć stację?

- Obawiam się, że jest wiele powodów, dla których rozmaici ludzie chcieliby zrobić coś takiego - odrzekł McPherson ze znużonym uśmiechem. - Mogę jednak udzielić panu pewnej odpowiedzi. Śledziliśmy ich łączność, tak jak to zamierzał zrobić Marris, kryptoanalityk Ashera. Godzinę temu aresztowaliśmy współnika Bishop na platformie *Król Sztormu*.

- Tutaj?

- Tak. - McPherson kiwnął głową. - Nie wiemy jeszcze wszystkiego, ale to jakaś grupa fanatyków ideologicznych nastawionych wrogo do Stanów Zjednoczonych i dążących do osłabienia naszego potencjału obronnego. Rekrumją się głównie spośród studentów, podobnie jak Kim Philby, Guy Burgess i inni szpiedzy z Uniwersytetu Cambridge. Młodzi, wrażliwi, podatni na wpływy, z głowami nabitymi szlachetnymi ideami. Można takich łatwo wykorzystać. Nie wiemy, czy byli finansowani przez jakieś państwo, czy przez jakąś organizację, ale nie brakowało im pieniędzy. Niedługo się wszystkiego dowiemy. W każdym razie nie chcieli dopuścić, byśmy zapoznali się z rozwiązaniami technicznymi kosmitów. Przez chwilę obaj milczeli.

- Co dalej? - spytał w końcu Crane.

- Zostaniecie z nami przez kilka dni. Pan, pani Ping i jeszcze kilka osób. Gdy skończycie składać dokładne relacje, będziecie wolni.

- Pytałem o przedsięwzięcie. Co dalej ze stacją?

- Doktorze, to przedsięwzięcie jest już skończone. Stacja nie istnieje. - McPherson zdjął okulary, przetarł oczy i przerwał połączenie.

*

Crane wyszedł z biblioteki na ponury, metalowy korytarz. Minął pokój, w którym grupka ludzi rozmawiała przyciszonymi głosami. W następnym gabinecie jakaś kobieta siedziała przy biurku z rękami złożonymi jak do modlitwy. Obok niego przeszedł technik w laboratoryjnym fartuchu - poruszał się powoli, jakby bez celu.

W końcu korytarza znajdowały się drzwi na zewnętrzny pomost. Crane oparł się o reling i spojrzał na ciągnące się w nieskończoność ciemnoniebieskie morze. Odetchnął morskim powietrzem i wszedł po schodach na najwyższe piętro platformy. Kilkanaście osób ze stacji czekało przy lądowisku, aż helikopter AmShale wróci z Islandii, żeby zabrać kolejną grupę uratowanych. W pewnej odległości od nich stał blady mężczyzna w rogowych okularach, z kajdankami na rękach i nogami skutymi łańcuchem. Pilnowali go dwaj uzbrojeni żołnierze piechoty morskiej.

Na skraju platformy, z dala od innych, stała Hui Ping. Wpatrywała się w horyzont. Słońce już zanurzyło się w fale. Crane podszedł do niej. Przez chwilę oboje milczeli. Na morzu widać było wielką plamę ropy oraz dwa kutry marynarki wojennej, które krążyły między pływającymi na powierzchni szczątkami stacji i od czasu do czasu coś wyławiały.

- Już koniec? - spytała wreszcie Hui.

- Na razie tak.

- Co dalej?

- Przez kilka dni będziemy gośćmi rządu. Potem nas puszczą do domu i będziemy mogli na nowo układać sobie życie.

Hui odgarnęła palcem włosy za ucho.

- Stoję tu i próbuję zrozumieć, co się stało. Myślę, że wiem, dlaczego Bishop zabiła Ashera. Gdy dowiedziała się, że on i Marris odkryli, jak porozumiewa się ze współnikiem, uznała, że nie ma wyboru. Nie chciała, żeby Asher przeszkodził jej w wykonaniu zadania.

- Też tak myślę. Asher powiedział mi, że powiadomił szefów wszystkich wydziałów o konieczności zachowania wzmożonej czujności. Podpisał wyrok śmierci na siebie.

- Jednego tylko nie rozumiem. Dlaczego jeszcze tu jesteśmy?

- O co ci chodzi? - spytał Crane.

- Stacja została zniszczona w wyniku potężnego wybuchu. Oznacza to, że Korolis przekroczył Moho. Jeśli nasza hipoteza była słuszna, to dlaczego Ziemia jeszcze istnieje? - Hui wskazała na niebo. - Dlaczego jeszcze widzę Wenus nad horyzontem?

- Też się nad tym zastanawiałem. Przychodzi mi do głowy tylko jedno wyjaśnienie: że wybuch był skutkiem działania aktywnych środków kontroli, o jakich rozmawialiśmy.

- Czyli wybuch, który zniszczył stację, był wynikiem działania jakiegoś mechanizmu zabezpieczającego.

- Tak. - Crane pokiwał głową. - Mechanizmu, który uniemożliwia wejście do składu. Oczywiście, to straszny wybuch, ale drobiazg w porównaniu z tym, co mogło się zdarzyć.

Zamilkli. Hui wciąż wpatrywała się w horyzont.

- Piękny zachód słońca - powiedziała w końcu. - Wiesz, gdy tam byłam, myślałam, że już nigdy nie zobaczę zachodzącego słońca. A jednak... - Hui westchnęła i potrząsnęła głową.

- Co takiego?

- Czuję pewne rozczarowanie. Nigdy nie poznamy tajemnic technicznych, jakie się tam kryją. To, co zobaczyliśmy... było takie cudowne. Straciliśmy to na zawsze.

Crane zwlekał z odpowiedzią. Odwrócił się plecami do relingu i schował ręce do kieszeni.

- Nie byłbym tego taki pewien - powiedział.

- Dlaczego? - teraz to ona spojrzała na niego ze zdziwieniem.

Crane powoli wyciągnął rękę z kieszeni. Na jego otwartej dłoni leżała niewielka, plastikowa próbówka zamknięta czerwonym korkiem. W środku wisiał leniwie żeton, emitując dziwne promieniowanie kryjące w sobie niezwykłą obietnicę.

EPILOG

Crane opłukał maszynkę do golenia pod strumieniem gorącej wody, przyjrzał się swojej twarzy w lustrze nad umywalką, po czym schował przyrządy toaletowe do kosmetyczki i wrócił do sypialni. Szybko włożył białą koszulę, brązowy krawat i beżowe drelichy. Było to najbardziej cywilne ubranie, jakie można było skompletować w magazynie marynarki wojennej. Wziął z biurka duży czerwony identyfikator i przypiął go do kieszeni koszuli. Raz jeszcze rozejrzał się po pokoju, schował kosmetyczkę do torby i zarzucił ją sobie na ramię. Podobnie jak wszystko co miał na sobie torbę wydał mu kwatermistrz marynarki. Wydawała się lekka jak piórko. Nic dziwnego, pomyślał, skoro była prawie pusta. Wszystkie jego rzeczy zostały na stacji; wziął ze sobą tylko niezwykłego strażnika, a i tego oddał - po dłuższych wewnętrznych deliberacjach - McPhersonowi.

McPherson. Kilka minut temu zadzwonił i poprosił Crane'a, żeby przed udaniem się do administracji wstąpił do niego.

Crane nie wahał się długo. Po raz ostatni obrzucił wzrokiem cały pokój, po czym wyszedł na korytarz. Po chwili był już na dworze. Poczul na twarzy promienie lipcowego słońca.

Crane od trzech dni przebywał w Bazie Marynarki Wojennej imienia George'a Stafforda, trzydzieści kilometrów na południe od Waszyngtonu. Zdążył już dobrze poznać plan niewielkiej, ściśle tajnej bazy. Mrużąc oczy, przeszedł obok garażu i warsztatu, kierując się do szarego, podobnego do hangaru budynku numer siedemnaście. Przy wejściu pokazał

uzbrojonemu wartownikowi identyfikator; była to tylko formalność - w ciągu tych kilku dni bywał tu tak często, że wszyscy wartownicy już go poznawali.

W budynku numer siedemnaście nie było wewnętrznych ścian - hangar przypominał jaskrawo oświetloną salę gimnastyczną. Pośrodku, otoczone liną i strzeżone przez wartownika, leżały wyłowione części stacji przypominającej koszmarną układankę jakiegoś olbrzyma. Większość elementów pozostała na dnie i ze względu na silne skażenie promieniotwórcze wszelkie próby ich wydobycia były wykluczone. Początkowo, gdy Crane pomagał zidentyfikować różne części, przejęła go autentyczna zgroza. Teraz, gdy na to patrzył, czuł tylko smutek.

W końcu hangaru urządzono kilka boksów przeznaczonych na gabinety. Niemal ginęły w ogromnej hali. Crane podszedł do najbliższego i choć nie było drzwi, dla porządku zapukał w ścianę.

- Proszę - usłyszał znajomy głos.

Całe umeblowanie składało się z biurka, stołu konferencyjnego i kilku krzeseł. Hui Ping już siedziała przy stole. Uśmiechnął się do niej. Hui odpowiedziała nieco nieśmiałym uśmiechem i Crane od razu poczuł się lepiej.

Od przyjazdu do bazy spędzali prawie cały czas razem. Spotykali się z uczonymi, oficerami, tajemniczymi panami w czarnych garniturach, odpowiadali na niezliczone pytania, rekonstruowali zdarzenia, wyjaśniali, co się stało. W tym czasie wzmocniła się więź, która połączyła ich już na stacji.

Crane nie wiedział jeszcze, jak będzie wyglądała jego przyszłość - przypuszczał, że zajmie się pracą naukową - ale sądził, że Hui Ping będzie obecna w jego życiu.

McPherson siedział przy biurku i wpatrywał się w ekran komputera. Na jednym końcu biurka leżał stos tajnych dokumentów, na drugim wykresy i wydruki komputerowe. Pośrodku stał przezroczysty sześcian z pleksiglasu, w którym lewitował strażnik.

Crane przypuszczał, że McPherson ma jakieś imię, dom na przedmieściu, rodzinę, ale jeśli rzeczywiście prowadził życie poza bazą, to najwyraźniej je zawiesił, i to na długo. Ilekroć Crane przychodził do budynku numer siedemnaście, McPherson tam był, brał udział w spotkaniach, pisał sprawozdania, konsultował się z naukowcami z marynarki wojennej. Od początku McPherson wydał mu się sztywny, a w miarę upływu czasu narastał dystans między nimi. Ostatnio McPherson maniakalnie oglądał wideo z ostatniego zanurzenia Bili. Crane'owi kojarzyło się to z nieustannym macaniem językiem bolącego zęba. Teraz również na ekranie widać było obrazy z ostatnich chwil Bili. Crane zastanawiał się, czy przypadkiem McPherson

nie był odpowiedzialny za stację. Może groziły mu jakieś konsekwencje z powodu niepowodzenia?

- Mogę usiąść? - spytał.

McPherson jeszcze przez minutę nie mógł oderwać oczu od ekranu. W końcu obrócił się ku niemu.

- Bardzo proszę - powiedział. Spojrzał na niego i na Hui. - Czy państwo już się spakowali?

- Nie wymagało to dużo czasu - odpowiedziała Hui.

- Wszystkie formalności załatwicie w administracji. Zawiozą was samochodem na lotnisko. - McPherson sięgnął do szuflady biurka. Crane przypuszczał, że chodzi o jeszcze jakieś papiery wymagające jego podpisu. Zamiast tego McPherson wyciągnął dwa skórzane foldery i podał je Hui i jemu. - Jeszcze jedna sprawa.

Crane przyglądał się, jak Hui otwiera swój folder. Otworzyła szeroko oczy i wstrzymała oddech.

Zaciekawiony szybko otworzył swój. Wewnątrz był oficjalny dyplom uznania, podpisany nie tylko przez najwyższe dowództwo marynarki, lecz także osobiście przez prezydenta.

- Nie jestem pewny, czy to rozumiem - powiedział.

- A cóż jest tu do zrozumienia, doktorze? Pan i doktor Ping ustaliliście prawdziwy charakter anomalii. Zachowaliście przytomność umysłu, gdy inni zawiedli. Przyczyniliście się do uratowania stu dwunastu osób. Rząd zawsze będzie waszym dłużnikiem.

Crane powoli zamknął folder.

- Czy w tej sprawie chciał pan się z nami spotkać?

- Tak. - McPherson kiwnął głową. - Chciałem się również pożegnać. - Wstał i podał im rękę. - Czekają już na państwa w administracji - zakończył, usiadł przy biurku i znowu wbił wzrok w ekran.

Hui wstała i skierowała się do wyjścia. Zatrzymała się w progu, żeby poczekać na Crane'a, który spoglądał na zmianę na McPhersona i na ekran. Widać było Korolisa pochylonego nad wizjerem, Flyte'a przy drążku sterowym wysięgnika. McPherson ściszył głos, ale mimo to Crane słyszał słowa starego cybernetyka: „To skład starej broni, pokłosie jakiegoś międzygalaktycznego wyścigu zbrojeń”.

- Niech pan da już spokój - powiedział cicho.

- Przepraszam? - McPherson podniósł głowę i spojrzał na niego.

- Powiedziałem, niech pan da już spokój. Sprawa skończona.

McPherson nic nie odpowiedział. Znowu patrzył na ekran.

- To tragedia, ale sprawa jest już zamknięta. Nie ma powodu martwić się, że ktoś spenetruje to miejsce. Skażenie promieniotwórcze jest tak silne, że nikt nie może się tam zbliżyć.

McPherson w dalszym ciągu nie odpowiadał. Wyraźnie coś go męczyło.

- Przypuszczam, że wiem, co pana gryzie - powiedział łagodnie Crane. - Myśli pan o tym, że na naszej planecie ukryty jest skład broni, która może spowodować tak monstrualne zniszczenia. Mnie również to niepokoi. Powtarzam sobie jednak, że ci, którzy stworzyli ten skład, potrafią go również chronić. Potrafią zabezpieczyć go tak, żeby nikt tam nie dotarł. Korolis chciał się o tym przekonać, zapłacił więc wysoką cenę. Wideo jest tego najlepszym dowodem.

McPherson poruszył się na krześle. Wyglądało na to, że podjął w myślach jakąś decyzję. Spojrzał na Crane'a.

- Nie to mnie męczy.

- Zatem co?

McPherson przysunął do siebie klawiaturę i wstukał instrukcję. Cofnął nagranie. Przez ekran w błyskawicznym tempie przelatowały postacie poruszające się do tyłu. Po chwili zatrzymał przewijanie i nacisnął „play”. Crane słuchał rozmowy: „dwie czarne dziury... krążące wokół siebie po bardzo ciasnej orbicie. Wirują z ogromną prędkością... Jedna z materii, druga z antymaterii. Wystarczyłoby jednak usunąć siłę, która je rozdziela... siła wybuchu spowodowałaby zniszczenie całego Układu Słonecznego...”.

McPherson nagle zatrzymał odtwarzanie. Wyciągnął z pudełka chusteczkę higieniczną i wytarł oczy.

- My również mamy składy starych głowic jądrowych - powiedział cicho.

- Takie jak góra Ocotillo. Asher interesował się tym składem, dlatego...

- Widzi pan, doktorze - przerwał mu McPherson - tu kryje się pewien szczegół, który nie daje mi spać. Przed wyrzuceniem starych głowic, rozbrajamy je.

Crane przez chwilę patrzył na niego, zastanawiając się nad tymi słowami.

- Chyba nie myśli pan... - zaczął, ale przerwał.

- Co jest tam ukryte, pod Moho? - spytał McPherson. - Tysiące sztuk broni. Gotowej do użycia. Broni o niewyobrażalnej mocy. Dwie czarne dziury, z materii i antymaterii, krążące wokół siebie po bardzo ciasnej orbicie. W celu rozbrojenia takiej broni, wystarczy rozłączyć czarne dziury, tak aby nie mogły się zderzyć. Zgadza się? - McPherson pochylił się nad biurkiem. - Jeśli zatem jest to złomowisko niepotrzebnej broni, dlaczego tego nie zrobili?

- Bo... - zaczął Crane, ale nagle zaschło mu w ustach. - Bo to wcale nie jest broń wycofana z uzbrojenia.

McPherson powoli pokiwał głową.

- Mam nadzieję, że się mylę, ale nie sądzę, żeby był to skład starej, niepotrzebnej broni.

- Pana zdaniem to arsenał - powiedział wolno Crane.

- Ukryty na bezużytecznej planecie - dodał McPherson. - Do czasu gdy...

Nie dokończył zdania. Nie musiał.

*

Crane i Ping szli powoli przez hangar. Echo powtarzało odgłosy ich kroków. Minęli zniszczone fragmenty stacji i skierowali się do wyjścia. Crane nie mógł przestać myśleć o relacji naocznego świadka sprzed sześciuset lat, duńskiego rybaka Jona Albarna: „Na niebie pojawiła się dziura, w której widać było wielkie oko otoczone białymi płomieniami”.

Przeszli przez bramkę ochrony i znaleźli się na dworze pod bezlitosnymi promieniami lipcowego słońca. Słońce stanowiło kulę ognia na tle idealnie błękitnego nieba. Gdy Crane spojrział do góry, przyszło mu do głowy, że chyba już nigdy nie będzie mógł patrzeć w niebo tak spokojnie, jak kiedyś.